

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

**PARYŻ Nr 1/147 - 2/148 1960**

---



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

Cz. MIŁOSZ : **TYGRYS**

J. MIEROSZEWSKI : **DWIE „ ALGERIE ”**

I. SILONE : **CHOROBY CHRONICZNE**

B. LEWICKYJ :

**SPRAWA DR. OBERLAENDERA**

# SPIS RZECZY

—	Nagroda Literacka „Kultury” za rok 1959 .....	3
—	Zapowiedzi wydawnicze na rok 1960 .....	4
Ignazio Silone:	Choroby chroniczne .....	5
Zbigniew Jordan:	Sprawa Józefa Chalasińskiego ....	8
Paweł Hostowicz:	Notatnik nieśpiesznego przechodnia	15
Witold Gombrowicz:	Fragmenty z dziennika .....	34
Aleksander Hertz:	Kasta .....	44
◆		
Czesław Miłosz:	Tygrys .....	69
WIERSZE		
Jerzy Niemojowski:	Louis Dudek — Nota o poecie	102
Louis Dudek:	Bądź młody ze mną .....	103
„ „	Czarna dziewczyna i wiersz ....	104
„ „	Piękna Kalipso .....	104
Jan Rostworowski:	Pan Piotr .....	105
Jan Kierełło:	Lasy takie ciemne .....	107
„ „	Na śmierć przyjaciela I .....	108
„ „	Na śmierć przyjaciela II .....	108
SĄSIEDZI		
Tadeusz Nowakowski:	Granice nieobecności .....	111
Jarosław Dresler:	Czechosłowacka emigracja .....	121
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Juliusz Mieroszewski:	Dwie „Algierie” .....	131
Londyńczyk:	Kronika angielska .....	141
SPRAWY I TROSKI		
Andrzej Chciuk:	Jacy jesteśmy? .....	147
KRAJ		
—	Listy z Polski .....	164
NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI		
Borys Lewickij:	Sprawa dr. Oberlaendera .....	171
KRONIKA KULTURALNA		
Paweł Hostowicz:	Dies Academicus w Bazylei ....	187
Wanda Czapska-Jordan:	Wspomnienie o Andrzeju Soltanie	193
S. Arvay:	Wystawa Czapski-Turkiewicz ....	195
KSIAŻKI		
B. Taborski i Z. Czajkowski:	Polska technika powstań po raz drugi .....	197
Wiesław Wohnout:	Mackiewicz sine ira .....	205
Jan Bielatowicz:	Opus magnum J. Zabiełskiej ....	212
Michał K. Pawlikowski:	Cerkiew prawosławna w Polsce ..	214
Maria Czapska:	Schwarz-Bart — Prix Goncourt 1959 .....	216
—	Nadesłane nowości wydawnicze	221
◆		
J. Jenne, Fr. M. Karwacki, W. Michniewicz, H. Piątkowski, St. Sęp Szarzyński, J. Boucher:	Listy do Redakcji .....	222
—	Komunikat Komitetu Funduszu Skarbów Wawelskich .....	228
◆		
—	Indeks autorów i tematów rocznika „Kultury” za rok 1959 .....	229

Indeks autorów i tematów  
za rok 1959 str. 229.

# KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Styczeń-Luty – Janvier-Février 1960

**INSTYTUT**



**LITERACKI**

## DALSZE WPŁATY NA DOM "KULTURY"

Wanda Darcy, New York, N.Y. (USA), ponownie .....	2.500 frs
Helena Bobotek, Chicago, Ill. (USA) .....	5.000 "
Nina Sereda, Montreal, Que. (Kanada) po raz trzeci .....	1.250 "
Fr. Piotr C. Witosławski, Grand Rapids, Mich. (USA) ponownie .....	1.250 "
Dr. Witold Saski, Lincoln, Nebraska (USA) .....	1.000 "
Stefan Tuszak, Harrison, N.J. (USA) .....	1.250 "
Fr. Strociak, Chicago, Ill. (USA), ponownie .....	1.000 "
Arkadiusz Bukin, Buffalo, N.Y. (USA) .....	2.500 "
Abram Anyż, San Luis Potosi, (Meksyk), po raz trzeci .....	3.850 "
Teresa Serafin-Poniatowska, Phoenix, Arizona (USA) po raz trzeci .....	2.000 "
Jerzy Leśniak Toronto, Ont. (Kanada), .....	1.000 "
Jan Zwierz, Toronto, Ont. (Kanada) .....	500 "
Ks. Józef Capiga, Hamilton, Ont. (Kanada) .....	37.500 "
Witold Lipecki, Brooklyn, N.Y. ....	1.000 "
A. Cassel-Kokczyński .....	1.000 "
Jadwiga Rapacka, Paryż .....	900 "
L. Wojciechowski, Port Credit, Ont. (Kanada) .....	1.000 "
Abe Roth, Buffalo, N.Y. (USA) .....	2.500 "
Anonimowo (USA) .....	2.500 "

DZIĘKUJEMY



P. 9486 Chr. Arch.

1960 W 746

## Nagroda literacka "Kultury" za rok 1959

Tegoroczną nagrodę „Kultury” jury przyznało pani Halszce Guilley-Chmielowskiej za opowiadanie pt. Spotkanie na galerii.

Autorka jest talentem nowym i, jak wielu emigrantów, walczy z trudnościami coraz rzadziej używanego języka. Jury wzięło w pierwszym rzędzie pod uwagę poważny stosunek autorki do jej literackiego przedsięwzięcia. Opowiadanie jej zawiera starannie przemyślany opis dwóch środowisk — lwowskiej inteligencji zawodowej i robotników francuskich w małym miasteczku pod Pirenejami — lecz nie zatrzymuje się na malowniczym szczególe. Macierzyńską i trzeźwą zarazem, autorkę łączy z jej postaciami głębsze uczucie. Pragnęłaby, aby to, co w postaciach tych jest niepowtarzalne, nie minęło wraz z nimi, lecz, wyzwolone z niedoli, przetrwało jako kompozycja, jako płótno pokryte farbami lub koronka utkana ze słów. Opowieść taka nie może być nieudana, bo przemawia i wzrusza naturą swej literackiej ambicji.

„Spotkanie na galerii” ukaże się w najbliższych miesiącach w „Bibliotece KULTURY”.

Halszka Guilley-Chmielowska urodziła się na dalekich kresach Rzplitej. Gimnazjum ukończyła w Brześciu nad Bugiem, potem studiowała Historię Sztuki na Uniwersytecie Lwowskim. Podczas wojny brała czynny udział w ruchu oporu, była więziona przez władze okupacyjne sowieckie i niemieckie. Od 1945 r. mieszka w Francji.

## ZAPOWIEDZI WYDAWNICZE NA ROK 1960

W serii BIBLIOTEKA „KULTURY” ukażą się m.in.:

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

### SKRZYDŁA OLTARZA

Opowiadania

Nagroda Literacka „Kultury” za rok 1958



Halszka GUILLEY-CHMIELOWSKA

### SPOTKANIE NA GALERII

Powieść

Nagroda Literacka „Kultury” za rok 1959



Witold GOMBROWICZ

### PORNOGRAFIA

„Pewne warianty marzenia nie zmieściły się w „Ferdurce” ani w „Ślubie” czy „Trans-Atlantyku”. Stąd ta nowa książka...”



Leo LIPSKI

### PIOTRUŚ

Opowiadanie



Józef CZAPSKI

### O MALARSTWIE I MALARZACH

Essaye



Róża LUXEMBURG

### REWOLUCJA ROSYJSKA

Przekład i wstęp Adama Ciołkosza

Seria: „Dokumenty”

## Choroby chroniczne

Różnorodne są przyczyny, które z pojawieniem się na horyzoncie każdej nowej koniunktury politycznej wywołują zawroty głowy i pośpieszne wyrównywanie szeregów wśród naszych literatów, artystów i komedianów. Równie różnorodne jak sytuacje osobiste. Ponieważ jednak chodzi o nieobyčajność tradycyjną, warto poszukać sprężyny która ją regularnie wprawia w ruch i ustalić okoliczności które jej sprzyjają.

Przede wszystkim trzeba wymienić deformację narcyzystyczną, którą wyłączne uprawianie sztuki pociąga za sobą nawet u ludzi zdrowych psychicznie; sprawia ona że każde wydarzenie osądzone jest z góry jako dobre lub złe zależnie od korzyści jakie może przynieść własnej sławie kosztem sławy kolegów po fachu.

Ale ta choroba profesjonalna, przed którą niestety bardzo trudno jest się uchronić, znajduje zgrubne obciążenie w przekonaniu — szczególnie rozpowszechnionym w naszym kraju — że Państwa są najwyższym wyrazem życia społecznego, a upragniony sukces osobisty zależy od dostrojenia się w jakiś sposób do Racji Stanu, lub co najmniej od nie stawiania jej oporu. Tu tkwi główne źródło konformizmu naszych intelektualistów i nikłego szacunku jakim cieszyli się oni zawsze we wszystkich ustrojach.

Każde zjawisko zbiorowe posiada naturalnie swoich wirtuożów; podobnie konformizm: istnieją intelektualści którzy z każdym zwrotem w życiu publicznym umiają wyprzedzić swoich kolegów choćby o miesiąc czy tydzień, by zasłużyć sobie na względy u władców sadowiących się właśnie w siodle lub już w nim usadowionych. Ich inteligencja obdarzona jest zatem wrażliwością radaru. W samej rzeczy, sprawdźcie *curriculum* tych panów, a w zależności od ich wieku przekonacie się że byli: zwolennikami „awentyralskiej” opozycji demokratycznej do grudnia 1924 roku, faszystami do czerwca 1943 roku, filostalin-

stami do lutego 1947 roku, propagandystami zimnej wojny do dnia poprzedzającego amerykańską wyprawę Chruszczewa.

Inna cecha charakterystyczna podobnych operacji karnego stawania w szeregu zasługuje na uwagę ze względu na swoją naturę estetyczno-moralną. Jakkolwiek naczelnym celem gorliwości konformistycznej jest nieodmiennie pragnienie prześcignięcia na mecie własnych kolegów słabiej zorientowanych politycznie — lub świetnie zorientowanych, lecz wyciśniętych już jak cytryny — nie do zlekceważenia staje się także zaspokojenie miłości własnej, więcej — własnej godności, z chwilą gdy wyprzedzenie pozwala usprawiedliwić nagłą przemianę oportunistyczną argumentami antykonformistycznego awangardyzmu.

Co powiedziawszy, poniżające wydawałoby się nam wnikanie w istotę najświeższych deklaracji karnego stawania w szeregu, gdyby nie wymagało tego wrażenie jakie mogą one wywołać wśród bardziej naiwnych czytelników. Załatwimy to raz dwa.

Czemuż to, u diabła, zmiana w stosunkach między Państwami miałyby oznaczać zawieszenie lub choćby tylko złagodzenie sporów ideowych? Byłyżby może idee jak owe pióropusze karabinierów, wycofane z użytku i posypane naftaliną na mocy okólnika ministerialnego? Dłaczegóż to krytyka totalizmu miałyby naraz stracić wszelką rację bytu? Komunizm, socjalizm, faszyzm, liberalizm, demokracja, imperializm, wolność stały się pustymi słowami bez znaczenia? Nie dyskutowało się ich nigdy *przed* zimną wojną?

Dziwny sposób rozumowania, zwłaszcza u pisarzy. Ale nawet przy założeniu że istnieje pewien związek między polityką Państw a życiem intelektualnym, znacznie bardziej logiczne i sensowne byłoby w obecnej koniunkturze rozumowanie odwrotne. Logiczniej i sensowniej byłoby twierdzić, że nie tylko ścieranie się idei nie staje się zbędne z ustaniem (miejmy nadzieję że rzeczywistym i trwałym) zimnej wojny, lecz przeciwnie — że staje się ono konieczniejsze i równocześnie szersze, jaśniejsze, łatwiejsze.

Skoro wzajemny strach skłonił nareszcie dyplomatów i wojskowych do zarzucenia pogroźek zniszczenia i do rozpoczęcia rozmów i rokowań w poszukiwaniu kompromisu, pora chyba by inteligencja ludzka odzyskała wszystkie swoje prawa, które dotyczą nie tylko tworzenia rzeczy pięknych ale i obrony rzeczy powszechnie słusznych, nie wyłączając tych jakie panowie dyplomaci i wojskowi przywykli uważać za podlegające jedynie ich kompetencji. Ze ci panowie nie zasługują na ślepe zaufanie, nawet wówczas gdy spotykają się na szczycie, dowiedli sami *ad abundantiam* w Jałcie i w Poczdamie.

Pisarz godny tego imienia nie może służyć niczemu innemu poza człowiekiem: oto zasada którą należy podkreślać przeciw wszelkiemu oportunizmowi ubóstwienia państwa. Nasza kultura nie może być niczym innym jak tylko bezinteresowną świadomością

mością doli człowieczej w epoce w której żyjemy. Witamy więc i Lunika, ale bez zachłystów i bez obaw propagandystów wojny psychologicznej.

Ostatecznie, dlaczego wynalazek techniczny miałby ściągać za sobą rewizję sądu o ustroju kraju w którym został dokonany? Pociski międzykontynentalne i Lunik mogły być wynalezione przez techników w służbie Hitlera; rozbicie atomu mogło być przeprowadzone przez takich uczonych jak Fermi i Segre we Włoszech, zanim ustawy rasistowskie zmusiły ich do wyemigrowania. Wystarczyłoby to, aby puścić w niepamięć istotę hitleryzmu i faszyzmu włoskiego?

Kto jest zdania że tak, pozostał wierny fałszywemu założeniu dziewiętnastowiecznemu, według którego rozwój techniki wymaga wolności i ze swej strony automatycznie powoduje wzrost wolności. To nieprawda; albo, jeśli wolicie, to już nieprawda, to nie zawsze prawda. Ten przewrót w stosunkach między człowiekiem i jego dziełami jest jednym z podstawowych faktów naszej epoki. Następstwa społeczne i ludzkie przemian technicznych trzeba dziś sprawdzać na nowo za każdym razem, w każdym konkretnym przypadku; technika sama w sobie nie wytwarza nic poza przedmiotami. (Nikt jeszcze, na przykład, nie próbował wykazać że produkcja seryjna ośmiela wolność ducha).

Ale już na początku stulecia zwrócono się do Lwa Tołstoja z zapytaniem co sądzi o projektach inowacji technicznych, które dzienniki oficjalne przypisywały rządowi carskiemu. Odpowiedział tak: „Nie zmienilibym mojego sądu o Dżyngis Chanie nawet gdybyście mi przedstawili dowody, że rozporządzał telegrafem”. Jest to lekcja nad którą warto się zastanowić.

W wielkim kraju Tołstoja i Chruszczowa widoczne są dziś objawy które potwierdzają postępującą odwilż, i jest bez wątpienia rzeczą chwalebna że pisarz nasłuchuje tego co fermentuje wśród Rosjan. Ale wymaga to słuchu specjalnego, słuchu który nie da się ogłuszyć fanfaram rządowym. Doskonale opowiadanie Abrama Terca „Sąd idzie” dowodzi, że prawdziwe przebudzenie społeczeństwa rosyjskiego odbywa się jeszcze ciągle w podziemiu. I nie ma nic dziwnego w zapewnieniu, że te przejawy ducha rosyjskiego są — przynajmniej dla pisarza — ważniejsze od przemówień Chruszczowa. Słowa zmieniające oblicze świata głosi się zazwyczaj w ukryciu.

Ignazio SILONE

(Przełożył Gustaw Herling-Grudziński)

## Sprawa Józefa Chałasińskiego

Nie zdarza się to po raz pierwszy, iż losy jednostki łączą się w sposób nierozdzielny z losem zasad żywotnych i doniosłych. Często są to jednostki nie znane szerokiemu ogółowi, które dzięki powikłaniu wydarzeń skupiają na sobie uwagę publiczną. W wypadku, o którym mowa, w grę wchodzi sprawa wolności myśli i autonomii nauki. Naturalną jest przeto rzeczą, iż ilustrują ją losy uczonego o znanym w kraju i poza krajem nazwisku.

Konflikt, którego rozwiązanie ugodziło bezpośrednio w prof. Chałasińskiego, ma dwa różne aspekty. Albowiem prof. Chałasiński jest nie tylko wybitnym uczonym, zasłużonym dla rozwoju socjologii w Polsce, lecz również w życiu publicznym postacią kontrowersyjną. Trudno byłoby powiedzieć, iż otacza go powszechna życzliwość społeczności uczonych. Przyczyn tego stanu rzeczy nie potrzeba zgłębiać. Dotyczą one bowiem osoby prof. Chałasińskiego, a nie istoty rzeczy o ogólnym znaczeniu dla dalszych losów nauki w Polsce. Jeśli nie rozróżni się tych dwóch aspektów sprawy, ucierpi na tym jasność rezeznania sytuacji i wagi podjętych decyzji, które dotknęły prof. Chałasińskiego.

Jednym z forteli sztuki erystycznej, jakim posługują się ludzie gotowi użyć każdej metody dla powalenia przeciwnika, jest wprowadzenie do walki środków natury emocjonalnej. Zamiast argumentów rzeczowych, godzących w zwalczane poglądy, używają oni *argumentum ad personam*. Polega on na tym, jak wyjaśnia w swym podręczniku logiki prof. Kotarbiński, iż szermuje się „osądami negatywnymi, nie pozostającymi w rzeczowym związku ze sprawą, a mającymi za przedmiot osobę przeciwnika”. Kampania toczona w prasie przeciw prof. Chałasińskiemu posługiwała się głównie takim chwytem erystycznym. Odnosi się wrażenie, iż dywersyjny cel został osiągnięty. Przedmiot sporu przesunął się na teren korzystniejszy

dla strony atakującej, a rekryminacje zamąciły bezstronność sądu.

Bezpośrednią przyczyną represyjnych zarządzeń w stosunku do prof. Chałasińskiego, wydanych przez tzw. decydujące czynniki w państwie, był referat pt. „Socjologia i społeczna mitologia w powojennej Polsce” nadesłany przez prof. Chałasińskiego na Międzynarodowy Kongres Socjologiczny w Stresie. Jeden z trzech głównych tematów dyskutowanych na Kongresie nosił tytuł „Socjologia w swym społecznym kontekście”. W ramach tego tematu podjętą miano zagadnienie, czy i w jakiej mierze istnieją związki zależności między strukturą społeczną a rozwojem socjologii i stanem badań społecznych w danym kraju. Dwunastu socjologów nadesłało referaty, które naświetlały wspomniane związki zależności w ich krajach ojczyстых, a wśród tych dwunastu referatów znalazło się również opracowanie prof. Chałasińskiego. Fakt ten należy podkreślić, gdyż został pominięty milczeniem przez obecnych i nieobecnych na Kongresie krytyków referatu prof. Chałasińskiego.

Niemal wszystkie raporty narodowe wypowiadały krytyczną uwagę o stanie socjologii i badań społecznych w odnośnych krajach — do nich należy również zaliczyć sprawozdanie sowieckie, wygłoszone przez Fedosiejewa na sesji plenarnej — oraz potwierdzały fakt istnienia zależności między stanem socjologii, a stanem społeczeństwa i panującą ideologią lub filozofią społeczną. W niektórych wypadkach, wśród nich znalazła się również Polska, raporty stwierdzały, iż wspomniana zależność przejawiała się w przeszłości jako wrogość klasy lub elity panującej do socjologii, co ostatecznie doprowadziło do likwidacji socjologii jako nauki akademickiej oraz poniechania badań społecznych. Nikt z tych socjologów nie został za to stwierdzenie ukarany przez rząd swego kraju. Jedynie w Polsce stało się inaczej.

Uczestnicy Kongresu zamieścili w prasie tygodniowej liczne sprawozdania z przebiegu obrad w Stresie. Niektórzy z nich, w szczególności autorzy artykułów w *Nowej Kulturze* i w *Po-liyce*, zgłosili zastrzeżenia oraz stanowcze protesty z powodu referatu prof. Chałasińskiego. Główny jednak atak, posługujący się wyłącznie wspomnianymi chwytami sztuki erystycznej, pojawił się na łamach „Nowych Dróg”. Zapewne łączył się on z wstrząsami na wysokich szczeblach hierarchii partyjnej, w których wyniku zwolennicy bardziej liberalnej polityki ustąpili miejsca powracającej do władzy grupie natolińskiej.

Oskarżenie prof. Chałasińskiego obejmuje cztery punkty. Trzy z nich godzą w osobę, a tylko jeden w sposób ogólnikowy krytykuje merytorycznie referat prof. Chałasińskiego.

Najczęściej podnoszono zarzut, iż prof. Chałasiński jako jeden z współuczestników likwidacji socjologii w okresie stalinowskim nie miał prawa zajmować się analizą i krytyką tego okresu. W tej formie argument trudny jest do utrzymania. Ci, którzy brali udział w akcji likwidatorskiej, często lepiej niż

inni znają jej technikę i środki działania. Nie jest przeto rzeczą rozsądną, by zachowali milczenie, jeżeli nie pragnie się nawrotu do stosunków przeszłości. Jeśli zaś wymaga się od nich milczenia w imię jakichś racji moralnych, racje te stosują się do wszystkich, a nie tylko do prof. Chałasińskiego. Liczny jest zastęp osób, które brały udział, skromny lub wybitny, w likwidacji tej lub innej dziedziny nauki, a po Październiku zajmowały się analizowaniem tzw. błędów i wypaczeń minionego okresu.

Po wtóre, zarzucano prof. Chałasińskiemu jednostronną ocenę wypadków i wydarzeń. Być może krytyka ta jest słuszna i merytorycznie trafna, lecz trudno się do niej ustosunkować konkretnie wobec ogólnikowości sformułowania.

Po trzecie, stawiano pytanie po co się minionym okresem zajmować, skoro Partia wszystko już załatwiła i dostatecznie wyjaśniła. Ten ostatni zarzut świadczyłby o naiwności autora, gdyby nie wyszedł spod pióra socjologa. Użyty przez badacza zjawisk społecznych, wykształconego i doświadczonego, jakim jest prof. Szczurkiewicz, ma zupełnie inną wymowę. Należy go postawić w bezpośrednim sąsiedztwie zarzutu czwartego, charakterystyki referatu prof. Chałasińskiego jako publikacji destrukcyjnej „noszącej wyraźnie znamiona paszkwila na przemiany społeczne dokonane w kraju”. Zapewne w ten właśnie sposób niektórzy członkowie Partii określali przemówienie Gomułki wygłoszone w październiku 1956 roku. Słowo „paszkwil” sugeruje, iż prof. Chałasiński przedstawił losy socjologii w sposób niezgodny z faktami. Niestety prof. Szczurkiewicz nie wyjaśnił pod jakim względem prof. Chałasiński zniekształcił stan faktyczny i jakie ma na to dowody, iż w okresie stalinowskim socjologia w Polsce była w stanie kwitującym.

Z merytorycznego punktu widzenia postawić można referatowi prof. Chałasińskiego różnorodne zarzuty. Referat nie jest socjologicznym arcydziełem, nie traktuje zagadnienia objętego tematem kongresowej dyskusji w sposób pogłębiony i wyczerpujący. Jeśli krytycy uważali za rzecz wskazaną podjąć rzeczową dyskusję, służą do tego celu czasopisma fachowe, polskie i zagraniczne. Jeśli były osoby, które czuły się, słusznie lub niestosownie, skrzywdzone opiniami prof. Chałasińskiego, wnieść mogły tę sprawę na właściwym forum, jakiego dostarcza Zgromadzenie Ogólne Polskiej Akademii Nauk. Obrano jednak drogę odmienną. Nie było krytyki rzeczowej i publicznej. Jej miejsce zajęła krytyka personalna i oskarżenia polityczne. Wysoko wzniosła się fala wrogości, dawnej lub świeżej daty, w stosunku do prof. Chałasińskiego.

Pod koniec listopada *Trybuna Ludu* doniosła, że Prezydium Polskiej Akademii Nauk podjęło uchwałę, która obejmowała szereg postanowień dotyczących prof. Chałasińskiego. Odnośny passus komunikatu donosił co następuje:

„Prezydium przyjęło do wiadomości decyzję rządu o anulowaniu zatwierdzenia prof. dr. Józefa Chałasińskiego na stanowisku Zastępcy Sekretarza Naukowego PAN. Następnie Prezydium powzięło uchwałę o zlikwidowaniu z dniem 30 listopada bież. roku Zakładu Socjologii i Kultury PAN, pomocniczej placówki naukowej przy wydziale nauk społecznych PAN... Prezydium zwolniło prof. dr. Józefa Chałasińskiego z obowiązków redaktora wersji obcojęzycznej wydawnictwa akademii — *Nauka Polska* oraz zatwierdziło uchwałę Sekretariatu Naukowego o zmianie na stanowisku redaktora naczelnego kwartalnika *Kultura i Społeczeństwo* i powołaniu na to stanowisko prof. dr. Stefana Żółkiewskiego”.

Ustawa o Polskiej Akademii Nauk z 30 października 1951 roku przewiduje, że wybór i odwoływanie członków Prezydium Akademii należy do uprawnień Zgromadzenia Ogólnego. To uprawnienie wymaga, stosownie do ustawy, zatwierdzenia odpowiednich władz państwowych, prościej — Biura Politycznego KC PZPR. Biuro Polityczne nie mogło zatwierdzić odwołania, jakiego mu nie przedłożono do zatwierdzenia, gdyż Zgromadzenie Ogólne nie miało dotąd sposobności wypowiedzenia się w tej sprawie. Biuro Polityczne widocznie zakłada, iż jeśli publicznie ogłosi, iż prof. Chałasiński nie jest już *persona grata*, Zgromadzenie Ogólne podejmie uchwałę stosownie do życzenia Biura Politycznego.

Taką interpretację wyczytać można z wywiadu udzielonego *Trybunie Ludu* przez prof. Jabłońskiego, sekretarza naukowego PAN i członka KC PZPR.

„Już decyzja rządu”, stwierdził prof. Jabłoński, „cofająca zatwierdzenie prof. Chałasińskiego na stanowisku Zastępcy Sekretarza Naukowego PAN zawierała automatycznie ocenę możliwości pracy tego uczonego na stanowiskach kierowniczych”.

Jeżeli oświadczenie prof. Jabłońskiego odzwierciadla stanowisko Prezydium Akademii, formuła, która mówi o przyjęciu do wiadomości przez Prezydium decyzji rządu w sprawie prof. Chałasińskiego, ma dalej idące implikacje aniżeli może się to wydawać na pierwszy rzut oka. Świadczą o tym również postanowienia Prezydium likwidujące Zakład Socjologii i Historii Kultury PAN, na którego czele stał prof. Chałasiński, oraz odwołanie go ze stanowiska redaktora kwartalnika *Kultura i Społeczeństwo* i wydawnictw obcojęzycznych Akademii. Albowiem w ten sposób stworzony został niebezpieczny precedens. Otwarta została droga do administracyjnego podporządkowania Akademii decyzjom Biura Politycznego KC PZPR, do oceny uczonego stosownie do kryteriów politycznych i narzucania uczonemu merytorycznych poglądów stosownie do tego, co w danej chwili głoszą autorytety polityczne. W przeszłości

nazywano to komenderowaniem lub prymatem polityki nad nauką.

Komunikat *Trybuny Ludu* pozostawia wątpliwości, w jakiej mierze postanowienia dyscyplinarne w stosunku do prof. Chałasińskiego podjęte zostały przez Prezydium w własnej inicjatywy, a w jakiej na wniosek Sekretariatu Naukowego. Sekretariat Naukowy jest ciałem nie przewidzianym przez ustawę i powołanym do życia w okresie stalinowskim. W jego skład wchodził zasadniczo tylko członkowie PZPR, zobowiązani do dyscypliny partyjnej, wśród nich również osoby, które nie były członkami Akademii, oraz wyjątkowo uczeni bezpartyjni, pod warunkiem, iż podporządkowywali się lojalnie dyrektywom politycznym. Sekretariat Naukowy, złożony z „uczonych-polityków”, był pozbawiony fachowych kompetencji w sprawach o których decydował. Świadkiem koronnym tego stanu rzeczy jest prof. Jabłoński.

„Trzeba otwarcie stwierdzić”, mówił prof. Jabłoński na Zgromadzeniu Ogólnym członków PAN w styczniu 1957 roku, „że często decydujący głos należał nie do specjalistów danej dziedziny, do tych, którzy tę dziedzinę tworzą, lecz do niefachowców, choćby również uczonych — ale nawet uczone stają się laikami, czasem urzędnikami, jeśli będąc na przykład humanistą zaczyna decydować o sprawach techniki” (*Nauka Polska* V, 1957 (1), str. 16).

Z oczywistych względów, skład osobowy Sekretariatu Naukowego nie był podawany do publicznej wiadomości. Nie wiadomo również, kto w nim obecnie zasiada. Z dużą dozą prawdopodobieństwa można natomiast powiedzieć, iż wśród członków Sekretariatu Naukowego nie ma socjologa.

W latach 1952-1956 Akademią rządził Sekretariat Naukowy, a Prezydium, jak to określił swego czasu prof. Infeld, było jego pieczęcią gumową. Samorząd Akademii był fikcją. Decyzję co do jej poczynań zapadały poza Akademią i były przekazywane do wykonania Sekretariatowi Naukowemu sprawującemu swe funkcje w oparciu o uprawnienia udzielone mu przez ośrodki polityczne, a nie przez członków Polskiej Akademii Nauk. Był on bowiem organem wykonawczym Biura Politycznego KC PZPR, ukrytym pod mylącą nazwą Sekretariatu Naukowego, oraz rzeczywistą władzą Akademii, nominalnie sprawowaną przez Prezydium.

Do niedawna mogło wydawać się, że to zdyskredytowane ciało przestało istnieć. Zebranie Ogólne członków PAN w czerwcu 1956 roku, które przekształciło Akademię w autonomiczną organizację uczonych, wyraziło pod tym względem swą wolę w sposób jednoznaczny. Utwierdzało w tym przekonaniu oświadczenie sekretarza naukowego PAN, złożone w maju 1958 roku.

„Przede wszystkim więc na wstępie niniejszych uwag stwierdzić wypada”, oświadczył prof. Jabłoński, „że postulat autonomii wewnętrznej Akademii znalazł zrozumienie decydujących w Państwie czynników” (*Nauka Polska* VI, 1958 (3), str.7).

Prof. Jabłoński powrócił do tej sprawy raz jeszcze w swym przemówieniu, by stwierdzić, iż postulat wewnętrznej autonomii Akademii „został przyjęty przez kierownictwo państwowe”. Prof. Jabłoński jest członkiem PZPR od 1948 roku. Jest on od wielu lat członkiem Komitetu Centralnego. Jego oświadczenie można więc było traktować jako w pełni autorytatywny wyraz poglądów tzw. decydujących w Państwie czynników.

Ujawnienie faktu, iż Sekretariat Naukowy ponownie działa i przygotowuje wnioski do aprobaty Prezydium Akademii budzi wątpliwości, czy Partia dotrzyma danego słowa i wyrzeknie się kontroli nad poczynaniami Akademii. Narzucenie decyzji w sprawie prof. Chałasińskiego oraz uprzedzenie uchwały, którą podjąć może jedynie Zgromadzenie Ogólne, budzą obawy, czy Polska Akademia Nauk zdołała oprzeć się presji politycznej i zachować status autonomicznej organizacji uczonych.

W Prezydium Akademii zasiadają uczeni o świetnych w nauce polskiej nazwiskach. Są wśród nich uczeni, których sława w ich własnej specjalności ma zasięg światowy. Są wśród nich wreszcie osoby, których trud i przykład życia, mądrość i prawosć, uczyniły autorytetem moralnym dla całego społeczeństwa, w kraju i poza jego granicami. W najgorszym okresie terroru i bezprawia zachowali godność osobistą, wolność przekonań i odwagę słowa. Ich autorytet moralny i naukowy ma ciężar gatunkowy, z którym liczyć się muszą autokraci, nawet gdy ulegną urojeniu nieomyślności, które prędzej lub później opanowuje umysły wszystkich dyktatorów.

W sprawie prof. Chałasińskiego opinia publiczna postawiona została wobec faktów dokonanych o groźnych następstwach dla dalszych losów nauki. W grę wchodzi coś więcej niż osoba prof. Chałasińskiego, chociaż czyni się wysiłki, by taka utrwała się opinia. Chodzi o to według jakich kryteriów ocenia się działalność uczonego i jakimi zasadami rządzi się społeczność uczonych w swym życiu wewnętrznym. Nie można zgodzić się z postępowaniem, w którym dyskwalifikację uczonego w kołach rządzących krajem traktuje się automatycznie jako jego dyskwalifikację naukową. Nie można się zgodzić z postępowaniem, w którym przed publiczną i rzeczową dyskusją, w jakiej biorą udział na równych prawach obie w sporze zaangażowane strony, wydaje się wyrok potępiający i pobiera dyscyplinarne postanowienia. Nie można zgodzić się z postępowaniem, w którym unika się jawności, spreycyzowania zarzutów i ich uzasadnienia.



Słowa powyższe podyktowała obawa, iż, po krótkim okresie pomyślniejszego rozwoju, Polska Akademia Nauk znalazła się ponownie w punkcie zwrotnym, zagrażającym jej losom. Z tych lub innych przyczyn podjęto decyzję, która stać się może pierwszym krokiem na równi pochyłej. W jaki sposób będzie można bronić jutro innej zagrożonej pozycji, gdy raz się uzna, iż Biuro Polityczne KC PZPR może podejmować obowiązujące decyzje co do kompetencji uczonego do zajmowania kierowniczego stanowiska lub co do słuszności wypowiedzianych przez niego opinii? Sprawa prof. Chałasińskiego z jednej strony, wolność myśli naukowej i zasada autonomii nauki z drugiej łączą się nierozdzielnie. Złudzeniem jest przekonanie, iż decyzje dotyczące jednego uczonego nie mają następstw dla wszystkich pozostałych, a los jednej placówki naukowej nie narusza zasady samorządu całej nauki.

Zbigniew JORDAN

K I E S Z O N K O W Y

## KALENDARZYK INFORMATOR POLAKA W KANADZIE 1960

(VIII Rok Wydawnictwa)

do nabycia u wydawcy

**Roman Bąbczyński**

**64, Indian Rd., Toronto 3, Ont. Canada**

Cena 60 centów wraz przesyłką

Kalendarzyk zawiera cenne informacje o polskich organizacjach, parafiach i polskich firmach handlowych w całej Kanadzie. Ponadto z racji 1000-lecia Chrztu i istnienia Państwa Polskiego załączona mapka Polski w kolorach (województw).

Nabywajcie zaraz po ukazaniu się, bo nakład ograniczony.

**Generalny przedstawiciel Rocznika Polonii w Kanadzie**

**Przedstawiciel „KULTURY”**

## Notatnik nieśpiesznego przechodnia (dok.)

(Z DZIENNIKA PODRÓŻY)

WIEDEN

Wojny, które zmieniły oblicze świata, były przedsięwzięciami tak wielkich rozmiarów, że trzeba było aż dwóch pokoleń żołnierzy, aby je doprowadzić do końca. Taka była wojna peloponeska, wojna cywilna po śmierci Juliusza Cezara, takie były wojny napoleońskie i wojny o hegemonię Europy w pierwszej połowie obecnego stulecia. Raz rozpoczęte, zmieniały wodzów, metody, cele, żłobiąc sobie drogę do tragicznego i nieprzewidzianego zakończenia. Kto widział początek i koniec takiej długotrwałej katastrofy, odnajduje potem ze wzruszeniem znane sobie z poprzedniej epoki miejsca, budynki, parki, obyczaje, regionalne potrawy i wina. Wszystko to ustawione jest jednak w nowym, innym porządku, którego sens pozostaje długo niejasny. Zależnie od punktu, z którego patrzymy, zarysy ogólne tego porządku ukazują się wyraźniej lub rozplywają się w mgłę nierozpoznanej jeszcze przyszłości.

Zmiany zaszły w Europie w ciągu ostatnich 50 lat nigdzie być może nie są tak widoczne jak w Wiedniu. Przed pół wiekiem Wiedeń był jedną z głównych stolic Europy, miastem zwróconym ku przyszłości, w którym, wyprzedzając swój czas, kształtowały się powoli nowe formy współżycia ludów w ramach wielkiej monarchii federalnej. W kilka lat później Wiedeń stał się stolicą małej republiki, która zdawała się nie mieć żadnej przyszłości i po kilkunastu latach rozplynęła się w Trzeciej Rzeszy.

Obecnie Wiedeń jest wielkim miastem pogranicznym, odległym o jakieś 30 km. od linii demarkacyjnej. „Między odległym Wschodem i nie mniej odległym Zachodem”, pisał przed 90 laty Sałtykow-Szczedrin o położeniu ówczesnej Rosji. Coś podobnego można by dziś powiedzieć o Wiedniu. Strefa graniczna między obu cywilizacjami przesunęła się o kilka tysięcy kilometrów na zachód.

Po ostatniej wojnie Wiedeń został całkowicie odbudowany. Zachował większą część swych pięknych późnobarokowych pałaców; luki wojenne zostały wypełnione przez nowe budynki. W całej zresztą Austrii widać na każdym kroku nowe zabudowania, nowe zakłady przemysłowe i inne przejawy odradzającego się życia. Cuda gospodarcze nie są wyłącznym przywilejem Niemiec, i można dziś mówić także o austriackim *Arbeitswunder*. Widać jednak od razu, że stopa życiowa w Wiedniu nie jest taka sama jak na Zachodzie. Względny dostatek nie pociągnął też tu za sobą właściwej dziś Zachodowi niwelacji gustów i trybu życia. Nie wszyscy wiedeńscy zasiadają wieczorem przed aparatami TV, nie wszyscy obliczają w myśli datę nabycia nowego samochodu. Wyobraźnia i inwencja osobista nie utraciły tu jeszcze swego znaczenia, dzięki czemu kontakt z ludźmi jest żywszy, mniej zdawkowy niż na Zachodzie. Wydaje mi się, że najcenniejszą rzeczą, jaką wywozję z obecnego pobytu w Wiedniu będą nawiązane tu przyjaźnie. Gdy przypominam sobie dawną Pragę, Budapeszt, Kraków i Lwów, mam wrażenie, że Wiedeń bliższy jest tamtych miast niż obecnych wzorów zachodnich.

### WIEDEŃ FRANCISZKA JÓZEFA

Kto widział Wiedeń w czasach Franciszka Józefa, w czasach ks. Seipla i dziś, ma przed sobą trzy różne, nie pokrywające się z sobą obrazy. Nasz zmysł porządku i ciągłości każe zbliżać do siebie te obrazy i nasuwa myśl, że różnice między nimi dadzą się sprowadzić do różnic między pokoleniami, które w ciągu ostatniego półwiecza deptały chodniki miasta. Przypuszczam, że tak sobie tłumaczy te różnice większość wiedeńców, zmuszonych do odnalezienia w jakiś sposób ciągłości własnej egzystencji. Trudniej przychodzi to obcemu, dla którego Wiedeń jest wieloznacznym symbolem, i który myśli o sensie tego miasta dla reszty świata. Jest dlań oczywiste, że znane mu obrazy miasta oddzielone są od siebie wielkimi skokami historii miejscowej i historii powszechnej.

Najstarszy obraz Wiednia, jaki zachowałem w pamięci, datuje się z czasów Franciszka Józefa. Jest to obraz najwyraźniejszy, przeświecający przez wszystkie inne; muszę się mieć na baczności, aby nie brać go za rzeczywistość bieżącą. Jako młody student przejeżdżałem wówczas kilka razy do roku przez Wiedeń, zatrzymując się w nim na kilka dni lub tygodni. Miasto przyciągało mnie do siebie coraz silniej. Byłem w wieku, w którym młodzież ulega najłatwiej fascynacji niebezpiecznych zabaw i ryzykownej gry myśli. Wiedeń miał w sobie coś z tych niebezpiecznych uroków.

Było już wówczas jasne, że system trzech cesarzy władających wschodnią częścią Europy zbliża się do upadku. W

domu mego ojca mówiono często o zbliżającym się kataklizmie, który zmyje istniejący porządek, i o nowych formach życia, jakie wyłonią się z potopu wojny i rewolucji. Mówiono o przyścisaniu do głosu nowych warstw społecznych, nowych ludów, mówiono o zgramadzeniach konstytucyjnych i parlamentach. Były to instytucje wypróbowane na wyspach oraz w krajach o zwartej ludności i ustalonych od wieków granicach. Na niezmiernych przestrzeniach Europy Środkowej i Wschodniej, zamieszkałych przez szachownicę ludów, recepty zachodnie narzęczały różne wątpliwości. Jak bowiem miały funkcjonować parlament złożony z deputatów mówiących dziesięciu różnymi językami? Podział obszarów środkowych i wschodnich Europy na państwa niezależne narzęczał nie mniejsze trudności wobec braku jasnych granic etnograficznych. Dla zachowania swej jedności Austria, posiadająca południowo-zachodnią część szachownicy, wypracowała w XIX wieku dwie recepty. Pierwsza, metternichowska, opierała się na centralistycznej władzy absolutnej, negującej dopóki się da pretensje ludności do udziału we władzy i dążenia ludów monarchii do samodzielności. Druga przyznawała tym ludom ograniczoną samodzielność w ramach austro-węgierskiego systemu federacyjnego. Rosja pozostała przy recepcie metternichowskiej, Niemcy weszły na drogę demokracji parlamentarnej, lecz odmawiały swym mniejszościom narodowym wszelkiej samodzielności. Austria jedna zdawała się posiadać jakąś receptę na zarysowujący się niejasno nowy okres historii. Przypuszczałem, że w samym Wiedniu przyszłość tę widać wyraźniej niż gdzie indziej.

Przypuszczenie to okazało się o tyle słuszne, że nigdzie wojna nie wydawała się tak bliska jak w Wiedniu. Podczas trwożnych dni 1913 przestałem kiedyś pół nocy na Ballhausplatzu w ogromnym tłumie wiedeńców, którym urzędnik ministerstwa spraw zagranicznych odczytywał z balkonu co pół godziny ostatnie depeşe.

Zajęty tymi myślami nie znajdowałem w sobie żadnego zainteresowania dla wiedeńskiej operetki, i moja znajomość jej ogranicza się dotąd do *Cygańskiego Barona*. Czytałem natomiast pośpiesznie konstytucję austro-węgierską, usiłując przejrzeć ukrytą pod paragrafami i komentarzami grę pojęć, sił i interesów. Zdawałem sobie sprawę, że w dniu powszechnej mobilizacji teksty te staną się martwą literą, i że na miejsce ich wystąpią siły nowe, trudne na razie do rozpoznania.

Często też bywałem w wiedeńskiej galerii obrazów. Zdawało mi się, że przed obrazami Breughela, Cranacha, Rubensa i Vermeera znajduję klimat stosowny do rozważania wielkich wypadków. Przypuszczałem, że w zbliżającej się wojnie, jakiegokolwiek byłoby jej doraźne motywy i cele, rozegra się też walka o najwyższą stawkę, o wizję i formę przyszłego życia w tej części świata, i że nigdzie nie można myśleć jaśniej o tych sprawach jak pośród dzieł wielkich wizjonerów.

Teatry, kawiarnie literackie, felietony i polemiki, całe malownicze i zajmujące życie ówczesnego Wiednia szło swoim trybem, niezmacone przecuciem nadchodzących wydarzeń. Jego pozorna beztraska odwracała uwagę od odbywającej się w tym mieście istotnej pracy myśli i wyobraźni. Dopiero za trzecim, dłuższym pobytem otrzymałem od młodego lekarza wiedeńskiego numer *Imago* i *Traumdeutung* Sigmunda Freuda. W latach tych miałem być może na ulicach Wiednia nieznanym jeszcze R.M. Rilkego i Franza Kafkę.

Obcego zastanawiała najczęściej sama struktura stolicy, podobnej do wieży bez schodów, której każda kondygnacja stanowiła zamkniętą w sobie całość. Na szczycie, tonąc w chmurach, stał zamek, *die Burg*, z starym cesarzem i dynastią trawioną od wewnątrz przez mezalianse. Pod nim znajdowało się miasto żyjące bogatym życiem własnym i nie interesujące się wcale habsburskim federalizmem i starym cesarzem, o którym rozprawiali z rozrzewnieniem woźnice fiaków i kucharki. Osobną kondygnację stanowił parlament i administracja, mające niewielki rezonans w wiedeńskiej inteligencji. Jeszcze bardziej izolowana wydawała się armia, obecna w postaci tysięcy wielojęzycznych żołnierzy i podoficerów, których oswojeniu i asymilacji służył wielki luna-park na Praterze.

W krótkim czasie zrozumiałem, że bywalcy wiedeńskich kawiarni literackich i czytelnicy felietonów nie mieli najmniejszego zainteresowania dla zagadnień austriackiego federalizmu i nie chcieli nic wiedzieć o pozostałych krajach monarchii. Dla wiedeńskich pięknoduchów na wschód od stolicy rozciągały się kraje barbarzyńskie, ciekawe chyba tylko dla etnografów. *Asien beginnt an der Pappelnstrasse* (1), mówili. Był to dla nich malowniczy i nieokreślony, na pół bajeczny Wschód, który opisał Roda Roda, lub fantastyczna Tarokania Herzmanovskiego-Orlanda.

Negatywna postawa wiedeńczyków wobec pozostałych krajów monarchii była dla mnie zjawiskiem nowym, nieoczekiwanym. Było to pierwsze zetknięcie z procesem, który w następstwie przybierał coraz większe rozmiary. Dla różnych złożonych przyczyn stare kraje Europy Zachodniej odwracały się coraz bardziej od reszty świata, zamykały w sobie; promieniowanie ich gaślo, wpływy cofały się. Wyniki ostatniej wojny ujawniły tylko ten proces, w istocie starszy i zasługujący na osobne studium.

Po 1919 Wiedeń oddalił się jeszcze bardziej od byłych krajów monarchii habsburskiej. Austriacy znajomi, z którymi wspominałem te czasy, utrzymywali, że mimo łączących ich z tymi krajami wspomnień i nawet związków rodzinnych rzadko tylko powracali do nich myślą.

(1) Nie jestem pewien, czy dobrze pamiętam nazwę tej ulicy, leżącej gdzieś w okolicach Nordbanhofu.

Pragnący dziś zapoznać się z ewolucją polityczną Austrii za panowania Franciszka Józefa musi przezwyciężyć znaczne przeszkody. Liczba publikacji nowych poświęconych tym zagadnieniom jest znikoma. Przeglądając katalogi bibliotek odnosi się wrażenie, że jest to jeden z najmniej znanych okresów historii.

## LEGALIZM AUSTRIACKI

Doświadczenia wyniesione z federalizmu austriackiego zachowały się przez długi czas w pamięci ludów byłej monarchii. Podróżując po wsiach i miasteczkach Galicji, Rusi Zakarpackiej i Węgier miałem sposobność stwierdzić, że ludność tych krajów, nawet w 20 lat po upadku monarchii habsburskiej, była wciąż jeszcze głęboko przywiązana do tzw. legalizmu austriackiego. Termin ten, używany w braku lepszego, zwięźła istotę tego zjawiska, polegającego na powszechnym przekonaniu, że wszystkie sprawy polityczne sporne dadzą się załatwić w drodze układów między zainteresowanymi lub ich legalnie wybranymi przedstawicielstwami, bez użycia broni i stwarzania faktów dokonanych. Założenie takie upoważnia do bardzo optymistycznych przewidywań, pozwala bowiem przypuszczać, że układające się strony nie dadzą się łatwo zniechęcić i wstrzymają się od aktów przemocy. W tych warunkach nawet słowo *fortwursteln* staje się wyrazem pogodnego oczekiwania i nadziei. Jest rzeczą oczywistą, że rozpowszechnienie się takiego przekonania na terytorium zamieszkałym przez kilkanaście ludów o różnych językach, wyznaniach i tradycjach może mieć nieprzejrzaną, zawsze dobroczynną skutki.

Legalizm austriacki odegrał zapewne istotną chociaż niewidoczną rolę w historii państw sukcesyjnych. Państwa te obciążone były od urodzenia wielką ilością spornych granic i zagadnień narodowościowych, które w ramach suwerennych państw narodowych nie znajdują żadnego rozwiązania. Jeżeli obyło się w nich bez powstań, partyzantek i wojen cywilnych, zawdzięczać to być może należy uporczywej niechęci byłych poddanych austriackich do broni palnej. U niezadowolonych nadzieję na skuteczne układy zastąpiła nadzieja na nietrwałość samych państw sukcesyjnych.

Tradycje legalizmu opierały się zwycięsko późniejszym, najsmutniejszym nawet doświadczeniom. W 1924, w parę lat zaledwie po krwawych walkach polsko-ukraińskich, spotkałem w Galicji Wschodniej powiatowego komendanta tajnej organizacji zbrojnej ukraińskiej, który tak mniej więcej określił swe stanowisko:

— Nowe powstanie zbrojne zrobić jest łatwo. Jesteśmy dziś do tego lepiej przygotowani niż w 1918-1919, a materiału palnego w kraju nie brak. Sprawiedliwe wyrównanie stosunków ukraińsko-polskich nie da się jednak osiągnąć przez powstania,

lecz tylko w drodze układów. Posiadanie organizacji wojskowej jest więc jedynie kartą w ręku naszych negocjatorów.

W obrębie wpływów austriackich nawet członkowie nielegalnych organizacji zbrojnych zajmowali stanowisko legalistyczne.

Wpływ wychowania politycznego austriackiego mogłem ocenić także w Wiedniu, latem 1919. W Budapeszcie rządził wówczas Bela Kun, i Wiedeń był pełen uchodźców węgierskich. Leżącą koło Burgu Stiftskaserne zajmowała czerwona gwardia złożona z marynarzy. Spotykałem ich wciąż w śródmieściu, jadących na ciężarówkach, z niestrzyżonymi od dawna włosami i niedbale trzymanymi w ręku karabinami. Nikt się z nimi nie oglądał. Wojska rządowe otaczały miasto, tymczasowo niczyje. Czekałem koło miesiąca na wyjaśnienie się sytuacji, która nie wyjaśniała się wcale lecz trwała nadal. Toczyły się jakieś układy, życie płynęło dalej, mimo że w mieście nie było nic prawie do jedzenia. Na Ballhausplatzu trwało na posterunku kilku urzędników, w paru kawiarniach grały przybyłe z Węgier cygańskie orkiestry, giełda nawet była otwarta, trudno jednak było zorientować się w jej czynnościach z racji panującego tam stałe tumultu. Nocami nasłuchiwałem, czy gdzieś daleko nie rozlegnie się „pokaszliwanie Trockiego”, lecz przez cały ten czas nie słyszałem ani jednego wystrzału, bez czego w żadnym innym mieście nie obyłyby się w podobnej sytuacji. Wreszcie nadeszła wiadomość o upadku Beli Kuna na Węgrzech. Stało się jasne, że czerwoni marynarze zaczną teraz znosić do koszar cywilne ubrania, aby bez rozgłosu pożegnać miasto.

Nie wszyscy poddani byłej monarchii byli zadowoleni z funkcjonowania jej instytucji politycznych. Niektórzy mieli nawet do tego słuszne powody. Fakt jednak narodzin i rozpowszechnienia się na jej obszarze wiary w zbawienną siłę układów i kompromisów jest zjawiskiem zastanawiającym, odosobnionym. Trudno np. wyobrazić sobie nawrócenie się na taką wiarę sceptycznych ludów Europy Zachodniej. Rzecz taka wymagałaby długiego czasu i niezwyklego zbiegu sprzyjających okoliczności. Najtrudniej oczywiście byłoby nawrócić uczonych w piśmie i odczytanych w historii. Kto jednak wie, czy historia została dobrze odczytana i czy nie można jej odczytać inaczej? Znam wiele świetnych historii wojen, nie pamiętam natomiast ani jednej historii układów, mediacji i kompromisów, których też nie brakło w przeszłości, lecz których sztukę, w braku powszechnie znanych wzorów, każde pokolenie musi odkrywać na nowo.

### FESTIWAL MŁODZIEŻOWY

Przyjechałem do Wiednia w drugiej połowie lipca w zamiarze przejrzania w tamtejszej Bibliotece Narodowej rzadkich

dziś książek pisarzy austriackich XIX w., którzy pochodzeniem i tematyką związani byli z dalszymi krajami byłej monarchii, z Galicją Wschodnią, Bukowiną, Siedmiogrodem itd. Przeglądając pozołtkę, często mało czytelne kartki starego katalogu, przekonałem się, że książki te nie były systematycznie kompletowane, jak gdyby nikt dotąd nie interesował się tym działem literatury austriackiej. Pokolenia obecne zbyt oddaliły się od tamtych spraw i tamtych czasów. Przychodzi mi na myśl, że 18 sierpnia rb. upływa 50 lat od tragicznej śmierci Ludwika Gumpłowicza, długoletniego profesora uniwersytetu w Grazu, głośnego niegdyś socjologa z Krakowa, piszącego po niemiecku. Czy też w Grazu ktoś go sobie z okazji tej rocznicy przypomni?

Od spraw tych oderwał mnie Siódmy Festiwal Młodzieży, noszący obiecujący tytuł Festiwalu pokoju i przyjaźni. Jest to pierwszy festiwal tego rodzaju odbywający się po tej stronie linii demarkacyjnej.

Pierwsza wiadomość o festiwalu dotarła do wiedeńców w formie afiszów austriackich organizacji studenckich donoszących, że te ostatnie powstrzymają się od wszelkiego udziału w tej imprezie. Podobną decyzję powzięła prasa wiedeńska, która — wyjąwszy miejscową gazetę komunistyczną — przez cały czas trwania festiwalu nie podawała o nim żadnych wiadomości. Biura turystyczne i informacyjne nie umiały też nic o nim powiedzieć. Program festiwalu zdobyłem nie bez trudu po dłuższej wędrówce pieszej na koniec Prateru, gdzie znajdowało się własne biuro informacyjne festiwalu.

Ten spisak milczenia ma za sobą pewną tradycję. W początku XVIII w. Lord Bolingbroke pisał, że tzw. system europejski sięga tylko wschodniej granicy właściwej Austrii, i że to np. co się dzieje na Węgrzech nie ma dla tego systemu najmniejszego znaczenia (2). Koła miarodajne świata zachodniego są i dziś tego samego zdania. Gazety więc mogły stanąć na stanowisku, że *de minimis non curat praetor*.

Nie wiem czy wydawcy wiedeńskich dzienników kierowali się tak zasadniczymi przesłankami. W festiwalu młodzieży widzieli przede wszystkim inicjatywę sowiecką, niedawna okupacja zaś pozostawiła po sobie w Austrii niechęć i podejrzliwość w stosunku do wszystkich poczynań Kremla.

Można by jednak zauważyć, że w Wiedniu mieli się zjechać nie byli okupanci, ale co najwyżej ich synowie i córki, słowem młodzież, która nie zdążyła jeszcze zrobić nic złego i była na pewno bardzo ciekawa spotkania z nowym dla niej światem zachodnim. Ogromna większość przyjezdnych nie miała ze Związkiem Sowieckim nic wspólnego; pochodziła częściowo z krajów w pewnym sensie też przez Związek oku-

(2) W swej *Historii Europy od pokoju pirenejskiego do pokoju w Utrechcie*, książce będącej studnią mądrości na równi z Tukididesem i Machiavellim. Szkoda, że Węgrzy nie mieli jej przed sobą w 1956.

powanych lub z krajów azjatyckich i afrykańskich. Liczne grupy młodzieży przybyły wreszcie z Europy Zachodniej.

Młodzież ta, zwłaszcza przybyła z tamtej strony linii demarkacyjnej, nie zdradzała na ogół żadnego komunistycznego fanatyzmu. Można ją było łatwo oswoić, wtajemniczyć w arkana cywilizacji zachodniej, zachęcić do samodzielnego myślenia. Nikt jednak nie chciał się tego podjąć. O ile wiem, tylko Niemiecka Republika Federalna przysłała na festiwal grupę młodzieży niezależnej. Mam wrażenie, że młodzież uniwersytecka Europy Zachodniej nie jest wcale przygotowana do tego rodzaju spotkań i byłaby bardzo zakłopotana w dyskusjach. W tym być może leży główna przyczyna jej absentyzmu. Wielu studentów wyobraża sobie nadto, że ciąży na nich odpowiedzialność ministrów spotykających się z przedstawicielami Kremla, jakkolwiek spotkanie z kolegami z tamtej strony granicy, zwłaszcza w składzie w jakim przyjechali do Wiednia, byłoby czymś zupełnie innym, zarówno w swej istocie jak w bliższych i dalszych skutkach. Niewiele być może brakowało, aby festiwal stał się istotnie „festiwalem przyjaźni i pokoju” w sensie szerszym niż to zapowiadał jego tytuł oficjalny, do tego jednak młodzież z Zachodu nie okazała dosyć zmysłu proporcji i humoru.

Z krajów leżących po tej stronie linii demarkacyjnej przybyły natomiast liczne grupy młodzieży komunistycznej czy komunistycznej, z których najliczniejsza zdawała się być grupa włoska. W braku innych ochotników mentorami i przewodnikami przybyłych zostali miejscowi komuniści oraz ich koledzy francuscy, niemieccy, włoscy itd. Nie wiem czy byli to dobrzy przewodnicy, i czy goście ze Wschodu byli z nich zadowoleni; obawiam się, że nie dowiedzieli się od nich nic, częgo przedtem już nie czytali w swych urzędowych gazetach. Największe niebezpieczeństwo, jakiego sowieccy inicjatorzy festiwalu mogli obawiać się dla swej młodzieży, zostało w ten sposób zażegnane.

Nie sprawdziły się również obawy tych, którzy widzieli w festiwalu niebezpieczne narzędzie propagandy komunistycznej. Obawy te polegały zresztą na nieporozumieniu. Partie komunistyczne Europy Zachodniej liczą miliony członków, posiadają własne organizacje młodzieżowe i gdyby uważały festiwale za użyteczne mogłyby je organizować same nawet co kwartał. Widocznie jednak nie spodziewają się wiele po tego rodzaju manifestacjach. Przepuszczam nawet, że obserwatorzy tych partii w Wiedniu patrzyli na przybyłą zza kordonu młodzież nieufnie i podejrzliwie.

## NA STADIONIE

Pierwszego dnia festiwalu przybyła nań młodzież przedstawiła się publiczności wiedeńskiej na Stadionie. Defilada grup

narodowych, ubranych przeważnie w stroje ludowe, trwała przeszło trzy godziny. Brało w niej udział, jak mówiono, około 11.000 osób. Ogólną liczbę uczestników festiwalu szacowano na około, w braku innych danych, na dwanaście do siedemnastu tysięcy.

Stadion wiedeński ze znanych mi jest bodaj największy, ale — tego dnia przynajmniej — brakło mu dobrej komunikacji z miastem. Od ostatniego przystanku tramwajowego trzeba było doń iść godzinę pieszo przez cały Prater w nieznośnym upale. Mimo tych przeszkód cały niemal Stadion był wypełniony publicznością.

Idąc aleją wzdłuż Messe-Gelände czyli budynków wystawowych, trafiłem tam na koniec ustawionego już w porządku alfabetycznym pochodu. Ostatnia stała grupa rosyjska, w której dla skrócenia czasu zabawiano się tańcami. W odróżnieniu od innych grup Rosjanie nie nosili strojów ludowych ani sportowych. Mężczyźni mieli jednakowe ubrania marynarkowe z lekkiego granatowego materiału. Była to już młodzież starsza, licząca około 30 lat. W tym wieku młodość opuszcza Rosjan ostatecznie; zaczynają tyć, cenić wygodę i pieniądze. W zachowaniu się ich pojawia się jakiś nieuchwytny odcień lekceważąco-ironiczno-protekcjonalny, jaki na Zachodzie przychodzi dopiero z posiadaniem pierwszego większego pakietu akcji. Patrząc na ich pykniczne sylwetki i zimne oczy, widzę, że ten rys Rosjan — wczesne ostygnięcie młodości — nie uległ po rewolucji żadnej zmianie. I oni też przyglądają mi się przez chwilę. Okazuje się, że noszą takie same jak oni ubranie, niemal identyczne w kroju i barwie. Okoliczność ta nie daje jednak okazji do żadnych uwag czy żartów.

Grupa tej starszej młodzieży otacza parę tańczącą w strojach ludowych. Aby tańczyć dla własnej przyjemności w takim upale, trzeba mieć wielką siłę przekonania. Tańczący nie są przy tym młodzi. Kobieta może mieć około czterdziestki. Ściekający pot żłobi brózdę na jej bladej twarzy. Głęboko wpadłe oczy są nieprzytomne. Przebiega mi przez myśl słowo *isstuplonnaja*. W scenie tej jest coś z *Le Sacre du printemps*. Starsi młodzieńcy w granatowych ubraniach przyglądają się jej chłodno, z rezerwą, nie biorąc w niej udziału nawet w formie tzw. efektu Carpentera.

Dalej widzę „sowieckich ludzi” młodszych roczników. Jeszcze dalej stoi grupa polska, ożywiona, rozmowna. Młodzież z Europy Wschodniej poznać można z daleka. Mimo dzielących ją różnic posiada pewien rys wspólny, obcy młodzieży Zachodu. Młodość cieleca nie trwa długo w Europie Wschodniej, i pochodzący stamtąd studenci robią wrażenie ludzi znających już życie od strony zagadnień trudnych i zabaw zastrzeżonych dla dorosłych. Wyglądają też na starszych od swych zachodnich kolegów. Nawet lekkomyślność jednych i drugich jest różna, bo jest lekkomyślność tańczących rumbę i lekkomyślność grających w pokera. W moich studenckich czasach różnica ta była

być może jeszcze wyraźniejsza, ale dostrzegam ją też u uczestników festiwalu.

Zbliżając się do czoła pochodu mijam mniejsze grupy azjatyckie i afrykańskie. W porównaniu z białymi ludźmi kolorowi wydają się lepiej wychowani i robią na ogół najlepsze wrażenie.

Defilada na stadionie odbywa się w ten sposób, że grupy, poprzedzone transparentami z nazwą kraju, wchodzą kolejno na olbrzymią arenę, obchodzą ją kołem i znikają w szerokich wrotach. Mijają stroje ludowe kilku kontynentów. Najbardziej malownicze są grupy azjatyckie. Koreańscy w olśniewająco barwnych strojach powiewają błyszczącymi wstążkami; grupa chińska wygląda tak, jak gdyby występ jej wyreżyserowany był przez artystów Opery Pekińskiej. Lecz i grupa włoska włożyła w swój występ wiele pomysłowości; poprzedzają ją ukostiumowane postacie z *commedia dell'arte*. Są jednak także grupy defilujące po prostu w cywilnych ubraniach, jak na 1-go maja. Mam wrażenie, że tłumne manifestacje tego rodzaju nie znalazły dotąd swego reżysera i oscylują między music-hallem i procesją.

Przy pojawieniu się każdej nowej grupy z ławek poniżej mnie podnoszą się krzyki: *Freundschaft! Friede!* Słowa te wymawiane są takim tonem, jakim woła się: „Huzia! Bierz go!” Są to miejscowi komuniści.

Grupa sowiecka ukazując się we wrotach dopiero po upływie dwóch godzin. Jednocześnie w otaczającym stadion parku rozlega się huk podobny do wystrzałów armatnich. Są to rakietki, z których spada na stadion deszcz kolorowych gwiazd. Z innych spadają spadochrony z transparentami. „Sputnik! Sputnik!” wołają z ławek komunistów. Kanonada trwa kilka minut, i cały Prater zasnuwa się dymem.

## IMPREZY FESTIWALOWE

Festiwal jest tak wielkim przedsięwzięciem, że nie podobna zapoznać się z wszystkimi jego imprezami. Manifestacje artystyczne stanowią 9/10 programu wypełniającego małą książeczkę. Na każdy dzień przypada ich po dwadzieścia i więcej. Można w nich odróżnić kilka działów.

Do pierwszego należą manifestacje artystyczne luźno tylko wiążące się z festiwalem młodzieży. Są to występy Baletu Leningradzkiego, Opery Pekińskiej, paryskiego Ballet Roland Petit oraz koncerty orkiestr symfonicznych z Moskwy, Belgradu i Sofii.

Na drugi, najliczniejszy, składają się występy ludowych zespołów tanecznych i śpiewaczych o różnym poziomie, od „Mazowsza” do skromnych grup amatorów. Festiwal pozwala zapoznać się z folklorem kilkudziesięciu krajów, od Afryki do

Finlandii i od Argentyny do Mongolii. Tylko Rosja nie wzięła udziału w tym kiermaszu.

Występy te odbywały się każdego dnia w dwóch teatrach śródmieścia, u Ronachera i w Raimundtheater, w kilkunastu większych i mniejszych salach, na scenach pod otwartym niebem i w innych pomieszczeniach.

Kilka kinematografów wyświetlało każdego dnia filmy przywiezione przez uczestników festiwalu. W ramach tego ostatniego odbywał się jednocześnie konkurs zespołów chóralskich i młodych wirtuozów.

Wystawa obrazów przywiezionych z krajów uczestniczących w festiwalu zajmowała część ogromnego Messepalastu.

Każdego dnia odbywały się nadto zebrania dyskusyjne poświęcone różnym tematom jak zagadnienia literatury współczesnej, organizacji studenckich, krajów kolonialnych itd. oraz spotkania grup zawodowych, młodych kolejarzy, elektrotechników, spółdzielców itd. Dyskutowano, o ile wiem, bardzo ostrożnie. W dyskusji o zagadnieniach literatury współczesnej np. nikt nie wymówił słowa „realizm socjalistyczny”. Program uzupełniały wreszcie zawody sportowe.

Bogactwo programu zmuszało uczestników i widzów postronnych do wyboru, utrudnionego przez złą organizację festiwalu. Biura koncertowe w mieście nie sprzedawały biletów na imprezy festiwalowe; trzeba było chodzić po nie aż na Prater, aby tam dowiedzieć się, że na ciekawsze występy biletów już nie ma. W rezultacie widziałem zaledwie połowę interesujących mnie widowisk.

## BALET LENINGRADZKI

Stare malarstwo weneckie nazywano by nadal weneckim, nawet gdyby dawne miasto dożów przezwano Togliattigradem. Dla tych samych powodów Balet Leningradzki należałoby nazywać petersburskim, tak wyraźnie jest tworem czasów, gdy obecny Leningrad nosił nazwę Sankt-Peterburga.

W białych perukach tancerzy, w ich dyscyplinie, w ezo-terycznej konwencji baletu, odległej zarówno od naszych jak od mikołajowskich czasów, poznajemy bez wahania świetnie zachowany, rzadki egzemplarz sztuki dworskiej z czasów absolutyzmu. Posłuszny swym prawom wewnętrznym, Balet Petersburski wydaje się niezależny zarówno od gustów i pojęć pospółstwa jak od kryteriów utylitarnych. Trudno znaleźć rodzaj sztuki równie jaskrawo przeciwstawiający się postulatowi socjalistycznego realizmu.

Dla jakich motywów monarchowie absolutni popierali taką właśnie sztukę? Podręczniki nie dają na to gotowej odpowiedzi. Sztuka dworska znikła na Zachodzie już dawno. Nasi najlepsi historycy sztuki są, jak my wszyscy, wychowani w

tradycjach republikańskich i nie są tu przewodnikami niezawodnymi. Musimy więc odwołać się do świadectw współczesnych.

Uboczne światło rzuca na tę sprawę okoliczność, że Machiavelli, rozważając wszystkie środki, jakimi rozporządza jego samowładny *Książę*, pomija popieranie sztuki całkowitym milczeniem. Rzecz w tym, że tyran Machiavellego opiera swą władzę tylko na przewadze swej inteligencji i swego charakteru, nie licząc na żadne imponderabilia. Inna jest sytuacja panującego *Dei gratia*, na mocy szczególnego powołania czy wyróżnienia, otrzymanego jako dar (*to charisma*) bogów. Już ten szczegół wskazuje na pewne koleżeństwo monarchy z artystami, których talent również uważano powszechnie za dar bogów.

Czy monarchom chodziło o zaprzęgnięcie do swego rydwanu i podporządkowanie sobie także wybrańców muz? Byłby to wniosek prędko i mylny. Monarsze absolutnemu posłuszni byli wszyscy, i podporządkowanie artystów nie stanowiło żadnego odrębnego zagadnienia. Co by mu zresztą przyszło z sztuki służebnej, gdy wszyscy dokoła prześcigali się w ofiarowywaniu usług? Świat sztuki obiecywał mu inne, istotniejsze korzyści.

Najważniejszym i najtrudniejszym zarazem zadaniem władcy jest uzyskanie od poddanych uznania jego szczególnego posłannictwa. Błogosławieństwa kapłanów nie wystarczają. Władca nowy wyszedł z szeregów, i trudno uwierzyć w jego nadprzyrodzone kwalifikacje. Władca dziedziczny ma legalnych, również pomazanych spadkobierców, mogących budzić różne nadzieje. Obaj muszą więc szukać jakiegoś znaku niebia potwierdzającego wyjątkowość i skuteczność ich posłannictwa. Jeżeli zbudują drogi i mosty, zostawią po sobie dzieło ufundowane z danin i wykonane przez inżynierów i robotników. Zwycięstwa ich będą okupione krwią poległych.

Skuteczne popieranie sztuk nie budzi takich poziomych wątpliwości. Wyniosłość i majestatyczność pałaców, niepowtarzalny urok wiszących w nich obrazów i stojących przed nimi pomników nie dadzą się wytłumaczyć ilością inwestowanych w nie dukatów. Są to znaki szczególne, podobne do ukazania się orła nad głową króla lub do dalekiego echa piorunu, którym Jowisz potwierdza wypowiedziane właśnie przez władcę słowa.

Dla utrzymania tego efektu monarchowie nie szczędzili środków, sprowadzali z daleka sławnych artystów i przy okazji podnosili im spadły na ziemię pędzel. Taka interpretacja dzieł sztuki wymaga oczywiście uznania szczególnego posłannictwa geniuszów, sumującego się z posłannictwem monarchów. Sztuka ezoteryczna, frapująca formą lecz nie ujawniająca swych arkanów, nadaje się najlepiej do takich interpretacji.

Wzorem naśladowanym przez późniejszych władców był cesarz August, który w relacji Suetoniusza był ohydny tyranem, w pamięci zaś ludów zachował się jako patron złotego wieku literatury. Za jego też panowania skryształizowały się

dwa sprzeczne pojęcia o potędze społecznej literatury i o odrębności jej powołania.

Naszkiwowane tu związki monarchii z sztuką stają się jasne, gdy spojrzymy na genezę pałaców królewskich od Neapolu do Petersburga lub na historię *privilège du roi*, przy pomocy którego królowie francuscy bronili literatury od cenzury parlamentu.

Siedząc w pierwszych rzędach Teatru Ronachera przyglądam się uważnie tancerzom. Wydają mi się młodzi, nie tyle być może wiekiem ile siłą przekonania, z jakim służą swej surowej dyscyplinie. Sztuka wymagająca, niezależna od sądów pospółstwa, pociągała za wszystkich czasów najlepszą część młodzieży artystycznej. Tak zapewne jest i w Leningradzie.

W jaki sposób Balet Leningradzki, poddający tyle źródłowych myśli, ostał się reglamentacji politycznej, która zniwelowała literaturę a nawet sztuki plastyczne i muzykę? Czy nie będąc artykułem masowego spożycia budził mniej wątpliwości? Czy zachowany został jako wzór dyscypliny? Czy nowi władcy wzięli go pod opiekę dla tych samych powodów, dla których stworzyli go władcy poprzedniego okresu? Czy wreszcie zachował się jedynie jako wyraz sprzeczności wewnętrznych, istniejących w świecie sztuki od czasów Augusta?

Usiłuję wyobrazić sobie, co myślą o swym balecie widzowie leningradcy. Niezależność jego od doktryny oficjalnej nie może uchodzić ich uwagi. Patrząc na białe peruki myślą zapewne, że sztuka ma inne terminy niż władze i doktryny polityczne. Refleksje takie nie są zapewne obce uczestnikom wiedeńskiego festiwalu.

## OPERA CHIŃSKA

Operę Pekijską widzę już po raz trzeci i chętnie widziałbym ją jeszcze wiele razy. Wszyscy pamiętają jej niespodziane pojawienie się przed kilku laty i triumfalny pochód przez całą Europę. Jaką część swego powodzenia na Zachodzie Opera Pekijska zawdzięcza Mao Tse-tungowi? Czy byłaby równie podziwiana, przyjeżdżając na występy gościnne przed 30 lub 40 laty, czy też zaliczono by ją tylko do ciekawych przejawów chińskiego folkloru?

Różne sceptyczne pytania przychodzą mi na myśl, kiedy przypominam sobie, z jakim uporem pierwsza Republika Chińska szukała przed 40 laty zbliżenia kulturalnego z krajami Zachodu. Chiny przysłały do Europy tysiące stypendystów i różnymi drogami usiłowały zainteresować Europejczyków swą cywilizacją. Próby te spełzyły na niczym. Przez długie lata chińska biblioteka stała w Genewie nad brzegiem jeziora, nie odwiedzana przez nikogo. Można by zauważyć, że Genewa

nie była być może najlepszym miejscem dla tej biblioteki, brak zainteresowania cywilizacją Dalekiego Wschodu nie był jednak lokalnym zjawiskiem genewskim. W tymże czasie zmarł w Paryżu na ostrą anemię ośrodek studiów orientalistycznych przy Musée Guimet. Publikacje jego przestały wychodzić; książek wyczerpanych nie przedrukowywano, nie licząc widocznie, aby mogły znaleźć nabywców. Nie pierwszy to raz generałowie bombardujący wyspy i zagrażający pokojowi świata budzą szczerą podziw dla literatury i sztuki swego kraju.

Opera Pekinśka otwiera przed widzami czarowny świat legend i baśni, przedstawiony niezwykłymi środkami, dla których opracowania trzeba było wielu pokoleń aktorów, mimów, zonglerów i akrobatów. Cały ten irrealny świat ma zapewne tyle samo wspólnego z Chinami obecnymi co Balet Leningradzki z dzisiejszą rzeczywistością sowiecką. Bo czyżby Mao Tse-tung i jego towarzysze ulegali złudzeniu, że ich plany, dzięki posiadaniu autentycznej doktryny Karola Marksa, spełnią się z taką samą bajeczną prostotą, z jaką spełniły się, dzięki posiadaniu czarowanej perły, marzenia nimfy rzeki Si, pragnącej, mimo oporu potęg nieba, poślubić młodego uczonego imieniem Baj Jun?

Czytając uważnie program, można dostrzec w nim pewne wtręty i interpolacje z ostatnich lat, nie zmienia to jednak wrażenia, jakie wywiera całość. Obalająca wszystko fala totalnej rewolucji zatrzymała się u progu świata czarów.

### MAZOWSZE

Ze wszystkich imprez festiwalowych „Mazowsze” cieszyło się największym powodzeniem. Bilety na jego przedstawienia były od razu wyprzedane. U wejścia na salę panował nieopisany tłok. „Mazowsze” zmobilizowało w Wiedniu wszystkich widzów mających z Polską jakieś związki osobiste: polskie żony wiedeńczyków, ludzi starszych, którzy urodzili się lub mieszkali w Galicji przed rozpadnięciem się monarchii, ich dzieci znające Polskę z opowiadań rodziców itd. Rozmowy o „Mazowszu” słyszałem w tramwajach i na ulicy. Cała diaspora polska, nieuchwytna w dniu powszednie, ukazała się na powierzchni miasta.

Zespół „Mazowsza” widziałem już gdzie indziej, występujący przed publicznością nie mającą żadnych wspomnień z Polski i stykającą się po raz pierwszy z polskim żywiołem. Entuzjazm widzów, którzy nigdy dotąd nie widzieli haftowanej koszuli i pasiastych spodni, był równie wielki. W jaki sposób „Mazowsze” trafiło do wyobraźni widzów, którzy po najbardziej wyczerpujących objaśnieniach nie zrozumieliby nic z „Wesela”?

Zespół z Karolina był dla nich przede wszystkim czymś nowym. Folklor w Europie Zachodniej jest dziś już tylko bardzo wątpliwą rośliną. W krajach górskich kobiety ubierają

się jeszcze w pewne dni w kostiumy prababek, ale nie pamiętają towarzyszących niegdyś tym świętom pieśni i tańców. *Les catherinettes*, ukazujące się na ulicach Paryża 25 listopada, są jedną z rzadkich pozostałości folkloru, będącego dziś raczej przedmiotem studiów, obiektem muzealnym. Zrozumienie przedmiotów zamkniętych w gablotkach muzeów i słuchanie nagranych na płyty pieśni wymagają wysiłku wyobraźni, nie obiecując rozrywki i zabawy. Występy „Mazowsza” są czymś zupełnie innym. Muzyka, śpiew, taniec i stroje ludowe są w nich zespolone organicznie, obchodzą się bez komentarzy, mówią same za siebie i nie żądają od widza żadnego wysiłku.

Istnieje na Zachodzie kategoria osób, które, korzystając z dobrodziejstw obecnej prosperity, odczuwają pewne zażenowanie, gdy myślą o mieszkańcach krajów poddanych surowym eksperymentom społecznym. U tych widok zespołu „Mazowsza” wywołuje uczucie komfortu moralnego. W krajach, gdzie lud umie się tak bawić — mówią sobie — nie może być zupełnie źle.

„Mazowsze” korzysta wreszcie ze słabości, jaką publiczność ma dla urodzonych pod szczęśliwą gwiazdą, wychodzących bez szwanku z najgorszych przwóg, naznaczonych przez Fortunę i wygrywających na loteriach. „Mazowsze” jest zaś niewątpliwie dzieckiem szczęścia. Nawet najmniej wtajemniczeni domyślają się, że na powstanie tego zespołu musiały się złożyć wyjątkowo pomyślne okoliczności.

Epoka kołchozów i agrogorodów, zrównując ludność wiejską z robotnikami fabrycznymi, powinna była według wszelkich rozsądnych przewidywań położyć koniec samodzielnej twórczości artystycznej i zdobniczej ludu. Coś podobnego widziano w czasach pańszczyźnianych, kiedy kobiety przestały haftować koszule. Niepomyślne wróżby dla folkloru polskiego można było wyciągać też z zasadniczej sprzeczności, istniejącej między racjonalizmem planowań społecznych i gospodarczych a zachowaną w obyczajach i twórczości ludu wizją Baroku z jego rozrzutnością zabaw, haftów, koronek i piór. Nad kołyską „Mazowsza” czuwało jednak kilka dobrych wróżek.

Pierwszą, przechodzącą lekko nad wszystkimi sprzecznościami wewnętrznymi rewolucji społecznej, była wróżka z wąsami, „narodowa w formie i socjalistyczna w treści”. Bez tej formuły zajmowanie się folklorem byłoby zapewne w tych surowych czasach nie do pomyślenia.

Najważniejszą jednak z tych dobrych wróżek był Tadeusz Sygietyński, którego spotykałem kilka razy przed wojną. Obaj zajęci byliśmy wówczas czym innym, ale rozmowy nasze schodziły zawsze na muzykę ludową, której Sygietyński był niezrównanym znawcą. Sposób, w jaki ją rozumiał i o niej mówił, miał dla mnie niewypowiedziany urok. Ojciec jego, Antoni Sygietyński, był znanym w końcu ub. stulecia krytykiem, autorem studiów o naturalistach francuskich, o braciach Gierymskich itd. Przez niego zapewne Tadeusz odziedziczył po natu-



ralistach talent artystycznej obserwacji szczegółów, myślenia o nich tak długo aż zaczynały lśnić i promieniować. Znał sens i miejsce każdego motywu w życiu wsi, wiedział jakim czynnościami, obrzędami i zabawami motyw ten tradycyjnie towarzyszył. Nikt być może nie widział równie jasno możliwości i granic autentycznej muzyki ludowej i, jako projektodawca, nie umiał sobie równie trafnie wyobrazić ram i warunków, w których muzyka ta mogła swoją autentyczność zachować.

W jego rękach „Mazowsze” stało się także eksperymentem społecznym, szczęśliwą próbą stworzenia trwałego i rozwijającego się zespołu artystycznego z młodzieży mającej za sobą tylko tradycję swojej wsi. Patrzącego uderza szlachetność postaw i gestów tej młodzieży. Dla znających folklor nie ma w tym nic nieoczekiwanego. Młodzieży wiejskiej, zwłaszcza umiejaczej śpiewać i tańczyć, nie brakło dobrych manier i wychowania. Szkołą jej były obrzędy, do których przygotowywano się co roku, tworząc grupy śpiewacze i taneczne. Sygietyński sięgnął do niezmiernych rezerw, ukrytych w polskiej ludności wiejskiej.

Od genialnego pomysłu do realizacji scenicznej droga jest piekielnie daleka. Niejeden z idących nią zgubił po drodze jedną połowę duszy, zastawił drugą i do mety doszedł inny niż był, do siebie samego niepodobny. Między pomysłem Sygietyńskiego a burzą oklasków witających „Mazowsze” młody zespół przejść musiał ciężkie próby. W tym miejscu spotkał inną wróżkę, Mirę Sygietyńską-Zimińską, znającą na wylot wszystkie rodzaje widowisk i publiczności i mającą niezawodne wycucie tego, co może a czego nie może być na scenie. W szarym zmroku, kurzu i chłodzie, jakie panują na scenie przed podniesieniem kurtyny, niejeden chłopiec wiejski i niejedna dziewczyna mogłoby stracić animusz, gdyby nie życzliwa obecność kogoś, kto jest u siebie w domu na tym rozdrożu między rzeczywistością i złudzeniem.

### MALARSTWO NA FESTIWALU

Zorganizowana w ramach festiwalu wystawa obrazów, na którą złożyły się głównie ekspozyty przywiezione z tamtej strony linii demarkacyjnej, jest jedną z najciekawszych imprez festiwalowych. Obrazy wywołują dyskusje żywsze niż by się tego można spodziewać. Podczas festiwalu słyszałem jedną tylko rozmowę, której uczestnicy gorączkowali się i podnosili głos. Była to dyskusja przed obrazami polskimi, tocząca się między zwolennikami i przeciwnikami socjalistycznego realizmu. Gorączkował się i tracił cierpliwość młody doktryner, czując widocznie, że objaśnienia i komentarze niewiele znaczą w porównaniu z wrażeniem, jakie wywiera na przyjezdnych oglądanie sztuki nowej, innej.

Malarstwo bloku wschodniego nie posiada żadnej jednolitości, jest wachlarzem o ogromnym rozpięciu. Na obszarze wpływów sowieckich, między Weimarem i Władystokiem, odróżnić można kilka zon malarskich. Obrazy przywiezione z Polski, a także z Czech, są uderzająco zachodnie. Wszystkie obecne prądy i manieryzmy, do abstrakcjonizmu włącznie, znajdują w nich swój wyraz. Obrazy takie można zobaczyć wszędzie w Europie Zachodniej, na każdej prowincjonalnej wystawie malarzy żyjących.

Dalej na wschód nowe prądy przenikają z widocznym opóźnieniem. Obrazy przywiezione np. z Mongolii Zewnętrznej nie mają w sobie, poza realiami krajobrazu, nic mongolskiego i mogłyby być namalowane w Düsseldorfie przed 30 laty.

Jedynym zwartym blokiem, nietkniętym przez żadne wpływy obce, są obrazy przywiezione z Moskwy i Leningradu. Przyglądam się im uważnie, widząc po raz pierwszy zbiór płócien mających, jak można sądzić, reprezentować szkołę socjalistyczno-realistyczną. Obok nazwisk autorów figurują ich daty i miejsca urodzenia. Z danych tych wynika, że wystawiający artyści są młodzi, mają 30-35 lat.

Patrząc na ich obrazy odnoszę wrażenie, że już je gdzieś widziałem. Po chwili nie mam żadnej wątpliwości: widziałem je w Tretiakowskiej Gallerii, gdzie zebrane były obrazy *przedwizników* z drugiej połowy XIX wieku (3).

Obrazy te były faszzerowane literaturą. Część ich miała budzić w patrzających uczucie zwane *graždanskaja skorb'*, tj. smutku, goryczy obywatelskiej. Tak więc np. *Pogrzeb W.G. Perowa* przedstawia sosnową trumnę na saniach ciągnionych przez znużonego konia pod niskim, chmurnym niebem; na saniach siedzą, zawinięci w kożuchy, dwaj mężczyźni i kobieta. Wszyscy czytelnicy Niekrasowa i Czernyszewskiego wiedzieli, dlaczego ten samotny i ubogi pogrzeb jest tak ponury: były to ostatnie lata pańszczyzny. Inny obraz tegoż artysty nosił nazwę *Ostatniej karczmy przed rogatką* i wyobrażał dwoje sań stojących na brudnym śniegu przed posępną karczmą „Rozstanie”; na jednych z nich siedziała, czekając na męża, zawinięta w chustkę kobieta. Wszystkim wtajemniczonym w arkaną ówczesnej literatury obraz ten mówił, że życie w Rosji jest beznadziejne, i że bez wódki byłoby nie do zniesienia. Nawet najlepszy portrecista grupy, Iwan Nikołajewicz Kramskoj, jest pełen społecznych aluzji. Jego *Portret nieznanym* przedstawia młodą kobietę w dorożce, na tle zimowego, mglistego Petersburga. Twarz jej wyraża wzburzenie i pogardę. Według przyjętej wówczas konwencji wszyscy wiedzieli, że uczucia te nie odnoszą się do niewiernego kochanka, lecz do zniechęconego ustroju carskiej Rosji.

(3) W przewodniku po Moskwie z 1954 czytam, że muzeum te zostało znacznie rozbudowane i zawiera obecnie obrazy różnych szkół i czasów.

Inne obrazy *pieredwiżników* przedstawiają różne przykłady nierówności społecznej. W grupie tej widzimy takie obrazy jak *Śniadanie delegatów do ziemstwa* G.G. Miasojedowa, gdzie chłopci jedzą na przyźbie przyniesiony w zawiniątkach chleb, przez okno zaś widać baterię butelek i kucharza, przygotowującego obiad dla zasiadających w samorządzie jaśniepanów; jak *Burlaków* Ilji Jefimowicza Riepina, zaprzężonych w szleję jak konie i ciągnących, po kolana w lodowatej wodzie, ciężki statek itd.

Osobną grupę stanowiły w Tretiakowskiej Gallerii obrazy historyczne, przedstawiające patetyczne sceny z przeszłości Rosji: rozmowę Piotra Wielkiego z synem (N.N. Ge), egzekucję *strielców* (W.I. Surikowa), Iwana Groźnego z trupem syna (I.J. Riepina), naradę wojenną pod Moskwą w 1812 (A.D. Kiwszenki) itd. Niektóre obrazy sugerują ideę energii i dumy narodowej, jak *Bogatyri* A.M. Wsniecowa i *Parlamentarze* („Podajcie się!” „Idźcie do diabła!”) W.W. Wereszczagina. Pejzaże A.I. Kuindzi czy I.I. Lewitana przedstawiają zawsze krajobraz rosyjski z jej chudymi brzoźkami i błotnistymi traktami na niezmierzonej równinie.

Cała ta tematyka społeczna i narodowa była czymś nowym w Rosji przed stu laty, kiedy bardziej akademicy artyści malowali sceny mitologiczne i pejzaże z Sorrento. Od tego czasu minęło jednak kilka pokoleń.

Obrazy tego rodzaju malowano także na Zachodzie. *Wolność prowadząca lud* Delacroix może uchodzić za ich wzór. Nawiasem mówiąc, okropny to obraz i okropna literatura, bo jaki sens ma wolność prowadząca garstkę żywych przez zwąły trupów? Porównanie między tym obrazem Delacroix i *pieredwiżnikami* wywołuje w pamięci refleksje doktora Żiwago (IV, 12) na temat teatralności, która jest właściwa ludziom Zachodu i której brak Rosjanom. Dzięki tej „teatralności” wszakże obrazy Delacroix mówią same za siebie, obchodzą się bez komentarzy, gdy aluzje literackie *pieredwiżników* nie są być może przejrzyste dla widzów nie mających w pamięci Niekrasowa.

Wystawione w Wiedniu obrazy obecnej szkoły moskiewskiej są bardzo bliskim naśladownictwem *pieredwiżników*. Nawet ciemna szarzyzna barw jest tu ta sama, jak gdyby impresjoniści i fauwiści nigdy nie istnieli. Ten sam jest też ciężki ładunek literatury.

Wzrok patrzącego na nie zatrzymuje się od razu na wielkim płótnie Lekaniuka (ur. w Kijowie w 1929) noszącym tytuł: *Pierwsza komsomolska jacejka we wsi*. Na jego pierwszym planie stoją trzy ogromne postacie komsomolców, dwóch chłopców i dziewczyna, przywartych do siebie jak gdyby w poczuciu niebezpieczeństwa i oglądających się na rozproszone na drugim planie grupy młodzieży. Komsomolcy czują się jeszcze niepewnie, ale twarze ich mają już dumny, ironiczny, nieco drwiący wyraz wtajemniczonych, posiadających prawdę.

Rodzaj historyczno-narodowy reprezentuje najlepiej *Na front* Kotlarowa (ur. w Moskwie w 1925), przedstawiający naładowane sprzętem wojennym wagony, na których tłoczą się zwinęci w szynle żołnierze. Na ścianach wagonów widnieją napisy: *Wsia włast' sowietam*; rzecz więc dzieje się w 1918. Patetycznych scen z niedawnej przeszłości malarze nie mogą widocznie traktować równie swobodnie jak *pieredwiżniki*.

Nawet obrazy nie zawierające żadnych bezpośrednich aluzji literackich opatrzone są znaczącymi legendami. Tak więc np. płótno przedstawiające wycinek Petersburga z marszczącą się od wiatru Newą nosi tytuł: *Październikowy wiatr*. Ubogo ubrana dziewczyna na innym obrazie nazywa się nie Katia lub Dunia, lecz *Komsomolka*.

Szkoła moskiewska, uprawiająca przez sto lat ten sam rodzaj tymi samymi środkami, jest chyba najkonserwatywniejszą szkołą na świecie. Nie wiem jednak, czy obrazy jej mogą dziś spełnić swe zadanie społeczne równie skutecznie jak w czasach *pieredwiżników*. Ciemne, posępne płótna tych ostatnich służyły opozycji, miały budzić u widzów gorycz i oburzenie. Czy równie ciemne i posępne obecnych malarzy sowieckich mogą służyć celom reżymu, który zwyciężył i dąży do stabilizacji?

## GRINZING

Jedźmy teraz do Grinzingu na *Heurigera*. Na stoku wzgórze stoją tam stare, żółto-pomarańczowe domy, z których każdy zaprasza na młode wino. Nie wiem, co mówią archeolodzy, i czy tam znajdował się niegdyś *campus orgius*, miejsce poświęcone Bachusowi. Miejsce to posiada w każdym razie ogromne tradycje, bo nad każdymi drzwiami widnieją wiecha lub wianek, które w dawnej Vindobonie zwykły były zapraszać przechodnia de tawerny. Uliczki są jasno oświetlone, pełne zaparkowanych wozów i publiczności, przeważnie młodej, w odświeżonym nastroju. Tawerny zewnątrz i wewnątrz są świeżo pobielone; w izbach stoją proste stoły i ławki. Powoli schodzą się goście wszystkich stanów, przybywający grupami, często rodzinami. Tylko w jednej tawernie widzę przygotowania do tańców. Inne ofiarowują jedynie *Heurigera*, to jest wino nie mające jeszcze dwunastu miesięcy wieku. Trunek ten jest lekki, zbyt kwaśny, aby można go było wypić wiele. Uderza brak gotowych rozrywek. Humor i zabawę goście muszą przynieść sami. Rozmowy ożywiają się coraz bardziej, wreszcie cały Grinzing tonie w wesołym rozgwarze.

Paweł HOSTOWIEC

## Fragmenty z dziennika

### Sobota

Okolo dziewiątej zbudził mnie dzwonek — natarczywy — w drzwiach ktoś niski w wielkim kapeluszu — i cicho, zaledwie było słycać, pytał o agenta sprzedaży terenów, Delgado. — Nie, tu nie mieszka! — Zatrzasnąłem drzwi. Koniec. Punkt. Kropka.

I już nie zasnąłem, a tylko nastawiłem płytę z czternastym kwartetem — beethovenowskim. Bach? Nie, Bach nie... Bacha właściwie nie lubię... oni, nowoczesna muzyka, kiedyś dostrzegą przez swoje binokle, że Bach nie był drogowskazem należytym i doprowadził ich do plajty. Uwielbiacie go, bo stać was jedynie na matematykę, kosmos i czystość — o, dręczy i męczy ta blada, astronomiczna wasza twarz! Twarz maniaka! Dośćpujcie niebios, ale zgubiliście ziemię — eunuchy! Zakochani w Abstrakcji, zapomnieliście że śpiew służył do oczarowania samiczki, i już nic nie wydobędzie was z waszej Muzyki jako takiej, której oddaliście się w braku czegoś innego. Koniec. Kropka. Co do Beethovena, to i mnie przejadły się te symfonie, orkiestra jego nie potrafi mnie na dobre wciągnąć i osaczyć — ale kwartety ostatniego okresu, gdzie dźwięk jest trudny, te brzmienia już pograniczne i nawet przekraczające granicę... O, czternasty kwartecie!

Jeśli z takim cię słucham poruszeniem, to chyba, że obfitujesz tyleż w zmysłowe rozlubowanie się formą, ile w gwałt, teje formy zadawany w imię... chciałem powiedzieć w imię Ducha, ale powiem w imię twórcy. Gdy bowiem, szczyście i korono kwartetów, twoje cztery instrumenty co chwila, rozśpiewane swymi zespoleniami, sięgają po najbardziej upajające harmonie i wiją się w lubieżnych modulacjach, to jednak, co chwila też, dłoń surowa a nawet brutalna i oschła gwałci ową rozkosz i zmusza was do przeraźliwych ostrości, nagłych sko-

ków, oraz do twardej oszczędności wyrazu, wytężonego w strefę metafizyki, ascetycznego, rozpiętego między najwyższymi, a najniższymi rejestrami, zasłuchanego w jakieś dalsze i wyższe urzeczywistnienie. Naraz ucichło. Płyta się skończyła. Kropka i punkt.

Muszę pójść na kawę.

Godz. 10-a (W kawiarni Querandi)

Piłem kawę, jadłem rogaliki. I jeszcze coś. Gdy kelner podszedł by pytać, czego sobie życzę, ręka mu zwisała, cicha, skulona, sekretna — i niezatrudniona — aż nie wiedząc o czym myśleć pomyślałem o jakimś krzaku, któremu kiedyś przypatrzywałem się na jakiejś stacji, z okna pociągu. Ta ręka napadła mnie w ciszy, jaka między nami się wytworzyła... Kropka. Koniec. Już ktoś wchodził i siadał przy sąsiednim stoliku z hałasem — dwóch mężczyzn — i poprosili o kości.

Ja wyciągnąłem z kieszeni listy.

„To dziwny przykład dużej inteligencji, której przedmiotem zainteresowań jest dziedzina, od której jest intuicyjnie odcięty...”

„Sandauer est arrivé ici il y a une dizaine de jours...”

„Przejeżdżając przez Kielce odnalazłem panią Renę...”

„Richter posłał mi odpisy swoich listów, w których wyszczuza wszystkie dziwactwa i problemy tej prozy...”

Godz. 10.45 (w domu)

Ręka kelnera przepadła i już jej nie było. Aż tu pewna myśl Nietzschego znów jej wstrzyknęła dozę istnienia — majestatycznego.

Neske, niemiecki wydawca Heideggera, przysłał mi niedawno jego „Essais et conférences”, w wydaniu Gallimarda. Książka leżała obok long play'u z kwartetem i wpadła mi w oczy. Otóż w odczycie o Zaratuście omawia Heidegger myśl, którą Nietzsche nazywał swą myślą „najbardziej otchłanną” — myśl to o wieczystym powrocie „wyzwalająca z ducha mściwości”, przewycięzająca czas, który uchodzi, czas, który nadchodzi, nadająca stawaniu się charakter bytu. *Imprimer au devenir le caractère de l'être — telle est la plus haute volonté de puissance.*

Ja im nie dam się wodzić za nos — mnie na otchłan nie złapią — ja znam to dzieciństwo, baraszkujące z Nieskończonością, wiem zbyt dobrze ile potrzeba lekkomyślności i nieodpowiedzialności, aby z dumą wkroczyć na tereny owych myśli-nie-do-pomyślenia i surowości-nie-do-wytrzymania, znam tę genialność! A ten Heidegger, na swym odczycie nietzscheańskim, zawieszony nad tymi przepaściami — kłown! Gardzić

otchłanią i nie trawić myśli nadmiernych — dawno to sobie postanowiłem. Śmieję się z metafizyki...

...która mnie pożera. (nb.?).

Najgorsze, że jednocześnie i bez najmniejszej żenady mogę być człowiekiem i Człowiekiem. Zastanawiając się, czy przygotować bieliznę do prania, jestem zarazem jak łuk, stamtąd, z prapoczątków aż po najostatniejsze urzeczywistnienia w tym, co jest przede mną. Nie tracąc ani przez chwilę wątku najbardziej codziennego, jestem Tajemnicą bytu i jego dumą i jego chorobą i jego męczarnią. Gorycz człowieczeństwa. Furia człowieczeństwa. Rozpętanie człowieczeństwa. Cisza człowieczeństwa. Cicha ręka kelnera, tam, w Querandi — cicha i stulona. Cóż ona robi tam — gdy ja tu jestem?

Godz. 11.30

Gdybym nie był powrócił do ręki kelnera, ona rozplynęłaby się łatwo w nicości... Ale teraz będzie powracać do mnie, gdyż ja do niej wróciłem.

Godz. 12-a (u ambasadora)

Dzień z tych przeźroczywych, o orzeźwiający gorącu, przesłonicznie mieszający późną wiosnę i wczesne lato. Park siał się zielenią od pałacyku aż do rzeki, która, jak prawie zawsze, nieruchoma i oślepiająca. Śniadanie podano w pawilonie, na świeżym powietrzu. Paszteciki — potem maleńkie i kunsztowne befsztyki na grzankach, à la Chateaubriand chyba, z karczochami — i zjawiskowe cukry kremowe na zimnym owocu — do tego kilka win, pięciu lokai...

*Andante scherzo quasi allegretto.* Błysk słoneczny na kornkach paproci. Rozmowa szemrze i lśni. I poseł pełnomocny amfition, igrając owija węza konwersacji a to byki hiszpańskie, o azteckie rzeźby, o teatr w Paryżu, o argentyńskie asado. Perłą się odwołki krzewów o szyjach łabędzich, gdy my — goście, lokaje — jak koncert ściszony w śpiewie nieposzlakowanym. Znalazł ambasador Francji kilka słów uprzejmych dla pisarza, którzy go odwiedzał, i błysk uśmiechu powściągliwego zawitał na usta obu ambasadorów. Podano likiery.

Ręka dyplomatyczna na poręczy fotela, z palcami lekko zagiętymi, ale przecież nie ta ręka, tylko tamta, tam pozostawiona — jak *punkt odniesienia* — błysk daleki w nocy, latarnia morska! Zegnaj lądzie! Byłem na pełnym morzu, piany tryskająca, wiatr, burza, rozorane wody... i pełne morze, pełny szum i pełny szal!

(Zadowolenie, że nie włożyłem koszuli białej a tylko kremową moją od Smarta — bo jedliśmy w ogrodzie — oraz,

że krawat miałem nie zanadto ozdobny, brązowy, w jednym kolorze, nieładny raczej).

Godz. 17-a (w samochodzie attaché ambasady)

Polknęła haczyk... Co, już Olivos... Ten dziadek, jego kolor... Karol Wielki więcej ma ze mną wspólnego, niż Bolesław Chrobry... Oni będą musieli przyzwyczajać się po trochu do zapadania w przeszłość rewolucji... Dawno nie byłem u... Dentysta... Czy jechać do Tandilu?... Jak łatwo ruszyć świat z miejsca... Zatelefonować.

Godz. 18-a (w domu)

Znów jestem na pełnym morzu!

Paplała i paplała bez miłosierdzia. Aż koleżanki wołały: — Utnij sobie język! No, i nagle to ją zabolalo!

Złapała za nożyczki, ciach, ciach, patrzcie niedobre koleżanki: język już na ziemi, a w ustach krew.

W barze narożnym. Rozmawia siedemnastoletni robotnik przez telefon z narzeczoną...

...Szpital. Noga prawa roztrzaskana. Lewa poharatana i zagrożona gangreną...??? Traf! Zbieg okoliczności... **bo** akurat kiedy on telefonował peronista Moya, wojujący i terroryzujący, przechodził obok baru z bombą pod pachą. Mechanizm bomby wprawił się w ruch niespodziewanie. Przerazony Moya cisnął bombę, gdzie popadło, do baru i...

Bez nog i bez języka.

Byłem sam, siedziałem na kanapie z gazetą, a przede mną na środku pokoju dwa stoliki, zawalone papierami, oparcie krzesła, pokrowiec od maszyny, dalej szafa. Byłem na pełnym, pełnym, pełnym morzu. Co można zrobić? Litość? Ja tu będę się litował — a oni tam... Miłość? Ja tu będę kochał — a oni tam... Gdybyż nasze miejsca się nie rozmięły... Wiatr silny, ciemne masy wodne w nieposkromionym wrzeniu wyrzucane i przewalające się, tonące w sobie, przestwór rozorany, obszar ruchu nieukojonego, żadnego ładu, żadnej latarni i tylko tam, tam, tam, w Querandi, tamta, wybrana, ręka... do czego służy?

Ja bardzo boję się diabła. Dziwne wyznanie na ustach niedowiarka. Od idei diabła nie jestem w stanie się uwolnić... To błąkanie się straszności w najbardziej bezpośrednim moim pobliżu... Cóż z policji, z praw, ze wszystkich zabezpieczeń i środków ostrożności, jeśli Potwór przechadza się wśród nas swobodnie i nic nas przed nim nie chroni, nic, nic, żadnej zapory między nim a nami. Ręka jego wśród nas swobodna, jak najswobodniejsza! Cóż oddziela biogostan spacerowicza od podziemia rozwrzeszczanego głosem udręczonych — co? nic

zupełnie, przestrzeń tylko, pusta... Ta ziemia, po której stąpamy, tak pokryta jest bólem, brodzimy w nim po kolana — i jest to ból dzisiejszy, wczorajszy, przedwczorajszy, oraz sprzed tysiącleci — albowiem nie trzeba się łudzić, ból nie rozplywa się w czasie i krzyk dziecka sprzed trzydziestu wieków nie jest ani trochę mniej krzykiem od tego, który trzy dni temu się rozlegał. Jest to ból wszystkich pokoleń i wszystkich istnień — nie tylko człowieka. I wreszcie... ależ kto wam powiedział, że śmierć może wam przynieść, wyzwalając z tego świata, jakieś ukojenie? „A jeśli „tam” są tylko pająki?” A jeśli tam jest ból, przekraczający nieskończenie wszystko, co możemy sobie wyobrazić? Nie drzysz zanadto przed tą chwilą, gdyż oddajesz się złudnej pewności, że za tą ścianą nie może cię spotkać nic co by było zupełnie nieludzkim — skąd ta pewność? Co cię do niej upoważnia? Czyż w łonie tego, nawet naszego, świata nie zawiera się jakaś zasada piekielna, niedostępna człowiekowi, nie do ogarnięcia ani rozumem ludzkim, ani uczuciem? Gdzież więc gwarancja, że tamten świat ma być bardziej ludzki? A może jest on nieludzkością samą, zaprzeczeniem pełnym naszej natury? Ale my nie możemy tego przyjąć do wiadomości, gdyż człowiek — i to jest pewne — z natury nie jest zdolny pojąć zła.

Punkt. Pragnę wierzyć, że tam, w Querandi, nic nie ma wykraczającego poza najzwyczajszą zwykłość i zresztą brak mi jakichkolwiek podstaw do takiego przypuszczenia... ale obecność zła czyni moją egzystencję czymś tak ryzykownym... tak niepokojącym... tak podatnym diabelstwu... że doprawdy trudno by mi było oddać się jakiegokolwiek pewności, zwłaszcza że brak danych w tym wypadku ma akurat to samo znaczenie, co obfitość danych.

Godz. 18.30

Śmieszność Leona Bloy! Pewnego dnia zapisuje on w swoim dzienniku, że nad ranem zbudził go krzyk potworny, jakby z nieskończoności się dobywający. Nie wątpił, że to krzyk duszy potępionej, padł na kolana i oddał się żarliwej modlitwie.

Nazajutrz pisze: „Ach, już wiem co to była za dusza. Prasa podaje, że wczoraj zmarł Alfred Jarry, akurat o tej samej godzinie i minucie kiedy mnie doszedł ten krzyk...”.

A teraz dla kontrastu — śmieszność Alfreda Jarry! Aby się zemścić na Panu Bogu poprosił o wykałaczkę i gmerząc nią w zębach umarł.

Wolę go od Bloy, któremu Bóg dostarczał przede wszystkim wspaniałej wyższości „absolutnej”, nad innymi śmiertelnikami, a powtórę mocy, cnoty i innych wcale skutecznych witamin — także finansowych. Bloy doskonale wyżywał się w Panu Bogu.

Umysł średniowieczny, dusza średniowieczna? Za Karola Wielkiego rola inteligencji była akurat odwrotna, niż dzisiaj. Wówczas inteligent poddany był myśli zbiorowej (kościół), a na własną rękę myślał człowiek prosty — empirycznie, adogmatycznie — w sprawach praktycznych, życiowych... Dziś wprost przeciwnie... Rozpętania inteligencji już nic nie... (jak chce komunizm)... Muszę iść do J.

Gdybym mógł przez sekundę bodaj sprostac całości. Ciągle żyć tylko fragmentami — ułamkami? Skupiać się zawsze na jednej rzeczy, aby wymknęły się wszystkie pozostałe? Po co mi był ten Leon Bloy? Chociaż...

Godz. 20 (na rogu Las Heras)

Zaszedłem do J., ale go nie zastałem.

Stałem na kamiennej wysepce pośrodku ulicy. Wieczór i już noc zapadająca, światła rodzące się i migocące — i wzbierający rejwach, wystrzelały mi pod bokiem samochodu, zaledwie się obejrzałem troylebusy dwa skręcają z rykiem, nadjeżdża sznur rozdzwonionych tramwajów, wóz ciężarowy wyrwa z pleców, obracam się przesyty światem pędzących taksówek — cóż to za szaleństwo? — jeszcze więcej, szybciej, i ton wysoki, rozdzierający, powstaje z ryków, zgrzytów, dzwonieli, szumów, nabity bezlikiem kłujących blasków.

Pęd usuwający się w głąb — zdarzały się momenty takiego rozpędzenia, że wszystko wyło, a ja na mej wysepce chwiałem się jak podmyty... Nie lubię i lubię Bacha. Jestem „głębokim niezawcą” malarstwa. Głupstwa mówił... Która godzina? Fatalne, że zgubiłem list ten z Francji w sprawie tłumaczenia, gdy kazałem M. odejść od stolika... to dobrze się stało... ale szkoda że... Jak wyrwa! ...Nie mam szczęścia do... Tamtejszy rachunek... Chlor — Boże, wybaw od rzeki z zewnątrz opływającej i gorszej jeszcze rzeki, która środkiem moim pędzi — od wiru wewnętrznego — od rozproszenia mojego na tysiąc momentów! Od mgławicy mojej! Tumanu mego! Od popłochu, którym jestem. Ale rękę mam w kieszeni — spokojną.

A ręce tych ludzi, pędzących w pojazdach? Spokojne. Spoczywające... na kolanach... A tamta ręka „moja”? Cóż ona porabia? I co by było gdybym tak przed nią — tak sobie — ukląkł? Przed ręką upaść na kolana (reminiscencja ze „Ślubu”). Na tej wysepce... tutaj... No. Tak... Ale po co? Nie, tego nie zrobię. Naturalnie, że nie, od początku wiedziałem, że nie.

Godz. 20.15 (w tramwaju)

Ja to nazwałbym błędzeniem na peryferiach w poszukiwaniu... Ciągle trudzenie się na pograniczu, żeby coś... Próba

budowania... Próba (nieudana, jak zawsze, jak wszystkie) wzniesienia tam, dalej, ołtarza jakiegokolwiek, z czegokolwiek, w byle jakim miejscu... Ach, takie czepianie się byle czego! I teraz to...

Godz. 20.30 (w restauracji Sorrento)

Kelner podchodzi, wybieram ślimaki „à la marinera” i kafełkę białego wina, a ręka jego lewa niezatrudniona, zupełnie jak tamta w Querandi, a jednak nic mnie nie obchodzi ta jego ręka — jest ważna o tyle tylko, że nie jest tamtą... Zastanawiałem się nad tym, trochę dla zabawy... i bawiło mnie, że tamta tak silnie mnie ucapiła... a też, że od tej zabawy jeszcze silniej mnie łapie.

Na prawo i na lewo burzuazja. Kobiety wsadzają sobie w otwory gębowe mięso trupie i poruszają jadaczką — to idzie im do przetyku i przewodu pokarmowego — mina, jak gdyby się poświęcały — i znów otwiera otwór, aby wsadzić... Mężczyźni operują nożem i widelcem — łydki m.in. odżywiają się im w nogawkach — wykorzystując działanie pokarmowych narządów... i dziwne doprawdy byłoby ująć pracę tutaj zgromadzonych osób jako odżywianie tydek!...? ...Ale aparat ich ruchów jest w najdrobniejszym szczególe ustalony, te zabiegi od wieków ukształtowane — sięganie po cytrynę, smarowanie kawałeczków chleba, rozmawianie pośród przetykania, nalewanie lub podawanie z rozmową w bok, z uśmiechem skośnym — jednolitość ruchu prawie jak z brandenburskich koncertów — i tu się widzi ludzkość powtarzającą siebie bez wytchnienia. Sala wypełniona żarciem, objawiającym się w nieskończonych wariantach, jak figura walca podejmowana przez tancerzy — i twarz tej sali, skupiona na swojej odwiecznej jedności, była twarzą myśliciela.

Tak, ale — o Boże, o Boże! — tu Sorrento!  
To nie Querandi!

Godz. 20.40 (w restauracji Sorrento)

Dlaczego udaję wzburzenie?

Co mi szkodzi, że to nie Querandi?

I dlaczego czepiam się tej ręki, jak tonący brzytwy — przecież nie tonę?

Przyznaję, ta ręka jest dla mnie zupełnie bez znaczenia. Kelnera tego osobiście nie znam. Ręka, jak tyle innych rąk...

Godz. 21 (na ulicy Corrientes)

Uwielbiam rzecz, którą sam dla siebie wywyższyłem. Klękam przed rzeczą, która nie ma prawa domagać się, abym przed

nią klękał — a zatem ukłęknięcie moje tylko ode mnie pochodzi.

Wzburzenie moje jest wzburzeniem tego tam morza — obszaru niekończącego się, ruchu niczym nie objętego — ale tajemnica moja w tym, że umieszczenie moje w rzeczywistości jest podwójne. Bo przecież idę po ulicy Corrientes w Buenos Aires zjadłszy przed chwilą kolację w restauracji Sorrento. A jednocześnie jestem tam, na pełnym, pełnym, pełnym i wzburzonym morzu! Miotany w przestrzeniach miotających... Jestem na Corrientes a jednocześnie jestem w najczarniejszych, międzygwiazdnych otchłaniach — sam w przestrzeni! Jestem po niezłej kolacji i jestem rzucony w nieskończoność, jak krzyk...

Ba! Wybrałem rękę w Querandi po prostu żeby za coś się złapać. Poczuć się względem czegoś... Jako punkt odniesienia... Wybrałem ją z tej przyczyny właśnie, że nie ma znaczenia... wszystkie kierunki, miejsca i rzeczy są równie dobre na moim bezmiarze, gdzie nic nie ma oprócz stojącego się ruchu. Wybrałem ją z miliarda otaczających mnie rzeczy, ale mogłem wybrać coś innego... Tylko teraz nie chciałbym, żeby ona co ze mną zrobiła! Zrobić ze mną — lub zrobić mnie... Czy już nie jestem sam? Czy już jestem sam na sam z ręką kelnera, którą sobie wybrałem... czyż jesteśmy we dwoje?

Godz. 21.10 (ulica Corrientes)

Ja tylko tak, aby wykazać jak drapieżnie potrafi uchwycić (nawiasowo) taka ręka (nawiasowa). Raczej dla zabawy...

Godz. 21.15 (Corrientes)

Gombrowicz uważał, że ma prawo do metafizycznej burzy, do kosmicznej katastrofy i transcendentального dreszczu. Pod warunkiem: nie sprzeniewierzać się, jednak, codzienności.

Uważał, że ma prawo żeglugi na pełnym morzu pod warunkiem, że stopa jego nie opuści ani na chwilę stałego lądu, tego tutaj, w Buenos Aires.

Godz. 21.20 (w barze na rogu Lavalle i San Martin)

Dyskusja z Gomezem na temat Raskolnikowa (bo któryś z nich, Goma a może Asno, właśnie czyta „Biesy”).

Mój pogląd — że w „Zbrodni i Karze” nie ma dramatu sumienia, w klasycznym, indywidualistycznym znaczeniu tego słowa. To im wykladałem.

— Na początku powieści — mówi Gomez — Raskolnikow popełnia zbrodnię. Na końcu powieści dobrowolnie zgłasza się na policję i wyznaje zbrodnię. Cóż to jest, jeśli nie sumienie?

Ja: — Nie takie proste, *ninos!* Przyjrzyjcie się lepiej...

Raskolnikow nie doświadcza wyrzutów sumienia. W ostatnim rozdziale wyraźnie jest powiedziane, że miał do siebie pretensję tylko o to, iż mu się „nie udało” — to uważał za jedyne winy przewinienie i w poczuciu tej winy, nie innej, chylił głowę przed „absurdem” wyroku, który go osiągnął.

W braku sumienia — jakaż siła opętała go wtedy, żeby aż wydawać się w ręce policji? Jaka? System. System odbić, prawie zwierciadlany.

Raskolnikow nie jest sam — jest umieszczony w pewnej grupie osób, Sonia... sędzia śledczy... siostra i matka... przyjaciel i inni... taki jest ten świat. Jego własne sumienie milczy — natomiast Raskolnikow podejrzewa, że cudze sumienia nie będą milczeć i że, gdyby ci ludzie się dowiedzieli, potępiłby go jako zbrodniarza. On dla siebie samego jest mgławicą, a mgławicy wszystko wolno. Ale wie, że inni widzą go wyraźniej, ostrzej i, dla nich, sąd nad nim już byłby możliwy. A zatem — dla nich — byłby czymś na kształt zbrodniarza? Od tego podejrzenia poczucie winy zaczyna się w nim krystalizować, on już po trosze widzi siebie oczyma innych i widzi trochę, jako zbrodniarza, — i ten obraz swój powtórnie przekazuje myślowo tamym — i stamtąd powraca mu jeszcze wyraźniejsza twarz mordercy i sąd potępiający. Ale to sumienie nie jest jego i on to czuje. Jest to szczególne sumienie, powstające i wzmagające się pomiędzy ludźmi, w tym systemie odbić — gdy jeden człowiek przegląda się w drugim. Stopniowo, w miarę narastania po zbrodni złego samopoczucia, Raskolnikow coraz bardziej czyni ich swymi sędziami — i coraz gwałtowniej zarysowuje mu się i określa jego winę. Ale, powtarzam, to nie jego sumienia sąd — to sąd powstały z odbicia, sąd zwierciadlany.

Co do mnie, skłonny byłbym uważać, że sumienie Raskolnikowa przejawia się tylko w jednym: gdy poddaje się temu sztuczemu, międzyludzkiemu, zwierciadlanemu sumieniu, jak gdyby ono było jego prawowitym sumieniem. W tym zawiera się cały morał: bo oto ten, co człowieka zabił, teraz wypełnia nakaz z obcowania ludzkiego poczęty. I nie pyta, czy on sprawiedliwy.

*Godz. 23.30 (w drodze do domu)*

Mogłem im powiedzieć. Nie powiedziałem.

*Godz. 23.40*

Jak on sobie budował sumienie! Zupełnie jak... W moim przypadku... Dowolność wzbierająca — i wzbierająca ekscenryczność. Człowieczeństwo coraz bardziej skomplikowane...

*Godz. 0.20 (w domu)*

Nie powiedziałem im o... wskutek czego stała się bardziej sekretna. Muszę kończyć ten dziennik i wysłać zaraz jutro, żeby zdążył do Paryża na 6-go.

I nie powiedziałem im też, że zwierciadła... i mnie pochłaniają.

Ona bardzo podobna do narośli — niby pasorzyt. Odzywająca się sokami organizmu. Ileż z tego co mi przejdzie przez głowę zostaje wyzyskane przez nią... aby budować i budować tam, na pograniczu... Ale to ja buduję. Jakże niestrudzonym jestem budowniczym! Bylebym o co się zahaczył, a już będę budował. Kropka. Punkt.

Czy ona teraz śpi?

*Witold GOMBROWICZ*

# Pomoc Paczkową

- WSZECHSTRONNĄ
- SZYBKĄ
- SPRAWNĄ

DO POLSKI LUB ROSJI

Zapewnia na całym świecie

NAJWIĘKSZY DOM WYSYŁKOWY

**TAZAB OF LONDON**

**AUSTRALIA**  
MELBOURNE, C.I.  
327, Collins Str.,  
Tel. Melbourne 1314

**W. BRYTANIA**  
TAZAB HOUSE  
LONDON, S.W.7.  
22, Roland Gdns.,  
Tel. FRE 3175,

**U.S.A.**  
NEW YORK,  
36, Third Avenue,  
Tel. ALgonquin  
4-4160/1

# Kasta

(Z CYKLU „ŻYDZI W KULTURZE POLSKIEJ” III)

## I

Przez wszystkie wieki swego pobytu w Polsce, aż do chwili swej zagłady, Żydzi tworzyli kastę. Kasta jest czymś szerszym od Getta. To ostatnie jest zamkniętą jednostką terytorialną. Kasta natomiast obejmuje całą szerszą grupę na danym terenie, niezależnie od takiego czy innego zlokalizowania jej odłamów czy poszczególnych członków. Żydzi polscy, żyjąc przeważnie w obrębie lokalnych Gett, jako całość tworzyli kastę. Nie była to jedyna kasta w zbiorowości polskiej. Żadna jednak grupa, uczestnicząca w tej zbiorowości, nie miała — z wyjątkiem jedynie Cyganów — tak charakterystycznych i tak jaskrawie narzucających się cech kastowych, jak Żydzi. W ciągu wieków w kaście tej zachodziły głębokie przemiany. Zmieniały się też jej funkcje i jej rola w życiu całej zbiorowości polskiej. Niemniej jednak Żydzi kastą być nie przestawali, i to nawet w epoce, gdy wśród nich zaczęło dominować hasło walki z organizacją kastową.

Jak już przed chwilą powiedzieliśmy, Żydzi nie byli jedyną kastą w zbiorowości polskiej. System kastowy nie jest wyłączną własnością takich organizacji społecznych jak np. hinduska czy starożytna egipska. W takiej czy w innej formie występuje on w różnych systemach społecznych, w różnych cywilizacjach, krajach i epokach. Można się z nim spotkać w najbardziej nawet rozwiniętych organizacjach przemysłowych i demokracjach społecznych. W Stanach Zjednoczonych Murzyni — zwłaszcza na Południu — są jaskrawym przykładem grupy kastowej. W dawnej Polsce organizacja stanowa miała wiele cech istotnych dla systemu kastowego. Takie cechy miała warstwa

szlachecko-ziemiańska, miało chłopstwo i miało mieszczaństwo. W nieco zmienionej postaci pozostałości tego systemu przetrwały aż do czasów ostatnich, ba — nawet do dzisiejszych.

Kasta jest grupą zamkniętą. Każdy, kto w niej uczestniczy, rodzi się w kaście i w kaście umiera. Wyjście z kasty jest dla jednostki rzeczą bardzo trudną, zazwyczaj — niemożliwą. Nie raz wyjście to ma postać ucieczki z kasty i jest połączone z próbami — niezawsze udanymi — zatarcia śladów kastowej przeszłości. Udział w kaście wymaga absolutnego przyjęcia szeregu reguł, które wyznaczają sam fakt istnienia kasty. Są to reguły religijne, prawne, językowe, obyczajowe, zawodowe — najogólniej — kulturalne. Uczestnik kasty musi całe swe życie, całe swe zachowanie się, myślenie, odczuwanie przystosować do reguł kasty. Reguły te są przyjęte zarówno przez samą kastę jak i przez szersze otoczenie, w którym kasta i jej członkowie przebywają. I kasta i owo szersze otoczenie oczekują od każdego członka kasty, by zachował się tak, jak te reguły wymagają. Narzuca to obowiązek przestrzegania określonej etykiety, zazwyczaj pedantycznie określającej wszelkie szczegóły stylu życia.

Reguły kasty określają np. ubiór jej członków. Członek kasty powinien używać swoistego języka, a jeżeli używa języka otoczenia zewnętrznego, to posługuje się w nim swoistą gramatyką, swoistym akcentem i słownictwem. Członka kasty obowiązują określone reguły dietetyczne, mieszkaniowe, medyczne itd. Oczywiście gdy w systemie kastowym zaczynały pokazywać się rysy, gdy z instytucji prawno-obyczajowej stawał się on tylko instytucją obyczajową, reguły jego traciły na swej mocy i częste były od nich odstępstwa. Jednakże aż do ostatnich czasów było w Polsce rzeczą właściwą, by Żyd, nawet mówiący po polsku, „żydłaczył”, by używał gramatyki, zwrotów, akcentu, infleksji, zgodnych z przyjętym wzorem Żyda. Analogiczne wymagania językowe są stawiane jeszcze dziś w stosunku do Murzynów na Południu Stanów Zjednoczonych. Analogii takich, odnoszących się do drobiazgów stylu życia, można znaleźć więcej. W Polsce, Żyd, który „nosił się po europejsku”, miał — tak przynajmniej głosiła fama — ubierać się szczególnie jaskrawo, zdradzając tym gust „żydowski”. W Ameryce w tym wypadku mówi się o guście „murzyńskim”. Ubocznie dodajmy, że opinie te w dużym stopniu miały swe uzasadnienie faktyczne. Żydzi w Polsce, Murzyni w Ameryce, różne grupy kastowe w innych krajach świata w ubraniu swym i w całym zachowaniu się wykazują niejaką agresywność. Ma to głębokie uzasadnienie psychologiczne, w co jednak tu wchodzić nie możemy.

Od tych przykładów regulowania przez kastę szczegółów stylu życia przejdziemy do rzeczy bardziej zasadniczych. Kasta nie koniecznie jest grupą, której organizacja, zachowanie się, miejsce w zbiorowości narodowej są wyznaczone przez przepisy prawa. Oczywiście w Polsce stanowej charakter kastowy



poszczególnych grup społecznych miał swe oparcie w przepisach prawa. Cała organizacja Żydów jako kasty, włączając w to ich autonomię wewnętrzną, ustrój kahalny, stosunki z innymi grupami itp. — wszystko to było określone przez reguły prawa pisanego. W Stanach Zjednoczonych jeszcze dziś ustawy pewnych stanów południowych — np. zakazujące małżeństw mieszanych, segregujące w miejscach publicznych itp. — nakładają na ludność murzyńską reguły kastowości. Niemniej jednak system kastowy może istnieć i rozwijać się również i wtedy, gdy nie ma za sobą oparcia w sankcjach prawnych. W Polsce okresu międzywojennego system ten istniał, choć nie był narzucony przez prawo i nie było ustaw, które — formalnie rzecz biorąc — stały by na jego straży. Pomijając odosobnione wypadki, system kastowy w czasach dzisiejszych ma charakter obyczajowy, jest produktem pewnych wartościowań, jakie w danym społeczeństwie panują i są powszechnie uznawane. Te przepisy społeczne, choć — znów formalnie rzecz biorąc — pozbawione sankcji prawnych, mogą mieć moc nie mniejszą od najbardziej surowych postanowień prawa. Wiedzieli o tym dobrze Żydzi w Polsce i wiedzą o tym — niemniej dobrze — Murzyni w stanach południowych.

Kasta bardzo często jest organizacją ekonomiczną. Polega to na tym, że pewne czynności gospodarcze mieszczą się we wzorze kasty i całego zachowania się jej członków. W Indiach i w starożytnym Egipcie gospodarczy charakter kast występował szczególnie wyraźnie i — rzecz jasna — miał dla siebie sankcję religijną i prawną. Ale to samo ma miejsce i tam, gdzie sankcje takie nie istnieją lub nie są rygorystycznie stosowane. W Polsce we wszystkich wiekach z kastą żydowską związane były określone zajęcia i funkcje gospodarcze. Jeszcze w czasach przedwojennych dla ludu polskiego Żyd w kapocie (a nawet bez kapoty) był „kupcem” albo „handlującym”. Takich czynności należało oczekiwać od Żyda w kapocie, albowiem były one zgodne z ogólnie przyjętym wzorem Żyda. Zresztą przez całe wieki w Polsce — jak i w innych krajach — określone czynności gospodarcze wyznaczały czy współwyznaczały wzór szlachcica, mieszczanina, chłopą czy Cygana. Zachowało się to i wtedy, gdy bądź zaczęło się zacierać różnicowanie stanowe, bądź też zaczynała występować separacja czynności gospodarczych i przynależności stanowej. W przypadku Żydów wzór ten przetrwał aż do końca. To zaś, że w rzeczywistości coraz częstsze były wypadki odbiegania od niego, komplikowało obraz, miało daleko sięgające następstwa społeczne, ale nie wstrząsało samym wzorem. „Kupiec”, „handlujący” — mieściło się bez reszty we wzorze kastowym Żyda.

Kasta jest — dalej — organizacją kulturalną. Co więcej — kastę cechuje swoistość kulturalna, wyróżniająca kastę wśród kultur innych grup danej społeczności. Da się to powiedzieć nawet o Murzynach amerykańskich, którzy — jako całość

będąc uczestnikami w ogólnej kulturze amerykańskiej i będąc jej produktami — zachowali pewne właściwości socjopsychiczne i obyczajowe, wytworzone przez sam fakt życia w kascie. W Polsce w wypadku Żydów taka swoistość kulturalna była posunięta bardzo daleko.

Przed wszystkim każdą kastę cechują jej tylko właściwe *mores*, zwyczaje i obyczaje, swoiste filozofie, swoisty styl życia, wynikający z samego faktu istnienia kasty. Zresztą w polskiej organizacji stanowej — jak na ogół i we wszystkich innych organizacjach stanowych — dawało się to odnieść zarówno do szlachty, jak i do mieszczan czy chłopów. Każda z tych grup miała swoje właściwości kulturalno-obyczajowe, swoisty styl życia, swoiste systemy wartości. Wnosiło to elementy kastowości do organizacji stanowej. Szlachcic żył, myślał i działał tak, jak się to godziło ze szlachectwem. Sposób jego życia, myślenia i działania wydzielał go od przedstawicieli innych stanów, wyznaczając mu określone miejsce w całej zbiorowości. Naturalnie o zajęciu tego miejsca decydował szereg zasadniczych okoliczności, fakt urodzenia przede wszystkim.

Żydzi byli par excellence grupą kulturową. Byli grupą religijną i językową. Mieli określone tradycje historyczne. Stworzyli własną literaturę, filozofię i sztukę. Mieli własny system prawny i prawno-obyczajowy. Wszystkie te elementy składały się na wzór Żyda i na samą treść jego udziału w kascie. W niewielu tylko systemach kastowych spotkać się możemy z tak pełną i wszechstronną organizacją kulturową, jak wśród Żydów. Najwięcej analogii pod tym względem może nam dostarczyć ten system kastowy, jaki wytworzył się w Indiach.

Nie wynika stąd, by Żydzi byli czymś jednolitym w obrębie swej organizacji kastowej. Żadna kasta nigdy nie jest czymś jednolitym. W obrębie najbardziej sztywnego systemu kastowego powstają wszelkiego rodzaju różnicowania, wytwarzają się podgrupy, zachodzą konflikty wewnętrzne. Murzyni amerykańscy, nie przestając być kastą, wykazują — podobnie jak cała narodowa społeczność Stanów Zjednoczonych — różnicowania klasowe, zawodowe, regionalne, wyznaniowe, stopnia wykształcenia itp. Różnicowania te istniały i wśród Żydów. Między arystokracją kahalną a biedotą małomiasteczkową była skala bardzo duża. Była ona nie mniejsza pomiędzy rabiniczną, intelektualną elitą a ciemną masą. W czasach późniejszych, gdy w systemie kastowym zaczęły ujawniać się wyrwy i gdy całe życie zbiorowe zaczęło ulegać przemianie, różnicowania te były coraz większe i coraz bardziej wielostronne.

Kasta zajmuje określone miejsce w danej zbiorowości narodowej. Ten fakt zajmowania takiego właśnie miejsca jest jedną z najistotniejszych cech systemu kastowego. Kasta jest tu odpowiednio szacowana, na drabinie hierarchii społecznej ma sobie przydzielony ten a nie inny szczebel. Jej członkowie

są przedmiotami surowych definicji, które określają ich zachowanie się i postawy na wewnątrz kasty i na zewnątrz jej. Żyd był Żydem i to mówiło o nim wszystko, wyznaczając zarazem jego miejsce w całokształcie rzeczywistości polskiej. Tak samo jak to, że Murzyn jest Murzynem, wyznacza jego miejsce w rzeczywistości amerykańskiej, południowo-afrykańskiej czy krajów kolonialnych. W Polsce zresztą to samo dawało się powiedzieć o szlachcicu, chłopie, mieszczaninie, Cyganie itd.

Zasadniczą cechą kasty jest to, że panujące oceny przydzielają jej określone miejsce w hierarchii społecznej. W dawnej Polsce hierarchia ta była wyznaczona przez podział na stany czy warstwy wyższe i niższe. Warstwą wyższą była szlachta jako całość. Jako kasta stanowiła ona grupę uprzywilejowaną, stojącą ponad grupami innymi. Chłopi, mieszczenie, Żydzi należeli do warstw niższych, byli „podłej kondycji”. Zresztą i tu zachodziło różnicowanie ocen. Ponadto w poszczególnych wypadkach podział ten nie był bezwzględnie sztywny. Zachodziły tu różne przesunięcia, i ambiwalentne oceny były czymś pospolitym. Jedynie Cyganie i jako grupa i jako jednostki byli zawsze u spodu drabiny i postawy ambiwalentne wobec nich były czymś wyjątkowym. Zaznaczały się one w tych rzadkich wypadkach, gdy Cygan występował jako uznany autorytet, np. w zakresie kotlarstwa, znachorstwa czy handlu końmi.

Oto są najogólniejsze uwagi o Żydach polskich jako o kacie. Wypadnie nam teraz przejść do bardziej szczegółowej analizy systemu kastowego, w jakim przez stulecia przebywali Żydzi polscy.

## II

Dla rozważań naszych bezprzedmiotowe jest roztrząsanie warunków historycznych, które złożyły się na powstanie systemu kastowego w Polsce, oraz roli w nim Żydów. Tak samo jest sprawą mało istotną, w jakim stopniu system ten był Żydom narzucony z zewnątrz i w jakim stopniu oni sami przyczynili się do ukształtowania i utrwalenia swojej w nim roli. Niewątpliwie był im narzucony i niewątpliwie sami Żydzi nie tylko że go przyjęli, ale umocnili go i pogłębili. Zjawisko to zresztą powszechne, dające się zauważyć wszędzie tam, gdzie istnieją kasty. W Polsce — jak na całym świecie — system kastowy wyrósł na określonym podłożu historycznym, był przyjęty jako rzecz oczywista przez ogół i bez mała do naszych czasów był uważany za coś normalnego i właściwego. Żydzi polscy znaleźli w nim miejsce dla siebie i znów aż bez mała do naszych czasów nie starali się o jego zniszczenie. Przeciwnie — starali się go nawet wzmocnić. To samo robiła szlachta, robili mieszczenie i chłopi w obrębie swych organizacji stanowo-kastowych.

W każdym razie cały rozwój historyczny Polski — a nie była ona pod tym względem czymś wyjątkowym czy odosobnionym — cały układ stosunków społeczno-gospodarczych i kulturalnych, wszystko to wreszcie co tradycyjnie składało się na treść życia żydowskiego w Polsce i poza Polską — wszystkie te momenty spowodowały zamknięcie się masy żydowskiej w sztywne ramy organizacji kastowej. Przyjmujemy to jako fakt historyczny, nie wdając się w jałowe i płytkie wywody na temat tego, dlaczego stać się tak musiało, czy stać się musiało i kto za to ponosi odpowiedzialność. Dodajmy, że na ten temat napisano bardzo dużo i że to, co napisano, przedstawia się zgola niepoważnie. Zwłaszcza że było pisane pod kątem widzenia ocen moralnych czy politycznych. Antysemici całą odpowiedzialność za kastowość zwalali na Żydów, Żydzi i ich nie-żydowscy obrońcy — na otoczenie chrześcijańskie.

Pominąwszy więc wszystkie te historyczne i pseudohistoryczne rozważania, możemy przejść do sprawy zasadniczej — do faktu kastowej organizacji żydostwa polskiego.

Żyd rodził się Żydem i umierał Żydem. Nie oznaczało to, by nie zachodziły wypadki indywidualnego, a nawet zbiorowego, wychodzenia z kasty. Wyjście takie następowało przede wszystkim przez zmianę wyznania. Przez długie wieki była to jedyna droga wyjścia z kasty. W epoce Rzeczypospolitej szlacheckiej prawo i obyczaj sprzyjały takim wyjściom. Neofita był widziany życzliwie, znajdował możnych protektorów, którzy często byli jego rodzicami chrzestnymi, był uszlachcany i tym samym przyjmowany do kasty wyższej. Niewątpliwie nie było to, obyczajowo rzecz biorąc, przyjęcie wolne od wszelkich zastrzeżeń. Ale takie obyczajowe zastrzeżenia istniały w każdym wypadku nobilitacji. Na *homo novus* patrzano nieco z góry czy lekceważąco. Ulegało to jednak zatarciu i w drugim czy trzecim pokoleniu nobilitowany w zupełności upodobał się do masy szlacheckiej i był przez nią traktowany jako jeden ze swoich. Dopiero znacznie później, już w wieku XX, zaczęto wypominać „brzydkie” pochodzenie wielu polskim rodom szlacheckim. W wieku XVIII frankizm wprowadził do szeregów szlachty polskiej większą grupę *homines novi*. W wieku XIX wychodzenie z kasty przez zmianę wyznania stało się zjawiskiem powszechnym. Przez to jednak, że było ono zjawiskiem powszechnym i ilościowo dość znacznym, stosunek do neofitów ze strony chrześcijan stawał się mniej życzliwym, z biegiem czasu — nawet niechętnym. Wypadnie nam zresztą o tym jeszcze szerzej pomówić w związku z innymi zagadnieniami.

Od drugiej połowy wieku XIX widoczne są próby wychodzenia z kasty bez zmiany wyznania. Zacznie się era tzw. asymilacji. Polegała ona na odrzucaniu reguł właściwych kacie i przyswajaniu sobie reguł i cech świata pozakastowego. W okresach początkowych takie dążenia były życzliwie widziane przez chrześcijańskie otoczenie. Najlepsze umysły epoki popierały asymilację i starały się nadać jej charakter masowy. Sy-

tuacja zmieniła się w czasach późniejszych, gdy tendencje do wyzwolenia się z reguł kasty stały się u Żydów — nie tylko wśród jednostek ale i w szerszych masach — bardziej powszechne. W tym okresie wytworzyły się w środowiskach chrześcijańskich postawy, które zmierzały do utrzymania ram kastowości nawet w stosunku do Żydów niewątpliwie zasymilowanych. Antysemityzm był najważniejszą postacią przejawiania się takich postaw. Zresztą coś zupełnie analogicznego spotykamy i w innych cywilizacjach. *Mores* świata białego na Południu Stanów Zjednoczonych zmierzają do utrzymania kasty murzyńskiej bez względu na to, że kasta ta jest w stanie faktycznego rozpadu i że Murzyni swym stylem życia, obyczajami, działalnością gospodarczą itp. wyraźnie jej zaprzeczają.

We wszystkich tych wypadkach wychodzenia z kasty — czy przez zmianę wyznania czy przez asymilację bez zmiany wyznania — jedna rzecz była wspólna: wychodzący milcząco przyjmował fakt istnienia kasty i go uznawał. Chodziło tu zawsze o odejście od kasty, o ucieczkę z niej, nie zaś o jej zwalczenie czy zniszczenie. *Implicite* lub *explicite* przyznawano, że kasta jest zjawiskiem nie tylko istniejącym, ale i uzasadnionym. Niewątpliwie asymilatorzy byli przeciwnikami organizacji kastowej. Chodziło im jednak o to, by samym znaleźć się poza kastą i przyciągnąć do siebie jak największe zastępy nowych uchodźców z kasty. To, że faktycznie — zwłaszcza w latach późniejszych — byli wciąż traktowani jako uczestnicy kasty, że w pewnym stopniu tworzyli raczej kastę nową, nie miało tu istotniejszego znaczenia. Asymilacja nie była walką o likwidację kasty jako takiej, była ucieczką czy odejściem od kasty. Sądzono, że przez masowe odejście kasta stopniowo będzie ulegać zanikowi. Taki był najbardziej optymistyczny aspekt asymilacji.

Dopiero znacznie później w obrębie samej kasty rozbuździły się szersze tendencje emancypacyjne, zmierzające do obalenia systemu kastowego i do przetworzenia dawnej kasty w grupę narodową. Nastąpiło to jednak później i szło w parze z analogicznymi dążeniami, które zaczęły się wtedy ujawniać w innych krajach i cywilizacjach. O tym jednak wypadnie nam pomówić osobno.

Neofici i asymilatorzy — ludzie z kasty odchodzący — byli przez tych, którzy w kaście pozostawali, oceniani bardzo nieżyczliwie. Neofici byli renegatami, byli tymi, którzy w sposób jak najbardziej radykalny i bezwzględny odrzucali wszystkie te założenia, na których kasta się opierała, dzięki którym istnieć mogła i przez stulecia przetrwała. Wrogość do „mechsów” była więc uzasadniona. Ale i do tych asymilujących się, którzy pozostawali wierni religii przodków, stosunek nie był zyciwy. I to byli odstępcy, ludzie, którzy swym życiem zaprzeczali regułom kasty, jej obyczajom, jej wierzeniom, jej filozofii. Z czasem jednak stosunek do asymilatorów stał się ra-

czej ambiwalentnym. Nastąpiło to wtedy, gdy nurty laickie zaczęły szerzej przenikać do kasty. To, że wśród zasymilowanych było wielu ludzi majątnych i wykształconych, ludzi znanych w szerszym świecie i tam szanowanych, stało się źródłem dumy w samej kaście. Zapewne, ludzie ci byli odstępcami. Ale z drugiej strony wykazali się czymś, można było być z nich dumnym, byli żywym świadectwem sił, jakie w masach kasty się kryły. Takie ambiwalentne postawy wobec wychodźców z kasty dają się zauważyć we wszystkich innych pokrewnych procesach społecznych. I tu znów Stany Zjednoczone — chodzi nam zarówno o Murzynów jak i o emigracyjne Getta narodowościowe — mogą dostarczyć wielu pouczających przykładów.

Jeżeli jednak pominiemy wypadki indywidualnego czy zbiorowego wychodzenia z kasty, to pozostanie prawdą, że Żyd rodził się i umierał Żydem. Czyli że rodził się i umierał w kaście. Od kolebki aż do grobu całe jego życie było wyznaczone przez fakt udziału w grupie kastowej i to decydowało o kierunku i kolejach jego życia.

Nie będziemy tu zajmowali się opisywaniem tego wszystkiego, co składało się na treść życia Getta żydowskiego. Literatura omawiająca jego etos, obyczaje, wierzenia, metody wychowawcze itd. jest olbrzymia. W języku polskim prace Reginy Lilienthalowej o dziecku żydowskim, o świętach żydowskich, są wciąż niezastąpione. Nas tu obchodzi inne aspekty kastowego charakteru życia Żydów polskich.

Chodzi nam w pierwszym rzędzie o to, że Żyd na zewnątrz w każdej sytuacji występował jako członek i przedstawiciel kasty. Przede wszystkim — nie był trudny do zdefiniowania. Nie-Żyd, stykając się z Żydem, mógł łatwo ustalić, że ma do czynienia z Żydem. Określał to już sam wygląd zewnętrzny. Strój, długa broda u mężczyzn, peruka u kobiet zamężnych, rysy twarzy, swoista polszczyzna, gesty, różne szczegóły zachowania się — wszystko to pozwalało na szybkie zaklasyfikowanie spotkanego osobnika jako członka określonej zbiorowości ludzkiej. Była to definicja bardzo szeroka. Obejmowała ona emocjonalne ustosunkowanie się do spotkanej osoby, umieszczała ją w określonej grupie zawodowej, kulturalnej, czyniła elementem określonego układu wartości, przypisywała określone cechy psychiczne. Z reguły był w niej zawarty moment oceniania. X jest Żydem, a więc jest takim a takim i tym samym należy do takiego to a takiego świata wartości, który w taki to a nie w inny sposób jest przeze mnie szacowany.

Niewątpliwie zwłaszcza od drugiej połowy wieku XIX definicje takie natrafiały na trudności. X nie zawsze był zgodny z przyjętym wzorem. Ani strojem, ani rysami twarzy, ani mową, ani całym zachowaniem się nie różnił się od nie-Żyda. Mógł się nawet nie różnić pod względem wykonywania czynności gospodarczych. Był lekarzem, prawnikiem, technikiem,

nawet — ziemianinem. Słowem, obiektywnie rzecz biorąc, nie odpowiadał wzorowi, według którego była tworzona definicja. W tych, którzy definiowali, mogło to budzić niepokój, niepewność, rozczarowanie. X nie był takim, jakim być był *powinien*. Zazwyczaj jednak decydowała wiedza o tym, że był Żydem. Skoro zaś był Żydem, to musiał być zgodny ze wzorem. Stosowane były — często nieświadomie dla osoby definiującej — określone interpretacje wyglądu i zachowania się X-a, które miały na celu utożsamienie go ze wzorem Żyda. Miał (ściślej — musiał mieć) cechy żydowskie — fizyczne i duchowe, w jego języku były jakieś ślady akcentu (albo słyszało się zarzut, że jego polszczyzna jest *zbyt* poprawna!), w jego zachowaniu się było coś, co zdradzało jego żydostwo. Było obojętne, czy wszystko to rzeczywiście miało miejsce. Obiektywnie mogło tego nie być. Ale subiektywnie było dostrzegane i notowane. Mechanizm interpretacyjny nakazywał znalezienie cech, któreby X-a utożsamiały ze wzorem.

Taki mechanizm działa stale i powszechnie we wszystkich wypadkach styczności międzyludzkich, w których zachodzi konieczność definiowania i kategoryzowania. A konieczność taka jest nieodłącznym towarzyszem naszego życia. Stale definiujemy ludzi innej narodowości, innej religii, innej klasy społecznej, innej grupy zawodowej, innego zespołu towarzyskiego czy zabawowego, innej dzielnicy naszego miasta. Czasami jest to Żyd, czasami Francuz, Rosjanin czy Amerykanin, może to być lekarz lub szofer, katolik lub protestant, szwec lub profesor, paryżanin lub łodzianin itd. bez końca. W każdym wypadku posługujemy się tu abstrakcjami i do tych abstrakcji sprowadzamy żywych ludzi. Na ludzi tych patrzymy poprzez szablony naszych definicji, ludzi tych widzimy w maskach, jakie doświadczenia zbiorowe i tradycje na nich nakładają. Nie inaczej sami Żydzi patrzyli na „gojów”. W tym jednak, że Żydzi tworzyli kasty, że stanowili grupę specjalnie się wydziałającą i — zarówno jako całość i jako jednostki — ulegającą szczególnie sztywnym definicjom, była przyczyna dużej ostrości takiego interpretowania. Podobnie jak w innych układach Murzyn amerykański, Cygan czy nawet chłop polski, Żyd musiał bardzo rygorystycznie odpowiadać temu, czego od niego oczekiwano.

W wypadku szczególnych trudności, gdy X obiektywnie zupełnie odbiegał od wzoru, decydowała wiedza o jego żydowskim pochodzeniu. Jeżeli wiedzy takiej nie było, zachodził „passing” i X nie był definiowany jako Żyd. To, co miało wyznaczać jego żydowskość, przestawało istnieć. Było ono jednak niezwłocznie dostrzegane, gdy bądź sam X stwierdzał fakt swego żydowskiego pochodzenia, bądź też fakt ten zostawał ujawniony na jakiejś innej drodze. Aparat interpretacyjno-definiujący był niezwłocznie uruchamiany i X bywał odpowiednio zakategoryzowany i oceniany.

## III

Aparat interpretacyjno-definiujący sięgał dalej. Definicja Żyda obejmowała cały świat wierzeń, poglądów, zasad moralnych, politycznych, prawnych, obejmowała świat czynności gospodarczych i przydziałała Żydowi określone funkcje i zadania w tym świecie. Tworzyło to bardzo wszechstronny stereotyp, usystematyzowany, emocjonalnie uwarunkowany, oceniający.

Stereotyp ten był owocem długich doświadczeń historycznych. Jak wszystkie doświadczenia zbiorowości ludzkich, tak i te, z których wyrósł stereotyp Żyda, nie opierały się na obiektywnych obserwacjach i racjonalnych analizach. Były fragmentaryczne, przypadkowe, posługiwały się łatwymi uogólnieniami, obfitowały w sprzeczności wewnętrzne, były emocjonalnie uwarunkowane. Były czystymi abstrakcjami. Słowem — były doświadczeniami ludzi. Ale były faktami, były rzeczywistością. I bez względu na to, co by się z nich zostało po przepuszczeniu ich przez filtr trzeźwej analizy logicznej, były one prawdą historyczną, „mądrością narodów”, tradycją, wyznaczającą kierunki i charakter stosunków międzyludzkich.

Żyd takiego stereotypu był człowiekiem nie tylko innej wiary, mowy i obyczajów, ale i innej moralności. Był podstępny i wykrętny. Myślał tylko o własnym zysku, starał się oszukać chrześcijanina. Miał on tu wszelkie cechy, jakimi folklor gospodarki przedkapitalistycznej wszędzie obdarzał każdego kupca. W Polsce, gdzie kupcem, zwłaszcza małym kupcem, był prawie wyłącznie Żyd, cechy te zostały przypisane całej kasty. Jak się wkrótce o tym przekonamy, było to nie tylko łatwym uogólnieniem. Niemniej jednak uogólniania było w tym wystarczająco dużo.

To uogólnianie miało też swe oparcie i w odrębności religijno-obyczajowej Żydów. Przepisy religijne i obyczaje — nieznanne, tajemnicze — budziły niepokój i podejrzliwość. Fakt, że w warunkach gospodarki przed- i wczesno-kapitalistycznej — a w Polsce warunki te przetrwały prawie aż do naszych czasów — drobny handel musiał mieć specyficzne właściwości, w Polsce przypisywane wyłącznie Żydom, sprawił, że łatwo łączono je z obyczajami Żydów i ich religią. Podobnie w innych krajach właściwości drobnego handlu są przypisywane obyczajowości i religii Chińczyków, Ormian, Parsów itd. itd. Dopiero po ostatniej wojnie, gdy Żydów w Polsce już nie było, ale warunki jeszcze się zachowały, można było stwierdzić, jak handlarze nie-Żydzi, którzy „wskoczyli” na miejsce Żydów, niezwłocznie przejęli wszystkie tych ostatnich właściwości. Doskonale to wykazał Kazimierz Wyka w pięknym studium ogłoszonym tuż po wojnie w „Twórczości”.

Stereotyp określał oblicze gospodarcze Żyda. Oczywiście kasta jako całość tworzyła grupę gospodarczą. W rzeczywistości funkcje gospodarcze kasty były bardziej różnorodne niż

w ujęciu stereotypu. Ten niedoceniał np. roli rzemieślników żydowskich, często ich nawet nie dostrzegał. Przeceniał natomiast rolę lichwiarzy żydowskich. W folklorze polskim Żyd to kupiec, raczej — handlujący, co było czymś bardzo szerokim i włączało wszelkie formy gospodarczego pośrednictwa. Aż do roku 1939 do Żyda w chałacie zwracano się per „kupiec” — „czego kupiec tu szuka?” itp. Dowcip mówił o „wyznaniu handlującym”. Przenosiło się to i na tych Żydów, którzy — obiektywnie rzecz biorąc — od kasty odeszli i nie wykonywali właściwych jej funkcji gospodarczych. Ustalenie, że X jest Żydem, pociągało za sobą przypisywanie mu — nie ważne było, jakim był jego zawód — właściwości „handlowych” i tej mentalności, jaka w Polsce była uważana za typową dla handlowców. Skoro X był Żydem, to musiał mieć w myśli tylko zysk, interes osobisty, musiał być spekulantem itd.

Trzeba stale pamiętać, że w Polsce panowała niechęć do zajęć handlowych. Zacofanie gospodarcze kraju i tradycje szlacheckiego wytworzyły tu atmosferę pogardy dla handlu jako zawodu. Była to czynność gospodarcza ceniona bardzo nisko i nie miano szacunku dla ludzi, którzy się nią zajmowali. W Polsce stała się ona udziałem kasty, zajmującej bardzo niskie miejsce w hierarchii społecznej. Zresztą kasta, która tę czynność objęła, miała w tej dziedzinie wielowiekowe doświadczenie i tradycje. W Polsce była jedną grupą predestynowaną do zajęcia się pośrednictwem i dystrybucją dóbr gospodarczych, do wzięcia na siebie zadań, do których inni nie byli przygotowani lub którymi pogardzali.

Stosunek nie-Żyda do Żyda był wyznaczony przez panującą wzór-stereotyp. Jak zresztą bywa to we wszelkich rodzajach stosunków międzyludzkich — indywidualnych i grupowych. Bez względu na to, jak oceniano w poszczególnym wypadku tego Żyda — życzliwie czy nieżyczliwie — oczekiwano od niego, że uczyni zadość wymaganiom wzoru-stereotypu, że zachowa się tak, jak Żyd zachować się powinien.

W praktyce oczekiwanie takie na ogół nie zawodziło. Jest to powszechna właściwość systemu kastowego, że członkowie kasty przyjmują reguły, jakie na nich nakładają ludzie spoza kasty, i że je wykonywują. Czy chodzi tu o ludność tubylczą w krajach kolonialnych, czy o Murzynów amerykańskich albo południowo-afrykańskich, czy o chłopów w dawnej Polsce, czy wreszcie o Żydów — wszędzie ludzie kasty przyjmują rytuał, jaki, według wymagań świata poza-kastowego, ma być w stosunku do tego świata pilnie przestrzegany.

We wszystkich przypadkach tej swoistej etykiety nie trudno jest zauważyć wspólny wzór. Zachowanie się Żyda wobec chrześcijanina pod niejednym względem przypomina tradycyjne zachowanie się Czarnego wobec Białego w Stanach Zjednoczonych czy Unii Południowo-Afrykańskiej, czy też krajowca wobec Europejczyka w krajach kolonialnych. Na zewnątrz wymagana jest tu pokora, schlebienie, usłużność. Na wewnątrz

dominuje tu daleko posunięta nieufność i nieszczerłość. Zasada podwójnej moralności, tak wnikliwie i wszechstronnie badana przez amerykańskich obserwatorów postaw murzyńskich, obowiązuje tu na każdym kroku. Trzeba zachować się tak, jak oczekuje ten drugi. Trzeba być wobec niego uniżonym, przytakiwać mu, zaznaczać swą niższość wobec niego. Ale zarazem wie się, że jest to maska, poza którą kryją się inne uczucia. Trzeba też być zawsze nastawionym na to, że ten drugi — choćby, zdawało by się, najbardziej życzliwy — traktuje mnie jako człowieka kasty, że mną pogardza i że w każdej chwili może dać mi to odczuć. Stąd nigdy nie mogę mu ufać, nigdy w całej pełni nie mogę wierzyć w jego życzliwość, stale muszę oczekiwać od niego, że zachowa się wobec mnie tak, jak jest to zgodne ze wzorem.

Taka nieufność jest szczególnie silna wśród tych, którzy chcą wyjść z kasty lub, obiektywnie rzecz biorąc, już z niej wyszli. Cień kasty ciągle wlecze się za nimi. I stąd powstaje swoista nadczułość, przewrażliwienie, stałe napięcie psychiczne, płynące z obawy, że będę wciąż traktowany jako członek kasty. A to jest dla mnie tym bardziej bolesne, że ja już nie jestem członkiem kasty, nie chcę się za takiego uważać, chcę od kasty uciec jak najdalej. Czy jednak inni tak mnie widzą? Czy nie traktują mnie nadal jako człowieka kasty? Czy nie dają mi tego do zrozumienia? Ciągła niepewność, ciągła podejrzliwość!

To jest ta nadczułość żydowska, o której się nieraz mówiło i mówi. I niewątpliwie nadczułość taka jest faktem. Przekonanie, że „wszyscy Polacy są antysemitami”, że „każdy chrześcijanin gardzi Żydem”, jest wśród Żydów równie rozpowszechnione jak wśród amerykańskich Murzynów analogiczne przekonanie o stosunku do nich ludzi białych, czy wśród krajowców krajów kolonialnych o stosunku do nich Europejczyków. Zresztą chłop polski ustami Czepca nie inaczej wyraził swój pogląd na stosunek do niego świata pańskiego. Wśród Żydów „nadczułość” prowadziła do definiowania każdego nie-Żyda jako antysemitę i uruchamiała cały aparat interpretacyjny analizujący każdy szczegół zachowania się nie-Żyda. W Ameryce wielokrotnie słyszałem od żydowskich emigrantów ze Wschodniej i Środkowej Europy, że tu nareszcie mogą nie myśleć o tym, iż inni traktują ich jako Żydów. W warunkach amerykańskich te postawy definiująco-interpretacyjne ulegają zanikowi czy też działaniu ich szybko słabnie. To w dużym stopniu nam tłumaczy, dlaczego Żydzi w Ameryce — nie przestając zresztą być Żydami — tak szybko ulegają procesowi amerykanizacji i łatwo utożsamiają się z Ameryką.

Owa nadczułość, stała nieufność, mus ciągłego stosowania odpowiednich interpretacji — wszystko to ma głęboko sięgający wpływ na psychikę ludzi kasty i prowadzi do zaburzeń emocjonalnych. Jest to spotęgowane i przez to, że ludzie zewnątrz odnoszą się do kasty nie tylko pogardliwie ale i drwiąco. W rezultacie kasta staje się czymś śmiesznym zarówno dla

tych, którzy do niej nie należą, jak i dla tych, którzy w niej się znajdują. Wytwarza to stosunek drwiący do samego siebie, wykpiwanie własnej roli, szczególną złośliwość pod adresem własnych cech i ułomności. Na tym tle mógł się rozwinąć „szmonces”, specjalny rodzaj dowcipu żydowskiego. Zupełnie analogiczną postać „szmoncesu” znajdujemy w folklorze Murzynów amerykańskich. Emancypująca się czarna Ameryka z tą formą dowcipu prowadzi walkę i w czasach dzisiejszych jest on w Ameryce uważany za coś wybitnie niewłaściwego. Jest też w stanie zaniku. Film hollywoodzki od lat nie używa tych „Negro gags”.

Obowiązek stosowania odpowiedniej etykiety w stosunkach ze światem zewnętrznym wytwarza podwójną moralność. Taka podwójna moralność istnieje wszędzie tam, gdzie istnieje system kastowy. Skoro otoczenie zewnętrzne wymaga ode mnie, bym się zachowywał zgodnie z jego definicją mojej osoby i mojej roli, przeto dla celów ochronnych muszę się tak zachowywać. Te względy ochronne sprawiają też, że wobec otoczenia zewnętrznego będę stosował inne kryteria i reguły moralne, niż wobec samego siebie i moich bliskich. Oczywiście w wypadkach indywidualnych nie jest to sztywne. Do ludzi z otoczenia zewnętrznego, którym ufam i którym cenię, mogę stosować reguły moralne, jakie bym stosował wobec samego siebie i swoich. Poza tymi wypadkami nie powinienem popadać w przesadną uczciwość. Tego ode mnie nie wymagają i nie uwierzono by mi, gdybym naprawdę był uczciwy. Reguły uczciwości powinny mnie natomiast obowiązywać w stosunku do Żydów — choć w praktyce nie zawsze to bywało osiągnięte. Ale nieuczciwość wobec Żyda spotykała się z potępieniem kasty, czego nie było w stosunku do nie-Żyda. Drobnny handel w Polsce był pod znakiem tej podwójnej moralności, zrodzonej w kaście. Choć przypisywano jej pochodzenie mentalności żydowskiej, Talmudowi, cechom rasowym itp., była ona w rzeczywistości produktem systemu kastowego i jego mentalności. Jest rzeczą interesującą, że w Stanach Zjednoczonych Żydzi — wolni od ram kastowości — mają jako kupcy bardzo dobrą opinię. O „szachrajstwach” żydowskich tu się nie słyszy. Znacznie natomiast gorszą w tej dziedzinie opinię mają liczni kupcy murzyńscy.

#### IV

Wszędzie, gdzie istnieje system kastowy, jest on związany ze sztywnym i tradycyjnie utrwalonym układem ocen społecznych. Kasta jest przedmiotem określonych wartościowań, których wpływ na życie zbiorowe jest kolosalny.

W polskim systemie stanowym szlachta tworzyła kastę odgórną, uprzywilejowaną, niosącą na sobie charyzmę. Szlachcic był potomkiem Jafeta, płynęła w nim krew lepsza, był

pod każdym względem wyższego gatunku. Folklor szlachecki wytworzył swoistą antropologię, w której elementy rasizmu nie były bez znaczenia.

Wszystko, co nie było szlacheckie, było podlejszego gatunku. Chłop wywodził się od Chama (antropologia południowej fundamentalistycznej Ameryki czyni z Chama praojca Murzynów!), był nie tylko społecznie ale i antropologicznie istotą kondycji niższej. Żyd oczywiście wywodził się od Sema. Antropologia szlachecka zbyt mało interesowała się mieszczańinem, by znaleźć dla niego odpowiedni rodowód. Ale i on oczywiście był gatunku gorszego.

Ta antropologia łączyła się ściśle z socjologią, jaką przyjmował świat szlachecki. Zamykała się ona w zwężonych definicjach, jakim poddawane były „podłe kondycje” społeczności polskiej. Chłop był „chamem”, mieszczańin — „łykiem”, Żyd — „parchem”. „Cham”, „łyk” i „parch” tworzyli układ wartości, w którym szlachcic polski zamykał warstwy nieszlacheckie.

W takich definicjach mieścił się zarazem moment kastowego traktowania przez szlachtę świata nieszlacheckiego. Słowa „cham”, „łyk” i „parch” oznaczały sztywne układy, zamknięte grupy społeczne, umiejscowiwały je w ramach określonej organizacji społeczno-politycznej, ekonomicznej i kulturalnej, i poddawały każdą z nich określonemu wartościowaniu. Nie były to nazwy pochlebne czy pochlebiające. Przeciwnie — były wyraźnie poniżające, pogardliwe.

Dopóki system kastowy w Polsce był mocno zakorzeniony i przyjmowany jako coś oczywistego i naturalnego, dopóty nazwy te i odpowiadające im treści były w powszechnym obiegu i nie budziły zastrzeżeń. Chłop godził się z tym, że jest „chamem”, mieszczańin — że jest „łykiem”, Żyd — że jest „parchem”. Każda z tych grup traktowała swoją kastowość jako coś oczywistego i każda z nich godziła się z tym miejscem, jakie system kazał jej zajmować. Oczywiście niekiedy zdarzały się bunty, częściej indywidualne niż zbiorowe, choć i z tymi ostatnimi można się było spotkać. Najwięcej oporu wykazywało mieszczaństwo, zamożniejsze zwłaszcza, w którym aż do końca Rzeczypospolitej żyły tradycje dawnego patrycjatu i wspomnienia minionego znaczenia. Chłop i Żyd — dwie grupy o szczególnie wyraźnych cechach kastowych — w całości przyjmowali definicje „chama” i „parcha”.

Definicje te i oceny były stosowane nie tylko w stosunkach między szlachtą i nieszlachtą. Stały się one wyrazem stosunków między warstwami niższymi. Dla mieszczańina chłop był „chamem” a Żyd „parchem”. Chłop widział w Żydzie „parcha”, a Żyd w chłopie „chama”.

Tu jednak na jedno trzeba od razu zwrócić uwagę. Definicje takie nie koniecznie były wyrazem jakichś ostrych antagonizmów społecznych, nie koniecznie mówiły o istnieniu głębszych konfliktów międzygrupowych, wcale nie były przejawem

nienawiści. Oczywiście wypowiadała się w nich pogarda, niski szacunek jednej grupy dla drugiej. Ale ocenianie takie w warunkach systemu kastowego mogło się doskonale mieścić w ramach stosunków pokojowych i wolnych od atmosfery napięcia.

To, że chłop uważał Żyda za „parcha”, nie musiało być przejawem antysemityzmu, jeżeli przez antysemityzm rozumiemy wyraźnie wypowiadającą się postać antagonizmu wobec Żydów. Nazywając Żyda „parchem”, chłop — a tak samo zresztą szlachcic i mieszczanin — określał miejsce kasty, jaką stanowili Żydzi, oceniał ją, ustalał jej pozycję w całej strukturze życia zbiorowego. Ocena ta mogła być niepocholebna, ale nie oznaczała to jeszcze wrogości. W podobny sposób szlachcic nazywając chłopą „chamem”, plasował go społecznie, oceniał go jako członka określonej kasty, ale nie odnosił się do niego wrogo. Wszystko to razem stwierdzało fakt istnienia kast i plasowało każdą z nich w obrębie całości.

Tak jak chłop godził się z tym, że jest „chamem”, tak samo i Żyd przyjmował to, że jest „parchem”. Murzyn amerykański na Południu nawet jeszcze teraz użyje słowa „Nigger” w odniesieniu do drugiego Murzyna. Słowo to, użyte pod adresem Murzyna przez białego, ma zabarwienie wybitnie obraźliwe. Podobnie Żyd polski nieraz drugiego Żyda nazywał „parchem” i to nawet wtedy, kiedy słowo to zaczął odczuwać jako obrazę, jeśli pod jego adresem było użyte przez chrześcijanina. W tym wypadku, gdy Żyd tak mówi o Żydzie, słowo to ma wyłącznie charakter dezaprobaty, wywołanej indywidualnym zachowaniem się drugiej osoby. Analogicznie słowa „cham” i „lyk” nabrały w Polsce od drugiej połowy wieku XIX znacznie szerszego zastosowania i znaczenia. We wszystkich tych wypadkach słowo-definicja zaczynało się odrywać od swej podstawy kastowej i stawać się po prostu słowem obelżywym. Ale i w tym, jak było ono używane i pod którym adresem, zachowywały się ślady dawnej podstawy kastowej. „Chamem” nie musiał być chłop, ale był nim człowiek, który — bez względu na swe pochodzenie — zachowywał się nie tak, jakby się zachował szlachcic, ale tak, jakby mógł się zachować chłop. „Parch” — prawie nigdy nie stosowane do nie-Żydów — mówiło o zachowaniu się zgodnym z tradycyjnym wzorem kastowego Żyda. To dosłownie ma na myśli Murzyn amerykański, mówiąc o drugim Murzynie, że jest „Nigger”.

Żyd „parch” oznaczał miejsce kasty. W systemie wartości Polski szlacheckiej trudno było określić, czy kasta żydowska zajmowała miejsce najniższe w hierarchii społecznej, czy była poniżej chłopów, czy też nie. Ścisłe przeprowadzenie takiego szacowania jest niemożliwe — a i byłoby raczej bezcelowe — z tego względu, że w praktyce oceny bywały ambiwalentne, że w zależności od sytuacji i typu stosunków szacowanie ulegało zmianom. W pewnej sytuacji i dla pewnych względów Żyd mógł być szacowany wyżej od chłopą, w innej sytuacji i dla

innych względów — niżej. Ważne było to, że i Żyd i chłop i mieszczanin byli znacznie poniżej szlachcica, że byli „podłej kondycji”. W każdym razie jako całość kasta żydowska była umieszczona bardzo nisko i była pogardzana.

Ten pogardliwy stosunek do kasty żydowskiej był szczególnie uderzający, gdy się przejdzie do tych ocen, jakie grupy „podłej kondycji” stosowały jedne do drugich. I tu nasuwają się pewne analogie z tymi stosunkami, jakie na Południu Stanów Zjednoczonych wytworzyły się między Murzynami a „white trash” — „białą hołotą”. Coś podobnego da się również zaobserwować w niektórych krajach kolonialnych w przypadku stosunków między tubylcami „czystej krwi” a mieszzańcami.

Dla polskiego mieszczanina czy chłopą Żyd był zdecydowanie „parchem”. Był kimś gorszym, niższym, był śmieszny. Jeżeli występował np. w komedii rybałtowskiej czy w twórczości ludowej, to z reguły jako postać komiczna, zasługująca na wyszydzenie. Wyśmiewano jego język, jego strój, obyczaj, jego zajęcie. Był tchórzem, żył w wiecznym strachu. Był chciwy i nieuczciwy, ale też prawie zawsze ponosił surową karę za swoją chciwość i nieuczciwość. W ludowym obrazie Żyda momenty religijne odgrywały ogromną rolę. Żyd ponosił odpowiedzialność za mękę i śmierć Pana Jezusa, był też zaślepiiony w upieraniu się przy swych błędach religijnych. Niewątpliwie wpływ duchowieństwa był w tym silny.

Żyd wyszydzony jest ważnym motywem folkloru polskiego. Nie trudno jest zauważyć, że rzeczywistym przedmiotem wyszydzenia jest kasta i jej cechy. Przez swą odrębność, przez swe obyczaje, przez swe czynności jest ona czymś wysoce komicznym. Komiczna jest też zarozumiałość Żyda, który uważa się za kogoś lepszego, a przecież jest tylko „parchem”. Komizm ten zresztą niezbyt odbiegał od tego, jaki szlachcic czuł wobec chłopą, a chłop wobec szlachcica. Był to komizm płynący w dużym stopniu z niezgodności zachowania się członka drugiej grupy ze wzorem, który uważamy dla niej za właściwy.

Znow trzeba tu mocno podkreślić, że trudno tu było mówić o antysemityzmie w późniejszym tego słowa znaczeniu. Oczywiście od czasu do czasu do czasu wybuchały w miastach „tumulty” antyżydowskie i wśród chłopów niekiedy dochodziły do przejawów wyraźnej nienawiści do Żydów. Ale — jeżeli pominiemy Ukrainę wieku XVII i XVIII — były to zjawiska niezbyt ostre. Miały też one swoje specjalne podłoże społeczno-ekonomiczne, łącząc się z bardziej szerokimi procesami historycznymi. To ostatnie było szczególnie uderzające na Ukrainie, gdzie rzezie Żydów były fragmentem wielkiej rewolty ludowej i szły w parze z rzezią szlachty polskiej. Żydzi byli tu ofiarą ogólnego wstrząsu, wymierzonego przeciwko całej organizacji społeczno-gospodarczej i politycznej tej części Rzeczypospolitej. A że sami stanowili część tej organizacji, przeto na równi ze szlachtą masowo ginęli. W Polsce właściwej do wydarzeń takich nigdy nie doszło.

Antysemityzm jest pewną koncepcją, racjonalizującą określoną postać konfliktu międzygrupowego. Wprowadza on definicję Żyda jako wroga, którego należy nienawidzić i z którym trzeba walczyć. Takie racjonalizacje zaczęły się ukazywać w Polsce dopiero w drugiej połowie XIX wieku i ostatecznie skryształizowały się w wieku XX. W epokach wcześniejszych nie można było o nich mówić. Stosunek do Żyda — pogardliwy, niechętny, kpiący — nie był stosunkiem do *wroga*, który jest odpowiedzialny za nasze nieszczęścia i którego należy zniszczyć. Żyd był tu po prostu elementem szerszego układu, w którym obok „pana” mieścił się „tyk”, „cham” i „parch”.

## V

Jest rzeczą oczywistą, że i Żydzi ze swej strony wytwarzali własne definicje i stereotypy świata społecznego, w którego obrębie się znajdowali. Była tu przede wszystkim najszerbsza definicja nie-Żyda, chrześcijanina czyli „goja”. W podobny sposób Murzyn amerykański stworzył sobie definicję „białego”, a tubylec w krajach kolonialnych definicję „Europejczyka”. Nigdy to nie były i nie są definicje pochlebne. Są one tworzone na użytek wewnętrzny i nie są otwarcie wprowadzane do kontaktów ze światem zewnętrznym. Wypowiada się w nich postawa obronna, jaką kasta niższa zajmuje wobec kast wyższych.

„Goj” był czymś różnym od Żyda. W całokształcie organizacji społecznej zajmował on pozycję znacznie wyższą, ale zarazem był istotą znacznie gorszą od Żyda. Jego wierzenia, sposób życia, jego system wartości, jego działalność gospodarcza — wszystko to odbiegało od norm, jakie Żyd uważał za właściwe, i dlatego było gorsze i śmieszne. Jeżeli folklor chrześcijański stworzył typ komicznego Żyda, to z kolei folklor żydowski stworzył typ komicznego i głupiego „goja”.

Śmieszność „goja” ujawniała się zwłaszcza wtedy, gdy zabierał się do czynności, w których celowali Żydzi. „Gojowską głowę” można było poznać przede wszystkim w handlu oraz w tych czynnościach, które wymagały jakiegoś doświadczenia. Tu „goj” był głupcem i Żyd w dowcipie brał na nim odwet za swe poniżenie. Spotkamy się z taką postawą wszędzie tam, gdzie kasta niższa zajmuje postawę obronną wobec otaczającego ją świata.

„Gojowi” nigdy nie można ufać. Trudno z góry przewidzieć, jak się wobec Żyda zachowa, co mu do głowy strzeli. Trzeba stale wobec niego być na baczności i pilnie uważać, by nie zrobić czegoś, co obudzi w nim nieżyczliwość. Ma on swój obraz Żyda i Żyd powinien zachowywać się zgodnie z tym obrazem. Oczywiście wobec „goja” nie można być szczerym. Trzeba stale mieć nałożoną maskę uległości i pokory. Jeżeli Żyd „goja” śmieszny, to Żyd wobec „goja” powinien

być śmiesznym, podkreślając swym zachowaniem to, co w nim jest komiczne. Jest rzeczą uderzającą, jak dalece wszystko to miało swe repliki w innych krajach i cywilizacjach!

Nie znaczy to, by „goja” należało nienawidzić czy uważać za wroga. „Antygoizm” — jeżeli wyrażenia tego wolno użyć jako odpowiednika antysemityzmu — był postawą bardzo późną i wystąpił jako zjawisko towarzyszące żydowskiemu ruchom emancypracyjnym końca wieku XIX i początku XX. „Goj” gardził Żydem, ale nie musiał go nienawidzić. Podobnie Żyd gardził „gojem”, ale nie koniecznie go nienawidził. Pozostając w kaście, Żyd przyjmował jako rzecz oczywistą, że „goj” jest taki jaki jest i że tak a nie inaczej należy na niego patrzeć i do niego się odnosić. Miejsce swoje w kaście uważał Żyd za rzecz tak naturalną, jak za naturalne przez całe wieki uważał chłop polski swoje miejsce społeczne i jak je za takie uważał Murzyn amerykański. Postawa Żyda wobec „goja” nie oznaczała buntu wobec systemu kastowego. Była wyłącznie postawą obronną wobec konsekwencji życia w ramach kasty.

Jednakże w obrębie tego ogólnego stereotypu „goja” zachodziły wyraźne zróżnicowania. Oczywiście „goj” był zawsze „gojem”, bez względu na to jakie miejsce w organizacji społecznej zajmował. „Goj” był poza kastą żydowską i był tym, który — bez względu na swoją pozycję społeczną — jednolicie się do Żyda ustosunkowywał. Niemniej jednak każdy „goj” miał w świecie „gojowskim” jakieś własne miejsce społeczne i to nie mogło nie mieć wpływu na ustosunkowanie się Żyda do niego.

Żyd od szlachty przejął ocenę chłopca jako „chama” i mieszczanina jako „tyka”. Żyd polski gospodarzo — nawet kulturalnie — był najściślej związany ze szlachtą. Funkcje gospodarcze, jakie Żyd wykonywał, były w ogromnym stopniu pochodną całego systemu gospodarki szlacheckiej. Żyd polski, nie zdając sobie z tego sprawy, w swych ocenach społecznych i kulturalnych utożsamiał się ze światem szlacheckim. O tym zresztą wypadnie nam jeszcze mówić.

Stąd w oczach Żyda chłop był „chamem”. Dochodził do tego jeszcze jeden bardzo ważny moment. Etos żydowski jako naczelną wartość wysuwa mądrość, wiedzę. Inaczej niż w protestanckim purytanizmie, majątek nie jest dla Żyda wartością samą przez się i nie jest zewnętrzną oznaką charyzmy. Majątek może być środkiem dla osiągnięcia najwyższej wartości — mądrości, wiedzy. Z wyjątkiem chyba kultury chińskiej, w żadnej innej kulturze wiedza nie jest ceniona tak wysoko jak w tradycyjnej kulturze żydowskiej. Mniej ważne jest, jaka jest to wiedza. Istotne jest, że jest to wiedza. W świecie żydowskim człowiek niewykształcony — choćby nawet bardzo bogaty — stał znacznie niżej od biednego mędrca. Jest rzeczą uderzającą, że ta zasadnicza cecha etosu żydowskiego była zupełnie zignorowana przez stereotypy tworzone przez świat zewnętrzny, któ-



re stale przypisywały Żydom traktowanie majątku jako wartości najwyższej. Było to oczywistym następstwem tych funkcji gospodarczych, jakie kasta żydowska tradycyjnie wykonywała.

„Gój”, jakiego Żyd znał i z jakim najczęściej stykał się na co dzień, wiedzy nie cenił. Przeciwnie — był niewykształcony, ciemny, zazwyczaj analfabeta. Stąd pogardliwy stosunek Żyda do chłopca, który w jego oczach był podwójnym „chamem”, raz — jako chłopca taki, jakim go definiował świat szlachecki, dwa — jako istota ciemna, głupia, której obca była wiedza. W ogromnym stopniu stosunek taki przenosił się na mieszczanina, który był nie tylko „łykiem”, ale i nieukiem, oraz na ogromną część szlachty. Z wyjątkiem jednostek bardzo wykształconych, do których Żyd odnosił się prawdziwie z szacunkiem, każdy „gój” był „chamem”. W folklorze Żydów polskich natrafic można na liczne dowody czci dla mądrych nie-Żydów, którzy — rzecz godna podkreślenia — byli obrońcami i przyjaciółmi Żydów.

Oczywiście nie zobaczymy tu nigdzie postaw jednolitych, logicznie sformowanych poglądów, wolnych od sprzeczności wewnętrznych. Tego nigdy nie ma w tych definicjach, jakimi ciągle posługujemy się w stosunkach międzyludzkich. „Gój” Żydowi przedstawiał się w postaci dwojakiej: był istotą rządu wyższego, nawet gdy był chłopem, i był głupim „gojem”, „chamem”, istotą niższą, zasługującą na pogardę. Nazewną kasty obowiązywała pierwsza definicja, na wewnątrz — druga. Były to postawy wybitnie ambiwalentne, logicznie rzecz biorąc — sprzeczne, ale doskonale współistniejące ze sobą.

One także znajdowały dla siebie odbicie w zasadzie podwójnej moralności, o której była mowa poprzednio. Dochodziły tu nawet nowe momenty. Żyd uważał się za przedstawiciela narodu wybranego. Inaczej niż Murzyn amerykański, inaczej niż większość ludów tubylczych w krajach kolonialnych, i inaczej niż chłop polski, Żyd miał w sobie wysoce rozwinięte poczucie swego znaczenia kulturalnego, swej własnej charyzmy. Niewiele w historii świata znajduje się grup etnicznych — zwłaszcza grup kastowych — w których by poczucie znaczenia kultury duchowej, skoncentrowanie najważniejszych elementów życia na tej kulturze, odgrywało taką rolę, jak wśród Żydów. Jedynie bodaj Chiny — w pewnym stopniu Indie — mogą posłużyć jako przykład zbliżonego zjawiska. Żydzi ponadto mieli świadomość, że swej kulturze, w pierwszym rzędzie — tradycji zapisanej, zawdzięczają swe trwanie, swoją ciągłość historyczną. Żydzi to społeczność Pisma, to społeczność Książki. „Goje”, z którymi się Żydzi stykali, nie mieli, pomijając nieliczne wyjątki, ani takich tradycji, ani takiego stosunku do wartości Pisma i Książki. Zasługiwali więc na pogardę.

W żadnym jednak wypadku nie wolno było tej pogardy uzewnętrzniać. Albowiem „gój” — to było faktem niezbitym — w hierarchii społecznej stał ponad Żydem. Temu głupcowi trzeba było ulegać. Czy jednak mogło być coś złego w tym,

że się zρέcznie umiało wyzyskać jego głupotę? Takie postawy i rozumowania nie są rzadkie wśród kupców chińskich poza Chinami. Podwójna moralność — produkt każdego systemu kastowego — znajduje tu jeszcze mocniejsze dla siebie oparcie.

## VI

Kasta jest grupą zamkniętą. Jako całość jest ona kulturalnie, obyczajowo, gospodarczo odcięta od innych grup społeczności narodowej. Czy jest ona jednak od nich *izolowana*? Trudno to tak nazwać. I kasta jako całość i jej poszczególni członkowie utrzymują stałe stosunki z innymi grupami i ich członkami. A gdy takie stosunki zachodzą, muszą następować i jakieś oddziaływania i wzajemne przenikania wpływów. O absolutnej izolacji nie może być mowy.

Wiemy dziś doskonale, że w Stanach Zjednoczonych bardzo rygorystyczny system kastowy nie przeszkodził wzajemnemu przenikaniu wpływów między Murzynami a białymi. W rezultacie Murzyn amerykański już w momencie Emancypacji — nie mówiąc już o późniejszych epokach — przejął by całą masę elementów kultury białych, a białe Południe niejedno przejęło od Murzynów. Tu zaś mamy do czynienia ze społecznością, której pierwotne więzi i tradycje kulturalne zostały gwałtownie przzerwane i zniszczone, i która swój dorobek kulturalny musiała stwarzać od podstaw. Przejęła go od białych, ale zarazem dała białym coś ze swych doświadczeń, zdobytych na plantacjach.

Getto żydowskie było terenowo izolowane. Żydzi jako całość mieli swój własny świat, tworzyli jednostkę autonomiczną, byli pod bardzo wieloma względami odseparowani od reszty. Ale w jakimś stopniu wszystko to dawało się w dawnej Polsce odnieść i do szlachty, i do mieszczan, i do chłopów. Zapewne stopień odosobnienia Żydów był szczególnie znaczny, choćby ze względu na ich swoistość kulturalną, bardziej specyficzną niż swoistość kulturalna szlachty polskiej lub chłopów polskich. Ale były stałe kontakty między szlachtą, mieszczanami i chłopami, i były stałe kontakty między Żydami i chrześcijanami. Kontakty te były wielostronne i różnorodne.

Zasadniczo rzecz biorąc, istniał potężny dystans pomiędzy chrześcijaninem a Żydem. Obie strony, każda dla swych racji, starały się go utrzymać. W życiu religijnym, politycznym, towarzyskim, kulturalnym chrześcijanie i Żydzi nie spotykali się ze sobą. Każda strona trzymała się sfery, jaka była dla niej wyznaczona. Tak samo zresztą, jak był dystans pomiędzy „panem” a „chamem” czy „łykiem”. I tu każda strona trzymała się wyznaczonej sobie strefy.

Były jednak dziedziny i sytuacje, gdy dystans ten kurczył się a nawet zanikał. W plantatorskiej Ameryce dystans pomiędzy białym plantatorem a czarnym niewolnikiem był kolo-

salny. A jednocześnie czarna niańka i czarny kamerdyner weszli w życie białych jako instytucje społeczne o ogromnym znaczeniu i jako żywi ludzie, których wpływ na sprawy białych plantatorów był głęboki i wszechstronny. Ta czarna niańka i ten czarny kamerdyner byli bliskimi ludźmi, doradcami, przyjaciółmi, nieraz w życiu codziennym prawdziwymi tyranami. Stosunek białych panów do nich był pełen serdeczności, przywiązania, jak najdalej posuniętej życzliwości. I czarny niewolnik gotów był życie swe poświęcić dla pana i jego rodziny. Do tej pory w stanach południowych zachowały się tradycyjne więzi pomiędzy rodzinami dawnych panów i dawnych niewolników. Murzyn-przyjaciel, powiernik, doradca wszedł do tradycji Południa Stanów Zjednoczonych, stał się składnikiem miejscowej kultury. We wszystkich krajach i cywilizacjach, gdzie wytworzyła się organizacja kastowa, można znaleźć podobne przykłady. Członek kasty niższej jest nadal członkiem kasty niższej, pomiędzy nim a światem pozakastowym utrzymuje się daleki dystans, ale równocześnie w pewnych określonych sytuacjach i ze względu na pewne specyficzne stosunki dystans ten zanika i przemienia się w bliskość.

Nie inaczej było w Polsce z Żydami. Jedną z najważniejszych okoliczności, wyznaczających oblicze Żydów polskich jako kasty, było wykonywanie przez nich określonych funkcji gospodarczych. W olbrzymiej swej większości zajmowali się oni handlem, pośrednictwem, rzemiosłem. Funkcje te były organicznie związane z całym systemem gospodarczym Polski szlacheckiej. Były pochodną gospodarki folwarcznej, pańszczyźnianej, bardzo słabo uprzemysłowionej. Twierdzenie — popularne od końca wieku XX — że to Żydzi utrzymywali gospodarkę polską na tak niskim poziomie, było śmieszne. Prawdą było, że gospodarka polska utrzymywała Żydów na tak niskim poziomie, jak zresztą utrzymywała na tym poziomie wszystkie inne grupy zbiorowości polskiej.

Wykonywując takie czynności gospodarcze, Żyd wchodził w stałe i wszechstronne stosunki z nie-Żydem. Nie zawsze i nie koniecznie ograniczały się one do płaszczyzny czysto gospodarczej. W bardzo wielu wypadkach sięgały one znacznie dalej i głębiej.

Aż prawie do końca wieku XIX znaczna część ludności żydowskiej na ziemiach polskich mieszkała na wsi lub w miasteczku, które było najściślej ze wsią związane i faktycznie było nadal częścią systemu gospodarki folwarcznej. Wyjątkiem był zabór pruski, gdzie nieliczna ludność żydowska stanowiła element wybitnie miejski. Ale w obu pozostałych zaborach żydowski pachtarz, karczmarz, arendator, faktor, sadownik stanowił kółko w mechanizmie gospodarki folwarcznej. Było to ważne kółko. Faktycznie duża część czynności handlowo-kredytowych i administracyjnych była powierzana Żydom. Do tego dochodził udział Żyda małomiasteczkowego: kupca zbożowego, dostawcy wszelkich artykułów, krawca, szewca

itp. W Galicji szczególnie można tu jeszcze było dodać miejscowego lekarza i prawnika, od końca wieku XIX coraz częściej pochodzenia żydowskiego.

Słowem — jak mawiano — „szlachcic nie mógł obejść się bez Żyda”. Taki był stan faktyczny. Dla naszych rozważań jest obojętne, jakie okoliczności historyczne spowodowały taki stan rzeczy. Swoiste warunki rozwoju Polski sprawiły, że Żydzi byli jedynym elementem, który mógł się stać takim kółkiem w aparacie szlacheckiej gospodarki folwarcznej. Gdy gospodarka ta zaczęła się załamywać i schodzić z widowni, ofiarą, obok szlachcica-ziemianina, był i jego Żyd.

Trzeba stale podkreślać i powtarzać, że żydostwo polskie było mocno i wszechstronnie związane z Polską szlachecką. Bez przesady można powiedzieć, że było jej produktem. Było z nią związane gospodarczo i nie tylko gospodarczo. Jak jeszcze o tym będzie mowa, istniały tu i więzi kulturalne. Nie jest rzeczą przypadkową, że antysemityzm nie znalazł dla siebie mocnego podłoża w środowiskach ziemiańskich. Nawet w okresie międzywojennym, gdy środowiska te były już w stanie daleko posuniętego rozkładu. W tym okresie wśród ludzi, odnoszących się do Żydów życzliwie, nie brakło jednostek o głośnych nazwiskach arystokratycznych.

Nie przestając być członkiem kasty, Żyd jednocześnie miał liczne i różnorodne stosunki ze światem szlachecko-ziemianiskim. Nie były one pozbawione cech intymności i serdeczności. Powieść polska tego okresu, aż po Marię Dąbrowską, daje niezliczone przykłady takich bliskich i ciepłych stosunków między dworem a Żydem. Nieraz ta bliskość przechodziła z pokolenia na pokolenie, wytwarzając tradycję *patronatu* rodu ziemiańskiego nad „naszymi Żydami”. W takich wypadkach Żyd przestawał być „parchem” a stawał się „żydkiem” — istotą swojską, do której miało się zaufanie, którą uważało się za część własnego świata.

Warto jest zwrócić uwagę na ten szczegół terminologiczny. „Żydek”, „żydóweczka” — oznaczało uswojszczenie Żyda, włączenie go do własnego świata wartości, do własnej rzeczywistości. Niewątpliwie i „żydek” był członkiem kasty, od której szlachcica dzielił daleki dystans. Ale równocześnie ten „żydek” był osobą bliską i swoją. W przystępie gniewu mogło się ją wymyślać od „parchów”, ale nie zmieniało to zasadniczego stosunku. Nie inaczej przecież w plantatorskiej Ameryce układał się stosunek białego pana do zaufanego i lubianego czarnego niewolnika.

Nie tylko Żydzi małomiasteczkowi byli w ten sposób wciągnięci w krąg świata ziemiańsko-szlacheckiego. Ostatecznie aż do drugiej połowy wieku XIX ekonomika nawet większych miast polskich była w takim czy w innym stopniu pochodną ekonomiki folwarcznej. Polski Żyd wielkomiejski — mizernie te „wielkie” miasta wyglądały i w rzeczywistości były rozszerzonymi miasteczkami — w taki czy

inny sposób ciążył ku folwarkowi i swoją działalność gospodarczą przystosowywał do potrzeb i właściwości folwarku.

Jeżeli w folklorze ziemiańsko-szlacheckim nie brakło ciepła w stosunku do „żydków” (choć nie koniecznie w stosunku do Żydów), to z drugiej strony i w folklorze żydowskim nie brakło dowodów życzliwości i przywiązania do dobrych panów, nie brakło tradycji lojalności wobec życzliwych patronów. „Dobry goj” jest tu równie pospolity jak „poczciwy żydek” po stronie polskiej.

Nie można więc było mówić o „izolacji” Żydów w Polsce. Oczywiście jako kasta byli oni w obrębie zamkniętego systemu, tworzyli świat sam dla siebie. Ale równocześnie jako jednostki i mniejsze zespoły utrzymywali stałe kontakty ze światem pozakastowym, stanowili składnik tego świata, odgrywali w nim poważną rolę. Były to kontakty częste, liczne, wielostronne. Miały one mocne zabarwienie emocjonalne. Żyd czy raczej „żydek” stał się częścią świata wartości polskiego szlachcica-ziemianina i nie był wartością ujemną. I tym samym wytwarzały się drogi wzajemnego oddziaływania kulturalnego. Drogi te były ściśle wytyczone przez cały układ stosunków społecznych i gospodarczych świata folwarczno-szlacheckiego. Oddziaływania mogły zachodzić tylko w pewien sposób i w pewnych ramach. Tak zresztą jak jedynie mogły zachodzić wszelkie oddziaływania międzygrupowe w danych warunkach. Ale zachodziły i — jak o tym wypadnie nam szerzej pomówić — były poważne.

Świat ziemiańsko-szlachecki tworzył też podstawę i ramy dla styczności Żydów z chłopami. I chłop i Żyd tworzyli — różne co prawda, ale bardzo ważne — elementy systemu folwarcznego. W obrębie tego systemu chłop i Żyd stykali się nieustannie: w karczmie, w kramie, w różnych sytuacjach życia wiejskiego. Żyd był rzemieślnikiem, był wędrownym handlarzem, był źródłem kredytu. Bardzo też często był pośrednikiem między chłopem a panem, czy też reprezentantem pana wobec chłopca. I w tym wszystkim nie był chłopu obcym. Niewątpliwie w sytuacjach ostrych konfliktów społecznych stawał się ofiarą tego, że był utożsamiany ze dworem. Tak było na Ukrainie — w wieku XVII i później w czasie Koliszczyzny. Ale były to sytuacje specjalne. Normalnie, podobnie jak dla dworu, tak i dla chaty był on „swoim żydkiem”, którego się znało i któremu można było ufać. Chłop — w zupełnej zgodzie ze szlachcicem — mógł traktować całą kastę żydowską jako „parchów”, ale wydzieliał tu „swoich żydków”, z którymi się stale stykał i których znał.

Niejednym z obserwatorów polskiej wsi chłopskiej podkreślał rolę autorytetu, jaką Żyd odgrywał w gromadzie wiejskiej. Stanisław Schnür-Pepłowski w książce „Cudzoziemcy w Galicji (1787-1841)” (Kraków, 1902) przytacza uwagi Ernesta Kortuma, poświęcone Żydom galicyjskim końca wieku XVIII i początku XIX. W książce „Über Judentum und

Juden” Kortum pisał: „Chłop, traktowany z góry przez dziedzica, widzi w żydzie jedyne go przyjaciela. Mówi z nim otwarcie, słucha jego rad, przyjmuje jego pomoc, ucieka się do jego protekcji...” (str. 50). Na podobne stosunki wskazywali i inni obserwatorzy, nawet w czasach znacznie późniejszych. Wanda Wasilewska, pisząc w roku 1937 w „Wiadomościach Literackich” o swych wędrownościach po Polesiu, stwierdzała, że chłop poleski traktował miejscowego Żyda jako człowieka zaufanego i zwracał się do niego jako do pośrednika, gdy chodziło o stosunki z władzą państwową (WL, 1937, Nr 40). Nie mamy podstaw, by Wasilewskiej nie ufać w tym wypadku.

Stosunkowo najsłabsze kontakty łączyły Żyda z mieszczańskim. Tu zresztą wchodziła w grę kolizja interesów gospodarczych. W porównaniu ze szlachtą i chłopami płaszczyzna styczności była tu wąska, powiązania nieliczne i raczej antagonyzyczne.

## VII

Podsumujmy nasze dotychczasowe wywody. Żydzi w Polsce szlacheckiej tworzyli kastę. Organizacja kastowa powstała w wiekach średnich, utrzymała się i rozwinęła przez cały okres trwania Rzeczypospolitej szlacheckiej, zachowała się i po jej upadku. W rzeczywistości kastowy charakter Żydów polskich istniał — w formie już coraz bardziej przeżytkowej — aż do roku 1939. Później przyszła Zagłada. Ta organizacja kastowa Żydów polskich mieściła się w ramach szerszej organizacji społecznej, charakterystycznej dla rozwoju historycznego narodu polskiego.

Kasta miała decydujące znaczenie dla oblicza żydostwa polskiego i dla jego pozycji w całości zbiorowości polskiej. Nie zrozumie się nigdy właściwości Żydów polskich, jeżeli nie weźmie się pod uwagę faktu, że stanowili kastę. A że wszędzie — w każdej cywilizacji, w każdej społeczności narodowej, na całym świecie — kasta wytwarza specyficzne właściwości i stosunki międzyludzkie, przeto nie zrozumie się w pełni dziejów i roli Żydów polskich, jeżeli będzie się ich traktowało jako coś swoistego, wyłącznie żydowskiego czy też wyłącznie żydowsko-polskiego. Sprawa żydowska w Polsce była wypadkiem poszczególnym pewnych procesów i faktów znacznie ogólniejszych. W Polsce miała ona oczywiście swoje lokalne zabarwienie, była pochodną całego rozwoju cywilizacji polskiej. Ale w swych założeniach i podstawowych przejawach mieściła się w kategoriach czegoś nieskończenie szerszego. Te rzeczy dotąd zupełnie nie były rozumiane ani uwzględniane. Nie rozumieli ich — ani programowo rozumieć nie mogli i nie chcieli — pisarze antysemitów. Nie uwzględniali ich pisarze żydowscy, reprezentujący obóz nacjonalistyczny. I przeoczał je ci nieliczni badacze polscy i żydowscy, którzy usiłowali podchodzić do tych spraw poważnie.

Widzieliśmy dalej, że kasta — przy całym swym odosobnieniu i zamknięciu w sobie — nie jest izolowana od całości życia zbiorowego. Kasta mieści się w tym życiu i jest jego częścią. Zwłaszcza gdy spełnia określone i ważne funkcje gospodarcze. Następstwem tego były stałe, silne i wielostronne styczności pomiędzy Żydami i nie-Żydami w Polsce. Zachodziły one przez całe tysiąclecie historii żydowstwa polskiego. I miały głębokie następstwa kulturalne dla obu stron. Żydzi, czy to stając się Polakami, czy zachowując swą odrębność, coś wnosili do kultury polskiej i sami coś z niej wchłaniali.

Wypadnie nam w dalszym ciągu przeanalizować aparat tych przyników i ich proces. Podstawą będą dla nas przemiany, jakie zachodziły w kaście, oraz przejawy jej stopniowego rozpadu.

Aleksander HERTZ

## AMERYKA-ECHO

Niezależne Pismo Tygodniowe  
Pod Nowym Zarządem i Kierownictwem

Daje poważne i wnikliwe artykuły o Polsce i o pracy dla Polski zagranicą. Dział dla Kobiet, Pogadanki z Czytelnikami, Kącik dla Wszystkich, informacje naukowe, powieści, poezje, humor. Czternaście stron doskonałej lektury. Roczna prenumerata w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie \$7.00, w Europie \$7.50, w Ameryce Południowej \$6.50, w Australii \$7.50.

Wysyłamy bezpłatnie egzemplarze okazowe.

Największa Księgarnia polska w Stanach Zjednoczonych  
— Na składzie ponad 270 tysięcy tomów książek.  
Posiadamy także przedstawicielstwo książek „Kultury”.

Po informacje pisać:  
AMERYKA-ECHO, INC.

1154 Nebraska Avenue  
Toledo 7, Ohio  
U. S. A.

## Tygrys

Mój przyjaciel Tygrys zapowiadał w Warszawie, że po wojnie będę odbywać dalekie podróże. Śmiałem się trochę z tego, a on mówił: możesz wierzyć albo nie. Korona afrykańskiego króla na mojej głowie nie bardziej by mnie zdziwiła niż spełnienie się tych zapowiedzi, ja w Ameryce i wyjazdy na wakacje szosą New York — Boston, do nadmorskich lasów Cape Cod. W literach „D.P.” na tabliczce Chevroleta był szczególnie smak. Dla milionów Europejczyków oznaczały one wtedy niską i ponurą dolę *Displaced Persons*. Ale tutaj zastępowały po prostu słowa: „Diplomatic Personnel”. W niebieskiej książeczce, zawierającej nazwiska i adresy dyplomatów akredytowanych w Waszyngtonie, figurowałem jako drugi sekretarz ambasady Polski Ludowej. I gotów byłem niemal zaczepiać przechodniów, przepraszając ich za to, że podaję się za kogo innego niż jestem. Gdyż siebie od środka odczuwamy inaczej niż nas widzą, szaty przez nas noszone nie są naszą skórą — choć w tym buncie przeciwko narzuconej nam społecznej roli jest wiele złudzeń.

Mógłbym zapełniać wiele stron opisem pochodu Czerwonej Armii przez Polskę, streszczać rozmowy z jej oficerami i żołnierzami. Mógłbym też zastanawiać się nad cyklonem, rzucającym na dno rody, fortuny i całe klasy, albo próbować wyjaśnić czemu po przewrocie bezpartyjny poeta korzystał z przywilejów i został wysłany do Ameryki. Perypetie z cenzurą w Polsce i wewnętrzne sprawy „czerwonej” ambasady w Stanach Zjednoczonych też dostarczyłyby smakowitych kąsków. Wszystko to jednak wydaje mi się zbędne. Chcę sięgnąć w głąb moich pięciu lat literata i dyplomaty demokracji ludowej i wyłuskać

Powyższy esej jest rozdziałem z książki Czesława Miłosza pt. *Rodzina Europa*, która w tych dniach ukazała się jako tom 50-ty „Biblioteki Kultury”. (12 N.F.; 17/3 sh.; 2,50 dol.).

stamtąd co najważniejsze. Najważniejsze, była to gwiazda filozoficzna, gwiazda Tygrysa.

Myliliby się kto by pomniejszał nasze rozterki i decyzje, przypisując je wyłącznie geograficznemu położeniu kraju, oddanego układem w Jalcie administratorom wschodniej części planety. Sceną naszych spostrzeżeń i rozmyślań była nie Polska, ale świat. Polska jednak pozwoliła nam zdobyć gorzką wiedzę, nie do zakomunikowania ludziom zachodnim. Przyglądaliśmy się im z cichym śmiechem. Nasza obolałość mogła wziąć odwet jedynie przez złośliwą mądrość, najoczywiściej wyższą. Chętnie używaliśmy w naszych dialogach skrótów i szyfrów. Rozbita i bezsilna Grecja, nasza ukochana Grecja, to była Europa. Nieraz też imię Aleksandrii nadawaliśmy Francji, zastygłej w staroświeckich obrzędach swoich gramatyków i retorów. A Stany Zjednoczone, były czy nie były Rzymem, spragnionym tylko spokoju, chleba i igrzysk?

Nie od razu po wojnie odnaleźliśmy się z Tygrysem. Mieszkałem już od pewnego czasu w Waszyngtonie, kiedy otrzymałem od niego list z Paryża. Oboje, deportowani z Warszawy do obozów w Niemczech, pracowali tam po wkroczeniu Aliantów jako tłumacze niemiecko-angielscy przy armii brytyjskiej. Potem osiedlili się w Quartier Latin, na razie jako uchodźcy, dość szybko jednak uznali za wskazane opowiedzieć się za nową Polską. Wymiana listów przygotowywała nasze, upragnione przeze mnie, spotkanie.

Powietrze Ameryki, nawet latem w Waszyngtonie, z 98° wilgotności, nie rozleniwiało mnie ale podniecało. Powietrze Polski zawsze przygnębia rozpyloną w nim melancholią, wdycha się tam pierwiastki ściskające nam serce i stale życie odczuwa się jako niezupełnie rzeczywiste, stąd ciągła ochota pójścia na wódkę, z oczekiwaniem że nieosiągalna normalność zostanie przywrócona. Ale nawet w zachodniej Europie nigdy rzeczy ziemskie nie ukazywały mi się tak konkretnie, wyposażone w materialną, doczesną wartość. Nie żądałem omszałych ruin, średniowiecznych kościołów i rzymskich akweduktów, wystarczały mi białe domki w zieleni i szum maszynki do strzyżenia trawników.

Waszyngton, bezosobowy aparat do mieszkania, abstrakcja, mieścił się dla mnie cały w gałęziach drzewa przed oknem i w śpiewie cynobrowych ptaków. Ale lubiłem New York i roztapianie się w jego tłumie. Przede wszystkim jednak uczyłem się wsi i przyrody, powracając po długiej przerwie w mój wiek chłopiący. Jak wszyscy Europejczycy, fałszywie wyobrażałem

sobie dotychczas władztwo techniki, sądząc, że z przyrody w Ameryce nic nie przetrwało. Naprawdę pełniła się ona o wiele bujniej nawet niż w leśnych okolicach mego dzieciństwa, gdzie rolnik, nieraz orzący jeszcze drewnianym pługiem, od wielu stuleci niszczył ją skutecznie. W pobliżu New Yorku asfalt szos był mieczem rzuconym w gąszcz, na znak, że człowiek jest z innego ładu, zasadniczo obcego węzom, żółwiom, koszatkom i skunksom, które, przedostając się przez tę nienaturalną taśmę, ginęły od uderzenia samochodowych kół; przecięcie się linii ich marszu z linią woli kierowcy miało w sobie coś ze spotkania ludzkich losów z zamiarami Bóstwa. Zagłębiałem się w książki o amerykańskiej faunie i florze, nawiązywałem dyplomatyczne kontakty z jeżozwierzami i bobrami w lasach stanu Pennsylvania, najwięcej zresztą nęciły mnie stany północne: Vermont i Maine. Świerki Maine nad białą mgłą zmierzchów i świtów nie występowały jako zastępcy świerków Litwy, odejmowałbym im ich piękną samoistność, gdybym przy ich pomocy nasycił swoją nostalgię. Ale trawy do pasa z osypującymi się kroplami rosy, wykroty, płatanina korzeni, ukryta obecność łośia i niedźwiedzia, jakież zdumiewające pokrewieństwo uczuciowej tradycji. Ameryka drzewna i roślinna, pachnąca sianem koszonym na leśnych łąkach, przylegała do mnie gładko, przedstawiałem być w niej cudzoziemcem. Nikt z nas „wschodnich”, choćby mieszkał długo we Francji czy Anglii, nie potrafi zostać Francuzem czy Anglikiem, tutaj jednak, na zabawach w wiejskich *barns*, kiedy tańczą razem wszyscy, od brzdąców do starców, pojmowałem że można zapomnieć, że ludowa legenda o Ameryce oddzielonej oceanem niby wodą Lety jest usprawiedliwiona.

Chciałem zapomnieć. W snach nawiedzały mnie fragmenty: droga między sosnami ponad urwistym brzegiem rzeki, jezioro i nad nim sznur kaczek, a przede wszystkim ludzie, nieproszeni goście, cienie, najczęściej mali, głupi, o skromnych ambicjach, okrutnie ukarani za to, że chcieli tylko żyć. Jacyś chłopci, Żydzi z zapadłych miasteczek, mój kolega ze szkoły i uniwersytetu, pedant, kujon, właściciel idiotycznej kolekcji pustych pudełek od papierosów, marzący o karierze prokuratora, zamęczony w jakimś syberyjskim łągrze; inny, łysy erotoman z uszami nietoperza, który tak opowiadał o pewnym garnizonowym miasteczku: „Przychodzimy do Skidla, mówię wam, raj nie miasto, co dom to burdel”; zastrzelili go kiedy przekradał się przez tę samą co ja granicę w 1940 roku i usłyszawszy o tym nigdy nie mogłem pozbyć się obrazu jego krótkich, tłustych palców, drących mech w spazmie agonii.

Ameryka jednak była dla mnie trudna do przyswojenia. Moja stara choroba, na jaką cierpiałem może już w szkole, spotęgowała się wskutek wypadków do zupełnie ostrego stanu. O ile wiem, nie figuruje w podręcznikach psychiatrii. Polega na zaburzeniach w percepcji czasu. Chory ma przed sobą ciągle klepsydrę, w niej sypie się piasek państw, ustrojów i cywilizacji, natomiast to co go otacza traci jakąkolwiek moc istnienia, nie trwa w ogóle, rozpada się, czyli byt jest nierealny, r u c h tylko realny. Ci, co sadzą kwiaty, orzą pola, budują domy zasługują wtedy na litość, jako uczestnicy fantasmagorycznego widowiska, nie bardziej prawdziwi niż dla demona, kiedy zlatuje pod ich okna wieczorem i zagląda przez szybę. Są z góry skazani, ponieważ ład, w jakim zdomowali się, ład kształtujący ich wszystkie myśli i uczucia, jest, jak każdy ład, dojrzały do klęski. Być może na taką chorobę cierpią nie tylko jednostki, ale całe narody, jeżeli wpadają w długotrwałe nieszczęście i nie mogą znieść widoku innych, tępo zadowolonych; zawiść każe im szukać pociechy w wizjach nagłej kary czekającej tych, których los niesprawiedliwie dotychczas oszczędzał. Jako klasyczny chyba przykład nieuleczalnego powinien być tutaj przypomniany Aleksander Hercen. Wyjechał do zachodniej Europy z państwa Mikołaja I-go w 1847 roku i w tym samym roku tak ją osądzał: „Świat w którym żyjemy umiera; należy go pochować, aby spadkobiercy lżej odetchnęli; a ludzie chcą go koniecznie wyleczyć i zatrzymują śmierć”. „Świat stary zgarbił się w swojej arystokratycznej liberii, zwłaszcza po roku tysiąc osiemset trzydziestym, twarz jego przybrała barwę matowo-ziemistą”. „To *facies hipocratica*, po której doktorzy poznają, że śmierć już podniosła kosę”. Co go otaczało wydawało mu się bezsenssem, ponieważ sens ma tylko wstrząs, ruina, apokalipsa. „W Paryżu — wesoła nuda, w Londynie — bezpieczna nuda, w Rzymie — majestatyczna nuda, w Madrycie — duszna nuda, w Wiedniu — nuda duszna”.

W sto lat po nim, miałem, jak widać, coś wspólnego z tamtymi biednymi Rosjanami. Mój umysł musiał przebiegać epoki jak pocisk, chwycić cechy ogólne i wektory rozwoju, przyspieszać stawanie się, czyli dolegał mu nadmiar tego, czego brak uderza u Amerykanów. Dlatego zapewne Tygrys twierdził, że mam umysł dialektyczny. Dialektyczny czy katastroficzny — to może niezupełnie to samo, ale prawie. Stąd przenikliwość, zdolność do gwałtownych skrótów i pycha dominacji nad mrowiskiem, zajętych swoją codzienną krzątaniną czyli bezsenssem. Po Detroit, Chicago i Los Angeles chodziłem jak antropolog, któremu dane byłoby zwiedzać cywilizację Inków czy Azteków.

Oni brali swoje społeczeństwo za coś, co wynikało z samego porządku natury, tak nim nasyć, że skłonni tylko litować się nad resztą ludzkości jako odstępstwem od normy. Jeżeli zdawałem sobie sprawę, że ze mną jest niedobrze, to oni byli dotknięci wręcz przeciwnym kalectwem: zanikiem poczucia historii to znaczy zanikiem zmysłu tragicznego, bo ten rodzi się tylko z doznania historii. Cała ich drapieżność została skanalizowana w walce o pieniądź i ta walka przesłoniła krwawą pedagogię Wojny Domowej, a później każdy z nich był już tak wprawiony, że bezrobocie podczas wielkiego kryzysu odczuwał tylko jako hańbę osobistej nieudolności. Doceniałem ich, byłem wielbicielem ich Ameryki. Nikt tu nie mógł usprawiedliwić swego lenistwa wzdychając: „gdyby nie przeznaczenie narodów, gdyby nie car, gdyby nie rząd, gdyby nie burżuazja...”. Ale paradoksalnie ten triumf jednostki zmieniał się w jej wewnętrzzną jałowość, dusze mieli z błyszczącego plastiku, tak że tylko Murzyni, przez swoją obsesję podobną do naszej (*Oh, what a morning when the stars begin to fall!*) byli żywi, tragiczni i spontaniczni. Dla kogoś, kto jak ja zasklepił w sobie proroctwo: „Ameryka zostanie zniszczona przez ogień, Anglia przez ogień i wodę, a Rosja przez upadek części księżyca”, taki wieczer jak spędziłem w Columbus, Ohio, nie jest zdrowy. Niedziela, pustynia głównej ulicy z kręcącymi się światłami reklam i kin. W jedynym teatryku, zabijając czas do odejścia pociągu, rozkoszowałem się czystą wulgarnością *Burlesque*, nieprześlągniętą żadnym pozorem estetyki, plebejską, na miarę imigrantów w robotniczych osadach dziewiętnastego wieku. Ruchy kopulacyjne dziewcząt na scenie byłyby zrozumiałe nawet dla pawianów. Rozrywka samotnych samców; ale w barze naprzeciwno została odjęta samotnym nawet pociecha bełkotania wyznań do barmana, bo ekran telewizji trzymał utkwione w nim oczy wszystkich. Więc to kres, poza który nie może sięgnąć *l'homme moyen sensuel*, kiedy jest zostawiony samemu sobie i nie niepokojony przez burzliwość historii? Wnętrze pociągu, do którego wsiadłem w chwilę potem, było ozdobione wielkimi reprodukcjami francuskich impresjonistów.

A przy tym ta ciągnąca maskarada. „Komunizm i antykomunizm”. O komunizmie to ja mógłbym im co nieco opowiedzieć, ale musiałem usta zamykać na kłódkę. Zresztą nie byłoby warto, te same słowa oznaczały co innego dla nich i co innego dla nas. Dostrzegałem piętę achillesową ich ustroju, tę selekcję polityków i mężów stanu niemal zawsze in minus. Co gorsze na przyjęciach w ambasadzie bywały entuzjastyczne damy, wielbicielki postępu na Wschodzie, kury domagające

się ziarna propagandowych kłamstw. Perwersyjna, komiczna maskarada, bo zaprzętały mnie studia o T.S. Eliocie i W.H. Auden, antologie amerykańskiej poezji, dzieła Faulknera i Henry Millera, tomy Roberta Lowell'a i Karla Shapiro, periodyki takie jak *Partisan Review* czy *Politics* Dwighta Macdonalda, wystawy nowoczesnego malarstwa. Nie amerykańscy dyplomaci ale Czerwony informował swoimi korespondencjami o intelektualnej Ameryce, tak mało wtedy znanej w Europie.

Miliony ludzi, których obchodzi pieniądź. Mnie obchodziło mało. Nie wywodziłem się z klasy umiejącej go cenić i za wiele razy wychodziłem z palących się, dosłownie czy przenośnie, miast, nie odwracając głowy: *omnia mea mecum porto*. Miękkie dywany, gadzety, schludne domki kojarzyły mi się z niszczącym płomieniem. To nieco arystokratyczne oderwanie od dóbr ziemskich moi przełożeni zapisywali w moich danych personalnych jako niepodatność na kapitalistyczne pokusy.

Ambasada była dla mnie obrozą, marnowanym czasem, miejscem nudy i, podobnie jak w biurze przed wojną, jeżeli zdobywałem się na pilność, to dość ironiczną. Przerwa na lunch przynosiła trochę ulgi, bo jadłem pośpiesznie w kafeterii i wsadzałem nos w nowości książkowe na półkach Whyte's Bookshop — nałogowiec czytania w księgarni. Jeżeli nie mogłem wykręcić się od cocktail-party, starałem się tylko zamarkować swoją obecność i uciec po dziesięciu minutach. Z lat okupacyjnej Warszawy wyniosłem bądź co bądź umiejętność solidnej pracy. Wracałem do domu koło siódmej, jadłem kolację, kładłem się na godzinę spać, żeby oddzielić się od całej bzdury i następnie pisałem do drugiej w nocy. Rano pędziłem na złamanie karku wściekając się na czerwone światła, w dzień ziewałem, czekając wieczora.

Tylko przez podwójne życie mogłem okupić moje chodzenie po ziemi i oddychanie. Bo od chwili kiedy angielski statek wysadził mnie z Janką na wybrzeżu East River, wszystko było najwyższą nieprzyzwoitością. Nieprzyzwoitością było samo olbrzymie miasto, bo stało jakby nigdy nic, bez jednej szczyrby od bomby, i ludzie na ulicach Manhattanu, wolni od tego, co we mnie krążyło jak rozpalony ołów. Nieprzyzwoitością były absurdalne papierki podsuwane do załatwiania i leżący na nich list z łagru pod Archangielskiem, otrzymany w Polsce przez krewnych więźnia i przesłany do mnie z prośbą o paczki dla niego. Musiałem żyć z wyobrażeniem łagrów i zmierzających ku nim więziennych pociągów. Nieprzyzwoitością był sok pomańcowy, *milk-shake* i nowa koszula. Nieprzyzwoitością było

ciągle kłamstwo kolegów i przełożonych: udawaliśmy nawzajem przed sobą głupkowatość i naiwność. I nawet takie niespodziewane spotkania jak to na Piątej Avenue z warszawską aktorką, która za okupacji niemieckiej pracowała jako kelnerka w barze. Zapytana co się stało z jej mężem, wzruszyła ramionami: „Wyobraźcie sobie, Józek pierwszy dobiegł do tego czołgu na Starówce wyładowanego dynamitem (chichot). W kawałeczki! Nogi i głowy musieli na balkonach zbierać!” (chichot).

Jednak byłem kimś zupełnie innym niż przed wojną, czym innym było pióro w moim ręku i żadna dotkliwość świata nie skłaniała mnie już, jak dawniej, po prostu do ucieczki w wyniosłą sztukę. Przeciwnie, schwytanie w sytuację tak niezwykłą, że nie do pojęcia dla nikogo z Amerykanów, dostarczało mi napędu, rozumiałem, że byłbym uboższy, gdybym nie musiał czynnie stawić jej czoła. Nie chcę bynajmniej przypisywać sobie równowagi i spokoju, bo miotalem się w rodzaju furii. Ale przyjmowałem za pewne, że jak długo żyjemy, bierzemy ciągle nowe progi świadomości, że tylko dążąc do progów coraz wyższych zaznajamemy szczęścia. W *General Gouvernement* dźwignąłem się na jeden z takich progów, kiedy zaczynamy stawać się wreszcie kim być powinniśmy, i upojeni i trochę przerażeni ogromem drogi do przebycia. W tych moich nocnych czuwaniach, kiedy robiłem tak dużo, że za to tylko powinno byłoby mi płacić społeczeństwo, stale myślałem o Tygrysie, czując przez samą możliwość, samo otwarcie, jak wiele mu zawdzięczam.

Fascynacja czyjąś osobowością, przyjaźń intelektualna wymyka się niemal słowom. Tygrys był zaprzeczeniem filozofa zawodowego, który dzieli czas pomiędzy wysiłek umysłu i całą resztę, odciętą, zostawioną na pastwę powszechnie obowiązującego obyczaju. Filozofował bez ustanku i całym ciałem: mimiiką, ruchem, przedrzeźniając, odgrywając, z miłością, z niechęcią czy z szyderstwem, różne poglądy i postawy. Odtaczał filozoficzne systemy, zamiast wywodu tłumacząc je na zachowanie się hołdujących im ludzi. W nim urzeczywistniała się dla mnie prawda, odkrywana na nowo w Europie: że filozofia, wbrew uniwersyteckim katedrom, nie jest tylko spekulacją, że karmi się wszystkim w nas i wszystko czym jesteśmy przepaja, a jeżeli nie pomaga w ocenie człowieka, rzeźby czy literackiego dzieła, jest martwa. Podobnie uczyli marksiści i od wczesnej młodości pociągali mnie, bo odgadywałem w nich coś żywego, wzmacniającego; zarazem odpychali mnie przez swoje doktrynerstwo. Tygrysa spotkałem jak rzeka drążąca sobie łożysko na równinie spotyka drugą rzekę; było to z dawna przesądzone,

naturalne. I miało oczywiście teraz dla mnie konsekwencje, zarówno polityczne jak artystyczne. Bo „tygrysizm” był filozofią działania, ale tak trudną, że dostępną tylko dla łaskawie przez mistrza wybranych kilku godnych. Żeby ją uprawiać, należało pielęgnować „humor historyczny” czyli raczej zręczność, taką jak pływanie albo bieg, niż umiejętność nadającą się do wyłożenia komuś w teorii. Rzeczywistość poddana przemianie, tak utkana ze współzależności, że każdy, nawet najdrobniejszy jej szczegół owocował nieskończeniem, ukazywała spojenia, w których można było umieszczać dźwignię świadomego aktu. Tygrys przed wojną obracał się w środowiskach artystycznej bohemy i przedmiotem jego fenomenologicznych analiz był przede wszystkim styl. Wolno powiedzieć, że wybór takiego czy innego stylu rozstrzygał dla niego o życiu i śmierci, że los ludzkości zależał nie od błazeńskich posunięć polityków, ale od rewolucji dla nikogo niemal niedostrzegalnych. Z nieporównaną zajadłością znęcał się nad prawie całą sztuką współczesną, ponieważ tak czy inaczej wywodziła się z romantyzmu, a romantyzm, wróg numer jeden, był wilgotny, łzawy i musiał zawsze prowadzić do wewnętrznego fałszu. Tak więc przyszłość Ziemi zdawała się zamykać w maksymie Heraklita z Efezu: „Suchy płomień to dusza najmądrzejsza i najlepsza”. Tygrys, ze swoim stałym przejawieniem jako środkiem aktorskim, wykpiwał Chopina: „Włeczenie utopionych dziewczyn, z których włosów plum, plum, plum, kapie woda”, zapewniał, że nie uznaje innej muzyki niż „kiedy kilkunastu Niemczyków...” — tutaj wydymał policzki i dał w niewidzialny flet. Ale te przenośnie dla wtajemniczonych obejmowały znacznie więcej niż pociąg do Mozarta. Bo Tygrysa obchodziło naprawdę jedno: Zbawienie. A biada tym, co w dwudziestym wieku sądzą, że zbawią siebie łatwo, nie biorąc udziału w tragedii, nie zdobywając czystości za cenę historycznego bólu.

Posyłałem mu do Paryża wyniki moich nocnych pisanin, ufając jego ocenom najzupełniej. Nie zawsze przyznawał mi najwyższe zalety, ale czytelnika *Republiki* Platona oraz *The ring and the book* Browninga nie zadawalnia się byle czym i każda jego pochwała cieszyła mnie tym bardziej. Moja skrytość syciła się rozkoszami naszej konspiracji i wysuwając złośliwie język układałem zdania dostatecznie przewrotne żeby zasłużyły na jego względy. Gdyż naprawdę to my zmienialiśmy świat, podskórnie, podstępnie, nie natychmiast, my byliśmy robakiem w jabłku. I właśnie dlatego moi przełożeni nie mieli powodu wątpić o mojej lojalności, ani obawiać się, że przejdę na stronę emigrantów. Zostawiłem zbyt daleko za sobą Polskę przedwo-

jenną i jej myślowe nałogi. Zapewne uczniom obeznanym jedynie z geometrią euklidesową trudno jest wy tłumaczyć na czym polega geometria nieeuklidesowa. Podobnie nam (Tygrysowi, mnie, czy naszym wspólnym przyjaciółom) objawił się koniec tej epoki kiedy bezwładna materia panowała w spirytualistycznej masce, kiedy filozofia i poezja, lekceważone za „nieżywość”, były tylko dodatkiem, kwiatem, ozdobą salonów.

Niewątpliwie, z mego stanowiska — dyplomaty w służbie upadłego państwa — nie mogłem czerpać żadnych tytułów do dumy. Ci jednak, którzy okazywali mniej czy bardziej jawnie wstręt wobec nas, zaprzędanych diabłu, nie dostrzegali wielkości moralnego problemu. Nie mogło być inaczej, skoro dla nich wszystko rozpadało się na czynności poważne (walka o władzę, wytyczanie granic, układy międzynarodowe itd.) i na fizjologiczną egzystencję jednostki. Kiedy jednak rozprawiali o Roosevelcie, Trumanie, Stalinie, byłem skłonny wzruszać ramionami: „nie o to chodzi”. Pytali wtedy z rozpaczą o co wreszcie mi chodzi. Milczenie. Nie byłem politykiem i mimo codziennego borykania się z wycinkami prasowymi nie mierzyłem czasu politycznym ewenementem. Ale groziłby mi moralny upadek gdybym wybierał wyspy południowych mórz, gdzie nie ma nic prócz *birth, copulation and death*, gdzie zapłatą za odwrócenie się od akcji jest czczość serca. Jak sportowca utrzymywała mnie w formie moja obecność w dziele zbiorowym, w literaturze mego języka, i to nie w jej osiągnięciach wiecznotrwałych (orzekanie o tym nie należy do nas) ale w jej chwili.

Wielu co prawda podziwiałó mój spryt czy nieczułość na totalitarne obrzydliwości, dopatrując się w tym szczytów hipokryzji. Nie była to jednak może hipokryzja. W wyższej szkole uprawianego przez mahometańskich heretyków w Persji *K e t - m a n u* czy jezuickiej *reservatio mentalis* rozróżniało się ostatecznie cel, do jakiego dążymy z żarem, z namiętnością, i użyteczne dla przezornych zasłony. A po liberalnych rozluźnieniach gatunek ludzki, przynajmniej znaczna jego część, wkroczył znów w okres, kiedy jak najwyższa szkoła przemilczeń była, niestety, potrzebna. Pomijam pospolitych w takich okolicznościach cyników; ich wybiegi są płaskie. Na długiej liście moich przywar nie umieściłbym cynizmu. Pochwalałem, pomimo wszelkich jego okrucieństw, mój czas i nie chciałbym żyć w żadnym innym. Nie tęskniłem też do społeczno-gospodarczego porządku w Polsce sprzed wojny i kto marzył o jego wskrzeszeniu był moim przeciwnikiem. W tym to sensie służba w ambasadzie zgadzała się z moim przekonaniem. Życzyłem jed-



nak memu krajowi znacznie lepszemu losu niż los prowincji w rękach Stalina. Życzyłem również czegoś znacznie lepszego polskiej literaturze niż głupawe policyjne teorie, w jakie zaplątywano ją stopniowo. Przyjaźń z Tygrysem wzmacniała mnie przez jego gniewy i sarkazmy namiętne pielgrzymia. Wierzył, że naszym obowiązkiem jest przenieść cenne wartości europejskiego dziedzictwa na drugi brzeg, choćby dziesiątki lat miały nas otaczać tylko absurd, krew i ekskrementy. Maskuj się i klucz — będzie tobie to wybaczone, jeżeli przechowujesz w sobie miłość Dobra.

Nie mam zamiaru ukrywać naszej nędzy ludzi schwytanych w polityczne kleszcze, jakich, na szczęście dla siebie, nie znały poprzednie pokolenia. Tygrys, gdyby ktoś go osądzał tylko z zewnątrz, nie wnikając w bardziej złożone pobudki, byłby godzien litości, a może pogardy. Oby jednak oskarżyciele sami nie wpadli w sidła swojej faryzejskiej cnoty, możliwej do utrzymania tak długo tylko, jak długo kontrast pomiędzy białem i czarnem wydaje się prosty. Tygrysa wypełniała wielka trwoga i nie był w istocie nikim innym niż Franciszkiem Kafką w środku planetarnego kataklizmu. Do obrony i siebie i tego co kochał od umysłowo niższych miał tylko swoją inteligencję, nie wątpił że ona zatriumfuje, ale pora jej publicznego odsłonięcia była jeszcze odległa. Toteż naśladował owady upodabniające się do kory albo żdźbła trawy.

W swoich listach, kiedy jeszcze mieszkał w Paryżu na papierach uchodźcy, żartobliwie opisywał swoje odczyty na emigracyjnych zebraniach. Kłamał w tych odczytach? Niezupełnie. Sens podwójny jego przemówień o wolności wymykał się zapewne zgromadzonemu. Skarżył się mnie, że „faszyści za mało płacą”. Czytając to, albo inny jego aforyzm: „ustrój, który nie potrafi zapewnić nam iluś tam franków miesiecznie jest skazany na zagładę” nie przypisywałem mu interesowności. Gdyby emigranci, zamiast gorączkować się nie prowadzącą do nikąd „czystą polityką”, zakładali instytuty badawcze, domy wydawnicze i dawali pieniądze intelektualistom, dowodziliby przez to, że są czymś innym niż byli, również politycznie. Gdyby kapitalistyczny Zachód umiał otoczyć opieką takich jak Tygrys, zamiast ich sukces albo przegraną uzależniać od przypadku, nie byłby tym czym był. Potrzeby Tygrysa i jego żony, dwojga molów książkowych, były skromne. „Faszyści za mało płacą”: w humorystycznym mrugnięciu kryło się całe pokretnie rozumowanie. Jeżeli nam (filozofom, poetom, artystom) za mało płacą, to dlatego że nami gardzą, czyli są reakcjonistami to

jest czeka ich przegrana. Ta przegrana dokona się poprzez nas, jako słuszna kara za niegodziwości wyzysku i kolonializmu.

Bezsilna Europa 1948 roku została przedstawiona już w Księdze Jozuego. Mieszkańcy ziemi Chanaan drżeli kiedy Izraelici przybyli nad Jordan, bo już wiedzieli, że Pan oddał Chanaan przybyšom we władanie i że jego woli nic się nie oprze. Serca obrońców Jerycha truchlały na dźwięk izraelskich trąb. I teraz dźwięk trąb komunizmu słyhać było tak donośnie w Paryżu, że co przeczniejsi, pewni, że na nic się nie zdadzą próby oporu wobec wyroków dziejowej Opatrzności, chcieli naśladować nierządnicę Rahab, która ocalała siebie i swoją rodzinę udzielając pomocy izraelskim szpiegom. Zresztą, jeżeli ktoś wołał, mógł obrać inne rozdziały biblijnego wypełnienia do snucia swoich porównań. Obywatele schyłkowego rzymskiego imperium, zżerani nudą i wewnętrzną pustką, błędząc po jałowej ziemi dotkniętej posuchą, czuli się słabi w obliczu chrześcijan fanatycznie głoszących dobrą nowinę ostatecznego sądu. Toteż kiedy Tygrys wspominał o „chrześcijanach” należało przez to rozumieć komunistów. Ta alegoria była o tyle uprawniona, że idea nieuniknionego postępu czyli tajemniczej siły za kulisami, groźnej dla wszystkich nieposłusznych rozkazom Pedagoga, miała swoje korzenie w chrześcijaństwie; bez chrześcijaństwa nie byłoby przecie ani Hegla ani Marksa. Jedynie sakralne uległo zeświecczeniu, immanencja zastąpiła transcendencję. Tak czy owak, z nieuniknionego czy mądry nie powinien był wyciągać wniosków? Co pomogła odwaga i energia Juliana Apostaty usiłującego wskrzesić kult pogańskich bogów? Przyjacielem ludzkości nie był wtedy napewno ten, co się opierał. Służył Dobru nawrócony, jeżeli budował pomosty pomiędzy Platonem i chrześcijaństwem. Czy nam nie to właśnie przypadło w udziale? Tygrys oczywiście wielbił Hypatię, ostatnią poganę Aleksandrii, nie brudny i przerażający tłum chrześcijan, który ją rozszarpał. A jednak, mówił, nie do Hypatii ale do chrześcijan należała przyszłość.

Tygrys więc zazdrościł mi uplasowania się we właściwym obozie, choć zaiste, dokonało się to nie wskutek mojej zasługi ale okoliczności. Zaklinał mnie też, żebym się hamował. Bo w moich listach, zupełnie szczerych, nie brakło rozdzierających krzyków: nie jest miło być otoczonym, jak ja co dzień w ambasadzie, przez spryciarzy, w każdej rozmowie przebiegających niespokojnie nogami, tak śpieszno im było biec, żeby wystukać na maszynie raport o jakimś nieprawomyślnym odezwaniu się kolegi. Kiedy dzisiaj zastanawiam się nad politycznymi manewrami Tygrysa w Paryżu, znajduję po temu mnóstwo powodów.

I jest to jak zagłębiać się w samego siebie, próbując uchwycić w płataninie wielu wątków najbardziej istotny wątek własnego losu.

Mniejsza z tym jak nazywa się wielkie przeciwstawienie: ciężkość i lekkość, życie zastane i życie ukształtowane, materia i duch, chodzenie na czworakach i lot. Czymże jednak innym były moje bunty podrostka i potem młodzieńca, niż niezgodą na bezkierunkową egzystencję „świń”? Jako dziecko obwarowywałem się przeciwko dorosłym przez swoją pasję przyrodniczą, akwaria, ornitologiczne książki. Dorosnąć i wyzbyć się porywu, lekceważonego przez nich, trzeźwych, wydawało mi się czymś strasznym. Być może moje niemal chorobliwe przekonanie, że seksualizm jest złem, miało źródło nie tylko w naukach księdza prefekta, ale również w tych chwilach dziecka, kiedy zauważa ono, że właśnie seksualizm zbłaźnia i obciąża starszych, odbierając im zdolność bezinteresownego urzeczenia. Moim bohaterem był zacny uczony dziewiętnastego wieku, tak żarliwy zbieracz owadów, że w dzień swego ślubu zapomniał o czekającej go w kościele oblubienicy; znaleziono go, we fraku, na wysokiej gałęzi drzewa, gdzie już-już zakrywał cylindrem rzadki gatunek chrząszcza; panna młoda na ten widok zemdlona osunęła się w objęcia matki i entuzjasta wiedzy pozostał na zawsze starym kawalerem. Wybierając później poezję dochowywałem wierności złożonemu sobie przyrzeczeniu: że nigdy nie będę taki jak oni, ulegający sile bezwładu, czyli przez poezję chciałem uratować swoje dzieciństwo. Ale jaki ognisty miecz chroni artystę? Tylko jego wiara w obiektywną wartość, podczas gdy dla nich, biernych, wartości rozplywają się, błędą w starciu z tym, co uważają za „realne” i w tym jest sekret ich niemocy. Stąd tradycyjne przemieszanie pomiędzy artystami i rewolucjonistami. Bo rewolucjoniści, umiejętnie czy nieumiejętnie, też szukają wartości obiektywnie ugruntowanej, ich ratunek jest w gwałtownym „tak” i gwałtownym „nie”, w przeciwstawieniu się sennym równiom pochyłym, na jakie spycha nas duchowa ociężałość. Ich czyn jest odpowiednikiem twórczego aktu artysty, wynosi ich ponad samych siebie przez pełne oddanie: nikt nie kładzie słów na papierze albo farb na płótnie, wątpiąc; wątpić może tylko w pięć minut później. Jeżeli Tygrys w Paryżu przechylał się na stronę komunistów, to dlatego, że filozofia była dla niego sztuką czyli nieustającą próbą zdobycia jedności (tej samej, jaką zdobył uczony we fraku siedząc na drzewie). Być we właściwym obozie: wyrachowanie, ale wyższego rzędu. Bo rozpada się wewnątrz, kto siebie bez ustanku nie przewycięża tj. nie uczy się, nie działa, ale na to rzeczywistość społeczna musi być

dostatecznie plastyczna, nie tak ustalona jak na Zachodzie. I przecie nic innego jak ten chaos nowych kształtów kazało mi trzymać się Polskiej Ludowej. To była moja tarcza przeciwko tym, co spędzają czas na zarabianiu, wydawaniu i rozrywce.

Warto zauważyć, że Tygrys, choć wyszydzał romantyzm, był romantykiem. Jego nienawiść do „świń” obracała się przeciwko życiu nie-filozoficznemu, inaczej, przeciwko *l'homme moyen sensuel*. Tego człowieka należało u-filozoficzyć, choćby przy pomocy terroru. Rozumiałem mniej więcej, że nasza przyjaźń miała za tło mój stary uraz, moją groźbę wobec okrucieństwa Natury, i tej nas otaczającej i tej usadowionej w nas samych. Mogłem potępić moją pychę i pogardę, maskę zagrożenia, ale wątpliwe czy jakakolwiek psychoanaliza wyleczyłaby mnie z zahamowania uczuć, stale przetrwanych przez ironię, ponieważ z nich Natura buduje pułapkę, żeby nas wciągać w zwierzęcą sytość, w przemijanie bez śladu. *L'homme moyen sensuel* w Polsce miał całkowitą słuszość tęskniąc do odległej Ameryki, bo ona to była naprawdę jego niebem, a dyktatura Partii jego piekłem. Wstydziałem się myśleć o Kiju, u którego niegdyś kopałem kartofle, tak nad niego wywyższony, jak dawni arystokraci przez ich żaboty i szpady. Czyż romantyczny podział na ludzi powołanych do spraw ducha i pospolitych zjadaczy chleba nie transponował się w nowe społeczne stosunki, potwierdzając wspólny rodowód romantyzmu i marksizmu? Tygrys mógł oświadczać się z miłością do ludu, ale ludu jako idei; w istocie bał się chama, nieczułego na subtelności umysłu i zagrożonego w swojej biologii. Ten cham nie powinien być mieć prawa go dotknąć czyli powinien być być onieśmielony. W ustroju kapitalistycznym jest on zbyt ośmielony, jeżeli pobrękuje w kieszeni pieniądźmi. Prawdopodobnie mniej ulegałem temu lękowi niż Tygrys, dzięki wiejsko-patriarchalnym pozostałościom we mnie, bardziej od niego „populistyczny” i przez to narażony na pokusy zdrowego rozsądku. Ekonomia na przykład nie przetłumaczała się dla niego jak dla mnie na obrazy: pługów, podków, wiader, gatunków uprawy i o żadnej dziedzinie działalności gospodarczej, nawet tej jednej, nie miał pojęcia. Ale głównie zaprzętała go potrzeba obrony od umysłowego prymitywu prawicowej inteligencji, od jej biologii ciężającej ku nacjonalizmowi i tutaj poruszał wszystkie moje do niej niechęci, zapewniał sobie moją solidarność. Dać im parlamentarny, wielopartyjny ustrój? Wtedy zostaną ośmieleni i on, Tygrys, stanie wobec nich nagi.

Z początkiem lata 1949 wsiadłem w samolot do Europy. Lecąc nad Nową Funlandią, gdzie zaledwie stopniały śniegi,

porównywałem ją z regionem mojego Wilna: tak samo zarośnięta szarym mchem — to iglaste lasy, w nim siedzą jasne oka jezior. Potem, o mroźnym zmierzchu, w dole czarny ocean z białymi piórami icebergów. Rano szmaragdowy kolor Irlandii. Paryż po Ameryce przypominał mi widziane przed wojną śpiące Bruges. Zamiast kanałów — Sekwana, mogłyby pływać po niej łabędzie i bluszcz mógłby już okryć stare kamienie. Ścisły związek zachodził dla mnie pomiędzy tą ciszą i modą na egzystencjalizm tudzież komunizm. Oni tylko mówili przez sen. Sięgałem po kanapkę na jakichś wieczornicach, wymieniając w tłumie „postępowych” pisarzy uprzejme frazesy, nie starając się przebić muru, jaki wznosił się między mną i nimi. Ich idee, dziesiąta woda po jakobińskim kisielu, nie odpowiadały żadnej rzeczywistości, były zabawą towarzyską. Nie do mnie należało ich oświecać ani zdradzać co o nich myślę.

Ale cóż za urok przeszłości odzyskanej, tutaj, na małych uliczkach koło Panteonu, tych właśnie, którymi kiedyś chodziłem co dzień na wykłady i do pływalni. Jakby Proust na żywo, bo kiedy nasze kroki rozlegały się echem, Tygrys obok mnie stowarzyszał się i ze mną nowym i ze mną minionym, była w tym dziwność upływającego czasu i niezmienionego przez czas miasta, czekającego na nasze spotkanie. W znajomym zmruczeniu czarnych oczu Tygrysa streszczał się dla mnie cały dystans przebyty od tamtych chwil studenta i początkującego poety, kiedy grzebałem się w magmie wzruszeń i słów, nieprzygotowany jeszcze do przyjęcia suchości i zwinności intelektu, takiej jak u niego.

Nasza przyjaźń nie była wymianą równych, zapożyczających się nawzajem. Chciał nade mną dominować całkowicie, windował się na nauczycielską katedrę i stamtąd kierował do mnie żartobliwie, ale w istocie poważnie, grożący palec. Godziłem się na to miejsce niższe, wiernego słuchacza, ale niektóre moje zamilknięcia dowodziły rezerwy, przez co nieraz tracił pewność siebie. Podobna taktyka odpowiadała moim higienicznym upodobaniom: należy partnerowi oddać jak najwięcej terenu, ponieważ czego nie da się obronić, nie zasługuje na obronę. Zresztą niekiedy dochodziło do wrzasków i awantur. Jego historycyzm był mi bliski, korzystałem z tych lekcji. Jednak mój wewnętrzny zamek przez to nie bladł, przeciwnie, zyskiwał na wyrazistości, dzięki sprzeciwowi. W Ameryce sprzeciw odrzucał mnie na stronę ruchu, tu, w rozmowach z nim, na stronę bytu i próbowałem postawić diagnozę. Kto powierzy się tylko ruchowi, zniszczy siebie. Kto zlekceważy ruch, zniszczy siebie też, tylko inaczej. Takie jest, mówiłem sobie, samo sedno mego

przeznaczenia, przez całe życie — nie móc zadowolnić się ani jednym ani drugim i chwilami tylko chwycić jedność tych przeciwieństw.

Tygrys właśnie wstąpił do Francuskiej Partii Komunistycznej, co okazało się później, po jego powrocie do Polski, zupełnie nieprzydatne. Nie wrócić chyba nie mógł: gdyby umiał wypowiadać się w książkach, może znalazłby za granicą jakieś pole działania, ale pisał z trudem i w jego język nie przedostawało się nic z olśniewającego aktorstwa, z mimiki, z tańca. Jednak żeby wyrażać siebie cieleśnie musiał mieć grono przyjaciół, chwytających w lot każdą aluzję, czyli złączonych wspólnym historycznym doświadczeniem, a nigdzie tego poza Warszawą by nie znalazł. Przygotowując się do podróży w krainy, o których wiedział, że są mroczne, postanowił zaprawić się i ubezpieczyć, smażąc siebie na kuchni sloganów. A przecie znany mi był jego wstręt do słodkawych, ludzkość-kochających strof Aragona i całej pisaniny francuskich komunistów. Teraz natomiast nie oburzał się już na kicz przemówień, artykułów, wierszy, przeciwnie, rozrzewniał się bo Zeus (dziejowa Opatrzność) temu błogosławił. Co prawda rozrzewniał się niby ojciec, otoczony przez szczebioczące dzieci: jak na siedmiolatków, wcale nieźle. Potrafił coś chwalić w okrągłych zdaniach i zaraz (choćbyśmy byli zupełnie sami) szepnąć mi *d o u c h a*: „okropne”. O komunistycznych zebraniach mawiał, że jest tam „zapach siarki piekielnej” i dreszcz jaki go przenikał, kiedy wachał tę siarkę, pochodził z rozkoszy intelektualnego oglądu: *Zło jest sprawdzianem tego, co r z e c z y w i s t e*. Dlatego też, kiedy w naszej rozmowie pojawiał się niemiły dla niego temat: obozy koncentracyjne, można było rozróżnić zawsze dwa stopnie jego reakcji. Najpierw wiały i kurczył się, bo choć doskonale poinformowany o milionach ludzi za drutami, nie chciał się „osłabiać” tj. wyobrazać sobie rozmiarów ich cierpień. Następnie podrywał się i przechodził do wrzasku. Oskarżał mnie o zdrowy rozsądek (ten jest reakcyjny), o współczucie dla głupców — i tutaj przez sekundę był szczery, bo jednak dostarczało mu satysfakcji, że gnębi się głupców czyli istoty nie-ufilozoficzne, które jemu, delikatnemu Franciszkowi Kafce, mogłyby zagrażać. Jego oczywiście nigdy by to nie spotkało, bo był mądry. Wyglądało na to, że właśnie okrucieństwo, byle dostatecznie dla niego abstrakcyjne, utwierdzało go w przekonaniach: każda rzecz jest tym większa i mocniejsza, im ma więcej cienia. Zresztą, jeżeli pompował się trzymając na swoim nocnym stoliku autobiografię Thoreza *Le fils du peuple*, czyli żywoty świętych, dla równowagi czytał Koestlera

i 1984 Orwella. Dopiero taki układ lektur pozwalał mu chwycić w pełni „humor historyczny”.

Czym jest to monstrum. Historyczna Konieczność, które moim współczesnym podcięło łydki strachem? Nie umiałem sobie dać z tym rady. Trzeba przypomnieć, że nie będąc tzw. człowiekiem Zachodu, miałem w sobie potężny zająd. Zacierajmy ręce: ci zachodni dostaną za swoje. Nie zapobiegli zbudowaniu maszyny wojennej przez Hitlera choć było to w ich mocy. Nie przyszli następnie z pomocą Polsce, choć przyrzekli. Na procesie w Norymberdze generał Jodl przyznał, że we wrześniu 1939 roku Niemcy uniknęły katastrofy tylko dlatego, że sto dziesięć dywizji francuskich i angielskich nie rozpoczęło żadnych działań przeciwko dwudziestu pięciu dywizjom niemieckim pozostawionym na zachodniej granicy, a marszałek Keitel stwierdził, że ta bezczynność wywołała wtedy w sztabie niemieckim zdumienie. I to i późniejsze zachowanie się Aliantów można było interpretować dwójako. Albo jako serię błędów popełnionych przez mężów stanu, albo jako nieuniknione następstwo tajemniczego paraliżu. Jeżeli jednak stosowało się ludowe przysłowie: „Kiedy Pan Bóg chce kogoś ukarać to mu rozum odbiera”, było się już o krok od uznania ogólnego prawa. Nie poświęcałem wtedy temu zagadnieniu tylu godzin rozmyślań co później, bo bywają monstra, których nikt nie pokona ścierając się z nimi oko w oko. Należy oderwać wzrok od ich spojrzenia i wniknąć w siebie, ale temu przeszkadzała moja ówczesna sytuacja ludzka. Co prawda bardziej niż ogólna prawidłowość zaprzętał mnie stan faktyczny: byliśmy na trwałe wewnątrz totalitarnego systemu. Przyczyny mojego sporu z Tygrysem sięgały daleko w jego i moją przeszłość, zapewne dotykająca tradycję jaką przepełniła mnie w dzieciństwie, włóczenie się ze strzelbą po lasach, chłopsko-litewski praktycyzm mojej matki nastrojały mnie nieco pobłażliwie do jego za nadto miejskich wlotów i to właśnie go mieszało. Nie jest wykluczone, że moje osadzenie w historii było lepsze niż jego, choć górował nade mną bystrością umysłu. Nie godziłem się na znak plus jaki stawał przy pojęciu konieczności. Co musi być — jeżeli nie wmawiamy sobie, że musi być — po prostu jest, ale żadne immanentne bóstwo nie gwarantuje moralnej chwały tego co nieodwracalne. W przeciwnym razie musielibyśmy skłonić się przed tym strażnikiem-Mahometaninem w stalinowskim więzieniu, który doradzał polskiemu więźniowi, żeby podpisał co od niego żądają, wykrzykując: *Ałlah dajot położenje!* Ałlah wyposażył Stalina we władzę, kto więc szanuje Ałłaha, władzy ulega. Ale więzień nie wierzył w immanentny Rozum wcielający się w organa

policji i opierał się, a tak postępując, przesuwiał granice konieczności.

Zagadka wyboru pomiędzy szaleństwem (kiedy odmawiamy rozpoznania konieczności) i służalstwem (kiedy rozpoznajemy naszą zupełną bezsilność). Cała trudność w tym, że jeden postępek poddańczy wystarczy, abyśmy zaczęli się ześlizgiwać w służalstwo, bo człowiek nie znosi myśli, że jest miażdżony przez fizyczny przymus, musi więc ubóstwić siłę, która nad nim panuje, wyposażając ją w nadludzkie cechy, we wszechwiedzący rozum, w szczególne powołanie; takim kosztem ratuje odrobinę swojej ambicji. Dlatego to na przykład rosyjski pisarz Bieliński w pewnej fazie swego życia posłużył się Heglem żeby ubóstwić Carat. Zdawałem sobie sprawę, że tyle mojej swobody manewru ile pobytu za granicą, za parawanem dyplomatycznej służby, i że mimo to grozi mi ześlizgnięcie się, bo kompromis wciąga nas niepostrzeżenie. Tutaj oparciem był dla mnie nikt inny tylko Tygrys. Pruł swoją tkaninę jak Penelopa, nadając swoim politycznym przemowom odcień komedii. Przemowy te były wprawkami odgrywanymi z nut nienagannej ortodoksji. Zaraz potem przysięgał, że nastąpi inna rewolucja, humanistyczna, j e g o rewolucja i że dla niej powinniśmy pracować. Tkliwy przyjaciel, stawał swoim najbliższym wysokie wymagania: co wolno robić niższym, to nie tym, o których zbawienie dbał. Ostrzegał mnie przed towarzystwem nieszczęśliwych, skazanych z góry na funkcję narzędzia tajnej policji (zaliczał do nich przede wszystkim pro-rządowych katolików). Doradzał też żeby trzymał się możliwie z dala od literackiego środowiska. Literatów, z niewieloma wyjątkami, lekcewał. Według niego brak im było umysłowego przygotowania do nowych okoliczności i dlatego musieli spaść do rzędu zwykłych lokajów. Oczywiście gardził całym żdanowizmem, ale rozpadowe zjawiska literatury i sztuki zachodniej niejako prowokowały równie nędną odpowiedź. Kto jest skażony przez zły styl, nie zasługuje na nic lepszego i zakłamana słodyczka francuskich komunistów była dla niego na miarę schyłkowych właściwości francuskiego literackiego języka. Namawiał mnie do napisania studium o tej skazie. Jeden tylko współczesny pisarz francuski znajdował łaskę w jego oczach — tomista Étienne Gilson, wróg, bo cokolwiek pachniało Arystotelesem obrażało osobiście tego miłośnika Platona.

Tygrys zabraniał mi drukowania niektórych moich wierszy. Tak było na przykład z wierszem, jaki napisałem po kilkudniowym pobycie w Detroit. Zawieszony przez portiera hotelu windą na dwudzieste piętro, siedząc w pluszowym i przegrza-

nym pokoju przy skrzynce radia skąd sączyła się muzyka, widząc w dole neony, garaże, krążenie metalowych ryb w akwarium, doznawałem tak silnego nacisku powszechnego tutaj zniżenia ludzkich pragnień, że galopowały przeze mnie obrazy wysysania człowieka od wewnątrz, jak kiedy przez słomkę wysysa się jajko. I powstał z tego wiersz o wydarciu człowieka samemu sobie, o alienacji. Nie kierowały mną żadne polityczne względy. Jednak Tygrys był zdania, że utwór zanadto podobałby się specjalistom od anty-amerykanizmu, że moje intencje zostałyby wypaczone i przypisywanoby mi skwapliwość w nagięciu się do partyjnych dyrektyw.

Sprzeczności Tygrysa? Sprzeczności tylko dla kogoś, kto nigdy nie znalazł się wewnątrz magicznego kręgu. Może zresztą nieumiejętnie przedstawiam jego podstępny i skoki ale słowo nigdy nie przylega do falistości węża, miękkiej sierści kota. Miny, parsknięcia, okrzyki, cały teatr, były dla mnie zawsze tymczasowymi przebraniem Tygrysa prawdziwego i ten prawdziwy stanowił jedno ze mną prawdziwym, głębszym, odkrywającym przy pomocy poezji. Gdyż poezja jest bezustannym samo-zaprzeczeniem, naśladuje heraklitejską płynność rzeczy. I jedynie ona, przez swoją żarłoczność, przez odgadywanie zmian, przez wieloznaczne wróżbiarstwo, jest w dwudziestym wieku optymistyczna. Choćbyśmy nie pozostawili po sobie dzieł wiekopomyńskich, sama dyscyplina zasługuje na pochwałę. Tygrys zżymał się na moje populistyczne ciągoty, jednak nadając mi zaszczytny tytuł dialektyka, napomynał o moim dobrym pochodzeniu to jest o pozostałościach feudalnych i braku obciążeń drobnomieszczańskich. Znaczyło to mniej więcej, że gdybym pozbył się napięcia, jakie rodzi się z walki pomiędzy tezą i antytezą, gdybym albo popadł w komfort moralny „nieprzejednanych” albo upajał siebie stawianiem się, zostając partyjnym literatem, to by mnie nie cenił. Ale dyscyplina poetycka jest niemożliwa bez pobożności i podziwu, bez wiary w nieskończoną ilość warstw istnienia ukrytych w jabłku, człowieku czy drzewie; wzywa aby poprzez stawianie się dążyć do b y t u. Taki był mój zamek wewnętrzny, zamek modlitwy, i trwałość naszej przyjaźni gwarantował właśnie mój opór.

Tak, ale trzeba oddać co należy zwyczajnej ludzkiej rozpaczy. Z Paryża pojechałem do Polski, gdzie spędziłem wakacje. Cały kraj był naładowany sprężoną nienawiścią do rządzących i ich rosyjskich mocodawców. Normanowie po podboju Anglii nie byli chyba tak oddzieleni od ludności jak nowa kasta uprzywilejowanych, a ja, przez sam krój mego ubrania, nosiłem znamiona kasty i nieraz widziałem strach w oczach mijających

mnie przechodniów. Terror nie jest, jak to wyobrażają sobie intelektualisci zachodni, monumentalny; jest podły, ma rozbiegany wzrok, niszczy konsystencję ludzką i wszelkie stosunki pomiędzy milionami jednostek zmienia w stosunki szantażu. Poza tym gospodarka podporządkowana wymogom ideologii podnosiła włosy na głowie. Zastosować do niej można było spostrzeżenia Gulliwera w kraju Balnibarbów, administrowanym przez światłą Akademię Wynalazców, gdzie „ludzie mieszkający na górze tak są zatopieni w swoich spekulacjach, że nie myślą wcale, co się tu na dole dzieje” i gdzie „lud, okryty łalami, chodzi po ulicach krokiem niepewnym, z twarzą dziką i oczami wytrzeszczonymi”.

Nie ma się więc co dziwić, że po wakacjach nie było mi wesoło ani w Paryżu, ani tego ranka, kiedy z powodu drobnego defektu w motorze samolot po nocnym locie przez ocean zatrzymał się w New Brunswick, w Kanadzie, choć zielony krajobraz o brzasku mnie zachwycił i wdychałem pełną piersią zapach świerkowych lasów. Popadłem w kryzys, który miał przeciągać się całe miesiące, tym cięższy, że u nikogo z Amerykanów nie znalazłbym zrozumienia dla tak dziwacznie nowoczesnej rozterki. W urzędniczym Waszyngtonie mieszkał tylko jeden poeta, co prawda dużego kalibru: St. John Perse, i jego to wydałem sobie na pastwę. Zdaje się, że nudziłem go śmiertelnie, bo autor *Anabasis*, zamomowiony w swoim wyniosłym odosobnieniu dobrowolnego emigranta, miotania się i walki swoich współczesnych oglądał jak się ogląda przyplawy i odpływy morza. Ja natomiast próbowałem z niego wycisnąć sąd o literaturze jako działaniu, o odpowiedzialności pisarza wtedy kiedy spostrzeża, że przedostawać się przez sieć cenzury może już tylko za cenę codziennych ustępstw. Mówiłem z nim źle. Bełkotałem. W jarzącym się świetle (słońce, neon i tiuu ptaków: kardynałów, o czerwieni jak z obrazów siedemnastowiecznego de La Tour'a) Europa traciła materialny ciężar, na próżno usiłowałem tłumaczyć w jakich jestem opalach.

Nikt chyba nie potępi mnie za to, że polowałem na autorytety. Dlatego to kiedyś, zamiast jechać prosto z New Yorku do Waszyngtonu, skręciłem do Princeton. Princeton ograniczało się dla mnie do dwóch ulic; przy jednej rezydował profesor emeritus literatury francuskiej Christian Gauss; on i Mrs. Gauss, starzy paryżanie, byli rówieśnikami i przyjaciółmi Oska Miłosza; przy drugiej stał domek Alberta Einsteina. Moja ironia i sarkazm buszowały tylko na powierzchni, nie naruszając dzieciniego entuzjazmu dla spraw i ludzi. Musiałem zginać kolano przed czymś czy przed kimś, czcić. Biała grywa Einsteina,

jego szara *sweat-shirt* z metalową sprzączką wiecznego pióra zatkniętego pod szyją, cichy głos i spokojne gesty rąk na tle starego drewnianego posążka Madonny trafiały wprost w mój kompleks ojca, opiekuna i przewodnika. Skruszony wobec niego, bo spadało na mnie częściowo odium postępu, jakiego dopuszczono się podczas Kongresu Obrońców Pokoju we Wrocławiu w 1948 r., kiedy ze strachu przed Rosjanami nie odczytano jego apelu — wzywał w nim do utworzenia rządu światowego kontrolującego atomową energię — byłem mu wdzięczny za melancholijny uśmiech, dowód, że rozumie, że nie potępia ludzi bezsilnych mimo dobrej woli.

Einstein co prawda nie mógł udzielić mi pomocy. W problemie, który mnie interesował, poruszał się po terenie dla niego niepewnym. Wygnaniec, dlatego niechętny doli wygnańca, reagował raczej uczuciowo: *you better stick to your country*, co mnie nie zaskakiwało, bo sam powtarzałem to sobie dostatecznie często. Żeby to uzasadnić, sięgał do złoży swego optymizmu: trzeba unikać pośpiechu, terror i absurd doktrynalny nie będą trwały wiecznie, nie, napewno muszą się kiedyś skończyć. Pomimo całej mojej czci, ironiczny duszek we mnie odrywał go od pomnika, jaki współcześni wzniesli następcy Newtona i włączał go w masę, w pewne pokolenie Europejczyków. Był humanitarystą, ukształtował się umysłowo wtedy, kiedy nie mogło zachwiać powszechnego przekonania, że człowiek jest istotą rozumną, jeśli popadającą w obłąd, to tylko na chwilę. Bo stosowano wtedy miarę człowieka indywidualnego, górował on nad zbiorowością, obwarowany nietykalnym prawem, upoważniony do protestu poprzez kartkę wyborcy. Dla mego pokolenia człowiek był już igraszką demonicznych sił, lęgnących się nie w nim samym, ale w między-ludzkiej przestrzeni, wytwarzanej przez niego razem z podobnymi sobie. Toteż kiedy wyszedłem z domku przy Mercer Street i zatrasnąłem drzwiczki auta, mijałem znaki milowe w odrętwieniu, obcy swemu ciału. Gdyż wszyscy tęsknimy naiwnie do jakiegoś punktu na ziemi, gdzie przebywa najwyższa mądrość, jaka jest w danym momencie ludzkości dostępna, i trudno nam się zgodzić, że takiego punktu nie ma, że zdani jesteśmy tylko na siebie.

A jednak w jesieni 1950 roku pożegnałem Amerykę. Była to prawdopodobnie najtrudniejsza decyzja w moim życiu — choć żadnej innej nie wolno mi było powziąć. Przez cztery i pół lata spędzone w tym kraju przywiązałem się do niego i zyczyłem mu jak najlepiej. Jeżeli jego przegrzana cywilizacja nieraz mnie drażniła, to nigdzie poza nim nie napotkałem tak wielu ludzi dobrych, sprzyjających bliźniemu, co zdolny był

ocenić zwłaszcza przybysz z tych ciemności, gdzie przegryzanie gardła bliźniemu uchodzi za regułę. Tak, ale gdybym nawet zgodził się na rozłąkę z Tygrysem — a Tygrys, teraz już profesor w Warszawie, jest tutaj wymieniony jako symbol *całej nadziei*, tej nadziei jakiej przyświadczał swoimi falistymi skokami: że kto proponuje ludziom marksizm, bierze do ręki skorpiona z dialektyczną trucizną w ogonie — gdybym nawet chciał lekko przekreślić mój udział we wspólnocie, staroświecki honor nie pozwalał na ucieczkę. Gdyż ogłosić, że zostaję w Ameryce i dostać posadę na którymś z uniwersytetów, to byłoby za łatwe i przez to brzydkie. Przeciętnemu Amerykaninowi mój postępek wydałby się szaleństwem. Ale ja też nie ludziłem się bynajmniej i wsiadając w New Yorku na statek szczękałem zębami.

Tak więc akcja przenosi się znów do Europy. Dalszy ciąg, nieco zbyt sensacyjny jak na mój gust, nie zaprasza do wynurzeń, bo musiałbym popofolgować zamięłwaniom do plotkarstwa i sondować psychologię paru starych komunistów, tak tragicznie doświadczonych, że skłonni byli mnie oszczędzać, z całą moją nieortodoksją, i zachować dla przyszłości. Podbiłem ich zresztą całkowicie: rzadko kto wtedy wracał z Ameryki. Musiałbym też zapuszczać się w psychologię innych, skorumpowanych absolutnie przez władzę absolutną. Moją lojalność obracali w pośmiewisko i czulem się wśród nich w Warszawie jak głupi Jasio, który dobrowolnie wszedł do jaskini uzbrojonych po zęby gangsterów. Nie żałuję jednak dzisiaj niczego. Owej podróży nie nazwałbym pomyłką, bo koszmar stalinowskiej Polski był mi potrzebny, żeby moja rozpacz należycie wezbrała, a cynicy, zbyt pewni, że teraz im już się nie wymknę, zwolnili mnie z wszelkich moralnych zobowiązań. Moja rodzina była jeszcze za granicą i przyjechawszy na krótko do Francji w początku 1951 roku dzięki pomocy wspomnianych starych komunistów (o prawdziwych intencjach tych więźniów Stalina nigdy się nie dowiem), natychmiast zerwałem z rządem. Paryż, jak widać, był mi szczególnie przeznaczony. Wbrew niebywałym zawilościom tego niemal kryminalnego romansu, jest klucz który nadaje mu doskonałą klarowność. Każdy człowiek ma tylko ograniczony zasób energii i przy wyjątkowo trudnych decyzjach cała jego energia zostaje zużyta, tak że dalej już nie postąpi ani kroku. Simone Weil wielokrotnie analizowała to w swoich pismach. Powiada ona: „Jest naiwnością z naszej strony, jeżeli dziwimy się, że postanowiliśmy coś zrobić i nie dotrzymujemy postanowienia. Coś nas pobudziło do powzięcia postanowienia ale to coś nie było dostatecznie silne, żeby nas po-

pchnąć do wykonania; a nawet może się zdarzyć, że sam akt postanowienia wyczerpał podniecie i dlatego nie mogliśmy nawet zacząć wykonywać tego co postanowiliśmy”.

Wolałbym uniknąć wzmianki o tych perypetiach, być może pokazujących mnie mylnie jako awanturnika, choć mój ksiądz prefekt dopatrzyłby się w nich jakiejś ciągłości. Tak czy owak, figury przesunęły się na szachownicy. Najpierw Tygrys był na zachodnim polu a ja na wschodnim, potem obaj na wschodnim, wreszcie odwróciło się. Czy jednak podczas kiedy tak dojrzewał los przestawaliśmy być sobą, czy nie padlibyśmy sobie w objęcia, zapominając o granicach strzeżonych przez miecz i słupy z napisem: *cuius regio eius religio*? Byliśmy tylko intelektualistami, którzy zawsze oszukują księcia dzierżącego potęgę, bo jego cel nie jest nigdy ich celem. I gdyby nawet zazdrozczono nam niekiedy zewnętrznego sukcesu, nasza dola w tym wieku konformizmu jest najgorsza.

Tygrysa mianowano w Warszawie profesorem filozofii w partyjnym instytucie kształcenia kadr, wkrótce również profesorem uniwersytetu, ale przez kilka lat odmawiano przyjęcia go do Partii. Zabiegał o to, bo być modelowaną gliną jest źle, trzeba być ręką, która modeluje. Sam sobie jednak był winien, bo jego osobowość niechętnie poddawała się tresurze. Obrządek jest ponury, „zapach siarki piekielnej” nie wydzielalby się bez pełnej powagi uczestników. Idee w umyśle Tygrysa kojarzyły się za szybko, przez co obrażał innych, nie mogących nadażyć; humorysta, wykrzywił się w najmniej stosownym miejscu przemówienia, kiedy wszyscy zachowywali kamienny wyraz twarzy, przychodził na wykład nosząc zamiast krawata muszkę, co jest politycznie podejrzane, albo za przedmiot swoich pantomim obierał jakąś dobrze notowaną osobę. Pod jego ukłonami i chińskim ugrzecznieniem odgadywano niewyraźną obcość.

Bardzo szybko zaczęła go drażnić jego dawna nienawiść do silnych a głupich. Marzenie o ufilozoficznieniu człowieka napotykało na bezwład materii. Nienawiść musiał trzymać na wodzy, dając jej upust tylko w swoich alegorycznych przypowieściach, zastrzeżonych dla małego grona jego entuzjastycznych wyznawców. Nie trudno odczytać sens przypowieści o dwóch misjonarzach w środku Afryki. Toczyli oni ze sobą długi spór — jeden twierdził, że małpy da się nawrócić na chrześcijaństwo, inny, że to się nie uda. Tygrys zdawał się przychylić do opinii, że małp na chrześcijaństwo nawrócić nie można.

W 1950 roku był z wycieczką uniwersytecką w Moskwie. Wrócił stamtąd siny z przerażenia. Dotychczas z tamtą esencją nigdy się nie zetknął i wstrząs musiał być niebylejaki, jeżeli

odzywał się o tym tylko pólśłówkami. Odtąd nie wymawiał nawet imienia wschodniego sąsiada, przybył mu nowy termin zastępczy: „Persja”. W orwellowskiej Polsce, gdzie jednak groza nie sięgała takiego napięcia jak w Rosji za ostatnich lat życia Stalina, ludzie ratowali się przed chorobą umysłową zawierając związki bezwzględnie wiernej przyjaźni i jedno z takich kółek składało hołdy Tygrysowi za jego zdolności do psychoterapii. Improwizował całe *romans-feuilletons*, wprowadzając coraz to nowe postacie, zarazem autor i wykonawca. Przenosił zwykle godziły w ucisk i niesprawiedliwość, były jednak dostatecznie malownicze, tak żeby podobieństwa do rzeczywistości nie psuły zabawy. Toteż u Tygrysa gdzieś w Południowej Ameryce mieszkał potentat Bermanidez, właściciel fabryk i kopalń, w których robotnicy pracowali po szesnastu godzin na dobę i nawet siedmioletnie dzieci w łachmanach zaprzęgano do taczek. Bermanidez gromadził dzieła sztuki i posiadał wspaniałą kolekcję francuskich impresjonistów. W jego obecności nie wolno było poruszać tematów trywialnych, dyskutowano wyłącznie o estetyce, o szczegółach techniki Renoir’a i Monet’a. Bermanidez był też właścicielem sieci sprawnie urządzonych domów publicznych, dokąd bezpłatny wstęp mieli najwyżsi dostojnicy świeccy i duchowni. Spełniano tam wszystkie ich kaprysy, nie wyłączając dziwnych zachcianek pewnego dygnitarza we fiolektach: dziewczęta musiały być ubrane w szkolne mundurki i siedzieć w ławkach. „Jak się macie dziewczynki!” witał je czcigodny klient, wchodząc na katedrę, na co grzecznie odpowiadały chórem. Rozpoczął wykład i w środku wykładu rzucał się na jedną z nich. Potem Bermanidez zbankrutował i jego wysoko postawieni sprzymierzeńcy przestali go poznawać na ulicy. „Ale my nie jesteśmy okrutni” — i Tygrys pozwolił mu zachować willę oraz zamiast Rolls Royce’a jakiś tańszy samochód. Niekiedy do przypowieści wkraczała *science fiction*. Oto już wynaleziono wehikuly do przenoszenia się w czasie, w dowolnie obrane minione epoki. Wyprawy te obudziły duże zainteresowanie i Partia poddała je ścisłym przepisom. Bardzo trudno było dostać pozwolenie na podróż w czas mniej odległy — tak więc tylko członkowie Komitetu Centralnego mogli spędzać wakacje w Polsce sprzed 1939 roku, innym, mniej odpornym, zaszkodziłoby snucie porównań. Niższym rangą udzielano paszportów do starożytnego Rzymu albo w średniowiecze. Od kiedy jednak ktoś „wybrał wolność” na pustyni Gobi XIII wieku, aranżowano już tylko wycieczki grupowe. Tygrys przypuszczał, że znaczna część genialnych uczonych, z których ludzkość jest dumna, byli to po prostu obywatele przyszłości, „wybierający wolność”

podczas swojej turystycznej wędrówki po dawnych epokach. Rozporządzając większą wiedzą, przebiali ją w pojęcia dostępne ich nowemu otoczeniu.

Dzięki złośliwości, burzącej wszelką teraźniejszość, Tygrys był wewnętrznie wolny. Gdyby nie konwentykle zaufanych, marksistowski profesor skończyłby chyba schizofrenią. Czy był marksistą? Tak, ale zdradźmy tutaj przerażający sekret: „marksiści” prawdopodobnie w ogóle nie istnieją, skoro termin ten maskuje postawy bardzo różne i często zupełnie sprzeczne. Tygrys igrał z absurdem oficjalnej doktryny jak żongler podrzucający kule, nie tracił jednak zmysłu kierunku i coraz to wybuchał gniewem na mały, zdolne przyswoić z Marksa to tylko, co miłe jest ich małpiemu rozumowi. Nie był materialistą: słowo „materialista” było w jego ustach obelgą. Tak mocno przeciwstawił świat ludzki, świat historyczny, nieruchomym prawom nauk przyrodniczych, tak w nim się pogrążył, tak smakował jego dziwy, przez współczesnych zaledwie wyczuwane, że złościli go wszyscy niepojętni, zmieniający marksizm w rodzaj poprawionego darwinizmu. Przyciągał go węzeł ściśle współzależnych zjawisk ludzkich, ten jakby napowietrzny dom ciągle wznoszony wysoko nad obojętną i mechaniczną Naturą. Nawet szczególnie zanotowany przez starożytnych historyków: że mężczyźni w Egipcie oddawali mocz przysiadając, nie stojąc, zachwycał go jako argument na rzecz zmiany obyczajów, do jakiej zdolny jest tylko człowiek. Ale w to co ludzkie wkracza ciągle z zewnątrz żywioł obcy, przerażający i upokarza nas przypominając o naszej zwierzęcości: śmierć. Tygrys cierpiał na obsesję śmierci, tak uporczywą, że szybko przewracał kartki książki, żeby zakryć portret jakiegoś niestosownego filozofa: niestosowny to taki, co umarł młodo. Zanadto jednak wnikał w swoistość człowieka, żeby śmierć zamykała rachunki. Mówił: „tylko idioci nie wierzą w nieśmiertelność duszy”.

Zbawienie. Jest ono niemożliwe jeżeli zdzieramy się, usiłując płynąć przeciwko historycznemu prądowi, bo wtedy padniemy ofiarą złudzeń. Ale jeżeli płynie się z prądem, jakie trzeba spełnić warunki? I strach i żądza dominacji przyczyniały się do tych wad Tygrysa, jakimi były intryganctwo i mściwość. Gorący w swoich przywiązaniach, gotów był niszczyć swoich wrogów, umiając siebie przekonać, że niszczyi szkodników. Naprawdę jednak kochał Dobro, nie zabiłby nawet muchy. I jak się zdaje, zagadka etyki, niemożliwej do wsparcia na jakimś nieruchomym dziesięciorgu przykazań, zagadka prawideł, zdobywanych co dzień z trudem, wśród powszechnej zmienności, coraz bardziej go niepokoiła. Posiedzenia jego grona obracały

się dokoła pytania: co wolno, czego nie wolno. Wolno usunąć z katedry profesora starszej generacji („szkodnika”), ale nie wolno go ani więzić, ani pozbawiać możliwości zarobku.

Z powołania, przez wszystko czym był, anty-totalitarny, Tygrys musiał poniżać się i kłamać, przekonany, że w ostatecznym rachunku przez swoje kłamstwa służy prawdzie. W Moskwie jeden z profesorów filozofii tamtejszego uniwersytetu zrobił na nim duże wrażenie przez sam wygląd fizyczny. „Skóra jego miała ten odcień, jaki powstaje tylko wskutek długotrwałego bicia po twarzy”. Niekiedy ból Tygrysa osiągał takie natężenie, że zapytywał przyjaciół: „Mówcie, ale szczerze, czy już? czy moja skóra ma już ten sam odcień? Czy to widać?”.

Podczas kiedy Tygrys tak wątpliwie prosperował w Warszawie, ja zmagalem się w Paryżu z moim upadkiem. Bo dola uchodźcy jest takim upadkiem, że nie doradzałbym jej nikomu, chyba że obdarzony jest zdrowiem konia, witalnością aligatora i nerwami hipopotama. Obiektywnie nie miałem żadnych szans: zachodnia Europa nie umie wyżywić swoich intelektualistów, nie potrzebuje więc nas, obywateli krajów, w jej przestarzałym mniemaniu, podrzędnych. Skóra mojej twarzy, już nieźle złomotana, tym bardziej teraz nie mogła pretendować do dziewiczej nieskazitelności. Literat, uciekający stamtąd gdzie dojrzewa Jutro (jeżeli ustrój jest tam zły, to i tak dostatecznie dobry dla barbarzyńców) był winien towarzyskiego nie-t a k t u , a jego społeczna pozycja w Paryżu wahała się pomiędzy pozycją rzezimieszka i hochsztaplera. Co pisma stalinowców i ich sympatyków umiały, kiedy zacząłem publikować po francusku, nieźle obracać przeciwko mnie, choć dotkliwiej poniżała mnie milcząca podejrzliwość. Opancerzałem się dumą, lekceważeniem dla ignorantów, krasomówczo roztańczających swoje *idées générales*, ale takie moich pism sprowokowałem pravicową emigrację czyli tych, co już przed wojną mieli ochotę mnie dopaść, do trwającej kilka lat oblawy na „niebezpiecznego komunistę”. Umysłowe prymitywy, te właśnie, z których powodu Tygrys był przeciwny demokracji parlamentarnej, potrafią być groźne, jeżeli każdy artykuł w ich prasie jest zaraz przez nich użyty jako denuncjacja do policji.

Bezpieczniej byłoby siedzieć cicho i nie drażnić swoją bezcelnością nikogo, jednak impulsy wyznaczające nasze przeznaczenie nie sprzyjają taktowi. Za długo dusił mnie knebel cenzury, żeby gniew nie wybuchi. Nadać sens mojej nowej sytuacji mogłem tylko pisząc prawdę o stalinizmie. Zresztą pamiętałem o zobowiązaniu, o tym wieczorze w Warszawie, kiedy odsłoniły



mi się przepaści w ludziach o nienagannej pozornie ortodoksji. Usłyszałem wtedy: „Uciekać wolno pod jednym tylko warunkiem. Jeżeli znajdzie się sposób żeby walczyć”. Łapałem się więc teraz po każdym ciosie za szczękę i robiłem swoje. A głos powtarzał: „jesteś szlachetny”.

Niestety, głos wyraźnie drwił. Jak pasażer wehikułu z przypowieści Tygrysa, wylądowałem (jest różnica pomiędzy zwiedzać i mieszkać) w minionej epoce, to nic że trochę bliższej niż pustynia Gobi XIII wieku. Czteryście tysięcy powieści o wszelkich możliwych kombinacjach miłosnych leżało w witrynach paryskich księgarń niby średniowieczne kusze i miecze w gablotkach muzeum. Wojna w Indochinach toczyła się dla mnie za Napoleona III. Maccarthyizm w Ameryce wskrzeszał widowiska ciemnoty, znajome z jakiegoś poprzedniego mego wcielenia. Kiedy w New Yorku ukazał się przekład mojej książki *Zniewolony Umysł*, wycinki prasowe z Alabamy, Georgii czy Południowej Karoliny wykrzywiały mi twarz: tamtejszy dziennikarz podawał mnie za sojusznika a ja sądziłem, że występując przeciwko upodleniu człowieka już tym samym jestem sojusznikiem jego Murzynów. Na jakiej szali zważyć nasze czyny, jeżeli są przechwytywane, zmieniane w coś innego niż pragnęliśmy, zarówno tam, za Elbą, jak tutaj? Potępia nas albo ocala intencja. Czy jednak należy, protestując przeciwko krzywdzie, skakać pod pociąg wiozący więźniów i dać się zmiażdżyć, nie jest pewne. Stąd, ze słabości czy z rozważań, moja twroga przegranej. Urzędowy anty-komunizm zachodni był fałszywy, jak fałszywa jest każda przeszłość w konserwach, ale nieraz prześlizgiwał się gładko nad tym, co w moich utworach było dla niego niewygodne. W tej wieży Babel mieszały się języki, bo szczeble świadomości były nie te same. Przegraną musiałem z góry akceptować, co jest niebezpieczne, bo wtedy nawiedza nas pokusa upajania się naszą wewnętrzną gotowością do przyjęcia krzyża. Ale głos drwił — i ku mojemu pożytkowi. Gdyż, gdyby nie on, zbyt łatwo mógłbym przekreślić Tygrysa i, czysty, wzniósłby, pozbyć się antynomii, czyli spaść w przeszłość. Odrzucałem demonizm w jakim Tygrys, cierpiąc, jednak się lubował, tym niemniej toczyłem bezustanny dialog z przestrogią i zakłębami mego przyjaciela. Kierunek Historii nie jest czymś, nad czym można łatwo przejść do porządku i jeżeli nie godzimy się na uległość, nie powinniśmy mieć żadnej pewności, nic, poza niejasną nadzieją. Toteż jeden z amerykańskich recenzentów napisał o mnie, że ponieważ krytykuję zarówno Wschód jak Zachód, pozostaje mi droga Gandhiego; co ostatecznie było niezupełnie poprawnym wnioskiem.

Zapewne, dla wielu moich współczesnych takie miotania się są tylko neurastenią, rozprzężeniem nowoczesnego Hamleta. Ich trudy i zabawy przesłaniają im prawdziwą stawkę. Nie byłem filozofem. To wypadki wtrąciły mnie w wieżę filozoficznych ciśnień mojego stulecia, w najtrudniejsze i jedynie istotne kłębowisko zagadnień, co być może wykraczało poza moją możliwość i mobilizowało całe moje siły.

Ludzie Zachodu chętnie przebywają w niebie podniosłych słów o duchu i wolności, nieczęsto jednak zadają proste pytanie: czy ktoś ma dosyć pieniędzy na obiad. Niewiele osób w Paryżu dbało o moją cielesną powłokę, tym bardziej ich życzliwość jest mi dzisiaj droga. Sześćdziesiąt papierosów dziennie, krążenie godzinami w kółko dokoła stołu, bezsenność, świadczyły, że nie byłem obdarzony nerwą hipopotama i że nienawiść zarówno lewicowych *bien pensants* jak prawicowej emigracji, przepisowe oszczerstwa w warszawskiej prasie, jedzenie za pożyczone franki, nie całkiem mnie uszczęśliwiały. Jedyłą moją cnotą była niewybredność, pracowałbym chyba nawet zawieszony u sufitu za nogę. Jeżeli jednak komuś udaje się wydobyć z takiej czeluści i wydawać wreszcie swoje książki w różnych językach, kłamałby, przypisując to swoim zasługom. Prowadziła mnie Ręka. Nic o niej nie wiem, poza tym że zbyt cudownie działa inspirując przyjaznych nam ludzi, aby wątpić o jej istnieniu.

Klasycznym skutkiem wszelkich nagłych zwrotów i zerwań jest rozpamiętywanie swojej bezwartościowości, pastwienie się nad sobą, *delectatio morosa*. Nie wyleczyłbym się z niej gdyby nie piękno ziemi. Przezroczyście, jesienne ranki w alzackiej wiosce między winnicami, szeleszczące suchymi liśćmi kasztanów ścieżki na alpejskim zboczu nad Izerą, surowe światło wczesnej wiosny na jeziorze Czterech Kantonów koło skały Schillera czy mała rzeka pod Perigueux, nad której taflą, w upale lipca, kolorowe cienie lotu rysują zimorodki — to skłania do zgody na wszechświat, czyli do jakiejś takiej pobłażliwości wobec siebie. Ale, inaczej niż w Ameryce, leczyla mnie nie tylko natura. W swój ciepły uścisk brała mnie Europa i jej kamienie ciosane ręką minionych pokoleń, tłum jej twarzy wylaniających się z rzeźbionego drzewa, z malowideł i złotem wyszywanych tkanin, koily, włączały mój głos pomiędzy jej stare wezwania i przysięgi, pomimo mego buntu przeciwko jej rozdarciu i chorowitości. Pomimo wszystko, rodzinna Europa. Tak się złożyło, że wiele mi pomógł kraj jakby platońskiego przypomnienia, krajobrazów doznanych już przed chwilą narodzin, Dordogne. okolice tak łaskawe, że człowiek obrał dolinę Wezery za swoją siedzibę trzydzieści czy dwadzieścia tysięcy lat temu

(czyżby też kierując się platońskim przypomnieniem Raju?) I kiedy na pagórkach St. Emillion, koło miejsca gdzie zaledwie wczoraj stały wille rzymskich urzędników, oglądałem brunatne skiby ziemi w winnicach, próbując sobie wyobrazić wszystkie ręce kiedyś trudzące się tutaj, coś się we mnie odbywało. Takie przemiany w nas są co prawda powolne i narazie przed nami samymi ukryte. Stopniowo jednak przestałem się troszczyć o całą mitologię wygnania, tej strony i tamtej strony. Polska i Dordogne, Litwa i Sabaudia, uliczki Wilna i uliczki Quartier Latin zrastały się w jedno, nie byłem przecie nikim innym niż Grekiem, który przeniósł się z jednego do drugiego miasta. Rodzinna Europa przebywała we mnie ze swoimi górami, lasami i stolicami, i ta mapa uczuciowa przesłaniała zbyt doraźne kłopoty. Po kilku latach dążenia naprzód bez światła znów moja stopa dotknęła gruntu i odzyskałem zdolność do życia w teraz, w chwili, a w niej, wyższe nad wszelkie możliwe Apokalipsy,

Zdaję sobie sprawę, że nie powinienem wtłaczać tego, co jest wielością twarzy, książek, krajobrazów, zwycięstw i upadków, w schemat odarty ze zmiennej barwy dni i godzin. Jak jednak uparcie przewijał się przez te dni i godziny jeden splecione, wzbogacały się wzajemnie przeszłość i przyszłość.

motyw naczelny, wskazuje dłuższy utwór wierszem, rozpoczęty przeze mnie w końcu 1955 roku. Zarówno jego ascetyczny styl, jak treść są dalekie od wdzięku, ale wdzięk jest nie zawsze zalecony. Artyści pragną bytu, obcowania z boską obietnicą w Stworzeniu, pochody armii, walki społeczne, zamęt ginących i dźwigających się ustrojów dzi ją się dla nich po pro-tu, na zewnątrz, poza nimi. Dla innych te bitwy i zamęt są rzeczywistością samą. Ja jednak cokolwiek kiedyś wartościowego zdobyłem, to właśnie dzięki zderzeniu tych dwóch postaw we mnie, stąd rzucano mną poprzez granice i oceany może nie tylko awanturnictwo i nie tylko chwiejność. I teraz, wierny Tygrysowi, mową świadomie odartą z po-romantycznych ozdób próbowałem rozwikływać zagadkę moją i ostatecznie mojego pokolenia. Gdyby wycisnąć z tego poematu najżywotniejszą treść, wywód (choć poezja nigdy nie da się zredukować do prozy) przedstawiałby się następująco. Nieruchomość, opieranie się przemianom historycznym, jakie niesie ze sobą czas, w imię niezmiennych przykazań moralnych i stałej struktury wszechświata, zasługuje na szacunek. Jednakże tak obwarowanych spotkać może kara: ukazuje im się wcześniej czy później Duch Dziejów, „twarz jego wielka jak dziesięć księżyców, na syi łańcuch z nieobeschłych głów”. Wtedy padają przed nim na kolana, zostaje on przez nich utożsamiony z Duchem Ziemi, „który gromadzi

nogi martwych żuków na pulchną ściółkę co wyda hiacynt”, czyli z matematyczną koniecznością, bo jej to poddana jest cała Natura. A przecie królestwo Natury nie jest naszym domem, należymy do niego, równocześnie do niego nie należąc. W tym królestwie konieczność jest jedynym dobrem, inaczej niż dla nas. Stawanie się w naszym królestwie, Historii, podlega zupełnie innym prawom, wyrasta z nas, z naszych, najdrobniejszych nawet, czynów. Niestety, w przyswajaniu sobie historyczności nie wykroczyliśmy dotychczas poza nieudolne początki, ale oswobodzimy się spod jej magnetyzmu tylko potęgując ją, nie odwracając się od niej.

Biada tym, co czas historyczny odkryli nagle, nieprzygotowani, jak analfabeta chemię. Ale biada też tym, co ludzą się, że posłuszni są niezmiennemu wezwaniu ponieważ czas historyczny, wymagający od nas ciągłej odnowy, jest dla nich tylko mgłą i ułudą. Nawet ich sztuka będzie bezwładna, bo niezahartowana w ogniu czyścącym — właśnie nasza nieunikniona sprzeczność jest dla nas czyścicem. Cały ten wywód, w moim ujęciu tutaj zbyt abstrakcyjny, nie był abstrakcją, bo brałem go ze swoich jak najbardziej osobistych przeżyć. Niezgoda na spokój, na prywatne tylko szczęście: zapewne mój wyjazd z Ameryki był ucieczką z Cytery. Nauczyciel łaciny Adolf Rożek nawiedzał niekiedy moje sny, dlatego zamknąłem poemat czule pożegnaną strofą Horacego (bo Cytera jest nam zabroniona) o Wenus, dyrygentce chórów pod wschodzącym księżycem. Ale rozprawiałem się też z niewolnikami Postępu: drżąc przed sądem Historii uczynili z niego najwyższą instancję moralną i estetyczną. Wspinają się na palce, żeby zaglądnąć w jutro, choć wzrost ich nigdy nie wystarcza i przyszłość rozdzieli swoje dobre i złe noty zupełnie inaczej niż oczekują. Gdyby nasze normy leżały w czasie a nie były odkrywane przez nas samych, historia, sztywna i uroczyta, przygniatałaby nas swoim ciężarem. Jest jednak przewrotna i przez to zmusza nas, abyśmy w polityce czy w sztuce zwracali w przyszłość nasze wymogi czyli ponosili ryzyko.

*Traktat poetycki* został ukończony na krótko przed rewolucyjnymi wstrząsami jesieni 1956 roku w Polsce i na Węgrzech. Wkrótce też ukazał się w Paryżu. Nie spodziewałem się, że ta książeczka, trudna, może komuś się podobać i że zasłuży na najwyższe odznaczenie. Było ono przyznane w liście z Warszawy i jako wieniec laurowy całkowicie mi wystarczało, bo list pochodził od Tygrysa. Zawsze zakładałem, że dość udane nawet moje prace mogą nie mieć jego aprobaty, że jednak jeżeli coś stanowczo zgani, na pewno, zastanawiając

stę, będę musiał przyznać mu słuszność. Natomiast nic, co nie zyskało jego pełnego uznania, nie mogło pretendować do doskonałości. Ale list Tygrysa wynagradzał mnie też za moją „noc duszy”, kiedy nie chciałem gładko wymknąć się z antynomii pomiędzy boskim i historycznym, która mnie truła. Jego, wbrew początkowym samouspokojeniom, truła również i braterstwo nasze odtwarzało się na wyższym zakręcie myślowej spirali.

Tygrys co prawda zawiódł mnie przez swoje artykuły w warszawskich pismach, ogłaszane wtedy kiedy miał już okazję wystąpienia bez zasłon, w imię s w o j e j, humanistycznej, rewolucji. To inni wypadli z za lian cenzury jak młodsze tygrysy, podczas kiedy on kroczył w ariergardzie i niemal osłaniał odwrót stalinowców. Miałem do niego żal za małoduszność, za nieodmienną ostrożność, za stąpanie zawsze na miękkich łapach, jakby bał się, że zaprzestając gry rozpadnie się w kawałki. Zarazem jego taktyka nie skłaniała do optymizmu: jeżeli on jest tak wstrzemięźliwy, to znaczy, że za wcześnie i że nie rokuje „odwilży” narazie nic poza krótkotrwałym porywem. Jednakże, jak sądzę, popełniałem niesprawiedliwość. Tygrys może być sceptyczny, ale także wstydił się naśladować zręcznych, którzy dokonywali zwrotu o sto osiemdziesiąt stopni i z dnia na dzień zaczęli głośić publicznie coś wręcz przeciwnego niż głosili dotychczas. Gdyby poprzednio tylko i wyłącznie kłamał, zapewne nie miałby skrupułów. Jego wojenne podstępny zawsze jednak były zgodne z powołaniem tropienia zwierzyni, jakkolwiek tę zwierzynę nazwiemy — choć była chyba po prostu wymykającą się nam naszą moralnością.

Wiadomość o nagłej śmierci Tygrysa na atak serca wyczytałem pewnego letniego popołudnia 1958 roku przerzucając prasę. Jak zwykle kiedy znika ktoś, kto obiecywał nam, przez to tylko że był, jakieś zupełne zespolenie i wzajemność, nie pozostawało nic innego jak wpatrywać się w zielone liście chwiejące się na wietrze. Wobec elementarnego faktu nie wynaleziono nic a nic poza słowami Ekklejzasty: „Albowiem nie masz trwałej pamiętki ani po mądrym ani po głupim, gdyż w dniach które przyjdą obaj będą dawno zapomniani”. Później dowiedziałem się, że w ostatnim okresie życia obcował z dwiema tylko książkami: *W poszukiwaniu utraconego czasu* Prousta i *Estetykę* Hegla. Żartował, że Hegel wpędził go w chorobę, aż tak trudny. Żart ten był, wydaje mi się, szczerzym wyznaniem, niż ktokolwiek się spodziewał. Bo Tygrysa zabiła gra, serce w niej zużywa się nieraz za szybko i nie nadąża rozumowi usiłującemu odczytać z biegu historii wolę Boga.

Jeżeli próbowałem pocieszać się radą Kazania na Górze: „Nie zabiegajcież tedy o jutro, gdyż dzień jutrzejszy sam o siebie troszczyć się będzie”, nie daje mi to prawa do chełpliwości. Przeciwnie, Tygrys wiele wziął na siebie za mnie i przez swoją bliską czy daleką obecność kłuł mnie, podniecał, żebym nie zasnął. Nie zrealizował siebie w dziełach, ale nie umiemy mierzyć znaczenia jednostki w społeczeństwie, jej sokratycznych promieniowań i zachęt skutecznie podejmowanych przez innych. Twierdzę, że gdyby nie Tygrys, kilku jego przyjaciół, zamieszkałych w Polsce czy za granicą, działałoby inaczej, a ponieważ mają do rozporządzenia różne trybuny, kraj w którym urodził się Tygrys byłby uboższy o jeden ważny składnik.

Ze śmiercią Tygrysa książka moja zmierza ku zakończeniu. Zamykający ją rozdział, mimo że traktuje o bardzo bliskiej mi osobie, ma charakter użytkowy, bo nie jest to książka uczuć. Przykład naszych starć i pogodzeń, opcji stojących przed nami, powinien być dopełnić to wszystko, co próbowałem powiedzieć o mojej wschodniej części Europy. Różnił się od Rosjan przez brak błogosławionej patriotycznej chmury, przesłaniającej świadomość. Uciekając się do usprawiedliwień, nie mogliśmy uciec się do najwygodniejszego, jakiego dostarcza potęga własnej ojczyzny, zdobywana choćby nieskromnym kosztem. Ani on ani ja nie łudziliśmy się, że da się zapobiec proporcjonalnej małości naszego kraju. Co prawda, pochodząc z terytoriów językowo niejednorodnych, lepiej może niż on pojmowałem trwałe skutki przegranej i grzech pierworodny polskich komunistów, lekceważących przeszłość, która brała w posiadanie każde posłane do szkoły chłopskie dziecko. Różnił się też od lewicowców tzw. Zachodu, bo oni piastowali legendę, a nam miesiące i lata tej legendy kroili żywe ciało. Ich wiary strzegła nieznanomość geografii i historii krajów odległych o kilka godzin lotu i mniemali, że dowiadują się dosyć o powikłanych konfliktach wspólnot ludzkich czytając encyklopedię — niepoprawni *Bouvard* i *Pécuchet* Flauberta. Ukształtował ich wiek mieszczańskiego indywidualizmu, nagle bili się w piersi i imali się sprawy publicznej — dla nas tylko neofici, bo my mieszczańskiego indywidualizmu nie mieliśmy za sobą i już przez to, że czerpałiśmy z naszego dziedzictwa, hołdowaliśmy innej tradycji. Tygrys, kiedy mieszkał przy rue Cardinal Lemoine, wysiłał się, żeby być teoretycznie-postępowy, przekonał się jednak później że nam to nie może się udać.

Ani jego ani moje opcje nie były trafne — ale żadnych trafnych nikt by nie znalazł, jeżeli założymy, że nie jest roz-

wiązaniem przeczekiwać na uboczu. Zresztą gdybyśmy byli obywatelami jakiejś innej demokracji ludowej, popadlibyśmy w znacznie gorsze obieże. Polska nawet w najciemniejszych latach przechowywała coś ze współczucia dla bezbronnych, dzięki swojej chaotyczno-liberalnej przeszłości, dzięki katolicyzmowi i dzięki głuchej nienawiści starych komunistów do oprawcy, który zamordował ich ukochanych przywódców. Gdzie indziej dobrą radę Einsteina rozpamiętywałbym prawdopodobnie w więzieniu, oskarżony o pierwsze z brzegu przestępstwo, na przykład o współpracę z amerykańskim wywiadem — i zznałbym, skoro tego by żądano, że prawdziwym szefem amerykańskiego wywiadu jest Einstein. W każdym razie napewno nikt by mnie ponownie nie wysłał, z przymknięciem oczu, za granicę. A Tygrys, pomimo całej swojej ostrożności, natknąłby się w swoim zaufanym gronie na prowokatora.

Wystrzegalem się, o ile to możliwe, w tej książce uproszczeń i chociaż ułamki autobiografii są w niej jedynie pretekstem, nie pojawiają się chyba na jej stronicach jako postać świetlana. Być może tu i ówdzie przebliskuje sąd o sobie samym dość surowy. Jeżeli tak, to nie ma powodu, żebym upiększał Tygrysa. Nie tylko moje opinie o nim się liczą, również opinie innych, znających go mniej. Jego byli studenci z niedowierzaniem na mnie patrzą, kiedy wygłaszam jego apologię. Przecież — wzruszają ramionami — to był człowiek przerażony, zniweczony, rozbite lustro. Są okrutni i wobec tej zawsze zewnętrznej miary stosowanej przez naszych bliźnich, ku własnej przestrodze powtarzam słowa mego wiersza o mnóstwie „półotwartych ust, które nigdy jak chciały mówić nie zdążyły”.

Nie przesądzam na ile opisane tutaj przypadki są typowe dla niektórych środowisk Europy wschodniej. Porównując nas jednak z mieszkańcami państw spokojnych i uładowanych, skłonny byłbym, pomimo wszelkich naszych nieszczęść i cierpień, uznać nas za szczęśliwszych pod jednym względem. Ani nowe modele samochodów, ani podróże, ani przygody miłosne nie dadzą eliksiru młodości. Wydierając swoją porcję rozrywek i rozkoszy, narażamy się na zemstę czasu, który stępia naszą zmysłową chłonność. My jednak odkryliśmy, że eliksir młodości nie jest urojeniem, właśnie dlatego, że zagładnaliśmy w głąb piekiel naszego stulecia. Nikt nie zdobywa się na to chętnie. Poza tym zgęszczony, przyspieszony czas, inny niż fizjologiczny, mścił się obozem koncentracyjnym, kulą czy atakiem serca. Tym niemniej uczył absolutnego zainteresowania i pękały przegrody dzielące jednostkowe od zbiorowego, styl od instytucji, estetykę od polityki. Gdyż cudowny eliksir jest to pewność,

że nasza wiedza o tym co ludzkie nie ma kresu, że nie przystoi nadymać się powagą, bo każde nasze osiągnięcie spada we wczoraj, zawsze więc jesteśmy uczniami wstępnej klasy. Podejrzewam że tam, gdzie na niezmiennym niemal tle jednostka odbywa swoją wyprawę od dzieciństwa po starość, gdzie nie burzą jej przyzwyczajęń zmienne koleje społecznego ładu, zbyt łatwo popada w melancholię rzeczy zastanych i nieprzejrzystych. Dwudziestoletni wymawiają wtedy z grymasem znużenia fałszywy aforyzm: „wszystko to już było”.

Poprzez klęski i katastrofy ludzkość szuka eliksiru młodości czyli u-filozoficznienia, żaru jaki podtrzymuje wiara w powszechną użyteczność naszego indywidualnego wysiłku, choćby z pozoru nie zmieniał nic w żelaznych trybach świata. Nie jest wykluczone, że nam z Europy wschodniej przypadło być w tym awangardą. Wybierając, musieliśmy poświęcać jedne wartości w imię innych, co jest istotą tragizmu. Tylko jednak za cenę tak wyostrzającego doświadczenia w nowym blasku ukazują się stare prawdy. Kiedy ambicja doradza nam wznieść się ponad proste zasady moralne, strzeżone przez ubogich duchem, zamiast obrać je wśród zmienności za igłę kompasu, niszczy je to, co jedynie może okupić nasze szaleństwa i błędy, miłość.

*Czesław MIŁOSZ*

## Wiersze

### LOUIS DUDEK — NOTA O POECIE

Louis Dudek, wnuk emigranta polskiego, urodził się w Montrealu, w Kanadzie, w roku 1918. W młodości mieszkał we wschodniej, przemysłowej części miasta. Otrzymał świadectwo dojrzałości na Uniwersytecie im. McGill'a w Montrealu, po czym przez pięć lat poświęcał się pisarstwu reklamowemu. Przeniósł się do Nowego Jorku, uzyskał tam tytuł magistra artium z historii i literatury na Columbia University. W Nowym Jorku uczył w szkołach średnich, a następnie został docentem poezji współczesnej i literatury europejskiej na Uniwersytecie im. McGill'a, w swojej macierzystej uczelni.

W Montrealu związał się w latach czterdziestych z zespołem wydawniczym modernistycznego pisma literackiego pod nazwą „First Statement” (w tej chwili „Northern Review”), ostatnio z pismami „Contact” i „CIV'n” (Civilisation). Drukował poezje w następujących pismach: „Contemporary Verse”, „Here and Now”, „Imagi”, „Outposts”, „Commonwealth Poetry”, „The Canadian Forum”, „Saturday Night”, „Forge”, „Artisan”, „Origin” i „Sheaf”. Zbiór jego wierszy, opublikowanych w „Northern Review” otrzymał nagrodę tego pisma w 1951.

Wydął (wraz z czterema innymi poetami) swój pierwszy tom pt. „Unit of Five („Pięciu”) w 1944, w Toronto. Następnie ukazały się: „East of the City” („Wschodnia część miasta”) w 1946, też w Toronto, „Other Canadians” („Inni Kanadyjczycy”) w 1947, w Montrealu, tom: „Cerberus” („Cerber”) (wraz z Irvingiem Layton'em i Raymond'em Souster'em), „Twenty-four Poems” („Dwadzieścia cztery wiersze”) i „The Searching Image” („Obraz, który szuka”) w 1952, również w Toronto. W 1954 wydaje w Londynie i Toronto swój obszerny poemat pt. „Europe” („Europa”), owoc podróży po naszym kontynencie. Tom drukowała Oficyna Poetów i Malarzy w Londynie, ilustracje wykonała Krystyna Sadowska. Wreszcie, w 1956, wydaje swój ostatni tom, również w Londynie i Toronto, pt. „The Transparent Sea” („Przeźroczyste morze”).

Northrop Frye w piśmie „The Canadian Forum” w ten sposób charakteryzuje jego pracę poetycką: „Louis Dudek jest dobrym poetą, który

w niczym nie przypomina lepszych od siebie; w jego utworach znajdujemy nową kadencję, trudną do znalezienia w poezji współczesnej. Jest to poeta świeży i dostępny; nie boi się, że go wezmą za naiwnego. Pamięć łatwo przyswaja jego wiersze i nietatwo gubi”. John Sutherland w piśmie „First Statement” tak o nim pisze: „Zaletą p. Dudeka jest to, że zdobył się na napisanie rzeczywistych wierszy lirycznych w okresie nieprzychylnym dla prostszych form pisarstwa. Odkrywa poezję w przedmiotach robiących nam j m n i e j s z e wrażenie. Pisze o przechodniach na ulicy, rzeczach i zdarzeniach zwykle uchodzących uwagi, nastrojach, o których się wie, ale których się nie analizuje. Cechą charakterystyczną tych wierszy jest ich delikatne, wrażliwe piękno. P. Dudek to artysta wybredny: w jego rytmach rzadko odnajdujemy skazę”.

Dudek był współwydawcą antologii poezji kanadyjskiej tp. „Canadian Poems, 1850-1952, uważanej za najlepsze krótkie wprowadzenie w tę poezję. Od 1956 stoi na czele komitetu, wydającego młodszych poetów kanadyjskich, tzw. Serię Poetycką, McGill'a (McGill Poetry Series), w Montrealu i Londynie. Sam pisze po angielsku. Mówi po polsku dość źle ze świetnym kurpiowskim akcentem.

Wiersz „Bądź młody ze mną” („Be Young with Me”) pochodzi z tomu „East of the City”. Wiersz „Piękna Kalipso” („The Fair Calypso”) z tomu „Twenty-four Poems”, wreszcie „Czarna Dziewczyna i Wiersz” („The Black Girl and the Poem”) z tomu „The Searching Image”.

J. N.

### BĄDŹ MŁODY ZE MNĄ

*Bądź młody ze mną. Dla biednych nie miej litości:  
Dla chłopca-kuternogi i dziewcząt już się kurwiących  
Po ulicach, gdy ojciec z przeciętym łbem, zataczając się,  
Radośnie wraca — z okiem utkwionym w przykrą niedzielę!*

*Bądź młody. Nie miej dla nich, choć biedni, litości:  
Dla mężczyzn charczących płwociną, kobiet z pazurami  
Na workach barwełny, cieście z czosnkiem, zgnitej swininie!  
Nie miej litości: taka jest architektura wieku!*

*Współczucie jak powrozem mota nogi młodości:  
Ileć podniesiesz pijaka z dołu na śmieci,  
Jak szkarlatyna spustoszy to strzelistą młodą dziewczynę  
z twarzą spaloną po dziesiątej — duszkiem wypitej mazoli!*

*Nie pozwól jednak, by twój mózg zasnął wśród architektur:  
Gromadź je jak na kopiec — w sobie i niech społeczny gniew  
Burzy je w tobie na ruinę azteckich świątyń: Bądź młody —  
Przecież niosąc kamienny topór na morderczą cywilizację!*

## CZARNA DZIEWCZYNA I WIERSZ

Stojąc na tarasie, dobierając słów w podziwiewie  
 nad zachodzącym słońcem, przesunąłem dłoń  
 po rączce emaliowanej  
 i, dotykając skóry, zobaczyłem nagle  
 ją, wysoką, straszną, piękną czarną dziewczynę  
 przed sobą. Nasze oczy w splocie piorunu,  
 ręce cofnęły się. Stałem bez słowa,  
 gdy odwróciła głowę sztywno — z rozmysłu —  
 w kierunku słońca, pokazując mi pierś,  
 na której zatrzymały się oczy.  
 Tak stała odwrócona — (było to przyzwolenie) —  
 z piersią w pęk pękającą  
 poprzez suknię. Drżąc odwróciłem oczy;  
 wtedy odeszła. Ja z moim wierszem  
 o słońcu zwęglonym we mnie; wzbudziła  
 płomień, który mnie palił — wypalił wiersz.  
 Zostało tylko  
 jej ciało z hebanu i oczy białe jak muszla,  
 nie moje,  
 tak w wyobraźni — doskonałe.  
 Szedłem ulicą z bladą, spieczoną twarzą,  
 fale upału bijące mi do czoła,  
 w oczach łzy.

## PIĘKNA KALIPSO

Miłość przyszła jak febra śród nocy —  
 Uszła  
 o świcie jak nocny wiatr.

Teraz dnię tak spokojne —  
 wyspy na całym morzu.

Powiedz mi,  
 gdzie ta burza?  
 Gdzie owa fala, która mnie zaniosta  
 aż do jej boku?

Louis DUDEK

(Przełożył Jerzy Niemojowski)

## PAN PIOTR

Przypowieść dla tych  
 którzy próbują zjednać  
 sobie „drugą ojczyznę”  
 kosztem pierwszej

## Motto:

„...ów zaś uczeń był znany arcykapłanowi i wszedł z Jezusem na dziedziniec arcykapłański; Piotr zaś stanął zewnątrz przy bramie... i rzekła do Piotra służąca odzwierna: czy i ty nie jesteś z liczby uczniów tego Człowieka? On zaś rzekł — nie jestem”.

(Męka Pana Jezusa, Jan 18-19)

Wszedł z tłumem. Tłum go zabrał. Marmurowe ściany  
 Odbiły tłumy, jak lustro. Tłum dobrze ubrany,  
 Wykarmiony do glancu, od dołu do góry  
 Wymyty luksusową mydliną kultury.

Była noc.

Pod sklepieniem neony. Za ścianą  
 Czarny dół. Z końca sali co chwila wołano;  
 Głos tępy z metaliczną precyzją wymieniał  
 Ceny akcji? Nazwiska świadków oskarżenia?

On rozglądał się chyłkiem — krępy, z cerą śniadą;  
 Tacy wszyscy zażywni... Więc lekko się nadął.  
 Było dobrze:

powietrze jak ogrzana woda  
 Krążyło między ludźmi leniwie. Wygoda.

Meble z twardego dębu: złocenia i skóra,  
 Cygara, wentylacja bez pudła — kultura.  
 Setki lat dobrobytu na każdym fotelu.  
 I nagle głos nad uchem: „wybacz przyjacielu...”

(Wzdrygnął się mimo woli. Znał tę grzeczną mowę,  
 w której, zamiast klonicą, uśmierca się słowem)  
 „Wybacz” — kłaniał się sługa w galowym mundurze —  
 „Lecz panu nie wypada przebywać tu dłużej.

„Pan jest z Tamtych, nieprawda? Mnie rzadko wzrok myli”.  
 I uśmiechnął się cienko i płytko pochylili.

Więc ten śniady na twarzy, obelgą dotknięty  
 Sięgnął ręką, gotowy wyjąć dokumenty,  
 Lecz rozmyślił się widać i tylko wzrok groźny

Przez przymrużone oczy zawiesił nad woźnym:  
 „Myli mnie pan z kim innym. Wybaczam tym razem,  
 Chociaż takiej zniewagi nie puszcza się płazem”.

Woźny odszedł.

A ciągle gdzieś na końcu sali  
 Ludzie z ręką na pulsie miarowo wołali.

I znowu było dobrze:

dobroć zamieszkania,  
 Wygoda, uszytego na miarę ubrania,  
 Głupia przyjaźń z dywanem, zawarta tak sobie,  
 Od niechcenia. I ściana, za którą mysz skrobie...  
 Nie przegryzie marmuru — więc z myszą też sztama.  
 A to była mysz stara, odwieczna — ta sama.

Odmarzał krępy człowiek. Zabawą niedbałą  
 Brzękał srebrem w kieszeni; monet było mało,  
 Lecz sam dźwięk delikatny prostował mu plecy.

Gdy nagle głos nad uchem, tym razem kobiecy,  
 Taki, którym co tańszą materię się łąta:

„Jakże miło mi spotkać! Znałam pana brata...”

Z ukłonem nadto sutym zaczął się zarzekać,  
 Że pardon, że pomyłka, że „nie zna człowieka”.

Ale zbladły mu w oczach neony nad salą,  
 I paliły się żółto, jak świece się palą.

Głos doleciał wyraźniej, więc szczęki zaciskał,  
 Pojął: to był głos Sądu. Czytano nazwiska.

Było źle:

za oknami mrok powoli rzedniał,  
 Świtało. We drzwiach sali stała przepowiednia.

I woźny czarną kulą leciał po dywanie  
 Prosto w cel, między oczy. I wołał: mój panie,  
 Inaczej pogadamy! Tu JA jestem władza!  
 Wynocha! Nawet mowa odmienna cię zdradza!

Wyrwał paszport, jak tarczę. I na pierwszej karcie  
 Pokazał palcem napis — ostatnie zaparcie.

I NATYCHMIAST KUR ZAPIAŁ

Przez pęknięte ściany  
 Wleciał ten głos wilgotny, po rosie taczany,  
 Zapachniały... rumianki i praca i bieda,

I ta JEDNOSC ogromna, co nie jest na sprzedaż,  
 I zmyliło się Pismo.

Bo losem Polaka

Zasmucony bezbrzeżnie BÓG — GORZKO ZAPŁAKAŁ.

Lancaster, 1 sierpnia 1958 r.

Jan ROSTWOROWSKI

## LASY TAKIE CIEMNE

I czarną ścieżkę wydeptałem  
 do wiedzy źródła nadaremnie  
 i czterdzieści i cztery  
 wciąż nierozwiązane  
 i tylko lasy takie ciemne

wiek dwudziesty wybity  
 na wieży zegarowej  
 i czas zwycięski płynię i fanfary  
 grają na chwałę  
 nade mną szum motorów  
 wielkich wynalazków  
 a lasy takie ciemne

człowiek już wyrósł z puszczy życia  
 chodzi z szybkością głosu fali  
 tyle zagadek rozwiązanych  
 a lasy takie ciemne

i mimo krzyku świata wkoło  
 cisza panuje niezbadana  
 to cisza lasu w którą idę  
 szukać sam siebie  
 nadaremnie —  
 nie wiem czy żyję zagubiony  
 czy zagubienie zrozumiałem  
 bo lasy takie ciemne

świat przygnieciony ciszy siłą  
 tylko spokoju brak do życia —  
 śnię snem boleści opętanej  
 w bogów milczeniu  
 tajemnica

i lasy takie ciemne

mędracy na tropu pomysł wpadli  
 unosząc w górę duch ludzkości  
 skąd inny widok wzięła ziemia  
 i wielu wierzy

że nie lasy  
lecz prosty stół zielony w dole  
to prawda z góry

cóż gdy nie dane człowiekowi  
do śmierci w górze  
życia pędzić —  
nie ma tam miejsca na mogiły  
i mądrość na nic  
a sercem ziemi przywołani  
żyć tu przychodzimy  
choć niepewność  
i lasy takie ciemne

Jan KIERYŁŁO

## NA ŚMIERĆ PRZYJACIELA

## I

Jak ciężko jest zapomnieć to, że kiedyś umrę —  
gdzie dowiedzieć się pewnej godziny odjazdu?...  
każdego z nas niestety kładą w zimną trumnę  
i w niewiadomą porę wywożą za miasto.

Nie trzymająca życie pęka niespodzianie  
i człowiek choć nie myśli, zawsze jest gotowy —  
miejsce Twe obojętnie gość zajmuje nowy  
a po niego znów kiedyś przyjdzie umieranie.

Na zmarłą twarz ohydy spoglądam z ukrycia  
choć fakt umarcia nigdy nie jest zaskoczeniem —  
ten straszny widok trupa pokrywa mnie drżeniem  
— gnijąca na dwu deskach antyteza życia.

I wszystko się skończyło, wszystko uleciało  
tylko pamięć wydziera swobodę istnienia  
a zatruty wyglądam bólu zapomnienia  
Po mym przyjacielu nic tu nie zostało...

Jan KIERYŁŁO

## NA ŚMIERĆ PRZYJACIELA

## II — przy trumnie

Na widok czarnej trumny uciekam od niego  
ja, co niegdyś to życie jako brat kochałem —

pogorzelnisko dymi na twarzy zmarłego  
skończony bój woń gęstą pozostawia z ciałem.

Spokojnie żyć nie może kto konanie przeżył —  
z wysiłkiem się podnoszę bo iść trzeba dalej  
ulicami jak nigdy płyną śmiechu fale  
a ja wśród piękna wiosny w moc strachu uwierzył.

Ten trup to nic wspólnego z umarłym człowiekiem  
nie ma już śladu życia w przerażenia masce —  
przy krzyżu, ja samotny w żałobnej opasce  
stygającą myśl unoszę w krainy dalekie.

Jan KIERYŁŁO

**CENTRALA WYSYŁKOWA**

Paczki do Polski, U.S.S.R. i innych krajów. Powiększony katalog  
lekarstw — ceny konkurencyjne. Przesyłamy pieniądze do wyboru:  
w dolarach lub złotych — Żądajcie katalogów.

NASZA SPECJALNOŚĆ: sprawy emigracyjne, sprowadzanie  
krewnych, sprawy majątkowe — adoptacje dzieci, podróże.  
Obsługa szybka i gwarantowana.

**ST. DZIAKIEWICZ AGENCY**

860 So. Broad St. Trenton 10, N.J. U.S.A.

Tel. Export 4-9559



TOM XLVII

TIBOR DÉRY

# NIKI

Przekład z jęz. węgierskiego

Przedmowa

Gustawa HERLING-GRUDZIŃSKIEGO

Cena egzemplarza 6 NF (9 sh., \$ 1,30)



TOM XLVIII

DOKUMENTY 7

WIKTOR SUKIENNICKI

# KOLUMBOWY BŁĄD

Szkice z historii, teorii i praktyki  
sowieckiego «komunizmu»

Cena egzemplarza 9 NF (13 sh., \$ 2,00)

## Granice nieobecności

I

Wracam ze zjazdu literatów na zamku Elmau.

Zjazdy, konferencje, festiwale, narady twórcze, a niech to dunder świśnie, a kysz i po stokroć: *apage satanas!* Choroba naszych czasów. Kto nie musi, nie powinien okradać swego cennego życiorysu z godzin spędzonych w oparach dymu papierosowego i popisowego gadulstwa. Zwłaszcza pisarz, człowiek który z reguły żyje za krótko.

— Gdybym się miał urodzić po raz drugi — powiedział Tomasz Mann przed śmiercią — już bym wiedział jak żyć: nie zmarnowałbym ani jednej godziny na bezowocne zajęcia.

Także i pewien rodak, ceniony literat, a przy tym nałogowy kongresowicz, typowy garnek, co innym przygania, chociaż sam smoli, uskarżał się kiedyś obłudnie po powrocie z zagranicznego wojażu:

— Dziwna rzecz, na wszystkich imprezach tego typu widuję zawsze te same twarze. Co gorsza: z góry wiem; co kto powie i w którym miejscu skłamię.

Rzeczywiście, niejako na naszych oczach wyrósł i zmężniał nieznany w zamierzchłych czasach typ intelektualisty-komwojażera, gładkiego mówcy i referatowicza, który jak ów rycerz w piosence: „z potrzeby w potrzebę i z cwału w cwał, ze szanica na szaniec i z wału na wał” pędzi z jednego kongresu na drugie spotkanie międzynarodowe, coś tam ważnego krzewi i rozwija, zacieśnia i reprezentuje, nie mając czasu na myślenie, czytanie i pisanie książek, spalając cenną energię twórczą na spiętrzonej fali iście hulaszczej „vita activa”.

— Myśl, zbyt często wypowiedzana na głos, umiera na papierze — ostrzega Nabokov.

Pewien światły człowiek, bodaj że Tołstoj, utrzymywał że nie zna bardziej uciesznego zajęcia jak próby organizowania literatów. Przypominają one zaganianie królików na łące do

klatki pośród bezksiężycowej nocy. Więcej szamotaniny, krzyku, skubania włosów i rwania za uszy niż to wszystko warte. Coś tam jest na rzeczy. I wcale nie trzeba mieć skłonności do anarchii, by zadać sobie pytanie: po jakie licho zreszczać ludzi pióra?

„Trzeba z żywymi naprzód iść!” — zawołał przed wielu laty Asnyk i — napisał stertę okropnych wierszydeł, nadziejących mądrościami ze ściennego kalendarza. Co fatalniejsze, bezbronni dzieci w szkołach psują sobie smak na tej poezji, i to pod groźbą zostania na drugi rok w tej samej klasie. Ach, brońcie się, dziatki, brońcie wszystkie razem przed wulgarnym, tromtadrackim „sięganiem po życie nowe”. Za takim hasłem najczęściej ukrywa się zwykła bujda na resorach. Nie wierzcie panom profesorom i innym wytrawnym suflerom, rozpylającym komunały w rodzaju: „nieobecni nie mają racji” (mają!), „nie wolno obrażać się na historię” (wolno!), „trzeba trzymać rękę na pulsie wydarzeń” (wcale nie trzeba!). Współczesny myśliciel powiada co innego: „Nieszczęściem naszego czasu jest rabunkowa pod względem moralnym i intelektualnym postawa „dabei sein”...

Czy pisarz może żyć i tworzyć bez zorganizowanego życia literackiego? Nie przesadzajmy: może, i to nienajgorzej.

Są, jak słyszę, pisarze w Polsce, którzy nie znają nazwiska aktualnego ministra kultury i sztuki, i mimo to pisują całkiem niezłe książki. I vice versa: są tacy, którzy po rabinacku znają i obwąchują najsubtelniejszą różnicę między, dajmy na to, wiekopomnymi tezami wysuniętymi na 19 Sesji Rady Kultury i Sztuki a niektórymi równie historycznymi sformułowaniami na 12 Plenum, a jednak wiedza ich, godna uznania, jakoś nie wpływa na podniesienie ich twórczości. Wręcz przeciwnie. Im zwawiej organizują życie kulturalne, tym większą ponoszą klęskę jako pisarze. Na życzenie służę nazwiskami.

Osobiście miłsi mi są ci inni, choćby te nasze zatabaczone Alicje w krainie czarów. Opowiadają, na przykład, że pewien znakomity polykacz kurzu książkowego dopytywał się po śmierci Stalina, czy prawdą jest, że Rosją rządzi teraz „jakiś nowy”, zdaje się że Chruścik, ale głowy nie daje czy przypadkiem nie przekreślił nazwiska, gdyż od dłuższego czasu siedzi w innej epoce. Inny zaś, koronny kornik emigracji, tak głęboko się zakopał w szpargałach British Museum, iż o wybuchu powstania na Węgrzech dowiedział się przypadkowo i drogą okólną: przeglądając poźółtkę kartki Petöfięgo...

Zanim odpowiemy sobie na pytanie, czy warto jeździć na kongresy i zjazdy literatów, zastanówmy się dla jakich to ważnych spraw odrywa się synów Apollina od poplamionego atramentem stołu? Czasem młody poeta musi oderwać się od wiersza o wiośnie, by przebrać się w inny gatunek sukna i zabić drugiego człowieka. Tłumaczają mu wtedy, że nie czas żałować róż, skoro lasy płoną. To jedno okrucieństwo, a drugie, niemniej barbarzyńskie: trzeba, niestety, zarabiać na życie. Klnąc

w duchu świat i ludzi, idzie się, na przykład, lizać znaczki pocztowe za okienkiem. Tych dwóch bolesnych konieczności, jak dotychczas, uniknąć się nie da. W pierwszym przypadku za odmowę odejścia od rękopisu grozi sąd polowy, a w drugim śmierć z głodu. Trzeba też czasem, w imię dość problematycznej rozrywki, przerwać na chwilę pisanie, by sięgnąć po dzban Falerna czy kibić płoczej Chloe. (Nie brak nawet utworów, z których dość jasno wynika na jakiej stronie maszynopisu autor przerwał w połowie zdania, by ulec męskiej słabości). Ale na tym i koniec koncesjom. Czy warto odrywać się od pisania dla „spotkania z czytelnikami” w świetlicy Samopomocy Chłopskiej, dla jakiegoś obłąkanego w swym pomysle „osobistego kontaktu twórcy z masami”, dla salonu jakiejś rodzimej pani de Guermantes, dla lampki wina na cześć przybyłych do stolicy intelektualistów z Zewnętrznej Mongolii?

Żywy i świadomy związek twórcy ze sprawami swego czasu, czynny udział w zbiegowiskach najrozmaitszego autorkamentu, podróże o których zwykło się od czasów Reja mówić, że kształcą, nagrody państwowe czy kościelne, wydania w języku Swahili, piękna muskulatura polityczna, talent podobania się czytelnikom, krytykom i cenzorom, nieustanna troska o sprawy społeczne i narodowe, słowem: „trzymanie ręki na pulsie” — wszystko to, rzecz prosta, może przynieść swój bogaty i interesujący plon także i na polu twórczości literackiej (że wspomnę o sejsmograficznym Brandysie, zanurzonym w falach życia po uszy), ale — o dziwo! — tak się szczęśliwie składa, że nie brak i pewnych osiągnięć, stworzonych przez niezorganizowanych, zagubionych i samotnych, nieśpiesznych przechodniów, tak sromotnie spóźnionych („nie nadążają”), że aż innych... wyprzedzających.

Niechże i mnie, w kilkadziesiąt lat po autorze przejmująco głębokich strof w rodzaju: „*Lecz serce, serce człowieka wciąż w nieskończoność ucieka*” (wierszotłuk Asnyk, któżby inny!), wolno popisać się w tym miejscu mądrością ze ściennego kalendarza:

Literatura, hazard nad hazardy, przypomina kapryśny, niedorzeczny mecz wszystkich z nikim. Murowanych faworytów nie ma, zawodnicy mogą przegrać i kibice mogą przerznąć z kretesem, a zwycięzcą zostaje jakiś nietutejszy, zabłąkaniac z ostatniego rzędu na trybunie, taki co zamiast na boisko przez cały czas spoglądał na mrówkę pod ławką, i nie znał reguł gry. Nawet czas, ten rzekomo najsprawiedliwszy z sędziów, zawodzi sromotnie.

Czy pisarz powinien stale zerkać na zegarek, na kalendarz, na kompas, na ostatnią nowinę z pola bitwy?

— Od pewnego czasu nie piszę, bo nie chciałem wyskoczyć z szyn — zwierzał mi się niedawno pół żartem (ładne mi żarty!) pół na serio młody prozaik z ojczystej niwy. — Jestem po prostu zdezorientowany. Trzeba poczekać aż się sytuacja wyjaśni na najbliższym zjeździe...

O, wa! Wcale nie wiadomo, co dla człowieka pióra gorze: być „zdezorientowanym” czy też — „zorientowanym”? Po co ci, braciszku, jakaś „orientacja”? Nie miałem mu prawa powiedzieć, że póki swoje przyplwy i odpływy energii twórczej uzależniać będzie od „wyjaśniania się” czy też „zaciemniania sytuacji”, nigdy nie będzie pisarzem z krwi i kości, że najlepiej pisze się wbrew... Ale łatwo mi się mądrzyć na odległość, będąc ciałem (ale nie duchem!) *extra muros*. Gdybym był na jego miejscu, bo ja wiem? (Ilu to pytań w ogóle nie zadaje, zaszantażowany własną nieobecnością w kraju, i już z góry słysząc, nawet w milczeniu mego rozmowcy, odpowiedź: „W a m dobrze mówić”...). Uprzytomniłem sobie również, że chęć prawienia morałów młodszemu oznacza zapowiedź nadciągającej starości, więc tylko ująłem kieliszek za nóżkę i — pod tę Muzę, co nie chce wyskoczyć z szyn — nasze kawalerskie, dzień!

W na pół demonicznej wyobraźni organizatorów kultury zawisłej z dawien dawna jawią się dwa pojęcia przeciwstawne: „życie literackie”, ciasne, małe, „nie obejmujące całokształtu”, i — to bujne, wielkie, prawdziwe życie, od którego pod karą zbawienia nigdy „oddalać” się nie wolno. Spostrzegam, że w trzy lata po Październiku, jeden z tych „świadomie swój czas przeżywających” koryfeuszów ducha na jakiejś ideologicznej „nasiadówce” znowu pochwyił korbkę starej, wylajrowanej katarynki, wypowiadając aż nadto sakramentalną formułkę:

— Niektórzy z nas odwrócili się od życia. Robią wrażenie ludzi, którzy spadli z księżycy...

Ach, ty w pierwszym szeregu sił walczących o trwałą pokój i demokrację ludową, wstydił byś się na starość pleść duby smalone, tak żałośnie nudne, płaskie i wytarte! Właśnie skończyłem czytać świetnie opracowaną antologię Poliakova i Wulfa „Trzecia Rzesza i jej myśliciele”. Ile tam złotych myśli podobnego pokroju, tyle że brunatnym spisanych atramentem! „Kto się odwraca od życia, od tego życie też się odwróci”. Nadęte a złowrogie trzy-po-trzy różnych Rosenbergow, Bäumlerów czy innym Koellterów. Pewne hasła korzystają z bezterminowej amnestii. Leonid Sobolew w klątwie rzuconej na Pasternaka też uderza w podobną miedź dźwięcząca: „Smutny jest los pisarza, który swój mały światek przekłada nad życie”.

Czy los Pasternaka naprawdę jest „smutny”? Czy jego „świataek” rzeczywiście jest mniejszy lub gorszy od bałwochwalczo wyznawanego „życia”? Czy raczej nie należy współczuć Sobolewowi?

Rozmawiałem w tych dniach ze stypendystą. (Stypendyści, to podobno określona formacja umysłowa).

— Pan wybaczy — zaczął mi wdmuchiwać w ucho swoją prawdę absolutną ów nadwiślańsko-stypendialny entuzjasta Becketta i Jonesco, wycierając okularki zapocone od zacietrzenia, — ale ten Pasternak, mówiąc między nami: lamus,

panteistyczne próchno, moderna, jakaś taka starocerkiewna przybyszewszczyzna. Tak dzisiaj pisać nie wolno, żenujący anachronizm. Ja pana przepraszam, ale to nie na nasze czasy. Mnie tam znacznie więcej mówi Alain Robbe-Grillet czy Michel Butor...

Chciałem mu odpowiedzieć, że lunatyczny urok „Doktora Żiwago” leży, między innymi, i w tym, że Pasternak napisał powieść po swojemu, wbrew temu „co się ostatnio nosi” w literaturze, ale w tej chwili przypomniła mi się pewna koleżanka z Zabiej, która ćwierć wieku temu (o hydro pamiątek!) na krętych schodkach wiodących do drzwi biblioteki Koła Polonistów na Oboźnej zwykła się na mój widok łapać za ondulację z okrzykiem: „Kolego, wierzcie mi: Sienkiewicz, to stetryczały klerykał!”. Podmyty melancholią wspomnień, wywiesiłem białą chorągiew uprzejmego milczenia, a trzeba mu było powiedzieć:

— Napijmy się, panie docent! Błogosławieni, którzy spadli z księżycy, dzień! Lamus nie lamus, pochwalmy samotnego, wiernego swej prawdzie artystycznej, cyk! A życie, panie docent, to „nowe” czy „prawdziwe”... Ot, taki sobie slogan i dziennikarski pic!

## II

Już choćby z tych kilku luźnych uwag czytelnik łatwo wywnioskować może, iż piszący te słowa bynajmniej nie żywi nadmiernej sympatii wobec twórczości uzależnionej. Zaczyna się od niewinnego hasła „ściślejszego związku z życiem”, a kończy się na posługach. Zaczyna się od okrzyku: „Twarzą do współczesności!”, a skończyć się nieraz może na powiatce o traktarach czy rymowanej pochwalce towarzyszcy z bezpieczeństwa. Wszelkie kazania o „zadaniach” i „powinnościach” literatury (prędzej czy później zmieniające się w regulamin służby czynnej), bez względu na to z czyich ust wychodzą, mobilizują we mnie instynkt samozachowawczy, i to taki, co działa na wszystkie strony. Bo i co komu z niezależności, jeśli jest ona połowiczna, pozorowana lub z gołą odrzucana (oczywiście, w imię „odpowiedzialności za słowo”, jakże by mogło być inaczej!), gdy tylko obraca się „przeciw nam” lub zagraża „nadrzędnym interesom” (znamy ten szantaż na pamięć; a ileż to razy ten „nadrzędny interes” okazywał się po niewczasie jedną wielką pomyłką, jeśli nie wręcz kłamstwem).

Niezależność stosowana... Długo by można mówić na ten temat. Na brak przykładów uskarżać się nie można. Weźmy dziedzinę ocen estetycznych: układny wobec dwunożnych przedmurzy Chrześcijaństwa i Zachodu krytyk literacki udaje, że dostrzega jakąś zasadniczą różnicę między „dajmy na to, „Obroną Stalingradu” a „Obroną Częstochowy”, Sienkiewiczem a Szofochowem, sowieckim realizmem socjalistycznym, sienkiewiczowskim „pokrępieniem serc” czy hollywoodzkim

kultem „happy end'u”; to znowu zły utwór o Powstaniu Warszawskim wydaje mu się lepszym osiągnięciem literackim od złego utworu o Rewolucji Październikowej...

Powtarzam: nie jestem entuzjastą literatury, wprzęgniętej w rydwan szczytnych zadań, widok pisarza w kombinezonie „inżyniera dusz” czy w biało-czerwonym ornacie Wieszcza Narodowego napawa mnie niepokojem, a gdy ten lub ów szaman z dumą w głosie powiada, że nasza poezja, moiściewy, jest „werbłem walczącego narodu”, spuszcza głowę, myśląc sobie w duchu: jest się też czym chwalić, „stan wyjątkowy” w naszej kulturze i sztuce, wieczna okoliczność łagodząca, trwa już okrutnie długo. A jednak...

A jednak na zjeździe literatów w Elmau przytapałem się na podwójnej buchalterii, na stosowaniu dwóch różnych miar wobec swoich i obcych. Kali *redivivus*. Poczuję na sobie zbroję szlachetnego oburzenia na klerków, niczym Andrzej Werblan na odprawie zespołu redakcyjnego „Nowej Kultury” w Warszawie (6.5.1958). Miałem ochotę krzyknąć na całą salę:

— Strusie, strusie nad strusiami! Wyjmijcie papierowe głowy z surrealistycznego piasku! Nie uciekajcie od spraw tego świata na pustynię abstrakcji. Gdzie wasza odpowiedzialność moralna?

Uderzyło mnie następujące zjawisko. Oto przyjeżdża w Alpy, w klasztorne, rekolekcyjne zacisze, przeszło stu ludzi, kwiat zachodnio-niemieckiej literatury i krytyki literackiej. Obradują w czasach, o których niektórzy autorzy artykułów wstępnych z wrodzoną swemu powołaniu emfazą piszą zwięźli: „niebezpieczny zakręt dziejów”. Wywodzą się z narodu, który — jak by to najdelikatniej wyrazić — ma jeszcze dość dużo ważnych spraw do załatwienia... Niespełna dwieście kilometrów od sali obrad zaczyna się inny świat i ciągnie się sztuczna granica ich rozdartej ojczyzny. A tymczasem... świat ich literatury obraca się w jakiejś hermetycznej próżni Toricellego, w higienicznym, celofanowym opakowaniu, z dala od prątków ideologii, laseczników moralności, czy gonokoków sprawiedliwości społecznej. Przez trzy dni czytają i krytykują swoje utwory. Jakie to utwory? Niektóre z nich przypominają już nie „klasyczne” malarstwo abstrakcyjne, które jeszcze pośluguje się barwą i linią, ale te niefrasobliwe kartony przebijane gwoździami i nawlekane szpagatem, jakie można czasem oglądać na arcynowoczesnych pokazach.

— *Ich schreibe jetzt nur gegenstandslos* — mówi jeden z młodych miłośników sztuki zdehumanizowanej. — Wyrażam prawdę naszego czasu bez zbędnego konkretnego, fabulatorium, faktury, sond psychologicznych, dialogów, opisywactwa i innych relikwów prozy tradycyjnej...

— Gotów pan jeszcze zrezygnować z posługiwania się alfabetem — próbowałem zażartować, ale spróbuj pożartować w tak śmiertelnie poważnej sprawie, wystrychną cię na epigona Kraszewskiego czy innego Ganghofera jak nic.

Tylko nieliczni (Ingeborg Bachmann, Enzensberger, Jugosłowianin Milo Dor — dwoje pierwszych jest poetami) nie bojąc się zarzutu „tradycjonalizmu”, uprawiają literaturę „tematyczną”. Nie unikają również poruszania „problemów”. W większości utworów i wypowiedzi krytycznych, jakie nam przyszło wysłuchać na zjeździe, próżno by jednak szukać jakiejś głębszej troski o losy naszej kultury i cywilizacji czy też objawów większego zaciekawienia ważniejszymi zagadnieniami tej, jak by nie było, dość interesującej epoki. Przyznam się, że gdybym był Niemcem, niepokoiłaby mnie ta ostentacyjna niechęć do rozpatrywania zagadnień w kategoriach innych niż czysto estetyczne. Jeden rozgniewany moralista Heinrich Böll nie czyni wiosny.

Wiadomo, że w tym kraju sparzono się na literaturze zaangażowanej — to wiele tłumaczy, ale nie wszystko rozgrzewa. Skąd więc, mówiąc nową polszczyzną, to nowe „przeziębienie pały”? Czy po tylu latach pijaństwa nowoniemiecka Izba Wyrzeźwienia powinna przypominać klatkę ze strusiami? Nie można się oprzeć niemiłemu domysłowi, że gorączkowa krzątanina wokół surrealizmu w jego najrozmaitszych postaciach, to coś znacznie gorszego od spóźnionej mody i dziesiątych wodach po francuskim kisielu, to po prostu umywanie rączek wodą kolońską i swoista *ucieczka* młodego pokolenia od odpowiedzialności moralnej za wczoraj, za dziś i za jutro. „*L'art — powtórzmy za Delacroix — c'est un courage*”... Lecz ciebie, grzeszna kraino wczorajszych Wotanów i wieży z kości ludzkiej, błyskotkami dodekafonicznej prozy ludzą, a przydałby ci się, wydrażony narodzie, jakiś własny Bernanos rozpalony do białości lub nowy Daumier z drapieżnym okiem.

Kiedy jeden ze znakomitych nowelistów (młody Klaus Röhler) czytał (przy aplauzie krytyków) opowiadanie o abstrakcyjnych gehennach abstrakcyjnego człowieka, któremu stopy stopniowo zamieniają się w górę lodową, a inny czolowy reprezentant współczesnej kultury umysłowej (Walter Höller) zebrał burzę oklasków za fragment powieści, której tematem są abstrakcyjne perypetie abstrakcyjnego językoznawcy, wynalazcy nowej mowy, westchnąłem na głos:

— *Habt ihr Sorgen!* Nie macie innych zmartwień!

Kilka zgorszonych twarzy odwróciło się w moją stronę. Przez moment wydawało mi się, że jestem starym Koźmianem, który okopał się przeciwko nowym Mickiewiczom. Pocięszylem się jednak myślą, że ci uprawiacze prozy surrealistycznej nie są znowu aż tak wielkimi nowatorami: na dobrą sprawę wszystko to się już gdzieś czytało...

Jadąc na małą olimpiadę literacką do Elmau, nie byłem przygotowany na sukcesy hermetycznej prozy typu Höllera. Zawsze mi się wydawało, że organizator zjazdu, „Gruppe 47”, zreszta zwolenników innego rodzaju pisarstwa. Być może uległem sugestii nazwiska patrona imprezy Hansa Wenera

Richtera, pisarza na wskroś ideowego, i Heinricha Bölla, który uchodzi za sumienie dzisiejszej literatury niemieckiej.

Cóż to za towarzystwo, ta „Gruppe 47”? Czy prawdą jest, że stanowi potęgę większą od wszystkich oficjalnych związków literatów i akademii razem wziętych, że odgrywa rolę „anonimowego mocarstwa” w powojennej kulturze Niemiec?

Pewien krytyk literacki w chwilach wolnych od krytykowania powiedział mi, przechadzając się po zamkowym parku (szczyty alpejskie po lewej, jezioro po prawej), że gdyby ta legendarna grupa wybrała się autobusem na wycieczkę i gdyby autobus, co nie daj Boże, stoczył się w przepaść, nie byłoby dobrej współczesnej literatury niemieckiej, przy czym krytyk ów położył tak wyraźny akcent na słowie „dobrej”, iż z miejsca się domyśliłem, że istnieje równie jakaś mniej dobra, uprawiana przez ludzi niezwiązanych z „grupą 47”.

Zaproszony na zamek Elmau (nowobogacka rudera, udająca stare zamczysko), by przeczytać rozdział prozy po niemiecku, jeszcze przed wyjazdem nasłuchałem się iście tatarskich wieści, że to klika, hermetycznie zamknięty klub (trzeba, podobno, polecenia aż trzech braci starszych) sitwa wzajemnej adoracji, gorsi od masonerii, coś w rodzaju niemieckiego Nidu.

Pewna przedwcześnie posiwała w walce z rymem i rytmem poetessa, której stolica piwa i „Föhnu” przyznała kiedyś magistracką nagrodę, ostrzegła mnie życzliwie przed salonową lewicowością, antyklerykalizmem, snobistycznym antyamerykanizmem, niechęcią do NATO i zimnej wojny. Coś jak PEN-Club, mówiła, ino że jeszcze gorzej. Poetessa zapomniała, że nic tak nie popycha Czerwonego Kapturka w ramiona kosmatego wilka jak przestrogi dobrej babci.

Z kolei pewien ranny pod Smoleńskiem myśliciel, który wydał (nakładem swej żony) wnikliwe studium o wpływie Azji na duszę rosyjską, powiedział mi z przekąsem:

Pętaćto po trzydziestce, obsiedli radiostacje, redakcje i lektoraty wielkich firm wydawniczych, sprawują niewidzialny terror w naszym życiu kulturalnym przy którym sugestie Goebellsa pod adresem twórców były dziecinną igraszką; nie brak tam intelektualistów, którzy — *damit Sie Bescheid wissen* — za młodo byli komunistami (a były komunistami zawsze gorszy od obecnego komunisty, z zasady nie wierzę w przemienionych Szawłów), zażydzone to bezceremonialnie, ideowo indyferentne, trzecia pięć, pięknoduchy żyjące czkawką po Kafce, gotowi rozpaczać nad przemienieniem się człowieka w owada (*wie grausam!*), wszak to do niczego nie zobowiązujące, niż protestować przeciwko policyjnemu systemowi po drugiej stronie barykady. Co ja mówię „barykady”! — dla nich, letnich, nie ma żadnej barykady, to są, proszę pana, okrakiewiczce, pomysłowi saperzy budujący mosty między wschodem a zachodem i takie, panie, różne inne unescowe hocki-klocki”...

(Wywód ten, nawiasem mówiąc, przypomniał mi zaciętrzenie pewnego bawarskiego polityka ze stronnictwa zacho-

wawczego, który ściągnął krzeczaste brwi, z lekka zroszone piwną pianką, dawał mi najświętsze słowo honoru, że kto nie jest byłym komunistą, homoseksualistą, lub Żydem urodzonym na Węgrzech, nie ma najmniejszych szans w niemieckim przemyśle filmowym. Najlepiej jednak, utrzymywał ów Bawar, odznaczać się tymi trzema przymiotami na raz).

Jeszcze inni zaostżeli mój apetyt twierdzeniem, że „grupa 47” stanowi skrzyżowanie namiastki salonu literackiego ze zwykłą giełdą wydawniczą, przy czym pod wspólnym mianownikiem „bezdonnej lewicy” ukrywa się pozałowania godna polityczna i intelektualna impotencja wszystkich „demo-liberalnych eklektyzmów” (hadki termin!). Łączy tych panów (tak mi mówiono) wspólna niechęć do formułowania jakiegokolwiek określonego programu; wiedzą, czego *nie* chcą, skłonni do częściej negacji (akcent na słowie „czczej”), lękają się „pozytywów” jak ognia; obce im są wszelkie dyskusje na tematy „zasadnicze”; gdyby ktoś podniósł się z fotela i powiedział w tym gronie, że czegoś tam „oczekuje” lub wręcz „wymaga” od siebie lub innych, nastaloby kłopotliwe milczenie...

Nic dziwnego, że po wysłuchaniu tylu różnych opinii o „grupie 47” pojechałem na jej doroczny zlot gwiazdzisty z uczuciem podniecenia, jakiego doznają mężczyźni przed spotkaniem się z kobietą, znaną tylko z fotografii.

### III

Wracam z tego spotkania, objuczony kilku spostrzeżeniami:

— wielkich talentów — mają niewiele; w kręgu „grupy 47” do wyraźnie zarysowanych indywidualności zaliczyć można, poza Büllem (którego nowa powieść „Bilard o wpół do dziesiątej” należy do najcenniejszych osiągnięć powojennej prozy niemieckiej) — Güntera Grassa (rocznik 1927; gdańszczanin polskiego pochodzenia po kądzieli, niemiecki Gombrowicz, autor świetnej, upstrzonej swoistymi „polonicami” powieści „Błaszany bęben”); Ingeborg Bachmann (poetka, autorka rewelacyjnej noweli „Wszystko”, radbym ją kiedyś przetłumaczyć), liryków: Hansa Magnusa Enzensbergera i Güntera Eichsa;

— brak licznej i dobrej „średniej klasy”, podobnie jak u nas w Polsce; na jednym krańcu literatura dla literatów (Grass, Höllerer), na drugim — niezbyt potrzebne próby naśladowania popularnych kicydeł w rodzaju „o8/15” (powodzenie tej pseudo-Remarque'owskiej szmiry w Kraju jest dla mnie prawdziwą zagadką; czyżby się popsuł smak w ojczyźnie?), a środek — do wynajęcia;

— częste wyjazdy Niemców na urlopy do Włoch zaczynają dawać się we znaki: sporo błażej prozy widoczkowej z „kolo-rytem”; zmęczeni cywilizacją miejską Germanie zaczynają błą-

kać się po rybackich portach południa i podglądać tubylców; dochodzi do tego demoralizujący wpływ filmu i magazynów;

— możliwości eksperymentu na polu prozy surrealistycznej wcale nie są nieograniczone. Znaczący już zmęczenie wyobraźni; nie ma nic okropniejszego nad klisze... surrealistyczne;

— na uwagę zasługuje metoda pracy w Elmau: autor siada na krześle elektrycznym, otoczony plutonem egzekucyjnym krytyków; nie ma prawa ani się bronić ani się... obrażać! Niektórzy młodzieńcy „*leżeli w polu jako bycy tłuszczu po rzezi*” (Psalm 26, Wespazjan Kochowski); zapominając o słowach Goethego: „Zatłuczcie tego psa na śmierć — to recenzent!”;

— najbardziej mi się podobały ironiczne wypowiedzi profesora Hansa Meyera z Lipska, który nawet rachitycznym utworem przyprawił pokrewieństwo z arcydziełami literatury światowej. Kajus Cecyliusz Pliniusz Sekundus, zwany Młodszym (62-110), podaje, iż wuj jego, człek dobrotliwy, zwykł był mawiać, że nie ma tak złego utworu, w którym nie znalazłoby się coś dobrego. Duch starych Rzymian najwidoczniej wstąpił w ciało tego z cicha pękł zjadliwego pana profesora. As germanistyki, Meyer, przez jakiś czas pracował naukowo w Niemczech zachodnich, ale pewnego dnia doszedł do przekonania, że lepiej będzie się czuł w Niemczech wschodnich, i ku osłupieniu swoich zwolenników przeniósł się do Lipska. I takie rzeczy się zdarzają. Jak się teraz czuje nad Elsterą, trudno powiedzieć; Meyer jest autorem powiedzenia, które warto zanotować: „Ostrożnie z drukowaniem pamiętników! To najczęściej cmentarzysko nienapisanych powieści, na którym aforyzmy sterczą jak grobowe krzyże”;

— zauważyłem lęk przed demonem faktografii, jako pochylni, po której (rzekomo) pisarz stacza się w odmęt reportażu. Nawet świadome, artystyczne przetworzenie protokołu spraw autentycznych (jak „Medaliony” Nałkowskiej) nie zyskałyby tutaj prawa istnienia. Świadczeń, relacji, dokumentów („*die Aussage sagt nichts mehr*” — zeznanie nic już nie zeznaje”), zwłaszcza aktów oskarżenia „już się nie nosi”; w rodzinie kata nie mówi się o stryczku;

— tak schludnie jak krytyk Rudolf Leonhardt, myślał u nas Karol Irzykowski. Z właściwym Niemcom zamiłowaniem do systematyzowania możliwości wymienia cztery drogi stojące przed współczesną literaturą. A więc wyrażać można:

- a) Konwencjonalne w konwencjonalny sposób,
- b) Nowe w konwencjonalny sposób,
- c) Konwencjonalne w nowy sposób,
- d) Nowe w nowy sposób.

Punkt „d”, stanowiący credo radykalnych awangardzistów, należy, zdaniem Leonhardta odrzucić, podobnie jak punkt „a”, który zmierza ku bezdrożom „literatury konfekcyjnej”. Możliwości tworzyć tkwią zatem w punkcie „b” i „c”. Wszystko to sobie, oczywiście, skrupulatnie do notesu zapisałem, i ręka mi uschnie, jeśli napiszę choć jedną kartkę prozy według

punktu „a” lub „d”. *Never more!* Od jutra przestawiamy się na wysokie „c”!

— wspomniałem już o ucieczce od odpowiedzialności i swoistej znowie Nieobecności; co gorsza: młoda proza niemiecka nie ma światu nic ważnego do powiedzenia, brak jej wewnętrznej siły i dramatycznego napięcia bez czego nie ma literatury; zastanawiam się nawet czy nie dorzucić „staroświeckiej”, ale w tym przypadku trafnej formuły: temu pisarstwu brak taski...

Polaków zaproszono dwóch: Andrzeja Wirtha z „Nowej Kultury”, autora interesujących szkiców o Kafce i znawcę Brechta, tłumacza Dürrenmatta. I mnie.

Bardzo grzecznie wprowadzony przez Hansa Wenera Richtera, ojca „grupy 47”, odczytałem fragment „Obozu wszystkich świętych” w tłumaczeniu Armina Drossa. Z premedytacją, przynajmniej, wybrałem jedną z najmniej dla audytoryum przyjemnych scen, uważając, że — cacy, cacy — ale w odległości kilkudziesięciu mil od Dachau nie potrzeba wymyślać surrealistycznych koszmarów: za wiele prawdziwych unosi się nad tą ziemią.

Potem wstał pewien pan i wśród odświeżonej ciszy powiedział:

— Nowakowski należy do tych, którzy sądzą, że przy pomocy literatury można świat zmienić na lepsze...

W głosie jego, jakże życzliwym, postyszałem dobrotliwą ironię: „zostawmy mu to złudzenie”...

A krytyk Hans Schwab-Felisch napisał nazajutrz we „Frankfurter Allgemeine Zeitung”:

„*Es lohnte sich...* Opłaciło się zaprosić Nowakowskiego”.  
Bo ja wiem?

Tadeusz NOWAKOWSKI

## Czechosłowacka emigracja

Czeska i słowacka inteligencja na emigracji przypomina głowę bez tułowia i bez członków. Z profesorów i wykładowców uniwersyteckich, którzy w tej chwili są czynni w amerykańskich college'ach i w europejskich instytutach naukowych można by bez trudu stworzyć „ciało nauczycielskie” dla kilku, przede wszystkim humanistycznych, wydziałów szkół akademickich; nie brak utalentowanych prozaików, poetów i eseistów, żyją na emigracji niezliczeni dziennikarze. Czego brak, to kul-

turalnej publiczności, szerokiego kręgu czytelników, odwodów z których można by czerpać uzupełnienia; jeżeli nawet nie brak ich całkowicie, to ilość tych uzupełnień jest bardzo ograniczona. Czeski poeta na emigracji przemawia więc, czy śpiewa jak gdyby przed pustą salą. Podobnie naukowiec, czy publicysta, jeżeli nie chcą żyć o chlebie i wodzie i pracować „do szuflady”, to zmuszeni są pisać w jakimś innym, nie ojczystym, języku. Jest to bolesne, bo stanowi pierwszy krok do wyobcowania się i późniejszej asymilacji z przypadkowym otoczeniem. Wspólny cel traci się wtedy szybko z oczu.

Jest rzeczą charakterystyczną, że po jedenastu latach nie udało się założyć i utrzymać przez dłuższy czas przy życiu żadnego reprezentatywnego wydawnictwa kulturalnego, jak również, że — z nielicznymi wyjątkami — nie ma na emigracji czeskich książek. Jedno małe przedsięwzięcie wydawnicze „Sklizeń svobodne tvorby” („Plon wolnej twórczości”, Lund, Szwecja) pracuje stale na krawędzi wielkiego deficytu, gdyż nie udało mu się zdobyć więcej niż około 300 abonentów. Książki wydawane w Lund — jest ich zazwyczaj około dziesięciu na rok — nie wyglądają zbyt imponująco: najczęściej liczą 50-80 małych, gęsto zadrukowanych stron. Na emigracji żyje około sześćdziesięciu tysięcy Czechów i Słowaków. Czeska i słowacka grupa narodowa w Wiedniu, w Paryżu i w innych miastach, a przede wszystkim w Stanach Zjednoczonych i w Kanadzie stanowi wprawdzie masę znacznie liczniejszą, ale emigrantom wojennym nie udało się zdobyć dla siebie i dla swej działalności kulturalnej tamtego dawniejszego wychodźstwa. Z tego powodu nie udało się także próby założenia w USA większej czeskiej księgarni. Dawni wychodźcy żyją w swoim getcie, demokratyczna emigracja wojenna — w innym. Wśród Słowaków sprawa ta ułożyła się pomyślniej.

Nieco łatwiejszą sytuację ma Kościół katolicki, który posługując się pomocniczą organizacją „Krestanska academie” (Akademia chrześcijańska, Rzym) może spełniać dobrą robotę: rozpowszechnia nowe, świetne tłumaczenie Nowego Testamentu, wydaje od czasu do czasu zbiórki esejów o treści literackiej, moralnej i teologicznej i posiada dwa czasopisma o dobrym poziomie — dla szerszego koła czytelników „Novy zivot” („Nowe życie”) wydawany w Rzymie, z przewagą artykułów teologicznych, ale także i dotyczących spraw kulturalnych oraz z dobrze redagowaną, stałą rubryką dotyczącą życia intelektualnego, oraz dla węższego kręgu czytelników powielany przegląd „Studie” („Studia”) z dłuższymi esejami naukowymi i historycznymi. Ponadto istnieją jeszcze wydawnictwa miesięczne wydawane mniej lub więcej regularnie: „Tribuna” (w Holandii) z naukowo-socjologiczną orientacją i lekkim katolickim akcentem, „Ceske slovo” (w Monachium) o zabarwieniu liberalno-socjalistycznym, wreszcie „Zapisnik” („Notatnik”) w Nowym Jorku, będący organem neoliberalnym młodszej generacji i inne. Żadne z tych wydawnictw nie może sobie pozwolić

na wypłacanie chociażby najniższych honorariów. Wręcz przeciwnie — współpracownicy muszą często dopomagać tym piśmom dość poważnymi sumami. Nakłady tych pism wahają się w granicach od 2-4.000 egzemplarzy. Czasopismo poświęcone polityce i kulturze pt. „Svedectivi” („Świadectwa”) ukazujące się cztery razy w roku, w Nowym Jorku, jest przeznaczone przede wszystkim dla czytelników w Czechosłowacji. Czysto kulturalne wydawnictwa istnieją tylko dwa: „Sklizeń” („Plon”) wydawany w Hamburgu i „Archa” („Arka”) w Monachium. Oba są powielane, a nie drukowane i mają niskie nakłady. Oba też służą raczej rozpowszechnianiu dawnych niż tworzeniu nowych wartości. Swe braki usiłują zastąpić dobrą wolą. Wszystko to razem stanowi dla pracy kulturalnej na emigracji bardzo wąską, niepewną i problematyczną bazę. Tak więc pisarz mówi trochę na wiatr.

### CIEŻAR PRZESZŁOŚCI

Jedenaście lat po naszej ucieczce zajmuje nas wciąż jeszcze bardziej przeszłość, niż teraźniejszość i przyszłość. Dzieje stały się prawdziwym balastem emigracji. Liczni politycy, którzy odegrali pewną rolę w czasie komunistycznego puczu w lutym 1948, jak np. Ripka i Lausman, ogłosili swoje pamiętniki z tego okresu w języku angielskim lub francuskim. Niestety, tego rodzaju wydawnictwa nie były pomyślane jako ostrzeżenie dla Zachodu i jako gruntowna analiza komunistycznych metod, zajmowały się natomiast raczej obroną samych autorów, ich punktu widzenia i ich własnej działalności. Namietność brała najczęściej górę nad obiektywizmem. Politykom nie udało się stworzyć rozsądnego i realistycznego programu narodowego. Również do sprawy europejskiej integracji nie udało się czeskiej i słowackiej emigracji wnieść nic, co posiadałoby wartość powszechną.

Gdy tak zawiedli politycy, trud ich podjęli dziennikarze i eseści. Ale i im stworzenie narodowego programu nie udało się: także ich rozważania były poświęcone bardziej przeszłości niż teraźniejszości i przyszłości. Słowa te odnoszą się np. do książki pt. „Rub a lic naseho narodniho programu v atomovom veku” („Powierzchnia i spód naszego narodowego programu w wieku atomowym”), wydanej w Rzymie r. 1959 przez Ladislava Radimsky'ego, który korzenie zła widzi w fakcie, iż naród czeski i słowacki zatracił swój pierwotny, intymny stosunek do Boga. Jest rzeczą charakterystyczną, że Radimsky (lat 62) operuje w swojej książce przede wszystkim takimi pojęciami jak „spowiedź”, „pokuta”, „zmartwychwstanie”. Wydaje się nam jednak, że stałe poszukiwanie „winnych” — nawet gdy autor i siebie do nich zalicza — jest mało owocne. Nasze narody znacznie mniej potrzebują narodowego „Sądu Ostatecznego”, a znacznie więcej pozytywnej, ku przyszłości

skierowanej pracy. Sypanie sobie stale popiołu na głowę nie prowadzi w polityce naprzód. Co się stało tego nie odmienimy, nawet najpiękniejszymi słowami i chociażby najszlachetniejszą krytyką; zdziałać coś możemy jedynie przez bezpośrednie włączenie się do ogólnoeuropejskiego nurtu kulturalnego.

Nie inaczej niż Radimsky, także Jan M. Kolar (lat 35) usiłuje wydobyć narodowy program z przeszłości: „Otazky ceske tradice”, Lund 1957 („Zagadnienie czeskiej tradycji”). Należąc do młodszego pokolenia, musiał Kolar jeszcze szybciej zawieść i popaść w mesjanizm złożony z oskarżeń i namiętności. Dla niego, który nigdy nie miał sposobności aby przeszłość narodową przestudiować na prawdziwym materiale źródłowym, historia zamienia się w zdumiewającą grę fantazji, nie posiadającą z rzeczywistością związku, albo też posiadającą związek jedynie bardzo chwiejny. Obaj wymienieni autorzy coraz to powołują się w swoich książkach na pierwszego prezydenta T.G. Masaryka. Nie słusznie: tego rodzaju intelektualne gry i kombinacje Masaryk zawsze odrzucał dając pierwszeństwo konkretnej działalności. Także i nas nie uratują polityczni kapłani i moralni kaznodzieje. Naszym zadaniem nie jest wzajemne oskarżenie się i zwalczanie, ani też windowanie naszych cierpień na piedestał mitologii, a jedynie stawianie świata zachodniemu stale przed oczy problemu czeskiego i słowackiego jako sprawy niezatwionej. Podobnie nie jest naszym zadaniem obrzucanie wyzwiskami narodu w Kraju, jak to uczynił Kolar po jesieni 1956, z tego powodu, że na ulicach Pragi nie wybuchła rewolucja, ta droga wciąga nas głębiej w nasze getto, ale nie prowadzi w świat. To co sobie między sobą mamy wzajemnie do powiedzenia, nie interesuje nikogo na Zachodzie. A w sprawach naprawdę europejskich, jak np. sztuka realistyczna czy abstrakcyjna, nowa szkoła francuskiej prozy, współistnienie Wschodu i Zachodu — żeby tylko niektóre z tych spraw wymienić — nie powiedzieliśmy dotąd nic.

Ze na emigracji nie ma wiele sensu zajmowanie się głównie przeszłością udowadnia stanowisko prawdziwego historyka Otakara Odložilika (lat 61). Ten profesor uniwersytetu, który w Czechosłowacji ogłosił wiele historycznych studiów, przede wszystkim na temat czeskiej reformacji, zajmuje się na emigracji głównie pisaniem wspomnień i literackich esejów. Jako historyk wie on dobrze, że pisanie o przeszłości bez źródłowego materiału nie jest możliwe i byłoby dowodem braku odpowiedzialności; a ten źródłowy materiał jest na Zachodzie nieosiągalny. Ponadto Odložilik usiłował ożywić na emigracji polsko-czeską współpracę kulturalną. Powstał z tego ładny zbiorek „Pocta Adamu Mickiewiczowi, basnikovi a vestci”, Nowy Jork 1954 („Ku czci Adama Mickiewicza, poety i proroka”). W zbiorze tym, jedynie powielonym a nie drukowanym, Odložilik zgromadził czeskie tłumaczenia Mickiewicza i niektóre przykłady polsko-czeskiej współpracy kulturalnej. Jak dotąd, wysiłki prof. Odložilika znalazły jednak tylko niewielki od-

dźwięk. Usiłowanie pogłębienia polsko-czeskiej współpracy, podjęte w Nowym Jorku przez „Cechoslovensky zhranici ustav v exilu” („Czechosłowacki Instytut Spraw Zagranicznych na Obczyźnie”) chybił z przyczyn całkiem banalnych. Inicjator tego projektu, syn profesora polskiej literatury na jednym z uniwersytetów, udał się z przyzwoleniem amerykańskich władz bezpieczeństwa, na krótki czas do Pragi w sprawach osobistych. Z tą chwilą Instytut uznał współpracę z nim za niemożliwą — i tak zakończyła się cała inicjatywa. I w tej więc dziedzinie nasza emigracja trwająca już jedenaście lat dokonała bardzo nie wiele. Najbardziej brak nam tłumaczeń z języka polskiego na czeski i na odwrót. Także autor tych słów, chcąc by jego artykuł dostał się szybciej do druku, musi pisać po niemiecku.

O czym myślimy mówiąc o konkretnej i pozytywnej robocie, która ma postawić przed światem zachodnim zagadnienie czeskie i słowackie, ilustrują najlepiej książki, które nie popadając w ślepą, anty-komunistyczną propagandę odzwierciedlają nasze specyficzne doświadczenia z komunizmem, czyniąc to w sposób bezpośredni lub pośredni. Niektóre z tych książek osiągnęły godny podkreślenia poziom. Tak np. książka Petera Demetza „Marx, Engels und die Dichter”, napisana w oryginale po niemiecku, (Stuttgart, 1959) poszukuje podstaw marksistowskiej krytyki literackiej i estetyki. Książka ta zdobyła powszechne uznanie, a „Neue Züricher Zeitung” poświęciła jej dwa całostronicowe artykuły. Demetz należy do młodszego pokolenia historyków literatury i pracuje na uniwersytecie w Harvard; już dawniej pisał o Kafce i Rilke. Wielkie zainteresowanie wywołała książka Borisa Celovsky'ego pt. „Das Münchener Abkommen 1938” także napisana w oryginale po niemiecku i wydana również w Stuttgarcie (1958). Książkę zaatakowały ostro koła Niemców z Sudetów, ale przez koła demokratyczne i liberalne niemieckiej krytyki została oceniona pozytywnie. Celovsky jest młodym, uzdolnionym historykiem, który uzyskał promocję w Heidelbergu. Byłoby rzeczą interesującą, usłyszeć polską opinię o tej książce, gdyż porusza ona wyczerpująco także polsko-czeskie stosunki przed rokiem 1938 i omawia nieszczęśliwą rolę pułkownika Becka w Czechosłowackiej tragedii. Do tej serii należą jeszcze m.in. dwie książki: Jiri Pistorius, „Destin de la Culture Française dans une démocratie populaire”, (Paryż 1957, książka w oryginale wydana po francusku) oraz Zdenek Ehler, „Twenty centuries of Church and State; a survey of their relations in past and present”, Westminster 1957. To są tylko przykłady. Koniec końców bilans nie jest tak całkowicie negatywny.



## KOPCIUSZEK: POEZJA

W dawnej Czechosłowacji przypadał jeden pisarz na około 10.000 mieszkańców — jeżeli nie wliczamy autorów książek naukowych, a za „pisarza” uważamy każdego autora, który ogłosił, co najmniej dwie książki. Ten stosunek na emigracji wygląda dla pisarza mniej korzystnie. Rzecz można, że na obczyźnie przypada jeden pisarz na 500 emigrantów, której to cyfry nie należy utożsamiać z liczbą czytelników. Przy korzystnym układzie stosunków pisarz może być zadowolony, jeżeli znajdzie jakąś osobę czy organizację, która pokryje koszt druku jego dzieła. O honorarium nie można nawet marzyć. Pisarstwo na emigracji jest umiejętnością nie zapewniającą chleba. Pomimo wszystko jednak, błąd tkwi nie tylko w tych warunkach: czasami znalazłyby się i wystarczające fundusze, ale wtedy najczęściej nie można znaleźć odpowiednich rękopisów. Zdarzały się już konkursy literackie, o wysokich nagrodach, które przynosiły, niestety, rozczarowanie. Nie sądzimy by był usprawiedliwieniem dla emigracji, fakt, że także w Kraju literatura komunistyczna osiągnęła dno.

Czescy pisarze, mimo iż najliczniejsi z nich wciąż jeszcze piszą wyłącznie po czesku, okazują małe zainteresowanie swoim istotnym narzędziem, to jest językiem. Przed niedawnym czasem przeprowadzono w Pradze niewielką reformę pisowni z wyraźnym zwrotem ku fonetyce. W czasopiśmie emigracyjnych bez dyskusji przyznano rację praskim językoznawcom i milcząco przyjęto ich reformę; ostatecznie cóż innego pozostaje emigrantom, jeżeli nie chcą utracić także tego kontaktu z rozwojem ojczystego języka. Niemniej — z wyjątkiem nielicznych pisarzy, których można by wyliczyć na palcach jednej ręki oraz z wyjątkiem dwóch, trzech czasopiśmie — nikt zasad nowej pisowni nie przestrzega... Dla naukowca, ba — chyba nawet dla rzemieślnika i robotnika, byłoby rzeczą nie do pomyslenia takie zlekceważenie ewolucji ich narzędzia pracy.

Najpowszechniej znanym na Zachodzie autorem czeskim jest Egón Hostovsky (lat 53), którego powieści i opowiadania ukazały się już w przekładach na piętnaście zachodnich języków. W pięćdziesiątą rocznicę urodzin Hostovsky'ego ukazała się w Nowym Jorku książka o nim, w której opublikowali swoje prace m.in. Lewis Mumford, Waldo Frank, Graham Greene oraz inni prozaicy, publicyści, tłumacze i krytycy literaccy należący do kilku narodów. Hostovsky, który już w czasie drugiej wojny światowej przebywał jako emigrant w USA, pisze do dziś po czesku, chociaż jego ostatnie powieści nie ukazują się bądź też ukazują się dopiero po obcojęzycznych wydaniach, w jego mowie ojczystej. Ma to nie najlepsze następstwa. Język Hostovsky'ego pełen jedynych w swoim rodzaju obrazów, porównań i delikatnych przenośni, jest trudny do przełożenia. Ta trudność w połączeniu z fak-

tem, że język czeski jest na zachodzie mało znany — powoduje iż tłumacze sięgają najczęściej do wydań angielskich, a nie do oryginalnego tekstu. Tak subtelny autor jak Hostovsky traci na tym oczywiście dużo. Jest on pisarzem o indywidualnym obliczu a nie eklektykiem, niemniej jego styl i jego świat można by porównać do cocktail'u złożonego z wielu pomieszanych z sobą ingrediencji, albo też do pola magnetycznego, które przyciąga tak przeciwstawne elementy, jak np. Dostojewski, niemiecki ekspresjonizm, a przede wszystkim niemieckokrzydowska praska szkoła surrealistów, psychoanaliza i egzystencjalizm. Oczywiście to wyliczenie nie powinno być traktowane jako „definicja” Hostovsky'ego, ma nam ono jedynie dopomóc w orientacji. Jeszcze za czasów pierwszej republiki, gdy Hostovsky nie mógł przypuszczać, że znajdzie się dwukrotnie na obczyźnie jako przymusowy emigrant, zasadniczym problemem jego prozy była emigracja, getto. Sądzić wolno, że w czasie swojej pierwszej emigracji w Ameryce Hostovsky jako twórca musiał się czuć jak ryba w wodzie, gdyż wtedy dopiero mógł sam przeżyć „wyobcowanie” człowieka, będące typową sytuacją jego postaci powieściowych. Jak nikt inny, wyraził Hostovsky w czasie drugiej wojny światowej ten problem, nadając mu ponadczasową ważność i znamię powszechności. Oto tomy prozy, o których przede wszystkim myślimy „Listy z emigracji” („Listy z vyhnanství”), „Cudzoziemiec szuka mieszkania” („Cizinec chleđa byt”), „Skrytka” („Ukryt”) oraz „Siedem razy w głównej roli” („Sedmkrát v hlavní uloze”). Z okresu obecnej emigracji wymienić należy następujące dzieła Hostovsky'ego: „Zagubiony” („Pohresovaný”), „Wieczór dobroczynny” („Dobrocinný večerek”) i „Pacjent o północy” („Pulnocní pacient”), który posłużył francuskim reżyserowi Clouzot jako kanwa dla jego filmu pt. „Szpieg”.

Przeciwieństwem Hostovsky'ego, któremu warunki zewnętrzne i nasze własne problemy dostarczyły tematu do wielu książek, jest inny czeski prozaik, Jan Cep (lat 58), który na emigracji niemal zupełnie zamilkł. Ten wybitny mistrz słowa, medytacji i poezji, czuje się na emigracji wykorzeniony. W kraju Ignęły jego zainteresowania do krajobrazu, do ludzi, którzy stanowili jego otoczenie, do ludowej religijności. Na obczyźnie te subtelne związki są zerwane i Cep, żyjący w Paryżu wraz z żoną która jest córką zmarłego francuskiego eseisty i krytyka Charles du Bos, nie zareagował jeszcze nigdy w swej twórczości na obecne otoczenie i nowe środowisko intelektualne. Dla czeskiej literatury na emigracji jest to strata niemal tragicznego rzędu. W czasach, gdy komunistyczni pisarze dosłownie bredzą, jest rzeczą smutną gdy naprawdę wielki pisarz milczy. Jeżeli nie liczyć drobnych nowel, Cep ogłosił na obczyźnie tylko małe zbiórki przemówień radiowych, które zresztą są bardzo odległe od wszystkiego co najczęściej bywa mówione do mikrofonu. Cep jest obrońcą spirytualizmu zagrożonego przez nasz nowoczesny świat. Przez swój — tak różny — sto-

sunek do emigracji wyrażają nasi dwaj najwybitniejsi autorzy dwa przeciwstawne bieguny wygnańczej literatury: albo uczynić emigrację przedmiotem swej twórczości, a mianowicie zmitologizować ją, albo — zamilknąć.

Młodsze pokolenie szuka innej drogi — trzeciej. Jako najbardziej typowego, i mogącego poszczycić się sukcesem przedstawiciela tych tendencji można wymienić Jana M. Kolarę. Pierwsza jego powieść „La monnaie de retour”, Paryż 1959, napisana po francusku omal że nie uzyskała nagrody literackiej dla autorów obcych piszących w języku francuskim. („Prix Rivarol 1959”). Podobno Kolarowi brakło jedynie paru głosów. Jego książka, podobnie jak wiele powieści Hostovského’go, jest romansem emigracyjnym, ale u Kolarę emigracja jest tylko dodatkowym akcentem, smaczkim, owym — można by powiedzieć przysłowiowym łutem soli. Emigracja nie jest punktem centralnym, soczewką w której się zbiegają promienie akcji, a jedynie jednym z licznych dalszych planów. Także Kolarę opowiada o własnych doświadczeniach: dłuższy czas żył on jako przedsiębiorca w Kamerunie i jego książka jest powieścią kolonialną, a raczej — anty-kolonialną. Ponieważ Kolarowi przy opracowywaniu tej powieści pomagało wiele osób rytm jej jest trochę niejednolity: jak fryzura nad którą pracowało kilku balwierzy. Pomimo wszystkich niedociągnięć i nieco „podróźniczego”, bombastycznego stylu, książka ta zdaje się wskazywać właściwą drogę do przekroczenia zaczarowanych granic emigracyjnego getta, nie tylko pod względem tematu, ale także języka. Czesi nie mają innej możliwości; muszą pisać w jakimś innym języku. Tu leży główna zasługa Kolarę.

Poezja w ścisłym znaczeniu tego wyrazu jest naprawdę Kopciuszkiem. Jej powaby są ukryte. Aby je poznać musiałyby się zjawić jakiś książę z bajki, który by je nam ukazał. W wypadku poezji mógłby nim być tylko tłumacz. Ale tłumacza do tej chwili nie ma. Tak więc poeta na emigracji pisze dla kilku wtajemniczonych, dla małej grupy miłośników, którzy mimo wszystko w niego wierzą. Do tego dodać należy, że żaden czeski poeta pierwszej wielkości nie udał się na emigrację, i że młodsze pokolenie wobec omówionych już trudności wydawniczych nie ma warunków by swoje uzdolnienia w pełni rozwinąć. Także i tutaj istnieje przedział między starszymi i młodszymi. Autorzy liczący około 50 i 60 lat, których ogólnie charakteryzuje konserwatyzm, odmieniają w swojej twórczości we wszystkich znanych w czeskiej gramatyce przypadkach słowa „tęsknota”, „ojczyzna”, imaginacyjny „powrót”, przeszłość; wciąż jeszcze najwyższą wartość moralną upatrują w narodzie i w swym języku. Rzecz oczywista, silne piętno na ich twórczość wywiera ich stan uczuciowy, chociaż w poszczególnych utworach brzmi niefalszowana melodia. Do tego kierunku należą np.: Robert Vlach i Pavel Javor. Natomiast pokolenie młodsze, liczące około 30 do 40 lat, usiłuje poszukiwać związków z poezją światową, przede wszystkim drogą

przekładów na język czeski. Najbardziej reprezentatywnymi przedstawicielami tych młodszych są: Frantisek Listopad i Jiri Kovtun. Pierwszy z nich przekłada głównie z francuskiego (Saint John Perse, René Char i wielu innych), a także z hiszpańskiego, portugalskiego, włoskiego i greckiego — drugi przede wszystkim z rosyjskiego (Pasternak, Chlebnikow). Obu udało się już nieraz stworzyć przekład godny oryginału, ale obaj pozostają jeszcze dłużnikami wobec własnej twórczości lirycznej. Jan Tumlir, trzeci pisarz z tej generacji, podejmował próby przekładów współczesnych polskich poetów, niestety, przy pomocy tekstów angielskich. Polską lirykę bezpośrednio z oryginału tłumaczy okazynie Słowak — Imrich Kruzliak.

### SPOJRZENIE W PRZYSZŁOŚĆ

Pierwsza wielka czeska emigracja żyła na zachodzie już po wojnie trzydziestoletniej. Jej dziedzictwo, przede wszystkim w dziełach Jana Amosa Komensky’ego „Nauczyciela narodów” — przetrwało wieki jedynie dlatego, ponieważ ówczesni emigranci wnieśli swój wkład w ogólnoeuropejską kulturę tamtej epoki. Chociaż sami do ojczyzny nie wrócili, a ich potomkowie utracili świadomość narodową i język przodków, praca ich nie poszła na marne. Analogicznie i obecna czeska emigracja przetrwa jedynie w tym, co wniesie w europejską wspólnotę świata zachodniego. Można by zaryzykować paradoks, że emigracja przeżywa siebie samą tylko wtedy, jeżeli likwiduje się jako getto. Wydaje mi się, że innej możliwości nie ma.

Jaroslav DRESLER

(Przełożył z niemieckiego W.W.)

**MAREK HŁASKO**

**HŘBITOVY**

**(Cmentarze)**

W przekładzie K. BENY na język czeski

Cena egzemplarza 7,50 NF (sh. 11, dol. 1,50)

## DWA SUKCESY ŚWIATOWE

TOM XLVI BIBLIOTEKI " KULTURY "

ABRAM TERC

### SĄD IDZIE

oraz

ANONIM

### CO TO JEST REALIZM SOCJALISTYCZNY ?

Podziemna literatura sowiecka w przekładzie Józefa Łobodowskiego  
z przedmową Gustawa Herling-Grudzińskiego.

Cena egzemplarza 7 NF (10 sh. \$ 1,50)



TOM XLIV BIBLIOTEKI " KULTURY "

BORYS PASTERNAK

## DOKTOR ŻIWAGO

Przełożył z rosyjskiego Paweł HOSTOWIEC

Wiersze w przekładzie JÓZEFA ŁOBODOWSKIEGO

Cena egzemplarza 17,50 NF (25 sh., \$ 4,00)

## Archiwum polityczne

### Dwie " Algierie "

Dla przeciętnego ogłupionego propagandą od tyłu lat polskiego emigranta, wschodnie Niemcy to p. Ulbricht z leninowską capią bródką — nędza i trzy miliony uciekinierów, którzy od 1945 r. nieprzerwaną rzeką płyną w kierunku zachodnim. Gdyby tak było istotnie należałoby zadać pytanie: dlaczego Chruszczowowi tak zależy na tych beznadziejnych wschodnich Niemczech?

W rzeczywistości wschodnie Niemcy nie są tak beznadziejne jak je maluje propaganda. Jeżeli całość sowieckiego importu maszyn, wagonów, okrętów, obrabiarek, instrumentów precyzyjnych itp. — przyjmiemy za sto, to trzeba stwierdzić, że blisko 50 % tego importu pokrywają Niemcy wschodnie. Toteż prezydent zachodniego Berlina, W. Brandt, nie popełnił przesady gdy w jednym z niedawnych przemówień radiowych powiedział, że sowiecki plan siedmioletni w znacznym stopniu opiera się na dostawach niemieckiego przemysłu. P. Ulbricht, wykpiwany przez rysowników wszystkich pism humorystycznych świata — jest największym dostawcą najistotniejszych dóbr dla Związku Sowieckiego. Któż może się pochwalić obrotem z Rosją wyrażającym się kwotą 6500 milionów rubli? P. Ulbricht mimo swej bródky jest bardzo ważną osobistością i powodzenie sowieckiego siedmioletniego planu a tym samym „prześcignięcie” Ameryki — wszystko to spoczywa w znacznym stopniu na jego bochenkowatych plecach.

Ktokolwiek pragnie dyskutować problem Niemiec powinien zawsze pamiętać o cyfrach przytoczonych powyżej.

W tej perspektywie należy również rozpatrywać i oceniać zagadnienie neutralności. Prezydent zachodniego Berlina na jednej z konferencji prasowych zapytał kiedyś co powiedzieliby paryżanie gdyby pewnego dnia zabroniono im jeździć do Maisons Laffitte, lub londyńczycy gdyby ich odcięto od Hampton Court. Zachodni berlińczyk znajduje się dokładnie w takiej

sytuacji i nie może pojechać nawet do Poczdamu. Na teź konferencji prasowej Brandt słusznie zauważył, że to jest sytuacja absurdalna, która nie może trwać. Dziś gdy nikt nie kwestionuje praw do samostanowienia narodów kolonialnych — byloby szaleństwem przypuszczać — mówił prez. Brandt — że tak wielki naród jak Niemcy można dzielić i okupować w nieskończoność.

Równocześnie wielu wybitnych znawców przedmiotu i publicystów — jak Sebastian Haffner — wyraża pogląd, że Niemcy nie mogą być neutralne. Dlaczego? Ponieważ są zbyt wielkie. Można zneutralizować Austrię, ale nie tak wielki naród jak Niemcy.

W każdym z powyższych twierdzeń jest ziarno prawdy, której bronić można na dowolnej ilości stron pisma maszynowego. Jeżeli jednak nie rozpatrujemy losu Niemiec w perspektywie stuleci i pokoleń lecz ograniczamy się do konkretnej obecnej sytuacji — to musimy zacząć od ustalenia hierarchii celów. Wydawać się to może nic nie mówiącym frazesem, w gruncie rzeczy jednak każda racjonalna polityka musi się zaczynać od owego „A”. Albowiem brak ustalonej hierarchii celów prowadzi z reguły do równoczesnego głoszenia celów sprzecznych i wykluczających się wzajemnie. Ustalenie hierarchii celów nie jest bynajmniej rzeczą łatwą, pociąga bowiem za sobą konieczność wyboru. A każdy wybór oznacza rezygnację. By móc wybrać „A” trzeba często zrezygnować z „B” i z „C”. Tym się różni polityka od tromtadacji. Domagając się na przykład uznania granicy na Odrze i Nysie oraz zwrotu polskich ziem wschodnich — popadamy w sprzeczność. Broniąc tytułu do ziem wschodnich możemy użyć tylko tych argumentów, którymi posługują się rewizjoniści niemieccy domagający się zwrotu naszych ziem zachodnich. Nie ma logik narodowych tylko jest jedna logika obowiązująca wszystkich. W tej sprawie logicznie możliwe są tylko dwa poglądy. Albo stoi się na stanowisku granic z 1939 roku albo uznaje się i broni granic obecnych. Każde inne stanowisko jest nacjonalistyczną tromtadacją nie wytrzymującą cienia poważnej krytyki.

Możemy się jednak pocieszyć, że nie my jedni bywamy „na bakier” z logiką. Niemcy, choć wydali Kanta, Hegla i Marksa — w swym politycznym myśleniu bywają z logiką często na noże. I tak odrzucają neutralność i równocześnie domagają się zjednoczenia — oczywiście na drodze pokojowej. Zjednoczyć Niemcy można tylko dwojako: albo poprzez neutralizację albo poprzez zwycięską wojnę. Natomiast jeżeli ktoś rezygnuje i z neutralności i z wojny — rezygnuje de facto ze zjednoczenia. W takim układzie postulat zjednoczenia jest zwykłą tromtadacją a nie polityką.

W moim przekonaniu zjednoczenie Niemiec jest nie do urzeczywistnienia w oderwaniu od całości problemu Europy środkowo-wschodniej. Jest rzeczą cenną, że istnieją mężowie stanu na Zachodzie, którzy — jedni oficjalnie drudzy pół-ofi-

cialnie — wypowiadają się za uznaniem granicy na Odrze i Nysie. Trudno mi jednak pozbyć się wrażenia, że na dnie tych niewątpliwie korzystnych wypowiedzi — kryje się pobozne życzenie wyizolowania problemów wschodniej Europy. Innymi słowy: zjednoczenie Niemiec po linię Odry i Nysy tak — ale ani kroku dalej.

Niejednokrotnie zastanawiałem się co by się stało w Niemczech wschodnich w roku 1956, gdyby wypadki potoczyły się podobnie jak w Polsce. Gdyby Ulbrichta stalinowca zastąpił niemiecki Gomułka — gdyby powstały takie pisma jak „Po Prostu” — gdyby jednym słowem Październik nie ominął NRD. Osobiście jestem niemal pewien, że w takiej sytuacji doszłoby do zjednoczenia Niemiec. „Tezy dotyczące dalszego rozwoju marksizmu” Haricha stanowią mogły platformę do porozumienia z socjalistami zachodnio-niemieckimi. Gdyby październikowa rewolucja zatriumfowała w NRD nie byłoby ludzkiej siły, która by utrzymała szlabany graniczne pomiędzy wschodnimi a zachodnimi Niemcami. I w mojej opinii to była przyczyna, która zdecydowała zarówno o losie niemieckiego Października jak i o pozycji Ulbrichta. Z punktu widzenia interesów Moskwy — Październik mógł wybuchnąć wszędzie tylko nie w NRD. Tezy XX Zjazdu KPZS i „tajny referat” Chruszczowa w Niemczech wschodnich nigdy nie obowiązywały.

Z materiałów i informacji, jakimi dysponujemy dziś na Zachodzie, można w ogólnych zarysach odtworzyć wypadki w NRD, które doprowadziły do aresztowania Haricha i jego przyjaciół. Podstawowym źródłem w tej sprawie jest relacja Manfreda Hertwiga, bliskiego przyjaciela Haricha. Hertwig skazany był w tym samym procesie. Po opuszczeniu więzienia powiodło mu się przed kilku miesiącami zbiec do zachodniego Berlina. Swą relację ogłosił w „Encounter”, w grudniu 1959.

W maju 1956 r. Harich był w Polsce, gdzie zetknął się z czołowymi rewizjonistami i wrócił do wschodniego Berlina pod wrażeniem, że w Warszawie przygotowują się wielkie wydarzenia.

Lecz w Niemczech wschodnich sytuacja układała się odmiennie niż w Polsce. O ile powstanie w czerwcu 1953 nosiło charakter powszechnego zrywu robotników doprowadzonych do ostateczności nie tylko uciskiem lecz przede wszystkim kryzysem gospodarczym — o tyle ruch opozycyjny jesienią 1956 nie wyszedł poza koła intelektualne partii. Sytuacja gospodarcza była już znacznie lepsza — nieporównanie lepsza niż w Polsce — i zaangażowanie mas robotniczych wymagałoby czasu. Ulbricht zdawał sobie z tego doskonałe sprawę i postanowił zlikwidować niemiecki Październik w jego stadium początkowym, intelektualnym.

Harich i jego przyjaciele od pierwszej chwili szukali rzetelnie kandydata na niemieckiego Gomułkę. (Nie zdawali sobie wówczas sprawy, że Gomułka w trzy lata po Październiku

podjęmie w stosunku do intelektualistów tę samą politykę którą Ulbricht obrał w roku 1956).

W niemieckich kołach partyjnych wymieniano wówczas różne kandydatury. Harich starał się pozyskać Franz Dahlema i Paula Merkera — szeptano również o Schirdewanie. Harich — podobnie jak Hertwig — nie nadawał się na przywódcę. To nie jest rola dla docentów filozofii co sprawdziło się również na Leszku Kofakowskim.

Ruch październikowy przenikał do prasy a w pierwszym rzędzie do redakcji tygodnika „Sonntag”, którego redaktorowie Zoger i Just podzielili później los Haricha.

W takim nastroju intelektualnego fermentu powstały „Tezy dalszego rozwoju marksizmu”, które Harich przedłożył grupie swych partyjnych przyjaciół. I w tym miejscu rozpoczyna się gra. Po jednej stronie grupa młodych intelektualistów, typowych niemieckich docentów filozofii — a po drugiej stronie dwóch starych stalinowskich aparatczyków — Ulbricht i Puszkin (sowiecki ambasador). Bezgraniczna naiwność Haricha jest trudna do zrozumienia i jeszcze trudniejsza do usprawiedliwienia. Był w Polsce, rozmawiał z polskimi rewizjonistami i jako partyjny komunista powinien był sobie zdawać sprawę z istoty Października. To nam, na emigracji, w pierwszym okresie trudno było zorientować się w mechanice tego przewrotu. Ale partyjni komuniści wiedzieli od początku o co chodzi. Październik był rewolucją partyjną zmierzającą do maksymalnego usamodzielnienia polskiej partii komunistycznej, Całym wrzeniem — falą narodowego entuzjazmu i demonstracjami niezależności — kierowali komuniści, mając na oku cele partyjne a przede wszystkim zdobycie pozycji partnera dla PZPR. Gdy Gomułka mówił o suwerenności naród myślał o suwerenności państwowej. Gomułka natomiast myślał o suwerenności KC PZPR. Niemniej to magiczne słowo uruchomiło cały potencjał sponiewieranych uczuć niepodległościowych i w tym pierwszym okresie Gomułka miał za sobą poparcie całego narodu. I w tym leżała jego siła, którą Rosjanie w danej sytuacji musieli uznać.

Harich tego wszystkiego nie rozumiał i doszedł do wniosku, że Październik w Niemczech należy robić poprzez... sowiecką ambasadę. Odbył szereg rozmów z Puszkinem wtajemniczając go w swoje plany. Hertwigowi stale tłumaczył, że Puszkin jest ich „politycznym przyjacielem”.

Hertwig — jak wynika z jego relacji — również nie wiele z tego wszystkiego rozumiał. Dla mnie osobiście nie ulega wątpliwości, że Puszkin jako wytrawny aparatczyk, wdrożony do myślenia kategoriami sowieckiego imperializmu, musiał zdać sobie natychmiast sprawę z faktu, że Październik w Niemczech wschodnich oznaczałby całkiem coś innego niż Październik w Polsce. Liberalizacja i demokratyzacja ustroju w NRD otworzyłaby natychmiast kwestię zjednoczenia. Podział Niemiec utrzymać można tylko za cenę pełnej i trwałej stalinizacji

ustroju w NRD. I w tym wypadku jest obojętne czy w Moskwie rządzi grupa Chruszczowa czy Mołotowa — gdyż w tej sprawie decydują momenty nie doktrynalne lecz imperialne.

Harichowi wydawało się — tak jak do dziś wydaje się wielu polskim komunistom i antykomunistom — że nie istnieje Rosja, a tylko Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich i w konsekwencji nie ma polityki rosyjskiej, tylko jest polityka światowego komunizmu. W Warszawie, w kołach partyjnych, słowo „Rosja” jest tabu. Harich działał jako ideolog nie jako polityk i dla tego wyłudował w więzieniu. Wniósł, że tezy XX Kongresu a tym samym odwrót od stalinizmu — obowiązują zarówno Puszkin jak Ulbrichta i całe wschodnie Niemcy. Tymczasem Puszkin wezwał tow. Ulbrichta i zakomunikował mu plan działania. 7 listopada 1956 Ulbricht bardzo uprzejmie zaprosił do siebie Haricha na przyjacielską rozmowę. Oświadczył mu, że jest zainteresowany jego tezami i chciałby zwołać konferencję ideologiczną celem przedyskutowania nowego programu. Ale by zwołać taką konferencję trzeba wiedzieć kogo zaprosić? Byłoby więc najlepiej by Harich przedłożył spis swoich przyjaciół i sympatyków. Dokładnie w tydzień później Harich, Hertwig i inni zostali aresztowani.

Gdyby Ulbricht ograniczył się tylko do uwięzienia kilku intelektualistów, można by przyjąć, że działał w ramach swojej autonomii nie szukając placet Moskwy. Ale w drugiej serii czystka objęła również Schirdewana, Oelssnera, Selbmana i Wollwebera — wybitnych członków Politbiura, których podejrzewano o sympatię dla programu Haricha. Tego Ulbricht nie mógł dokonać na własną rękę. Na czystkę w tej skali musiał mieć zgodę Chruszczowa.

Dokładnie w tym samym okresie kiedy w Polsce stalinowcy wyjeżdżali na taczkach ze swych gabinetów a rewizjoniści grzmieli na cały kraj ze szpalt „Po Prostu” — tuż za miedzą w Niemczech wschodnich Ulbricht realizował z klasyczną brutalnością „niemiecką drogę do stalinizmu”. To tylko w ramach imperialistycznej rosyjskiej polityki plus dialektyka możliwe są takie cieniowania.

Poświęciłem tyle miejsca historii martwo-urodzonego niemieckiego Października aby wykazać, że w gruncie rzeczy *nie ma* problemu zjednoczenia Niemiec jest tylko problem Europy środkowo-wschodniej. Tak jak z kontekstu sytuacji wschodnio-europejskiej nie można wyizolować sprawy polskiej — tak samo nie można wyizolować sprawy zjednoczenia Niemiec. To jest jeden problem i to samo zagadnienie. Jak długo NRD będzie stalinowska i związana gospodarczo wyłącznie z Sowietami — tak długo nie może być mowy o innym zjednoczeniu jak na warunkach Ulbrichta. Ci politycy niemieccy, którzy pogrzebali koncepcję „disengagement” — pogrzebali w tejże samej mogile nadzieje na zjednoczenie Niemiec.

Powszechne na Zachodzie odżegnanie się od wszelkich koncepcji „disengagement”, pasa neutralnego itp. Chruszczow

odczytał jako akceptację status quo w Europie wschodniej. I trudno tej interpretacji odmówić logiki. Mocarstwa zachodnie akceptują w rzeczywistości status quo a niepokoi ich tylko sytuacja Berlina.

Czego oczekują mocarstwa zachodnie od konferencji „na szczycie”. Mocarstwa zachodnie dążą do odprężenia, stabilizacji i pokoju. Gotowe są zaakceptować status quo w Europie pod warunkiem, że za tę cenę osiągną postęp w rokowaniach rozbrojeniowych co z kolei przyniesie odprężenie sytuacji międzynarodowej a z czasem pokojową i sąsiedzką koegzystencję. Jeżeli premier Chrusczew będzie w dobrym nastroju i zgodzi się jeszcze na bezterminową prolongatę prowizorium berlińskiego — „summit” zareklamowany zostanie jako historyczne osiągnięcie.

Polscy publicyści mają zrozumiałą skłonność do rozpartrywania każdego wariantu sytuacji międzynarodowej pod kątem widzenia polskich interesów. Nie jestem wolny od tej przywary i wcale się tego nie wstydzę. Ale w niniejszym artykule chciałbym odstąpić od tej zasady i spojrzeć na interesujący nas problem oczyma kontynentalnego zachodniego Europejczyka.

Jak wygląda zachodnio-europejska kalkulacja? Przede wszystkim chodzi o zyskanie na czasie. Trzeba 8 czy 10 lat pokoju by Europa zachodnia zrosła się gospodarczo, by zbrojenia zachodnio-niemieckie osiągnęły górną granicę, by kwestia algierska znalazła swe ostateczne rozwiązanie, jednym słowem — by kontynentalna Europa stała się drugą Ameryką równą statusem Rosji i Stanom Zjednoczonym. Sukces tych planów zależy od pewnych warunków. Kardynalnym warunkiem jest bezpieczeństwo.

Zachodnio-europejska teoria bezpieczeństwa opiera się na dwóch elementach. Po pierwsze — uznanie status quo. Tendencje uznanie granicy na Odrze i Nysie tutaj biorą swe źródło ponieważ granica ta wchodzi w skład status quo. Jeżeli ktoś chce żyć w poprawnych i pokojowych stosunkach z Rosją musi uznać te granice, które uznaje Rosja. W przeciwnym wypadku można się narazić na zarzut terytorialnego rewizjonizmu, imperializmu itp. Innymi słowy uznanie status quo ma stanowić dowód i manifestację jak najbardziej pokojowej tendencji mocarstw zachodnich w stosunku do Rosji.

Drugim elementem bezpieczeństwa zachodniej Europy jest NATO i bazy amerykańskie. W sumie cała teoria bezpieczeństwa opiera się na uznaniu status quo i defenzywnej jego obronie. Pewni wybitni politycy i publicyści — m.in. C.M. Woodhouse — wysuwają pogląd, że w imię pokoju musimy się nauczyć współżyć z nierozwiązalnymi problemami politycznymi, jak np. podział Niemiec. Ponieważ w epoce atomowej wojna przestała być skuteczną polityczną chirurgią pewne problemy musimy uznać za nieuleczalne i pozostawić je w spadku pokoleniom, które przyjdą po nas. Tego typu poglądy to już jest

nie tylko zgoda na status quo ale kapitulacja przed status quo.

W moim przekonaniu zachodnio-europejska teoria bezpieczeństwa nie wytrzymuje obiektywnej, krytycznej analizy. Zaczniemy od punktu drugiego tj. od baz amerykańskich. Przeciwnicy „disengagement” jako finalny argument wysuwają nieodmiennie pogląd, że neutralizacja prowadziłaby do wycofania się Amerykanów z kontynentu. W kilku poprzednich artykułach starałem się wykazać, że punkt ciężkości zainteresowań politycznych Ameryki przenosi się do Azji i na Pacyfik. W gruncie rzeczy tam leżą granice bezpośredniego bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych. Epoka „orientacji europejskiej” w Waszyngtonie dobiega kresu. Skłonny jestem przypuszczać, że administracja Eisenhowera jest ostatnią z tej serii. W Europie miejsce Amerykanów zajmą z czasem Niemcy. Już dziś Bundeswehra jest największym udziałowcem NATO a w chwili gdy piszę te słowa rząd w Bonn wysunął żądanie, by dowództwo północnej grupy armii NATO powierzono generałowi niemieckiemu.

Należy przyjąć za wysoce prawdopodobne, że na przestrzeni najbliższych lat dziesięciu rozwój sytuacji zmusi Amerykanów do skoncentrowania inicjatywy tak politycznej jak i wojskowej na kontynencie azjatyckim co między innymi pociągnie za sobą kurczenie się baz i garnizonów amerykańskich w Europie.

Niebezpieczeństwo związane z rozwojem idącym po tych liniach jest dwojakie. Dziś wycofanie się Amerykanów — nie z całego kontynentu europejskiego, ale z pewnej ściśle określonej strefy — byłoby ogromnej wagi kartą przetargową za którą można by wiele uzyskać. Za kilka czy kilkanaście lat możemy tę kartę stracić nie zyskując wzamian absolutnie niczego.

Drugie niebezpieczeństwo związane z tego typu sytuacją jest jeszcze groźniejsze. W ramach najbliższej dekady Bundeswehra będzie nie tylko w pełni odbudowana ale prawdopodobnie wyposażona również w broń atomową. Za 10 lat Niemcy będą nie tylko gospodarczo kwitnące i uzbrojone ale i bez Dra Adenauera. Jeżeli zainteresowanie i bezpośrednia ingerencja Amerykanów w Europie w tym okresie zmaleje — Niemcy zaczynają oglądać się na Moskwę. Francja — zwłaszcza Francja uznająca granice na Odrze i Nysie nie może Niemcom niczego zaferować. Rosja może im otworzyć rynki zbytu jakich nie znajdą nigdzie na świecie i może ich ludzić całą gamą ponętnych propozycji.

Zaryzykuję również czysto subiektywną uwagę. W moim odczuciu Niemcy nie nadają się do życia w dwóch ideologicznych światach. Dwie czy trzy orientacje mogą mieć Polacy, ale nie Niemcy. Owe dwie sprzeczne ideologiczne orientacje narzucone Niemcom są czymś niepomierne bardziej przeciwnym naturze niemieckiej niż podział geograficzny. Dlatego twierdzą, że dopóki trwa obecny podział — bitwa o Niemcy

nie jest rozstrzygnięta. Wcześniej lub później nadejdzie chwila kiedy cały naród niemiecki wypowie się za jedną orientacją polityczną.

Na nieuleczalne choroby i nierozwiązalne problemy godziemy się z filozoficznym spokojem pod warunkiem, że „pacjentem” nie jesteśmy my, lecz ktoś inny. Ale „choroba” niemiecka dotyczy całego europejskiego kontynentu. Jeżeli problem niemiecki uznany za nierozwiązalny — gdzież jest gwarancja, że Rosja uzna go również za nierozwiązalny?

W Niemczech wschodnich istnieją potencjalne możliwości „odwilży” w dwóch wydaniach. Gdyby Niemcy wraz z Polską weszły w skład pasa neutralnego — powstaryby wówczas w całej strefie środkowo-wschodnio-europejskiej możliwości powolnej lecz autentycznej liberalizacji. Wycofanie wojsk sowieckich oraz wystąpienie zainteresowanych państw z bloków wojskowych — spowodowałoby zmianę klimatu i nieuchronne przemiany.

Ale nie trudno wyobrazić sobie „odwilż” w Niemczech wschodnich w innym wydaniu. Gdy epoka adenauerowska przejdzie do historii — mogą w Federalnej Republice dojść do głosu politycy szukający porozumienia z Rosją. Wówczas tow. Ulbricht nie będzie stanowił problemu. Jeżeli okaże się to z korzyścią dla imperialnych interesów rosyjskich — tow. Ulbricht powędruje na trzeciorzędną posadkę, a z więzień powygrzebuje się Harichów, Schirdowanów i Oelssnerów. Chruszczow powie im: „no, towarzysze róbcie porozumienie!”.

Skomunizowanie Federalnej Republiki to jest plan „idealny” i doktrynalny. Dla celów praktycznych — a Rosjanie są wielkimi realistami — wystarczy zupełnie, by w Niemczech wschodnich w danym momencie na marionetkowej scenie reżymu pojawili się ludzie strawni dla opinii demokratyczno-liberalnej w Federalnej Republice, ludzie znani ze swych anty-stalinowskich i anty-ulbrichtowskich przekonań. W pierwszej fazie — która trwać może lata — chodziłoby tylko o znalezienie jakiegoś modus vivendi między obu państwami niemieckimi. Gdyby w takim klimacie doszło do wizyty Chruszczowa w Bonn i do konferencji sowieckiego premiera z zachodnio-niemieckimi przemysłowcami — obawiam się, że wynik tej konferencji byłby zgoła odmienny od rezultatu rozmów „na szczycie”. Obym był fałszywym prorokiem, niemniej obawiam się że ów gigantyczny wkład dolarowy w niemiecki „cud gospodarczy” — przemysłowcy niemieccy któregoś dnia zdyskontują w Moskwie.

I jeszcze jedno. Nie należy nigdy zapominać, że nie ma żadnej polityki adenauerowskiej, żadnej szkoły czy koncepcji. Jest tylko i wyłącznie osobisty autorytet kanclerza, który skończy się wraz z nim.

Gdyby uznanie status quo wzmagalo i stabilizowało bezpieczeństwo Europy zachodniej byłaby to polityka zrozumiała. Ale w gruncie rzeczy w Europie środkowo-wschodniej mamy drugą Algierię, która obejmuje Berlin, Niemcy wschodnie, Polskę,

Węgry, Rumunię i Czechosłowację. Nie wydaje mi się, by można było budować pokój, dobrobyt, stabilizację i bezpieczeństwo między dwiema Algieriami — jedną w Afryce a drugą na europejskim wschodzie.

Zachodni Europejczycy pocieszają się faktem, że Budapeszt uzmysłowił krwawo ale za to plastycznie wszystkim zainteresowanym po tamtej stronie „żelaznej kurtyny”, iż należy godzić się z wyrokami Historii. Jak wiadomo Historię wschodniej Europy pisze się w Moskwie i żadnych poprawek via Nowy Jork czy Waszyngton zgłaszać nie można.

Jak widzimy Budapeszt spełnił przecież pewną pozytywną funkcję, — wzmógł bowiem poczucie bezpieczeństwa wprowadzie nie Węgrów ale zachodnich Europejczyków. Na Zachodzie ufa się, że Polacy, Węgrzy i Czesi „będą mieli na tyle rozumu” by nie fundować sobie nowych Budapesztów. Na tej nadziei oparta jest wiara w pokój narodów miłujących wolność i niemniej miłujących „prosperity”.

Powyzszy schemat utkany jest z egoizmu, krótkowzroczności i pobożnych życzeń. Metternich mógł twierdzić, że wolność i legalistyczny porządek wykluczają się wzajemnie. Ale w drugiej połowie XX wieku nie jest rzeczą możliwą przyznawać prawo do samostanowienia ludom w Afryce i równocześnie odbierać go europejskim narodom o tysiącletniej historii.

Tu nie chodzi o górnolotne frazesy — ale o konkretny problem bezpieczeństwa i pokoju. Wiara w bezpieczeństwo i trwałość status quo w Europie środkowo-wschodniej — opiera się na kompleksie budapeszteńskim — innymi słowy opiera się na przekonaniu, że Rosja da sobie z nami radę.

Człowiekiem Zachodu był Gomułka. Był człowiekiem Zachodu w tym sensie, że miał możliwości uczynienia status quo znośnym dla Polaków. Mocarstwa zachodnie zdawały sobie z tego sprawę i nie skąpiły mu pochwał. Ale na pochwałach się kończyło. Mocarstwa zachodnie w swoim własnym interesie spacyfikowania status quo w Europie wschodniej powinny były udzielić jak największej pomocy gospodarczej Polsce Gomułki. Powodzenie polskiego eksperymentu leżało w tak oczywistym interesie Zachodu i tak wydatnie wzmogłoby stabilizację, a tym samym bezpieczeństwo w Europie — że każdej wysokości inwestycja byłaby opłacalna. Oczywiście można by zadać pytanie — czy pomoc choćby poważna zapewniłaby sukces polskiemu eksperymentowi. Być może odpowiedź na to pytanie wypadłaby negatywnie, ale ponieważ pomoc na miarę potrzeb nie było — nikt autorytatywnie tej kwestii przesądzić nie może.

Gdyby eksperyment polski był sukcesem — gdyby został zaadoptowany przez inne kraje satelickie — wówczas zachodni mężowie stanu mogliby wnioskować, że sytuacja w krajach Europy wschodniej stabilizuje się, wykazując tendencje ku polepszeniu i liberalizacji. Wówczas można by odrzucić koncepcje pasa neutralnego jako zbędną komplikację.

Ale niestety sytuacja układa się wręcz odwrotnie. W Polsce — największym kraju satelickim — Gomułka zmarnował cenne trzy lata, które mu się już nie wróca. Jest dziś oczywiste, że jego program był niezmiernie ograniczony — chaotyczny a w sprawach gospodarczych pełen niekonsekwencji i sprzeczności. Polacy przyjeżdżający z Kraju mówią o konieczności drugiego Października. Ale kto dziś w Polsce może robić ten drugi Październik? Październik 1956 był dziełem partii i dlatego nie stanowił ryzyka dla pokoju ani dla bezpieczeństwa Zachodu. Dziś Gomułka nie dysponuje ani jedną dziesiątą popularności, którą cieszył się trzy lata temu i opiera się na partyjnej koalicji, w której stalinowcy odgrywają coraz potężniejszą rolę.

Sytuacja zarysowuje się przeraźliwie jasno. Bez pomocy z zewnątrz nie będzie Października ani w Niemczech wschodnich, ani w Polsce, ani na Węgrzech, ani w Czechosłowacji. A jeżeli nie nastąpi liberalizacja, a przede wszystkim poprawa materialnych warunków życiowych — pokoju i bezpieczeństwa nie będzie. Brak ogólnego poparcia i zaufania Gomułka będzie musiał zastąpić śrubą nacisku administracyjnego, a gdy i ta metoda okaże się niewystarczająca — będzie musiał odwołać się do policji. W Polsce nie będzie nowego Października, ale dojsz może do nowych Poznaniów. Dziś Cyrankiewicz nie może stanąć przed tłumem zrewoltowanych robotników i oświadczyć, że nowy Gomułka opuszcza więzienie, by stanąć na czele krzywdzonych i poniewieranych. Przywództwo partii nie ma dziś żadnej możliwości rozładowania poważniejszej demonstracji i pokierowania masą robotniczą. W razie nowego Poznania trzeba by wysłać czołgi przeciwko robotnikom — a gdyby polskie czołgi zawiodły trzeba by chyba zwrócić się o pomoc do „wielkiego brata”.

„Kultura” nigdy nie wysuwała ani maksymalistycznego programu ani maksymalistycznych żądań. Staramy się być realistami, co w emigracyjnej sytuacji jest niebywale trudne i bardzo niepopularne. Nie domagamy się „wyzwolenia — nie domagamy się Polski suwerennej w granicach z 1939 roku powiększonej o Ziemię Odzyskaną — ponieważ zdajemy sobie sprawę, że nie leży w obecnych możliwościach Zachodu realizacja tych postulatów. Natomiast uważamy za nasz obowiązek oświadczyć jasno naszym przyjaciołom na Zachodzie co następuje:

Bezpieczeństwo, pokój i dobrobyt zachodniej Europy w znacznym stopniu zależą od tego czy Polacy, Węgrzy, i Czesi będą nadal „zachowywali się rozsądnie”. Polacy zrozumieli swoją lekcję historyczną i z całą pewnością będą zachowywali się z umiarem, realizmem i z rozsądkiem. Ale pod jednym warunkiem: że ich życie będzie *znośne*. Tylko od ludzi w znośnych warunkach można oczekiwać umiaru i rozsądku.

Jeżeli konferencja „na szczycie” zalegalizuje status quo, a tym samym obróci w ruinę nadzieje poprawy sytuacji w

Polsce i w innych krajach satelickich — mogą zająć wypadki trudne do przewidzenia. Skończy się okres prowizorium, Sowiety poczują się uznanym samodzielną w zagarniętej połowie Europy, a kryzys społeczny i gospodarczy sięgnie dna. Można nie jeść mięsa, gniesć się z rodziną w jednym czy dwu pokojach, wegetować na topniejącej płacy — wszystko to można pod warunkiem, że istnieje nadzieja poprawy. Ale komuś kto wegetuje bez nadziei, nie można kazać zachowywać się rozsądnie.

Tym politykom i pisarzom zachodnim, którzy sprawę Europy środkowo-wschodniej uważają za „problem nieuleczalny” — należy odpowiedzieć, że problemy nieuleczalne nie mogą stanowić budulca pokoju, bezpieczeństwa i dobrobytu. Z problemami nieuleczalnymi, podobnie jak z chorobami nieuleczalnymi, nie można żyć.

W Polsce, w Niemczech wschodnich, na Węgrzech czy w Czechosłowacji nie ma dziś warunków „październikowych”. Poprawa może w tych krajach nastąpić tylko na skutek inicjatywy z zewnątrz. Przez „inicjatywę z zewnątrz” rozumiem wynegocjowaną z Sowiecami zmianę układu w Europie środkowo-wschodniej. Koncepcja pała neutralnego czyniłaby za dość temu postulatowi. W krajach satelickich życie stałoby się znośne, a ludzie odzyskaliby nadzieję lepszego jutra. To jest projekt ciernisty i trudny, ale leżący w ramach możliwości Zachodu. Obawiam się, że ci co grzebią ten projekt, grzebią w rzeczywistości *coś znacznie więcej* niż nadzieje narodów ujarzmionych.

Juliusz MIEROSZEWSKI

## Kronika angielska

### O „EKSPERTACH” i APOKRYFACH

Józef Mackiewicz na łamach Dodatku Tygodniowego „Ostatnich Wiadomości” (nr. 45/561) — w dłuższym artykule poddał w wątpliwość autentyczność wydanej przez nas książki Abrama Terca pt. „Sąd Idzie”. Na jakiej podstawie zapadł ten wyrok? Na podstawie kalodontu — jak mawiał mój szef w IKC’u, śp. dr Rubel

Mackiewicz uważa że wydawca, tzn. „Kultura” została wprowadzona w błąd. Przez kogo i w jakim celu? Ale dopuścmy wpierw do głosu eksperta:

„Autor (Terc — przyp. mój) musi być uchodzącą żydowskim, który wydosłał się z Sowieców do Izraela. Książkę swoją napisał nie



w Rosji, a w Palestynie, skąd rękopis jej przedostał się następnie do Paryża. Nie jestem pewien, ale wydaje mi się, że gdybym odnalazł pewne wycinki i notatki, które nie tak dawno jeszcze miałem w rękę, mógłbym ustalić z pewną dokładnością prawdziwe nazwisko autora.

„...Co zaś dotyczy drugiej części książki, mianowicie traktatu o socrealizmie, to zapewne został napisany co najmniej przez jakiegoś „współautora”, zamieszkałego na Zachodzie. Stąd zgodnie z rzeczywistością zamiast pseudonimu figuruje: „Anonim”. Autentyczny tekst tego anonimu nie był pisany w języku rosyjskim”.

Pomijam już fakt, że poważny pisarz nawet jeżeli uważa się za „rzeczoznawcę” nie powołuje się na notatki, których nie może odnaleźć. Bardziej interesujący jest fakt na jakiej podstawie p. Mackiewicz uważa się za rzeczoznawcę? Autor doskonałej „Drogi do nikąd” wychował się w byłym zaborze rosyjskim, zna język rosyjski i jest zawodowym antykomunistą. Ośmielam się twierdzić, że to historyczne zaplecze nie tylko nie ułatwia mu zrozumienia współczesnej problematyki sowieckiej, lecz wprost przeciwnie utrudnia obiektywny sąd w tych sprawach.

Nie trzeba być „ekspertem” — wystarczy być dobrze poinformowanym dziennikarzem aby wiedzieć, że Związek Sowiecki odwiedziło w ubiegłym roku dziesiątki tysięcy turystów z Zachodu. Wiadomo, że w Moskwie istnieje w tej chwili bardzo ruchliwy „czarny rynek” na rosyjskie „podziemne” abstrakcyjne malarstwo.

Wydawać by się mogło, że obraz nawet bez ram trudniej jest przebieżać przez granicę niż niewielki maszynopis. Osobiście nie dziwi mnie Terc — ani esej identycznego pochodzenia wydrukowany w londyńskim „Sunday Times” z 6.12. ub. roku — dziwi mnie natomiast fakt, że tych manuskryptów do tej pory jest tak mało.

Jest oczywiste, że jeżeli na dany towar jest koniunktura — na rynku mogą się pojawić falsyfikaty. Jeżeli w najbliższych miesiącach przeniknie ze Związku Sowieckiego kilka autentycznych manuskryptów — można przypuszczać, że pojawi się również kilkanaście „ersatzów”. Byłoby jednak katastrofą gdyby nasi „rzeczoznawcy” komunizmu pogrzebali wraz z falsyfikatami i cenne autentyki. Nie ulega wątpliwości, że ich zbożne wysiłki będą zmierzać ku temu celowi. Albowiem nie ma na świecie większych doktrynerów nad naszych zawodowych antykomunistów. W Sowietach, ich zdaniem, nic się nie zmienia i nic zmienić się nie może.

Podjąłem niniejszą polemikę gdyż zarzuty Mackiewicza w gruncie rzeczy sprowadzają się do następującej alternatywy: Albo jesteście grupą naiwniaków, którzy dali się nabrać jakiemś tajemniczemu Żydowi z Palestyny — albo, wiedząc co w trawie piszczy, świadomie wprowadziliśmy w błąd naszych Czytelników.

Ze względów zrozumiałych nie możemy ujawnić wszystkich szczegółów tej sprawy. Możemy natomiast z całą odpowiedzialnością zapewnić naszych Czytelników, że książka Terca została napisana po rosyjsku, w Rosji i manuskrypt został przywieziony z Moskwy do Paryża. Powtarzam: bierzemy pełną odpowiedzialność za prawdziwość powyższej deklaracji. Ani nas nikt nie wprowadził w błąd, ani my nikogo nie usiłowaliśmy wprowadzić w błąd. Wprowadzenie w błąd jest wykluczone ponieważ osoba, która przywozła manuskrypt Terca z Moskwy jest nam osobiście znana.

A teraz sprawa „Anonima”. „Ekspert” Mackiewicz twierdzi, że oryginalny tekst tego eseju nie został napisany po rosyjsku. Jak przedstawia się stan faktyczny? Esej Anonima o socrealizmie otrzymała z Rosji redakcja miesięcznika „Esprit” (lewica katolicka). Wydaliśmy go łącznie z nowelą Terca, bo te dwa utwory doskonale się uzupełniają. Oba oryginalne w języku rosyjskim może Mackiewicz przejrzeć każdej chwili w redakcji „Kultury” w Maisons Laffitte.

Tak przedstawiają się fakty. A teraz parę słów o technice „ekspertyzy”. Mackiewicz pisze o Tercu: „autor musi być uchodzącą żydowskim, który wy dostał się z Sowietów do Izraela. Książkę swoją napisał nie w Rosji a w Palestynie, skąd rękopis jej przedostał się następnie do Paryża”.

Czytelnicy zgodzą się ze mną, że musi istnieć jakaś różnica pomiędzy rzeczoznawstwem a jasnowidztwem. Znaczący języka rosyjskiego jeżeli w badanym tekście odnajdzie judaizmy — może wnioskować, że autorem jest Żyd. Ale w tym konkretnym wypadku Mackiewicz miał w rękę tylko i wyłącznie tekst polski, a mianowicie przekład Józefa Łobodowskiego, który nota bene jest stuprocentowym „aryzycykiem”. Na jakiej więc podstawie nasz znakomity „ekspert” formułuje kategorię sąd, że „autor musi być uchodzącą żydowskim?”.

Jeszcze bardziej „jasnowidzące” jest twierdzenie, że autor napisał swoją książkę w Palestynie. Dlaczego w Palestynie a nie w Pernambuco? To już nie jest ekspertyza tylko czysta metafizyka. Ofiarujemy konia z rzędem plus dożywnością prenumeratę „Kultury” temu, kto nam udowodni, że na podstawie analizy tekstu książki Terca należy przyjąć, iż autor napisał ją nie w Rosji lecz w Izraelu.

Józef Mackiewicz jest poważnym i wybitnym pisarzem — należałoby więc zadać pytanie w jakim celu swoją „ekspertyzę” posuwa aż po granice komizmu?

Odpowiedź na to pytanie jest jasna. Józef Mackiewicz nie jest żadnym ekspertem tylko pisarzem i twórcą o bardzo zdecydowanych pasjach i przekonaniach. Owe subiektywne pasje nadają moc, autentyzm i wyraz jego twórczości czysto literackiej. Lecz ten sam dynamiczny subiektywizm stanowi kulę w nogę Józefa Mackiewicza „eksperta” i publicysty. Potwierdza to tylko regułę, że literaci są na ogół bardzo wątpliwymi dziennikarzami i publicystami.

W pojęciu Mackiewicza i większości emigracyjnych „ekspertów” — komunizm jest chemicznie czystym złem. Tak jak szatan w koncepcji doktryny katolickiej ma zamkniętą drogę do poprawy i ewolucji — tak i komunizm *ex definicio* ewoluować może tylko w sensie negatywnym. Ponieważ utwory Terca i Anonima zdają się wskazywać, że nadzieja zmian na lepsze kołaczę się przeciw nieśmiało w duszach młodego rosyjskiego pokolenia — Mackiewicz oba powyższe utwory kwalifikuje jako falsyfikaty.

Poświęciłem sporo miejsca omówieniu tej sprawy ponieważ kryje się w niej problem niezmiernie wagi. Nasi „eksperti” od komunizmu rozdzielają szaty, że Zachód im nie wierzy, Anglicy i Amerykanie wolą czytać artykuły Grankshaw’a czy Lippmana niż ekspertyzy Mackiewicza. Dlaczego tak się dzieje?

Kiedyś dysponowaliśmy kapitałem wiedzy o Sowietach jakim w danym momencie na Zachodzie nie dysponował nikt. I ten kapitał w znacznej

mierze został zaprzepaszczony. Ludzie na całym świecie skłonni są do generalizowania. Amerykanie czy Anglicy w ostatnich latach zetknęli się z taką ilością nieobiektywnych, ślepo-nienawistnych emigracyjnych „ekspertyz” o Sowietach, że dziś wystarczy napisać o jakimś autorze, iż jest emigrantem z wschodniej Europy by poderwać do niego zaufanie. W gruncie rzeczy nasi rzekomi eksperci oddali sprawie antykomunizmu na Zachodzie najfatalniejszą usługę, gdyż ślepo nienawidząc Rosji, równie ślepo nie rozumieli psychiki zachodniego człowieka. Dziś każdą wypowiedź, każdą informację czy analizę pochodzącą ze źródeł emigracyjnych traktuje się z największą nieufnością, zakładając z góry, że jest stronnictwa, nieobiektywna, podejrzana. Wiem od dziennikarzy brytyjskich (zainteresowanymi służę nazwiskami) że najsensacyjniejsza wiadomość traci jako „news” w połowie na wartości jeżeli trzeba ujawnić, iż pochodzi z kół emigracyjnych.

„Kultura” jest jedynym polskim pismem po tej stronie „żelaznej kurtyny”, które z wielkim trudem stara się dokonać wyłomu w tym murze nieufności. Nasz „Digest” angielski i wydawnictwa obcojęzyczne służą temu celowi.

Nasi mandaryni antykomunistyczni uważają Amerykanów za głuchoniemych ślepców, — a Amerykanie z kolei uważają ich nie za ekspertów lecz za propagandystów dobrych do obsługi takich czy innych radiostacji. Naszą natomiast ambicją jest być dobrze poinformowaną placówką, do której obiektywizmu można mieć zaufanie mimo tego, że jest prowadzona przez emigrantów.

### SUKCES

Książka Terca pt. „Sąd Idzie” nie jest pierwszą z serii Biblioteki „Kultury”, która jest tłumaczona na szereg języków. „Zniewolony Umysł” czy „Cmentarze” — ukazały się niemal we wszystkich językach europejskich i w wielu poza europejskich. Nie jest jednak wykluczone, że książka Terca pobije te rekordy. Do tej pory Terca drukowało we Włoszech „Tempo Presente” a wydanie książkowe ukaże się nakładem firmy Mondadori. W Anglii „Sąd Idzie” wydrukował „Encounter” — książka zaś ukaże się u Collinsa. W Niemczech „Der Monat” — w formie książkowej Kiepenhauer & Witsch. W Argentynie „Sur” u Victorii O’Campo. We Francji i w Izraelu — wydanie książkowe w pertraktacjach. Niebawem zostaną sfinalizowane analogiczne umowy z wydawcami skandynawskimi.

Podaję te szczegóły, by uradować naszych przyjaciół, a pognać wrogów i złośliwych zazdrośników. Okazuje się, że i emigracyjny dom wydawniczy może mieć sukcesy w skali światowej.

### „THE CENTRAL-EUROPEAN FEDERALIST”

Chciałbym zwrócić uwagę naszych Czytelników — zwłaszcza tych, którzy interesują się problemami federacyjnymi — na doskonały periodyk

wydawany od siedmiu lat w Nowym Jorku pod nazwą przytoczoną powyżej. „Federalist” wydawany jest przez „The Czechoslovak-Polish Research Committee”.

„Federalist” nie ma zupełnie charakteru pisma emigracyjnego. Na jego szpaltach czytelnik nie znajdzie napaści, „gorzkich żalów” i osobistych obrachunków. Tłumaczy się to w dużej mierze tym, że pismo redagowane jest przez młodych ludzi, którzy ukończyli studia zagranicą, władają biegle językiem angielskim — ale nie utracili swojej narodowej tożsamości. Wielu spośród czołowych współpracowników „Federalist’a” — jak na przykład dr Piotr Wandycz czy dr Jiri Kolaja — dobiło się profesorskich stanowisk na uniwersytetach amerykańskich. Mimo akademickiej togi są to jeszcze młodzi, trzydziestokilkuletni ludzie nieobciążeni naszymi kompleksami. Podkreślam ten szczegół gdyż fakt ten wyznacza charakter pisma.

„Federalist” nie jest pismem propagandowym. Jest to periodyk polityczno-naukowy — poświęcony studiom problemów federacyjnych Europy środkowo-wschodniej w ogólności, a zagadnieniu federacji polsko-czeskiej w szczególności. Studia powyższe opierają się na analizie sytuacji w krajach ujętych. Artykuły analizujące wszechstronnie układ stosunków w Polsce i w Czechosłowacji są na najwyższym poziomie i bardzo wiele może się z nich dowiedzieć także i taki czytelnik, który nie jest bezpośrednio zainteresowany programem federacyjnym. Powiedzmy dla przykładu, esej J. Kolaji pt. „Socjological Studies in Poland” — stanowi jedną z bardziej wyczerpujących ocen polskiej socjologii jakie ukazały się na Zachodzie. Warto może dodać, że J. Kolaja jest profesorem socjologii na uniwersytecie Lexington, Kentucky, zna doskonale język polski i przed dwoma laty spędził dłuższy okres czasu w Polsce poświęcając się badaniom socjologicznym.

Każdy zeszyt „Federalista” przynosi oprócz wyboru artykułów obszerny dział recenzji. Omawiane są wszystkie ważniejsze książki ukazujące się na Zachodzie a związane z tematyką wschodnio-europejską.

W sumie „Federalist” jest jedyną w swoim rodzaju inicjatywą i, dodając należy, w pełni udaną. Ilekroć czytam nowy numer i spotykam nazwiska młodych autorów jak Wandycz, Korboński (Andrzej), Pavel Berka — myślę o garści młodych — często utalentowanych i wykształconych — Polaków londyńskich. „Merkuriusz i Życie Akademickie” czy „Kontynenty” — to mało, drodzy panowie, diabło mało!

### O NONSENSACH I ŚLIWKACH

Ustrój komunistyczny powinien być rajem logików i racjonalistów. O ustroju wolnym od metafizyki, czarnej magii i mitologii marzyli racjonalisci wszystkich epok i krajów. Bo pomyśleć — nie boski cesarz, nie król z łaski bożej, nie święty inkwizytor — tylko oświecony, logiczny, niepodległy rozum.

Niestety komuniści nie ziszcili marzeń racjonalistów a ustrój, który stworzyli stał się przybytkiem nonsensu. Prasa krajowa odnotowuje setki nonsensów każdego dnia. I tak oto dochodzimy do śliwek figurujących w tytule tej notatki.

Jedno z pism krakowskich ujawniło, że milion ton kartofli rocznie prze-  
rabia się na wódkę. Nie trzeba na to być ekonomistą, by dojść do wniosku,  
że milionem ton kartofli można by wypaść bardzo znacząca trzoda świń.  
A świnie to zarówno mięso na rynek krajowy jak i „bekon” na eksport.

Finansista zauważył w tym miejscu, że primo, Polacy muszą pić  
wódkę, a secundo skarb państwa nie może zrezygnować z tak pewnego  
i łatwego dochodu. Sam niegdyś (przed ćwierć wiekiem) nie wylewałem  
za kołnierz i daleki jestem od purytanizmu w tej materii. Ale gdzie jest  
powiedziane, że wódkę można pędzić tylko z kartofli?

W którymś z prowincjonalnych pism krajowych wyczytałem wiado-  
mość, że na Podhalu marnują się rok rocznie tony śliwek. Wychowałem  
się na Podhalu i wnioskuje, że w tym „sektorze” od czasu mojego dzie-  
ciństwa nie nastąpiła żadna zmiana. W limanowskim czy w sądeckim były  
sady tzw. „węgierek”, które bez wątpienia są najlepszymi śliwkami na  
świecie. Część śliwek konsumowało się lokalnie — z części robiło się po-  
widła. Ale ile w końcu można zrobić powidel? Reszta po prostu się mar-  
nowała.

Żydzi w Limanowej, w Myślenicach i sławnej Bobowej — robili z  
węgierek tzw. „pejsachówkę”. Jako młode pacholę nie gustowałem w  
tym napitku. W gruncie rzeczy był to czysty spirytus pędzony ze śliwek  
bez żadnych dodatków.

Cała Jugosławia pije śliwovicę. W Rumunii pije się „tsujkę”, która  
jest również śliwovicą, ale znacznie słabszą od jugosłowiańskiej. Zapy-  
tuję: dlaczego Polacy nie mają pić śliwownicy?

Polska wódka oparta jest na tradycji i przesądzie. Rodakom wydaje  
się, że nasza wódka jest najlepsza na świecie. To nie odpowiada prawdzie,  
gdyż wszystkie szlachetne wódki pędzi się z ziarna — w pierwszym  
rzędzie z żyta. Polska wódka nie wytrzymuje porównania z wódkami za-  
granicznymi (których jest mnóstwo) pędzonymi z ziarna. Ale u nas tradycja  
zastępuje smak — jakość — sens. Ponieważ Pan Zagłoba nie pijał śliwo-  
wicy tylko gorzałę — wobec tego wódkę wyświęciliśmy do rangi „ojczyzny  
w płynie” (określenie Tadeusza Nowakowskiego).

Gdyby komuniści byli racjonalistami — do czego niezmiernie im  
daleko — tradycyjne polskie picie poddałoby radykalnej reformie. W pol-  
skich warunkach obracanie miliona ton kartofli rocznie na „ojczyznę w pły-  
nie” jest nie tylko marnotrawstwem ale i nonsensem.

LONDYŃCZYK

## GALERIA GRABOWSKIEGO

ZAPRASZA DO ZWIEDZANIA CO MIESIĄC  
NOWEJ WYSTAWY W LOKALU GALERII

84, Sloane Avenue, London S. W. 3

## Sprawy i troski

### Jacy jesteście?

Szkic o najnowszej emigracji w Australii (a także *nebenbei*  
o zmianach w psychice, mentalności i charakterze Polaków w  
Kraju) zamieszczony w czerwcowej „Kulturze”, wywołał sporo  
ech. Opinie oczywiście nie pokrywały się i można by je uprzej-  
mie określić wzorem francuskich sprawozdawców parlamen-  
tarnych, jako *bruits divers*. To znaczy, że po fragmencie przemów-  
ienia jakiegoś deputowanego jedni (którym się on — frag-  
ment i deputowany — podoba) krzyczą: *C'est ça* i biją brawo,  
a drudzy (którym on się nie podoba) wrzeszczą: *Salaud!* i tłu-  
ką pokrywami pulpitów.

Chwalili szkic starzy emigranci, że niby obiektywny, że  
autor posiada zmysł obserwacji i zdolność wyciągania wnio-  
sków „trzymających się kupy”, ale też mieli zastrzeżenia, że  
był on *zbyt obiektywny, za spokojny i że trzeba było „ich wię-  
cej opirzyć”*. (Co świadczyłoby, niestety, o tym, że istotnie  
cierpimy trochę na psychozę przedziału kolejowego: *kto dłużej  
z nami, ten lepszy*. A także potwierdzałoby rzeczywistą inność  
psychiczną Polaków krajowych i emigracyjnych, pogłębiające  
się r ó ż n i c e, skoro odmienne warunki i problemy formo-  
wały nas przez tyle lat).

Zrobiłem sobie również tym szkicem sporo wrogów wśród  
nowoprzybyłych, ale myślę, że może to przeżyję; powiedział  
Conrad: *sztorm jest sztormem i trzeba mu stawić czoło*. Nie-  
chęć i obrażona duma u niektórych nowych partnerów emigra-  
cyjnej licytacji i rozgrywki są dowodem, że staropolska za-  
sada: *my możemy się śmiać z innych i ich krytykować, ale  
od nas to im wara* — nie uległa jeszcze zmianie w Kraju, ani  
— *obawiam się* — u nas. Do jakiego stopnia i u nas to się  
nie zmieniło, zobaczymy lepiej po niniejszym szkicu, jako, że  
„zaczepia” nas samych, o czym lojalnie uprzedza tytuł.

Tym razem będzie to szkic o nas samych, o przeciętnej  
naszych wad i braków, zalet i sukcesów. Bodźca i dokumentacji

do niniejszych rozważań dostarczyły nie tylko własne refleksje i spostrzeżenia, ale *głównie* rozmowy z najnowszymi emigrantami na temat: jak ONI nas widzą. Jacy — według nich — jesteśmy? Jak ONI, którzy ostatnie 20 lat przeżyli pod ciśnieniem okupacji oraz rzeczywistości i propagandy PRL patrzając teraz na NAS, zasiedziały i wytrwały emigrantów, którzyśmy ten sam okres czasu odbyli pod ciśnieniem wielkich i mniejszych spraw wojny, zagranicy, poniewierki, tęsknoty, gwałtownego dorabiania się, apatii i nieharmonijnego starzenia się w obcym otoczeniu.

Jakkolwiek obserwujący i obserwowani mieszkają w dalekiej (zależy zresztą: skąd) Australii i dorywcza, kieszonkowa ankieta oparta jest na tutejszych realiach i danych, wydaje się, że wiele spostrzeżeń i wniosków *można z dużym prawdopodobieństwem* przenieść i na emigrację z innych terenów polskiego rozproszenia. Emigranci z tej samej fali emigracyjnej muszą mieć i zwykle mają wiele wspólnych cech, co wynika już z samej istoty rzeczy. Warunki australijskie są pod niejednym względem podobne do brytyjskich, amerykańskich, czy kanadyjskich: mam na myśli przede wszystkim analogie w oddziaływaniu otoczenia na psychikę emigrantów. Wielu też z obserwujących nas nowoprzybyłych zatrzymywało się w Londynie, Paryżu, Wiedniu, albo w Rzymie, co dało im pewną okazję do wglądu w sprawy znane dotychczas z *słyszania, snów i paczkowej wyobraźni* swojej i ziomków. W tym ostatnim wypadku chodzi wprawdzie o krótkotrwałe zetknięcia się z tamtejszymi emigrantami, niemniej musiały one dać pewien materiał porównawczy, wówczas może ostrzej dostrzeżony niż na tle warunków, w które już nowoprzybyli wrastają na dobre.

Przed wszystkim dziwią się przybyli: „*Że też wy tak dobrze mówicie po polsku? Pomimo 20 lat pobytu zagranicą?*”

Owszem, mówimy, gdyż w wieku poczty lotniczej i radia przenikanie listów, wiadomości, a także prasy i książek zasadniczo uniemożliwiają dziś istnienie typu Latarnika. Jesteśmy również — jako całość emigracji polskiej w świecie — grupą o dużym odsetku inteligencji, a także zorganizowaliśmy nienajgorzej nasze własne życie społeczne i intelektualne i nawet w odcięciu od Kraju utrzymalibyśmy naszą polskość. Przenikanie prasy i książek (szkoda i granda że *jednostronne*: do nas) sprawia, iż mamy możliwość nadążania za zmianami w języku krajowym, nie musimy opierać naszej polskości jak Latarnik, czy Putrament (sienkiewiczowski) na zabranym z domu, na przykład, egzemplarzu „Znachora”, czy innych polskich bestsellerach w rodzaju „Trędowatej” (1).

(1) Czy zauważyliście jak tego rodzaju literatura jest u nas doszczętnie „zaczytana”? Te i podobne książki w bibliotekach emigranckich rozlażą się w strzępy. Niby lepiej, że ludzie czytają to, niż nic: głód szmiry jest odwieczny w półinteligencji, a ten gatunek obrodził na emigracji, że jej... Stary Lamartine twierdził, że jednym z najważniejszych probrzy wartości

Jacy jesteśmy? Ach, prawdę powiedziawszy, dobrze to wiemy, jakąś częścią mózdzku zdajemy sobie doskonale z tego sprawę: gdyby chodziło o kogoś innego, to moglibyśmy na ten temat dyskutować, dawać jedyne rady, lecz nie idzie o nas samych, więc wszystko jakoś się rozlaży po kościach. Tak jak ze mną: idę dziś do lekarza, wiem z góry, iż powie mi „jest pan za otyły” (i mały, słuszny lwowski bałak o szkodliwości nadwagi, na własnych nogach przecież toto noszę, skleroza arterii lubi takich, ale zawsze to jakoś godniej i estetyczniej — pocieszam się — kipnąć na zawał serca, niż z głodu, albo na gruźlicę, pracując w kuchni trudno nie być grubasem). Żona mi mówi: jesteś za gruby. Lustro mi to krzyczy, wiem to, ale wiem jakoś milusio i na tym koniec. Wybaczcie mi to, niepoważne porównanie, ale tak samo jest z nami. Któż z nas, mówiąc o jakiejś innej emigracji nie wie, że emigracja — ogólnie biorąc — *najczęściej* jest synonimem stagnacji psychicznej, życia w innym czasie, wspomnieniach, że jest synonimem urazów i uporczywego utrzymywania dawnych hierarchii wartościowań itd.? Wiemy, dobrze wiemy, śmieszcy to nas u innych. Wiemy. Wiecie? No to posłuchajcie...

Generalizować za bardzo jest na ogół niebezpiecznie, ale tak oto mniej więcej wyglądamy w oczach nowoprzybyłych:

Jesteśmy „*cholernie*” *przewrażliwieni*, nie tylko na nasz temat, ale nawet na temat Australii. Nam wolno ją krytykować, bo jakby nie było płaci się te podatki nie od wczoraj, bo włożyliśmy w nią wiele naszych lat, trosk i złudzeń; tylko my o niej wiemy wszystko, innym od niej demokratycznie wara. Jest to najwidoczniej bardzo ludzka potrzeba *należenia dokądś* i uczulenie na tle podkreślania własnego zdrowego rozsądku: „*Byczy kraj — no jasne: gdzie indziej bym nie jechał — głównieka pracuje*”. Tak jak nikt nie powie o sobie: *jestem idiota*, podobnie nikt nie przyzna: „*Ale-m frajer, żem tu przyjechał*”.

Dalej z rzędu nieodkrywczych truizmów: Nasze zegary psychiczne stanęły ileś tam lat temu. Trwamy najczęściej w jakiejś izolacji wobec wydarzeń i problemów świata i Polski, zachowaliśmy nie tylko dawną *hierarchię wartościowań*, ale i co gorzej: *dokumentacji*, tym samym nie biorąc pod uwagę żadnych zmian, lub bardzo ich mało. Jesteśmy z tych *co i tak lepiej wiedzą, niż ci głupi Anglosasi*. Wydajemy się przybyszom *uponurzeni tęsknotą*: mniej umiemy tu wydobyć z życia radości niż ludzie w Polsce w cięższych warunkach materialnych

literackiej danego dzieła jest: czy ono wzrusza. Nie dodał wszakże, że niemniej ważne jest: *k o g o* wzrusza (taka Mniszkówna itp.). Zatrzymałem się w odsyłaczu trochę dłużej na tym temacie, gdyż nowoprzybyli najczęściej — specjalnie panie — rzucają się na tego rodzaju książki, jako że ich w Polsce Ludowej do niedawna nie wydawało się i krążą tam w odpisach. Latarnicy à rebours, dobry temat do zgrzyźliwej noweli dla Andrzeja Bobkowskiego.

i politycznych, żyjemy mniej intensywnie i ciekawie aniżeli rodacy w Polsce. Dorabiamy się, staliśmy się solidniejsi, ale goniąc za zarobkiem (ponieważ *doduszamy tu tempa póki jeszcze sił starczy na zapewnienie sobie starości, bo kto o nas będzie się troszczył, jak nie my sami?*), mało myślimy o innych wartościach. Jesteśmy też o niebo solidarniejsi, nauczyliśmy się sporo od Żydów, choć są oni na emigracji o parę godzin dłużej niż my; jesteśmy bardziej przedsiębiorczy, co zresztą jest nie tylko naszą zasługą, ale i możliwością daną przez system, względnie inaczej: gospodarka kierowana zabija inicjatywę i odpowiedzialność. Dziecinnie nieraz potrzebujemy *podbudowy* własnego nadzarpniętego przetransplantowaniem w inne warunki znaczenia, stąd maniacy, uganiający za przesurami, stąd chwalenie kraju osiedlenia (choć nie zawsze szczerze), stąd charakterystyczne dla emigrantów częstsze używanie słowa „ja” w rozmowie. (Sprawdziłem: *siedzi*).

Jesteśmy społeczeństwem nietyle bezklasowym, ile potrafiącym sprowadzić różnice klasowe (obecne, lub pomiędzy naszymi dawnymi a innymi teraz przynależnościami klasowymi) do minimum zadrażnień, a maksimum tolerancji, ale l o j a l n o ś c i a ciężącym już ku krajowi osiedlenia. *Plawimy się w wspominkach* i bawimy w *iluzje normalnego życia*: wybory Miss Polonii byle Pipidówki, wybory do emigracyjnej akademii literatury, nadawanie sobie i obcym odznaczeń, nominacje wojskowe w ileś tam lat po wojnie, spory „leśnych dziadków”, przekonanych, iż to pasjonuje emigrację, związki dziennikarzy R.P. (co brzmi jak Związek Byłych Dentystów Jugosłowiańskich w Mozambiku) itp. *przerosty*, że można się ze śmiechu porozbijają o ścianę...

Dyskusowanie tych, czy innych tak samo ewidentnych spostrzeżeń nie wydaje mi się celowe, z powodów podanych wyżej: *byłoby to rzucanie grochem o ścianę*. Niektóre wszakże rozwinę nieco a podam także inne, może mniej ważnego rzędu, obserwacje i uwagi, dotyczące całości emigracji, w nadziei, że zaciekawia Czytelnika, a nawet pobudzą do jakiejś refleksji. Może z tych, nie silących się na naukowość, głębię, ani na Wernyhorę uwag wyniknie szersza i owocna dyskusja nie tylko na temat *jacy jesteśmy*, ale i na temat drugiego członu szkicu *co po nas zostanie?*

Emigracja, zagoniona za zarobkiem, dość dużo jeszcze tracąca czasu na idiotyczne zatargi i problemiki, mało korzysta z życia. Umiejętność znalezienia większych i drobnych radości w życiu, czerpanie tychże niejednemu u nas wydaje się niemal grzechem: bo *symbole, czterdzieści cztery, na najwyższą nutę, na ostatni guzik* i inne koturniątka, właściwie bardzo niewygodne na codzień. Jak gdyby emigrantowi nie wypadało być szczęśliwym, pełnym życia i radości Rzędzianem czy Zagłobą; musi być tragicznym Podbipiętą, albo przynajmniej Skrzetuskim, choć by nie miał na to warunków, choć by cała zabawa w to była bezsensowna.

Zadziwiająco *nikła* część emigracyjnej inteligencji *chodzi na koncerty, wystawy, do teatru*, chodzą przeważnie Żydzi, choć wielu z nas opanowało obce języki naprawdę dobrze. Rodacy w Polsce, biedniejsi i bez naszych możliwości finansowych, transportu i odzieżowych potrafią nieporównanie częściej wybierać się do teatru, pchać się na premierę i dyskutować o sztuce, o książkach, o zdarzeniach (2).

Wszelkie ciągoty kulturalne *kończą się u nas przeważnie na szczupłej lekturze, najwyżej na kinie i kukaniu w telewizję*. Czy przypadkiem nie pólitelgenciejemy? (3).

Czy nie byłoby lepiej, aby zamiast *plagi wspomnień* zjawyły się w naszej prasie... *kąciki higieny psychicznej?* Higiena psychiczna to gałąź wiedzy i publicystyki jak najstaranniej u nas pomijana. Jak tak dalej pójdzie to naszych nielicznych psychologów i psychiatrów wpędzimy w kompleks... niepotrzebności. Bo choć coraz więcej z nas dostaje *fiola*, a procent zaburzeń psychicznych wzrasta, to próżno byłoby szukać w naszej pozał się Boże prasie peryferiów emigracyjnych, a nawet central, felietonu czy gawędy z higieny psychicznej, co może pomogłoby niejednemu łatwiej znieść czy rozwiązać problemy

(2) Choć zupełnie przerażająca jest inna konstatacja odnośnie nowoprzybyłych, a dialog ten „My-Wy” i wzajemne porównania trwać będą jeszcze długo: *sądcą po nich najważniejszym* jest rozmowa o tym kto obecnie z kim śpi. Na koncertach Fogga, robiłem mu tu konferansjerkę, miałem więc okazję obserwowania interesujących szczegółów z racji kilku przyjęć dla śpiewaka i przy pchaniu się publiczki za kulisy w czasie przerwy, aby uściśnąć prawicę mistrza i aby powiedzieć mu, że „*Co nam zostało z tych lat*” pani Krupina, czy mister Pińdziurzyński słyszeli po raz ostatni, albo pierwszy w Tarnopolu lub w Cieclocinku w roku Pańskim 1938, lub 1934 itd. Za to nowoprzybyli, brać artystyczna ze SPATIF’u i Klubu Dziennikarzy niezmiennie wypytawali o to czy i z kim śpi teraz Minkiewicz, Mikołajska, czy Leszek Zahorski wrócił do swojej żony, czy to prawda, że Kurnakowicz itp. Biedny Fogg aż się skręcał, ano i takie najświeższe tęsknoty za Łojczyzną trzeba było zaspokajać...

(3) Inna rzecz, że dużo wyjaśnia, choć nie tłumaczy, fakt, iż *ich* osąd oparty jest na przeciętnej życia inteligenta w Kraju, podczas gdy tu jesteśmy (oni też) przeważnie robociarzami i sklepikarzami czyli, że warunki bytowe — jak się mówi w Kraju — muszą i tutaj jakoś na nas oddziaływać zmęczeniem i pewnym stylem życia środowiska do którego teraz mniej lub więcej należymy, choć prawdę powiedziawszy osobowość można i trzeba zachować pomimo niesprzyjających warunków i niepełnych możliwości. To zachowanie osobowości i rozwijanie się p o m i m o trudności stanowi najwyższe kryterium naszej wartości. Warto też dodać tu na marginesie, że narzekanie na *brak kultury u gospodarzy* jest zjawiskiem nieuniknionym w pierwszej fazie wysadzenia z siodła, robiliśmy to i my, tyle, że mniej ostro i naiwnie, bo my m u s i e l i ś m y tu przyjechać, a oni m o g l i . Nie było też tu nikogo przed którym moglibyśmy się zgrywać w tonacji *miau-miau*, ile to każdy z nas miał i czym to nie był, co przy przesadzeniu nas w inną glebę jest raczej normalne. Wiedzy, że nawet *sprawy normalne mogą być śmieszne*, uczą dopiero lata emigracji, choć też nie każdego.

dostosowania się do obcego środowiska, do zrozumienia właściwych proporcji i zaprzestania łańcuchowania przeszłością. Nowo przybyli nie zetknęli się tu z prawdziwymi wariatami przebywającymi w sanatoriach, ich obserwacje dotyczą tych biegających w codziennym życiu w charakterze normalnych ludzi, ale ze szmerem, a takich jest niemało na każdym terenie emigracyjnym. Jasne, iż zaburzenia takie powodowane są innym klimatem, innymżywieniem, stylem życia, obcością otaczającą nas i potęgującą w nas poczucie osamotnienia, tęsknotą, brakiem kobiet-Polek, naszym gettem i tysiącem innych rozpoznanych i domniemyanych przyczyn. Niemniej głupotą i krótkowzrocznością z naszej strony jest nie przeciwdziałać tam, gdzie można. Uwaga ostatnia odnosi się nie tylko do tego fragmentu szkicu.

Dzielnicość w sensie przedwojennym (albo ściślej: w sensie lat po pierwszej wojnie światowej) zanikła na emigracji w jeszcze większym stopniu niż w wymieszanym teraz ludnościowo Kraju. Ale za to powstała nowa: polscy „glasgowanie” uważają się za coś innego niż polscy „londyńczycy”. Polacy z Anglii patrzą z pogardą na Francję, a nawet na Polaków tam mieszkających. W Australii lokalny patriotyzm przybiera dziwaczne formy rywalizacji pomiędzy polskimi „sydneyczykami”, a „melburneńczykami”. Przeszczepia się ona widocznie z rywalizacji obu miast, przybierającej nieraz osobliwe formy. Aby nie urazić żadnego miasta przyznaniem statusu stolicy federalnej konkurentowi, wymyślono nową stolicę Canberra (Kambereg, jak mówią Polacy). I musiano wówczas budować nowe miasteczko, a nawet teren, na którym je zbudowano, trzeba było ogłosić autonomicznym, ażeby ku zgrozie Wiktorii nie leżała nowa stolica na terytorium Nowej Południowej Walii, albo, jeszcze gorzej, na odwrót. Dlatego dziś stolica Commonwealth of Australia liczy sobie tylko jakieś 40 tysięcy mieszkańców, podczas gdy Sydney ma dobrze ponad dwa miliony. Polskie Sydney jest siedzibą Rady Naczelnej Organizacji Polskich, posiada pół kopy byłych konsulów, generała, co drugi tam (jak by powiedział Wiech) to doktor; Melbourne zaś więcej się rusza (obawiam się: ruszał) i pierwszy miał Dom Dziecka, Dom Sodalicyjny, Dom Polski i kabaret literacko-satyryczny, podczas gdy w Sydney panie dzieje ciągle jeszcze panowie radzili. Rywalizacja, o ile jest zdrowa, a ta niewątpliwie jest, może tylko dopingować. Trudno jednak nie uśmiechnąć się kiedy bywa się świadkiem takiej licytacji: które miasto jest ładniejsze, lepsze, inteligentniejsze, o lepszym klimacie („tu w ogóle klimatu nie ma”, jak mówiła moja kuchenna w restauracji), które jest czystsze, bardziej europejskie i — oczywiście — gdzie są lepsi i mądrzejsi Polacy?

Klasycznym przykładem naszej emigranckiej stagnacji myślowej i dawania wyższości racjom typu urazowo-psychicznego nad racjami umysłu ma być — według rozmówców — nasz stosunek nie tyle do Rosji (bo nigdy nie polubimy jej w

tym stopniu co Zbyszewski Francję; przecież i Bierut bał się jej więcej, niż kochał), ile do moźliwosci zachodzenia jakichkolwiek pozytywnych zmian w tym kraju, narodzie i systemie. Wywiezieni nieludzko do Rosji, cudem z niej uratowani, a nawet ci, co mieli szczęście tam się dostać, mają ludzkie prawo do pamięci, do uraz i urazów, związanych niemal mechanicznie z brzmieniem tego słowa. Sam — nie kwalifikując tego — wzdragam się kiedy na sowieckim filmie widzę niezmiennie rosyjskie mordy. Może to nieładnie, ale przyznaję się do tego szczerze, choć do żadnego narodu nie mam uprzedzeń, do rosyjskiego też nie. Jednak nie mają słusności ci, gdy twierdzą: „panie, ja ich znam” (sprzed iluś tam lat) zakładając niemożliwość jakiegokolwiek zmiany, nawet warunków bytowania. Zatrzymany kiedyś i utwierdzony w nas subiektywny obraz Rosji z lat wojny i cierpienia, przykładamy do warunków o tyle innych, że przecież w międzyczasie zasły takie doniosłe fakty, jak mimo wszystko pewna destalinizacja, sputniki, hojrackie pyskówki kozaka Nixona z Nikitą, strzały na księżyc, a nawet eksperyment Gomulki, a nawet poprawa warunków bytowych, rzeczy ongiś w ogóle nie do pomyślenia. Takie zmiany nie zachodzą ot, tak, znikąd, bez zaplecza pewnych innych procesów, czy przeobrażeń, a co ważniejsze bez pewnych, może niezupełnie nietrwałych konsekwencji.

Znany uczonej australijski i spec od energii atomowej prof. Marcus Oliphant wrócił w ub. miesiącu z kolejnej podróży do Rosji. Dzielać się wrażeniami podkreślił, oprócz postępu w dziedzinie pewnych gałęzi nauki i techniki, beznadziejną, niemal niemowlęcą, organizację. Właściwie w całej Rosji nie ma jednego porządnego hotelu, na obiad w restauracji czeka się ponad godzinę, schodki podsuwane na lotnisku nawet pod TU-114, są rozklekotane. Ale również podkreślił, że ogólny nastrój jest inny: ludzie mówią więcej, szczerzej się wypytują, oraz odpowiadają, są ciekawi wieści i porównań, nawet kobiety są ubrane obecnie szykowniej i kolorowiej niż przed 3 lata, kiedy widziało się niemal mundurową jednostajność w ich ubiorach, a apatię i smutek w zachowaniu się wszystkich. Nawet — o dziwo — zaczyna się w Rosji widzieć szczuplejsze kobiety.

Oczywiście tam gdzie ktoś krytykuje Rosję, tam mu przytakujemy i dostrzegamy wnet, że mamy do czynienia z bystrym obserwatorem i inteligentnym facetem. Ale tam, gdzie on zauważy coś pozytywnego, a nie daj Boże chwali? Oho, my lepiej wiemy. A facet bęwał, dał się wziąć pod pic jak dziecko, lub zwykły fellow-traveller.

Dalszym dowodem naszej stagnacji myślowej i rozumowania po linii wishfulthinking'izmu jest — według obserwatorów — niedostrzeganie niektórych nieodwracalnych zmian i daltionizm na plasy systemu, bo i takowe są w tłumie minusów. Nawet, żeby jutro w Polsce zaczął rządzić Papież, czy jakiś najidealniejszy Polak o kalibrze Piłsudskiego, Mickiewicza, Curie-Skłodowskiej, Chopina i Batorego razem wziętych, nie

będzie mógł odwołać reformy rolnej, uprzemysłowienia, uspołecznienia środków produkcji, czasów, stypendiów itp.

Jeszcze innym dowodem naszej atrofii umysłowej jest *casus* Mieroszewskiego. Ten mądry i uczciwy publicysta walczy z naszą tępotą i bezmyślnością polityczną, od lat użera się i orze jak wół na tym najbardziej niewdzięcznym, choć najpotrzebniejszym odcinku naszej publicystyki. Jeśli komuś zajdzie tak, że tamten nie znajduje *argumentu*, pada zwykle taka „odpowiedź”: ach, on pracował w „Tajnym Detektywie”, co ma go rzekomo absolutnie pogrzyżyć. Po pierwsze: pracował w koncernie IKC, nie jestem pewien czy drukował coś w Detektywie, bo Mieroszewskiego nie znam (pamiętam go z „Asa”), a po drugie: jakie to miałyby znaczenie, gdyby rzeczywiście pracował w „T.D.”? Liczy się jego *dzisiejsza* publicystyka i *o nią chodzi*. Cemu — mówiąc o d z i ś — ciągle pamiętamy w c z o r a j? Emigracja nie lubi nowych talentów u siebie, ma predylekcję do uznawania dawnych autorytetów. W Kraju nikomu nie przyszłoby do głowy wypominać czym był przed wojną Jasienica, liczy się jego *dzisiejsza* publicystyka, choć komuniści to specjaliści od pamiętania przeszłości (4).

Jako groźne memento dla emigranckiej mentalności (o autorytetach) warto wspomnieć tu Solskiego. Był wyjątkowym aktorem, o niespożytej energii, stworzył epokę, z dumą podkreślaliśmy jego jubileusze, sto lat życia i niewiele mniej pracy w teatrze, jednak, ponieważ *nie wiedział kiedy odejść*, był w ostatnich już latach widowiskiem płacziwym i przykrym, bo ciągle pchał się na scenę, gdzie (*pardon my French*) robił pod siebie, gdzie plątał „Zemstę” z „Panem Geldhabem”, a Żymierskiego przywitał raz okrzykiem z rampy: Marszałek Rydz-Śmigły niech żyje. Powiedzmy szczerze, że nie Solskiego za

(4) W czasie przyjmowania literatów polskich do sowieckiego związku literatów we Lwowie pod jesień 1939 miała miejsce taka miła scena: Każdy z kandydatów musiał przed przyjęciem wygłosić małą *zajawę* o swym pochodzeniu społecznym. Gdy przyszła kolej na Boya, wstał i wystąpił dość cicho: Mój ojciec był kompozytorem, ja jestem lekarzem kolejowym, napisałem i przetłumaczyłem kilka książek. Wtedy, gdy schorowany Boy usiadł, podskoczyli dwaj towarzysze (żyjący ciągle P. i nieżyjący już S.) zajmujący się z polecenia partii i z własnego kaprawego charakteru w y - ł a p y w a n i e m kto co kiedy nie błagonadiożnego napisał i poszperawszy w notatkach obwieścili triumfalnie, że pan Zeleński w roku 1935, recenzując taką a taką sztukę sowiecką, napisał o Stalinie to i to. Na to wstał radziecki literat Pancz, szara eminenca związku i zdenerwowany wrzasnął: Wy P. i S. lepiej by siedzieli cicho, bo pan Zeleński więcej książek napisał i przetłumaczył niż wy przeczytali... Ci sami dwaj przy okazji przyjmowania Putramenta zażądali, aby on publicznie wyparł się swego ojca, sanacyjnego pułkownika, i go potępił. Putrament ma mimo wszystko charakter i odparł: Po pierwsze mój ojciec był majorem, a choć sanacyjnym to trzeba pamiętać, że *innych nie było*, był porządnym człowiekiem, a także mym ojcem, czyli wy dwaj jesteście świnię i kanalie, jeśli żądacie takich ode mnie oświadczeń (zaczeptałem Putramenta, miło więc jest mi oddać mu tę słusność).

to trzeba winić, a tych, którzy dopuścili szanownego i szanowanego starca do wygłupów.

Powoli zachodzi u nas proces *rozdwajania się przywiązania* (takie to ludzkie: narastają nowe) i *lojalności* — to drugie jak u Kanadyjczyków francuskiego pochodzenia w ubiegłym wieku. Jeszcze czujemy i długo będziemy czuć, może na zawsze, do późnych wnuków, naszą więź z Krajem, lojalność nasza jednak coraz bardziej jest zaangażowana w kraju osiedlenia. Niby to normalne, ale czy istotnie objawia się ona zupełnie n o r m a l n i e? Jak wy godzicie — pytają nas — niewątpliwą polskość i miłość do Kraju i wzruszające przywiązanie do niego, z jakąś nieustającą *Schadenfreude*, że tam ciągle coś jeszcze jest złe? Ze coś nawala? Osądzacie wyniki, choć nie wiecie nic, albo niewiele o trudnościach, jakie kładą się kładą przy byle sprawie? Czy jesteście pewni, że *linię podziału* pomiędzy tym *co polskie*, a *tylko reżymowe* przeprowadziliście istotnie i bezbłędnie?

Jeszcze inny rzekł tak oto: *Toczy was apatia. Jest ona na rękę tylko reżymowi. Oni nie muszą z wami walczyć, mogą jedynie przyglądać się jak się żrecie i toniecie w wspomnieniach i apatii, czekają aż wymrzecie. Podsycają tylko w was tęsknotę, bo ta rozbraja psychicznie i moralnie, bo ta spala do tego stopnia, iż na działanie niewiele już energii zostaje, tym bardziej, że się starzejecie, a już przez sam fakt przebywania na emigracji proces starzenia się zachodzi jak gdyby ostrzej i przez to szybciej każdy z was zaczyna myśleć o sobie, a nie o całości i nie o głównym dziś problemie: co po was zostanie? Po nas — poprawił się.*

Najprzykrzejszą dla większości nowoprzybyłych konstatacją o emigracji jest jej *apatia*. Żyje się, zarabia, pracuje, tęskni a każdy dzień zbliża do grobu i wkrótce będzie po krzyku. *W czym dziś przejawia się wasza „polityczność” jako emigracji? Że ze strachu i z wygody zostaliście na Zachodzie i sprzedajecie to jako protest? Zaprotestowaliście i co? A teraz jęlczejecie, mówicie jak Sławoj w liście do „Wiadomości”, że niby „Wierzyński głaszcze, podczas gdy Lechoń szarpał” (5). Głaskania wam trzeba, środków nasennych, byle jakoś w niezakłóconej izolacji przeżyć aż do własnej śmierci, równo, grzecznie, jak potrzeba, a po śmierci fik do nieba? W Polsce, czując na sobie ten nieznośny ucisk prymatu spraw społecznych i przyszłych pokoleń, nieraz marzyliśmy o nieśpiesznej egzystencji prywatnej, gdzie człowiek poza samym sobą nikogo *nie reprezentuje, ani nikt jego, gdzie ma prawo wolnego i nieskrępowanego żadnymi wytycznymi rozwoju, gdzie jest sobą i żyje na miarę własnych marzeń i klęsk. Lecz u was więcej jest apatii, niż tego nieskrępowanego życia. Marazm krępuje was i dławi. Otwórzcie, do cholery, okna na przestrzał, trzeba wam trochę**

(5) Osobiście uważam, że Sławoj już z dwojga złego był lepszym premierem niż krytykiem.

świeżego powietrza, bo czadziejecie, trzeba wam trochę przeciagów”.

Tak mówią i mają rację Amen. Jeżeli jest tu trochę przesady, to po to, aby zagęścić problem i go lepiej ukazać. Drugie amen.

A teraz troszeczkę o naszej literaturze, bo ona po nas zostanie więcej niż tomy i tony publicystyki i orędzi różnych wodzów i wernyhorów, których to orędzi nikt już nie czyta, z wyjątkiem zecerów i korektorów a i ci czynią to coraz niedbalej.

Wydawałoby się, że już co jak co, ale na wolnej emigracji rozwinie się przede wszystkim satyra i literatura katolicka. A tymczasem jest chyba wprost przeciwnie: to są dwie najbardziej uszłe gałęzie literatury emigracyjnej. W Polsce poza Sztaudyngerem, Swinarskim, Minkiewiczem, Jurandotem, Załuckim, Marianowiczem, Brzechwą, Szpalskim (do niedawna), Brudzińskim, Kernem, Magdaleną, Samozwaniec i innymi mamy rosące pokolenie Czarnych, Scisłowskich i innych; niemal każdy numer „Szpilek” przynosi jakieś nowe nazwiska. Fraszka polska przeżywa niezauważony na emigracji rozkwit, nawiązuje do świetnych tradycji: są to fraszki jurne, frywolne, wdzięczne, finezyjne, dosadne, zgrabne, a co najważniejsze: dowcipne. Nie wszystkie oczywiście są aż tak dobre, ale jest w czym wybierać i grymasić. Istnieją naturalnie w Polsce Ludowej (która godzina? ósma trzydzieści w oparciu o Związek Radziecki) takie zjawiska jak rymujący politruk Polanowski i politrukujący rymopis (unikat sam w sobie) Józef Nacht-Prutkowski, onym — że czasem też trafi się coś dobrego i niezbyt ciężkiego, aczkolwiek satyra polityczna, siłą rzeczy dziś jednokierunkowa i tak po chamsku przejrzysta, mało jest dowcipna i właściwie smutna. Nawet Leonowi (Niestety — Tylko — Leon) Pasternakowi udało się ostatnio kilka zupełnie lekkich fraszek, co świadczyłoby, że istotnie po długich, a ciężkich cierpieniach ilość m o ż e czasem przejść w jakość.

A jak jest na emigracji? Parodiując Lechonia dałoby się powiedzieć: *Jest tylko jeden Hemar i właśnie go nie ma*. A jeśli jest, to bywa przeważnie patriarchalny i elegijny, a często także rozwlekły, co w fraszce już jest na ogół grzechem (6). Jedyny, niezamierzony zresztą, humor na emigracji reprezentują opinie Czytelników o „Wiadomościach”, zbyt często i zbyt skwapliwie pomieszczane w tym piśmie, z których to listów trudno czasem się nie śmiać, a i śmiać się boli serce, gdy tam faceci i facetki najzupełniej serio porównują Sławoja do Paska (nie do tego co kiedyś zaciskał, ale do Jana Chryzostoma) a inny obwieszcza, że zanim kardynałowie ogłoszą wybór

(6) Zadziwił za to Goetel, pokazał młodym, że i tą formą władza (myśle o kilku fraszkach zamieszczonych nie tak dawno w „Wiadomościach”). Podkreślić także trzeba niektóre przednie fraszki „Pokrzyw”, pióra najczęściej Ref-Rena.

Papieża, onże czytelnik ogłasza to *whom it may concern*, że *habemus poetam magnum*, nie mówiąc już o laurkach i wazelinie, o gromkich okrzykach i żądaniach w rodzaju: *więcej Badeniego i mniej Badeniego!* Ale wracając do okropnej posuchy na fraszkę, to: *czy rzeczywiście satyra może istnieć tylko w warunkach ciężkich i niesprzyjających?* Czy wolność i brak bodźców do eskapizmów zabijają fraszkę? Czy życie na emigracji m u s i się odbywać, albo jeszcze lepiej: o b y - w a ć bez poczucia humoru, bez odczuwania własnego komizmu? Fraszka emigracyjna leży jak neptek, jak stąd do Winnik, a nikogo to nie zastanawia, ani nie dziwi (7).

Co zaś z literaturą katolicką?

Biorąc jako temat do analizy wypowiedź Stachanowca Wszystkich Świętych, Jana W Oleju, pośta Dobraczyńskiego (w jednej z ankiet „Dziś i Jutro”, kilka lat temu), że *za literaturę katolicką uważa on wszystko, co nie jest wyraźnie antymoralne i antykatolickie*, można rzec, iż na emigracji cała niemal literatura jest *w tym sensie* katolicka, a ta naprawdę katolicka — przez i z imprimatur Białatowicza — po prostu trochę lepsza niż odpustowa. Gdzie są u was — wołał jeden — książki tak łapiące *za flaki* jak „Ład serca”, tak zadziwiająco jak „Krzyżowcy”? Jeżeli powieści „Veritasu” nie ukazują się w Polsce, to ze względu na personalia autora, ze względu na nieważne aluzje do komunizmu, a *nie* ze względu na niebezpieczny ładunek myślowy i nowe ujęcie. Gdzie jest wasza publicystyka katolicka na poziomie „Znaku”? Nasz dość ogólnikowy zresztą antykomunizm połączył nas jedynie we wspominkach i pobożnych życzeniach oraz zgłajchszaltował byłych, obecnych i przyszłych postępówców z wyleniałymi masonami, żubrami, bigotami i niedowiarkami, socjalistom z endekami sanatorów z sanatoriami, brydżystom z Veritasem i wspomnieniami (Rhapsody in Jesterday) à la pani Suryn-Wyczółkowska, która to matrona w jednym z niedawnych swych wspomnień, pisała, że na letniakach pod Warszawą oselki masła zawijano

(7) Kilka lat temu, z ramienia ówczesnego melburneńskiego Kabaretu Literacko-Satyrycznego „Wesoła Kookaburra”, przesłałem „Kulturze” komunikat o konkursie na fraszkę. Daliśmy niezłą nagrodę (50 funtów), co za czterowiersz, albo niewiele więcej, mogłoby jako honorarium zadowolić nawet stękającego na marne stawki emigracyjne W.A. Zbyszewskiego. Prosiłiśmy również za pośrednictwem „Kultury” inne polskie pisma o wydruk komunikatu. Nic mi nie wiadomo, by inne pisma polonijne uczyniły zadość naszej prośbie, no, bo słaba „firma”. Cóż zresztą się dziwić, skoro miejscowa prasa polska (dwa i pół tygodnika) nie zamieszczała nawet żadnego echa o tej bądź co bądź potrzebnej inicjatywie. Pokłosie konkursu było oplakane: oprócz jednego paszkwiłu (z Francji) przyszła tylko j e d - n a fraszka (z Ameryki), przy czym autor, zmyślony widocznie terminem „kabaret”, lub niewykluczoną niejasnością warunków (ja to bowiem je redagowałem) przysłał fraszkę sceniczną, coś na pograniczu skeczu dla nadscenki.



w liście kapusty. Aż dziw, że w dziale do Redakcji „Wiadomości”, rozkochanych w tego rodzaju przyczynkach, nie ukazało się dotychczas z dziesięć epistoł do sprostowania, iż masło u ciotki Malwiny zawijano w liście ł o p i a n u, z wyliczeniem różnic pomiędzy łopianem a kapustą, odmian i kolorów, łącznie ze wzmianką, że w Australii istnieje drzewo *cabbage-tree*, ale poza nazwą nie ma nic wspólnego z kapustą, którą notabene parzy się w krajach anglosaskich gorącą wodą z sodą, która to soda działa, jak wiadomo na itp. Odstępik ten pozwolę zakończyć własną fraszką:

#### LITERATURA KATOLICKA NA EMIGRACJI

Jan Bielatowicz  
Maria Winowska  
literatura  
o Matko Boska

Interpunkcję umyślnie pomijam. Można przeto fraszkę tę czytać z kpina, rewerencją, pro i contra. Pani Marysi przesyłałam prozą ukłony i uśmiecham się do tulizańskich czasów, kiedy to Józef Łobodowski w jej celi klasztoru na rue des Trente Six Ponts kręcił na powielaczu (pod humorkiem, *il va de soi-même*) niezapomniane nielegalne „Wróćmy” i kiedy to jego przepełniony (*excusez le mot*) pęcherz był powodem takich hec, że o mało co nie skończyło się w klasztorze egzorcyzmami, jako, że nieznanne widmo, klnące w słowiańskim języku straszło tam mniszki owej nocy... A niech i ja sobie powspominam, co to ja gorszy od innych? Tym bardziej, że nazwisko pani Suryn naprowadziło mą myśl na te egzorcyzmy...

Jesteśmy grupą *starzejącą się*. Młodzieży u nas mało, albo już żyje na pograniczu polskości i innej mentalności i lojalności, kultury i organizacji. Pewien dziennikarz z Kraju zadał sobie trud przeczytania wszystkich emigracyjnych wydawnictw i książek. Twierdzi ze zdziwieniem, że nigdzie nie natknął się ani na jeden wiersz o sporcie, ani na jedną nowelę, czy opowiadanie na ten temat. Literatura polska w ogóle mało zauważa sport, ten rzucający się w oczy fakt, że w życiu mas sport jest dziedziną ogromnie popularną i ważną, a także dającą szerokie możliwości artystyczne pisarzowi. Emigracyjna literatura, nastawiona na wczoraj i na to, że każdy tu chce być *generałem* literatury, a nikt jej pocziwym *sierżantem*, pominięta zupełnie sport.

Każdej emigracji czas w pewnym sensie staje. Stanął i nam. Najlepiej widać to na drobiazgach: przedwojenne przeboje i płyty, smak i smaczek też w przedwojennym gatunku. Czasy się zmieniają, narasta nowy nie tak wspaniały świat, zjawiają się nowe konflikty, odkrycia, a my sobie ciągle na imieninach u ciotki Kłoci i kombatanckich potańcówkach gramy „Już nigdy” i „Umówiłem się na dziewiątą”. Od biedy można to zrozumieć: melodia ta przypomina nam naszą mło-

dość, dlatego te szmiry są takie modne i to tak długo. Gorzej jest jednak, że poza wspomnieniem wynosi emigracja w nowe warunki swe dość sformowane i szybko kostniejące *pojęcie* smaku. Nawet przeboje emigranckie i nowe piosenki sympatycznego koniarza Ref-Rena (czy też paryskich refrenoidów z radia) są robione pod ten smak. Jesteśmy — ogólnie biorąc — impregnowani na nowe piosenki krajowe, często ładniejsze, ale że nie było nas tam kiedy powstawały, to nie przemawiają do nas. Tym bardziej, że każda piosenka powstaje w określonej aurze, której prawdopodobnie nie wyczuwamy, albo nas nie ogarnia lub nie obchodzi. Więc poza lekką histerią na tle „Mazowsza” czy „Śląska”, histerią zresztą miłą i nieszkodliwą, a nawet pozytywną, wolimy — *a kto wyjaśni mechanizm tego „wolenia”?* — różne nieraz zachodnie przeboje, natychmiast tłumaczone przez ćwierćinteligentów, że wspomnę tylko polską wersję (z Ameryki) „How much is the doggie in the window”:

*A ile kosztuje piesek w oknie  
Co macha wciąż ogonkiem swym,  
A ile kosztuje piesek w oknie  
Ja myślę, że sprzedasz go mi... (8)*

Tak samo skostniały, ale święty, bo wyniesiony z Kraju smak można zaobserwować i gdzie indziej: chustki na głowę u polskich chłopek, choćby dziś miały dom, auto i telewizję; przedwojenne najczęściej fryzury u naszych pań z tzw. towarzystwa, ubrania mężczyzn (szczególnie u warstw niższych). Pewien znajomy fotograf opowiadał mi, że najwięcej chwałą go klienci, gdy im zrobi wystafirowany portret w twardym kołnierzyku, w czarnej marynarce i z wystającą grdyką, jak na jarmarku w Opocznie. A kto z nas, z tzw. inteligentów może się pochwalić, iż ma reprodukcje Nikifora, Ociepki i innych nowych? Ciągle wolimy trochę przyznaną Stryjeńską, nietyłe ludową, co zadowalającą nasze mieszczańsko-laternikowe pojęcie o sielankowej i wakacyjnej ludowości. *A bo moja pani, myśmy w Polsce mieli Stryjeńską w salonie...*

Czemu — pytają nowoprzybyli — nieliczni i cisi Litwini mają porządną, centralną nagrodę literacką, naukową i artystyczną na emigracji, a liczni i pyszcący Polacy posiadają tylko kilka niewielkich nagród? Czy społeczeństwo emigracyjne, a także firmy, żyjące przeciwieństwo z emigracji i *materialnie zainteresowane w jej utrzymaniu*, nie mogłyby złożyć się na dobrą i stałą nagrodę? A ci studenci, którzy w czasie wojny i po niej pokonczyli ze stypendiów społecznych studia, nie mogliby temu społeczeństwu w tej formie bodaj odplacić za udostępnienie tamtych możliwości? Każdy z nich

(8) W koncertach życzeń radia w Geelong tę płytę słyszy się co niedzielię, czasem po dwa razy w ciągu audycji.

wydarłszy się z getta robociarsko-żołnierskiego i emigranczkiego, sobie rzepkę skrobie i jest już tylko *prywatnym* Polakiem, ale najczęściej stroni od polskiego życia społecznego. Przykro pisać, ale tak jest. Zagląwanie komuś w kieszeń jest niedelikatnością, ale wolno chyba publicznie stwierdzić karygodną obojętność i sobkostwo naszej emigracyjnej inteligencji wobec społeczności, której jest ona dłużnikiem.

*Calujączkizm* trwa u nas dalej, choć nieraz obcy z tego się śmieją. Tytułomania kwitnie. Prawdziwa arystokracja (ta nr 1) ma dużo godności i *imponuje* przybyszom z demokracji ludowej. Ale ta gorsza (nr 2) ze swą przesadą i zarzuciłością potwierdza tezy propagandy krajowej o idiotach Bęc-Walskich z „Przekroju”. Nowoprzybyli nie wierzą mi, gdy im mówię, że polskie cmokanie w rączki zrobiło tyle dobrego dla imienia polskiego w świecie co Chopin, a na pewno więcej niż wszystkie memoriały i poczynania propagandowe rządów i nierządów emigracyjnych.

Antysemityzm też u nas istnieje. Na meczu Hakoach — Polonia w gorących momentach pod bramką drużyny polskiej (broni Włoch Penzo) słyszy się: *A że też ich wszystkich Hitler nie powykańczał...* Uwagi takie są o tyle bardziej zastanawiające, że w melburneńskim Hakoachu nie gra ani jeden Żyd, a nawet grają Niemcy. W Polsce do niedawna było 2-3 Polaków, dopiero kilka miesięcy temu sprowadzono z Polski 5 piłkarzy ligowych dla poprawienia pozycji Polonii w tabeli i podciągnięcia poziomu.

Jeszcze garsz innych danych, zauważonych przez przybyłych z Kraju: Mniej pijemy. Więcej jemy. Jesteśmy przewrażliwieni aczkolwiek mniej pieniacle. Prawie nie ma u nas kradzieży. Jesteśmy solidniejsi i solidarniejsi, grzeczniejsi i bardziej flegmatyczni, na pierwszy rzut oka oschli, trochę nudni. Nie ma u nas ani porządných listów do redakcji, ani wielkich polemik programowo-światopoglądowych, czy literackich, a polemiczki czasem istniejące noszą cechy przeważnie ataków osobistych. Korekta pism, szczególnie tych mniejszych, niechlujna. Jest u nas mniej biurokracji i nie podchodzimy do faceta z miejsca niechętnie, jak do wroga, jesteśmy też łatwowierniejsi niż rodacy w Kraju. Wszyscy podkreślają naszą apatię i na ogół monotonne życie. Co mówi Gomulka, nas nie ochodzi, co mówi Menzies, nas nie wzrusza, oł, dni lecą...

Emigracje zwykle wymierają, wsiąkają w obcy grunt. Co odróżnia je pomiędzy sobą, jedną od drugiej, to procent śmieszności, stopień apatii i łatwość uchwylenia jej pod sztancę. Odróżnia je pomiędzy sobą — i to jest *n i e p o m i e r n i e* ważniejsze — również siła, z jaką przekazują współczesnym i przyszłym swój *p r o t e s t*, gdyż każda emigracja choć trochę polityczna, jest protestem przeciw czemuś. A także odróżnia je ich *o r g a n i z a c j a* i wartość moralna.

Jakoś uchroniliśmy się od śmieszności emigracji białogwardyjskiej, gdzie taksjarsz stał się symbolem i znakiem

chemicznym emigracji rosyjskiej w każdym wodewilu i sztuce bulwarowej. (A był nim zwykle arcyksiążę, pułkownik gwardii, albo co najmniej sztabkapitan). Uniknęliśmy też taniej sztancy. Nie powie się bowiem o Polaku, jak o Greku, że włożył w „*fish and chips*”, jak o Włochu, że to *zieleniarze i owocarze* (np. w Australii) lub *gangsterzy* (jak swego czasu w Stanach Zjedn., co teraz przeszło na Portorykańczyków), ani nie powie się jak za czasów mej młodości o Czechach: *garnki drutowaaać*, bo taki zawód na Zachodzie jest nie do pomyślenia, jak i polski zdun w Australii. Nie powie się nawet o nas jak o arystokratkach francuskich po Rewolucji Francuskiej, iż każdy z nich stał się guwernerem, albo wiszącym u klamki możliwych „agenciakiem” i „rezydentem” (9). Nie można nas zaszufładować i określić „*zahałom*”. Wprawdzie polscy Żydzi opanowali prawie całą konfekcję w całym świecie, wprawdzie polski górnik jest przysłowiowy dalej w kilku krajach, ogólnie jednak biorąc jesteśmy *po prostu społecznością o normalnym przekroju i składzie socjalnym*, dajemy sobie radę, nie wisimy u niczyjej klamki, zorganizowaliśmy się nienajgorzej i stosunkowo szybko nawet uczymy się bardzo niepolskiej solidności i solidarności. Pomimo beznadziejnie krótkowzrocznej i grabieżczej polityki finansowej niektórych tzw. czynników (10), doszliśmy względnie szybko (w porównaniu np. z emigracją rosyjską po pierwszej wojnie, dużo bogatszą od nas materialnie i w inteligencję) do placówek naukowych, wydawniczych i instytucyj, mamy ponad 200 (za granicami Polski) profesorów i docentów uniwersytetu. Stypendiami własnymi i cudzymi (za krew) zdobyliśmy wyższe wykształcenie dla tysięcy dipisów, żołnierzy i uchodźców, a teraz ich dzieci; czyli *ostatecznie moglibyśmy być zadowoleni*. Chodzi jednak o pełniejsze zmobilizowanie naszych możliwości i działań, naszych poczynañ i postawy na świątek i piątek, o zaplanowanie i realizowanie tych planów na miarę naszych zadań i tego co ma po nas *z o s t a ć*, o problem — że użyję żargonu komunistów — *kadra*.

Lubimy porównywać się do Wielkiej Emigracji, podkreślać analogie, które czasem są faktem, a częściej złudzeniem, naciąganiem faktów do z góry powziętych tez, skrzywieniem

(9) Pomimo wyolbrzymiania przez reżym sprawy Bergu, pomimo niewątpliwiej swego czasu psychozy dwójkarskiej, byliśmy i jesteśmy czysti moralnie i etycznie niż większość innych, dawnych i współczesnych emigracji. Poprawiliśmy opinię o Polakach naprawdę do niespotykanego, jeśli chodzi o ogół, nie tylko o jednostki, poziomu, ale nie spoczywamy na laurach: zadowolenie z siebie to kapryśne uczucie i płata figle; tylko dla dumnia dobre mniemanie o sobie to połowa szczęścia. Procent spraw karnych *per capita* w porównaniu z Krajem jest o wiele niższy, rozwodów też, pomoc materialna dla Macierzy spora, większa od innych emigracji.

(10) Jakoś „przyschły” sprawki różnych pułkowników, generałów, prezesów i innych wodzów, kupujących po „Libération” farmy, hotele i pensjonaty, co?

typowo emigracyjnym. Wielka Emigracja właściwie przegrała politycznie, przez dziesiątki lat odnosiła jedynie porażki i klęski, karmiła się złudzeniami, a jednak *pod każdym niemal względem zapłodniła większość dziedzin życia polskiego w Kraju*, pozostawiła po sobie ślad, trwały i pozytywny ślad, zaznaczyła się w naszym i obcym życiu. Krótko mówiąc: przegrała politycznie, nie wróciła do Kraju z rozwiniętymi znakami, roztopiła się, ale wygrała *m o r a l n i e*. Dużo dała Narodowi.

A co pozostanie po nas? Czy umiemy myśleć o tym? Czy potrafimy do tego kąta widzenia — a jest on jedynym który się *liczy* — naginać naszą działalność, ja i Ty, szaraczek i as, czy też idziemy, brniemy, starzejemy się i roztopiamy w obcym morzu po linii najmniejszego oporu, samodurstwa, ciągłego usprawiedliwiania się, że coś przeszkadza, po linii po prostu bajeru, wygodnictwa i krótkowzroczności?

Mówiąc językiem prostym: nie widząc, jako laik, wyraźnych szans i możliwości zwycięstwa politycznego naszej trochę eunuchowatej emigracji na dość jałowym i tchórzliwym Zachodzie, trzęsącym portkami o swój dobrobyt, nie bardzo widząc te szanse w najbliższej przyszłości, chciałbym się zastanowić, czy zdajemy sobie sprawę, iż może zaprzepaszczamy trochę możliwości tego drugiego zwycięstwa *m o r a l n e g o*, nawet z za mego i Twojego grobu? Żyjemy wprawdzie w wieku ekspedycji moralnej, niecierpliwości, postępu kłamstwa, używającego coraz lepiej na swe cele zdobyczy nauki i techniki, jednak prawdziwy humanista przyzna, pomimo dewaluacji takich pojęć jak „moralność”, że ważniejsze jest właśnie duże i zapładniające zwycięstwo *m o r a l n e* niż krótkotrwały sukces polityczny. Jeżeli przesadzam w tym szkicu, to dla zagęszczenia problemu, dla lepszego jego ukazania. To zdanie proszę sobie powtórzyć. I proszę pamiętać, że na ogólnościowy przebieg wypadków mamy wpływ równy zeru (pomimo, że różne wodze kultuwują „chody” u trzeciej maszynistki drugiego sekretarza pierwszego wiceministra takiego a takiego państwa), w sprawach zaś, które wyłącznie zależą od nas, cechuje nas często jakaś okropna krótkowzroczność i jakies ubliżające nam nierozeznanie istotnych szans i zadań.

W dziedzinie politycznej i psychologicznej (nie dziwicie się: zaraz to wytłumaczę) powinniśmy nie dopuścić, aby nasz głos protestu zamarł, lub się ściszył ze znużenia czy niewiary w celowość tego wysiłku i na skutek własnych polskich kłód, często rzucanych pod nogi. Zachód byłby tylko *too happy*, gdybyśmy przestali ten głos podnosić. Dopóki nasz protest trwa, minimalne bodaj szanse załatwienia naszej sprawy ciągle istnieją. Jeśli jednak my umilkniemy, zrezygnujemy, czy zmęczeni, to wszyscy inni odetchną z ulgą i bez umawiania się umówią, że nie ma żadnej sprawy narodów uciemionych, już jakoś to sobie wytłumaczą, żeby dobrze (dla nich) było. Z punktu widzenia psychologicznego jest to zrozumiałe, a nigdy

też polityka z psychologią tak się ściśle nie wiązały, jak w naszych czasach.

Ale ten głos protestu i ten ślad po nas będą donioślejsze i trwalsze, jeśli przekaże go obcym i przyszłym pokoleniom Polaków literatura jeszcze wyższa gatunkowo i tematycznie, niż to co już mamy, jeśli pod tym kątem widzenia szerzej i aktywniej zmobilizujemy nasze akcje i świadomość, każdy z nas na dzień powszedni i święto od emigranta Kowalskiego, do Miłosza.

Nie jest źle, ale może i powinno być lepiej.

Wspomniałem na początku szkicu niepoważnie o mej tuszy. Ponieważ chciałem i trzeba było, to w przeciągu 5 tygodni zeszcupiałem o 24 funtów żywej wagi. Można by więc zapewne i *nasz tuszcz psychiczny* zrzucić z siebie, pod warunkiem, że tego chce. A trzeba.

Andrzej CHCIUK

## GRYF PUBLICATIONS LIMITED

PRZEDSTAWICIELSTWO „KULTURY”  
I WYDAWNICTW KSIĄŻKOWYCH „KULTURY”  
NA WIELKĄ BRYTANIĘ

zaopatruje w książki polskie mając na składzie ponad  
3.000 tytułów. Wysyłka natychmiast po otrzymaniu  
z a m ó w i e n i a.

Katalogi bezpłatnie na żądanie.

WYSYŁAMY BEZPOSREDNIO DO W. BRYTANII,  
ST. ZJEDNOCZONYCH, AUSTRALII, BRAZYLII  
I I N N Y C H K R A J Ó W.

Na terenie Francji przedstawicielstwo:  
„Libella”, 12, Rue St. Louis-en-l'Île, Paris 4<sup>e</sup>

BOGATY DZIAŁ NOWOŚCI

## Kraj

# Listy z Polski

Trudno jest dać absolutnie trafną ocenę tego co się tu u nas dzieje. Zbyt dużo jest elementów niejasnych i przez tzw. czynniki oficjalne świadomie zaciemnianych, aby można było już dziś odtworzyć wydarzenia października i listopada 1959 roku jak w dokumentalnym filmie. O jednym nie można wątpić, a mianowicie że Gomułka i jego doradcy prowokując lub wykorzystując (jak kto chce) kryzys mięsny, ukuli sobie wygodną broń polityczną, którą walczą obecnie — chciałoby się rzec na prawo i na lewo, ale raczej na lewo. (W związku z tym maleńkie wyjaśnienie. My się trzymamy nomenklatury, że obóz październikowy, tzn. ludzie, którzy chcieli i domagali się prawdziwej demokracji socjalistycznej i zerwania ze wszystkimi metodami stalinowskimi, są lewicą, a natomiast natolińczycy wraz ze starym aparatem partyjnym prawicą. U was, o ile się orientuję, używa się nadal dawnych nieaktualnych już pojęć o lewicy i prawicy społecznej, pojęć które nie oddają obrazu układu prawdziwych stosunków polityczno-społecznych i to nie tylko w Polsce ale w całym bloku sowiecko-chińskim).

Chodzą po kraju pogłoski, że kryzys mięsny był trochę kierowany. Słyszy się wypowiedzi, według których władze trudniące się skupem żywności były w posiadaniu specjalnej instrukcji rządowej, aby mięso zakupywane w miesiącach letnich nie było kierowane bezpośrednio na rynek, lecz gromadzone w chłodniach i przerabiane na konserwy. Czy tak było naprawdę — Bóg raczy wiedzieć. Prawdę oczywistą trudno dzisiaj zbadać, choć z drugiej strony w Polsce wciąż jeszcze niełatwo jest tego rodzaju dyrektywy utrzymać w zupełnej tajemnicy przed opinią publiczną.

Przeważa jednak pogląd, że kunktatorska polityka Gomułki w odniesieniu do naszego modelu gospodarczego, o którym się tyle mówiło i pisało od października 1956 roku, wszystkie owe połowiczne reformy, które zatrzymywały się zawsze o krok przed najważniejszymi decyzjami w sprawie generalnego uregulowania kardynalnych dysproporcji w dziedzinie cen

*Zamieszczamy tym razem fragmenty listów, jakie otrzymaliśmy z kraju. Abstrahując od słuszności ocen ostatnich wydarzeń w Polsce — są one dość charakterystyczne dla nastrojów społeczeństwa.*

i plac, musiały doprowadzić do krytycznego momentu i do wybuchu kryzysu. Gomułka ciska dzisiaj gromy przeciwko Bobrowskiemu, Langemu, a nawet Lipińskiemu, krytykuje Pajestkę, obrusza się gdy mu ktoś w ostrożny sposób przypomina alarmujące i częste artykuły naszych ekonomistów z „Życia Gospodarczego”. W ostatnim roku trudno było z towarzyszem Wiesławem w ogóle rozmawiać, a dziś stało się to prawie że niemożliwe. Zupełnie nie panuje nad nerwami. Gomułka nie dorósł po prostu do skomplikowanych zagadnień, które stały przed nim w październiku 1956 roku. W okresie kiedy Gomułka siedział w więzieniu powstały nowe problemy i nowe zagadnienia. Przede wszystkim w Polsce wyrosło nowe pokolenie ludzi, których nie można już traktować frazesami i komunałami na poziomie krótkiego kursu historii KPZR (b). Tego wszystkiego Gomułka nie był w stanie pojąć, ani dać sobie z tym rady. Społeczeństwo było gotowe do podjęcia jeszcze jednego olbrzymiego wysiłku, ale Gomułka uląkł się perspektywy uszczuplenia choćby nie wielkiego monopolu władzy na rzecz społeczeństwa (Rady Narodowej, Rady Rolnicze, Kółka Rolnicze), ukrócił niewykorzystane szanse sejmu, pozbawił prasę jej roli, zdławił literaturę, nie dał chłopu pewności w gospodarowaniu, praktycznie zmusił robotnika do nowych kantów i naciągania kasy państwowej — słowem postawił na aparat partyjny i poniósł klęskę. To co się stało w Polsce będzie kiedyś obiektem do studiów socjologicznych na temat zmarnowanych możliwości politycznych. Trzeba będzie czekać znów nie wiadomo ile lat, aby zmęczone społeczeństwo poderwało się z letargu do nowych inicjatyw z wiarą, że ludzie stojący na czele będą zdolni przekuć entuzjazm mas, wiarę w konieczność reform, zapalczywość prostego człowieka w konkretne fakty i mądre decyzje.

Stąd wynika inna konkluzja, która się z wyżej wymienionymi uwagami jak najbardziej łączy. Gomułka wziął na siebie zbyt wielki ciężar. Uważał i uważa dziś jeszcze, że on może wszystko zrobić, zbadać skontrolować i że sam wie o wszystkim najlepiej. Bzdura oczywista, ale niech ktoś spróbuje Gomułce tę bzdurę z głowy wybić. Gdyby sporządzić rejestr ofiar gomułkowskiej dyktatury lat 1956-1959, i to tylko w obrębie lewicy społecznej, byłby to pokaźny skorowidz. Proszę tylko pomyśleć: grupa „Po Prostu”, grupa młodych ludzi, którzy Gomułce byli jak najbardziej przychylni, zespół „Nowej Kultury”, który też odegrał niepośrednią rolę w październiku, cała plejada jak najbardziej żarliwych zwolenników samorządu robotniczego, setki takich Goździków jak ten którego teraz wyrzucono z Żerania, mimo że Goździk był duszą rewolucji październikowej w Warszawie. Literaci, studenci, chłopci, ba, nawet księża.

A sytuacja w Związkach Zawodowych, w Zjednoczonym Stronnictwie Ludowym, w Stronnictwie Demokratycznym, w teatrach studenckich, w zespołach filmowych, w rzemiośle i wreszcie październik 1959 roku. W trzy lata po wspaniałym egzaminie, który zdała polska klasa robotnicza, polski chłop, polski inteligent, Gomułka wprowadza na czołowe stanowiska ludzi skompromitowanych w oczach społeczeństwa. Powołanie Eugeniusza Szyra i Juliana Tokarskiego na stanowiska wicepremierów zakrawa na prowokację. Owszem, Szyr jest niewątpliwie dobrym fachowcem — planistą, ale człowiekiem chętnym do stosowania zamordyzmu (termin znówu bardzo popularny w Polsce), zwolennikiem centralizacji typu reżymu ulbrychtowskiego w Niemczech Wschodnich, który niedawno, nawoły-

wał na jednym z plenarnych posiedzeń KC PZPR do naśladowania wzorów chińskich i NRD-owskich. A Tokarski? Tokarski jest jednym ze sprawców tragedii poznańskiej, Tokarski ma niejasną przeszłość z okresu pobytu w Związku Radzieckim. Do tego jego żona, Jankowska, w okresie biurutowskim siedząc w komisji kontroli partyjnej pracowała jak najściślej z Bermanem, Różańskim i Fejginem. Nawiasem mówiąc Tokarski, nowy wicepremier Polski, musiał się bezpośrednio po październiku ukrywać. Tadeusz Gede, jest odpowiedzialny za repatriację ze Związku Radzieckiego. Repatriacja została wprawdzie zakończona, ale wiadomo w Warszawie ilu Polaków zostało jeszcze w Związku Radzieckim, na północy, czy na Dalekim Wschodzie.

Obciąża go również sprawa Żydów polskich, którym nie ułatwiono wyjazdu ze Związku Radzieckiego. No i sprawa konsulatów. ZSRR ma w Polsce, o ile się nie mylę, cztery konsulaty a my, mimo pertraktacji i negocjacji, tylko jeden w Kijowie i ten od pewnego czasu jest „uspiony”.

Są jeszcze inne sprawy do omówienia, choć wszystkich ich w tym liście nie można wyczerpać. Wspomnijmy tylko o najważniejszych. Do nich należy nominacja Witaszewskiego na szarą eminencję kontrwywiadu. A Hochfeld? — Ledwie podniósł P.I.S.M., a już na jego miejsce przyszedł tow. Ostap Dłuski, ramol komunizmu polskiego.

Oto sprawa profesora Chałasińskiego. Rozegrano ją według klasycznych stalinowskich wzorów. Inspiratorami tej akcji są: Stefan Wierbłowski i prof. Adam Schaff.

Interesuje Was zapewne przebieg grudniowego Zjazdu Literatów. Ustąpienie Slonimskiego i wybranie Iwaszkiewicza. No dobrze, powie ktoś na emigracji, ale Iwaszkiewicz to porządna firma, pisarz wielkiego kalibru, wrażliwy poeta, człowiek o wielkiej kulturze. Słusznie. To wszystko się zgadza, ale co to ma wspólnego z postawą i moralnością polityczną?

Poza tym i Kruczkowski i Putrament siedzą w nowym Zarządzie i wy-daje się, że będą mieli więcej do powiedzenia, niż poczciwy bezpartyjny kameleon z naszego rodzimego Stawiska, za cenę którego gotów jest pójść na wszystkie kompromisy, jak to dowiodło ostatnie dziesięciolecie Polski ludowej.

Zjazd był zresztą przygotowany według dawnego rytuału z epoki socrealizmu. Najpierw odbyło się spotkanie aktywu partyjnego literatów z szefem naszego Agitpropu, Andrzejem Werblanem, specem od intelektualistów.

Stefan Żółkiewski przygotował jak za dawnych dobrych czasów laurkę w postaci głębokiego ukłonu przed socrealizmem na stronach „Nowej Kultury”. Nikt mu zresztą tego nie wziął za złe, boć wiadomo, że to „ani z roli, ani z soli, tylko z tego co mnie boli”. Złamano mu grzbiet jeszcze wtedy kiedy się w 1948 r. wyparł „Kuźnicy”, Gomułki i co najważniejsze swojego przyjaciela Bieńkowskiego, który odtąd nie zamienił z nim ani słowa.

Na Zjeździe wystąpił również sam wicepremier Piotr Jaroszewicz. Poczciwy belfer lwowski, zna się też z racji nowego zawodu na grubości blach cynkowych, tylko nie na sztuce i literaturze. Ale i w tym wystąpieniu był cel, symbol i sens. Chodzi mianowicie o podjęcie wyrobu nowej

serii produkcyjniaków i stąd też „spicz” pana wicepremiera od przemysłu i koordynacji stosunków gospodarczych z Moskwą.

Wreszcie jeszcze jedno wydarzenie — kongres Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego. Od czasu samobójstwa „prezesa” Kowalskiego, który wiele nabruździł w tym stronnictwie, i wyekspediowania „wtyczki” z ramienia sowieckiej Bezpieki, Juszkiewicza, na ambasadora do Sofii stary Wiciowiec, Ignar, zreformował wiele rzeczy. Ale Ignar jako wicepremier musiał się troszczyć o sprawy państwowe i nawet się nie spostrzegł jak mu kierownictwo partii wyskoczyło z rąk. Dziś Ignar jest tylko firmantem, a prawdziwymi „macherami” są Oźga-Michalski i Kazimierz Banach, zbliżeni do Natolina. Oni to obaj wystrychnęli Ignara na dudka i zwołali kongres ZSL-u, a nawet przygotowali prawie wszystkie formalności, wybór delegatów, redakcję podporządkowującej Zjednoczone Stronnictwo Ludowe PZPR-owi rezolucji ideologicznej, bez widzy prezesa własnej partii, który się wówczas znajdował z delegacją rządową w Chinach.

Oto obraz sytuacji, która rzekomo powstała na skutek „braku mięsa” w kraju.



...Mylisz się, jeżeli chcesz przykładać ciągle logikę do naszych wydarzeń. Istnieje naturalnie przyczynowość między nimi, ale nie wszystkie przyczyny znamy i należycie oceniamy. Logika jest, ale nam się wymyka i mamy niespodzianki. Wydaje ci się dziwne, że przeżywamy paradoksalne sytuacje ale nie bierzesz w rachubę ani procesu wewnątrzpartyjnej fermentacji, ani tradycji błędów: od błędu do błędu, od odchylenia do odchylenia, od czystki do czystki życie sunie naprzód. Wstrząs, który przeżywamy, nie jest ani wyjątkowy ani ostatni — ja myślę, że wy tam więcej od nas się nim przejmujecie, ale sprawdźcie nie mogę, bo Wolna Europa jest tu zagłuszana jak nigdy. U nas poza KC partii, jej KW i oficynami mało to kogo obchodzi. Za to w tych organach niepokój, rozpaczliwe plotki obiegają kąty, bo właśnie zaczęła się gra w „cztery kąty a piec piąty”. Zaczęła się od komunikatu o odejściu z rządu min. Bieńkowskiego i Ochaba, o przyjeździe doń natolińców Szyra i Tokarskiego. Pozyce „ulicy Puławskiej” osłabły wobec natolińców. Mówi się nawet często w związku z tym o odejściu Cyrankiewicza. Są to jednak tylko plotki. Przeciwnie jego pozycja nie osłabła: Nawet na biurze politycznym uzyskał nareszcie Cyrankiewicz zgodę na swój rozwód z Andryczówną, czemu się przecież Gomułka sprzeciwiał (i tu mamy konsystorz). Gomułka boi się zgorzienia publicznego i na taką samą prośbę zgłoszoną przez Jerzego Morawskiego rozbił w gniewie szybę na biurku. Zgoda na rozwód Cyrankiewicza co prawda nie przesądza trwałości jego politycznego małżeństwa z rządem. Na razie mowa jest o innych: o Darskim, o dr. Barańskim, o Sokorskim, który publicznie nazwał niedwuznacznie natolińców reakcjonistami. Te rzeczy służą jako preteksty. Bieńkowskiemu przecież skonfiskowano artykuł w „Przeglądzie Kulturalnym” przed jego dymisją, a jego ostatnie powiedzenie w gmachu partii: „towarzysze, uważam że socjalizm nie znaczy koniecznie bałagan” było kroplą, której już partyjny puchar nie wytrzymał, choć przyzwyczajono się do manier Bieńkowskiego jako „enfant terrible” reżymu.

Można powiedzieć że w tej „ocenie” Bienkowskiego nie brak opty-  
mizmu, tj. cechy wymaganej przez reżym od obywatela, a tym bardziej  
od towarzysza.

Zaczął się od kłopotów gospodarczych. „Je krezus” mówił mi mój  
przyjaciel robotnik z Żerania. I rzeczywiście je nas i z apetytem. Zam-  
knięcie z trzaskiem pułapu płac, obniżenie funduszy osobowych na całej  
linii (gazety wymawiają współpracownikom na skutek tych cięć) tj.  
zamknięto „odduszniki”, które się otwierały pod naciskiem wzrostu dro-  
żyny, która od 3 lat podniosła się ponad 50 % (z niektórymi wyjątkami  
w obie strony) powoduje niepokój. Potem znikanie mięsa z jatek (od  
wizyty Nixona), drożyna jarzyn i strach o ziemniaki (puszczono pogłoskę,  
że nieurodzaj spowoduje nawet zmniejszenie produkcji wódki, która pań-  
stwu przynosi aż 95 % (ceny dochodu w narzutach) ten niepokój wzmogły,  
aż „ukaz” rządu i partii ogłosił wyżkę cen na produkty mięsne na ok.  
30 % (z tym, że „inne towary zostają bez zmian”). Takie zapowiedzi pow-  
tarzały się po wszystkich dotychczasowych zwyczajach. Toteż „wolne”  
usługi (służba domowa, reperacje, pranie) podniosły już cenę w tym sa-  
mym stosunku. A tymczasem grozi się chłopom, że jak tuczniaka nie będzie  
to węgla na opał nie dostaną! A jest go tyle, że co z nim zrobić!

Po kryzysie mięsnym (za droższe pieniądze znalazło się) nadeszły  
pierwsze fale kryzysu gazowni, kryzysu elektrowni, no... i kryzys rządowy.  
Jest tu pewien stosunek przyczynowy. Skoro kryzysy powodują wzrost niez-  
adowolonia, którego nie można uspokoić środkami ekonomicznymi, pozos-  
tają zawsze środki pozaekonomiczne; usta kneblować i wziąć za mordę —  
z tym przychodzą natolińcy, obciążając gomulkowców winą za kryzys. Nie  
łatwo się rozeznac w tej grze wewnętrznej gdyż gomulkowcy dopatrują  
się świadomej akcji gospodarczo-defetystycznej u natolińców, którzy prze-  
cież tkwili i tkwią w wielu czułych miejscach tej zgrzytającej maszyny.  
W tej grze wszystkie karty i (kanty) są w użyciu. Fakt że dziesięciu ofice-  
rów dwójkarzy, którzy zagranicą wybrali wolność (a przy tym z kas spe-  
cialnych też pieniądze) okazało się właśnie Żydami, jest oliwą na ogniu  
natolińców, których antysemityzm, szczególnie patronowany przez wice-  
premiera Zenona Nowaka, jest znany. W każdym razie na tym koniu  
wjechał do M.O.N. sławny Gazurka-Witaszewski. Jest więc Tokarski —  
minister o wykształceniu domowym, jedna z nielicznych ofiar października  
i ten który odmówił (przed Poznaniem) traktowania z robotnikami Cegiel-  
skiego i jest Eugeniusz Szyr, jako wicepremier i korepetytor marksizmu-  
leninizmu w rządzie. Natomiast rola „zamordiana” niezbyt pasuje do  
Ochaba choć na to go przeznaczają. Z dotychczasowego przebiegu kontre-  
dansu można wywnioskować że jest to powrotna fala na dawne miejsca (To-  
karski, Kassman wracający do Mincówki), bądź przyływ natolinizmu (stali-  
nowiec Gede), bądź wprost usuwanie elementów samodzielnie myślących  
(prof. Hochfeld z Instytutu Spraw Międzynarodowych lub Bienkowski). Od-  
chodzi Dembińska z Oświaty. Odchodzi nawet dyr. Państw. Wyd. Nauko-  
wych, Ad. Bromberg, który już miał ciężki kłopot z cenzurą przed rokiem z  
książką własną o wydawcach, która po bardzo długiej kwarantannie wyszła w  
bardzo małym nakładzie z bardzo dużym wpływem treści. Na jego miejsce  
przychodzi Zabłudowski (też powrót). Przeciężona cenzura robi gafy jedna  
za drugą: cięcia są fantastyczne a przeoczenia również. Firma „Czytelnik”  
płaci z tego powodu poważne kosza.

...Tu znowu ci przeszkadza w ocenie naszych spraw twoja zachodnia  
optyka. Fakt powracania do władzy Natolina jest dla ciebie paradoksalny  
gdyż z jednej strony ma on przeciwko sobie całe społeczeństwo, a poza  
tym jego stalinowskie tendencje nie mogą odpowiadać Moskwie, która  
gra na liberalizm i koegzystencję Wschód-Zachód. Wbij sobie raz w głó-  
wę, że dialektyka u nas to nie tylko pojęcie filozoficzne, ale praktyczne,  
że równolegle rozwijają się sprzeczne tendencje, nie ma ustalonej sytuacji  
i żadnej zresztą sytuacji zaufań nie można. Opinia przestała istnieć. Słowo  
drukowane jest nie tylko aż do śmieszności kontrolowane przez cenzurę,  
ale jest inspirowane przez Chabera i Werblana z ramienia biura politycz-  
nego K.C. Zmiana opinii w tych warunkach to tylko zmiana Chabera  
i Werblana na innych — ale i to nie jest potrzebne, bo i jeden i drugi  
„sami się zmieniają” na rozkaz. Istnieje poza tym oczywiście opinia „mó-  
wiona”, „szepkana”, manifestowana oklaskiem czy gestem, lecz nie znaj-  
dując wyrazu nie ma właściwego ciężaru gatunkowego. Gruboskórny poli-  
tyk nie zwraca na nią uwagi.

Co do Moskwy też się mylisz. Polacy mają tam pewną popularność.  
Jedynie obce pisma, które jednak coś innego dają niż tasienie prasy ra-  
dzieckiej, to gazety polskie (zachodnich pism nie ma) i są rozchwytywane,  
ale ...przez protekcję. Polski Gleichschaltung jest Kremłowi potrzebny  
dla jego wewnętrznych celów. Naturalnie musi on utrzymać liberalne po-  
zory wobec Zachodu, ale przecież Gleichschaltung przeprowadzi polski-  
mi rękami, a nie swoimi. Słyszałeś, pewnie nawet więcej od nas, o praso-  
wej konferencji w Warszawie ambasadora Abrasimowa, o której nie wolno  
tu było pisać. (Korespondent Rosenthal, który ją podał do New York  
Times'a został z Polski wyproszony). Abrasimow po trzech latach przerwy  
wrócił do dawnej roli gubernera, ostro karcił „zapadników” i „rewizjo-  
nistów” podkreślając konieczność lepszego równania na Wschód.

Po czym wyruszył w objazd po Polsce. A więc właśnie Abrasimow  
dał błogosławieństwo na powrót Natolina, ale to powinno być tajne i nie  
zakłócać „odprężeniowych” nastrojów na Zachodzie. Mowa Chruszczowa  
na węgierskim zjeździe to potwierdza.

Atak na Związek Literatów i opanowywanie zarządów wielkich sto-  
warzyszeń należy do działań w duchu Abrasimowa. Odbywa się to me-  
todami najprostszymi, a więc przez nieuczciwe wybory, dość niedbale mas-  
kowane. Konflikt ze Związkiem Literatów trwa zresztą od dawna i władze  
pozbawiły go już prawa dysponowania społecznymi funduszami pomocy,  
itp. Konflikt ten wynikł z paradoksalnej sytuacji, że Związek „trzymał”  
linię październikową bez zmian, kiedy władze zdążyły już wyraźnie od  
niej odskoczyć. Jaskrawym przykładem był zjazd roboczy we Wrocławiu  
w styczniu 1959, gdzie doszło do wybuchowych scen na temat swobody  
twórczej, polityki wydawniczej i cenzury. Posypały się represje, zakazy  
dla wydawców i redaktorów drukowania wymienionych imiennie „wście-  
kłych”, zatrzymanie sprawy emerytury dla twórców, nie podniesienie ho-  
noriów autorskich, mimo że w ostatnich latach drożyna wzrosła o około  
50 % itp. Obecny właśnie zjazd dokonał „pożądaną” zmiany: Jarosław

Iwazkiewicz przychodząc na miejsce Słonimskiego daje pełną gwarancję serwilizmu. W programowym exposé Żółkiewski podkreślił, że pisarz jest obywatelem więc obowiązują go te same kryteria co każdego obywatela w Polsce. Każdy to rozumie jako poddanie go pod kontrolę partii. „Point de réveries”. Oczywiście w prasie codziennej sprawozdania są wyczczyszczone i opuszczono przemówienia Kisielewskiego, Wirskiego, Woronickiego a także A. Kowalskiej. Nie przeniknęła do prasy bardzo rzeczowa krytyka „polityki” wydawniczej, która idzie ku wszechwładnemu panowaniu szmiry.

Cóż poza tym? Czekamy na plenum i na zdanie sobie sprawy — na czym się siedzi.

## RAVENSBRUECK — WIERSZE OBOZOWE

Staraniem Zarządu Okręgu Warszawskiego ZBoWiD ukaże się w najbliższym czasie wybór wierszy obozowych z Ravensbrück z 12 ilustracjami Marii Hiszpańskiej-Neumannowej. Cena tomu w subskrypcji wynosi 20 zł (plus 1,50 zł na porto). — Zamówienia należy kierować do Zarządu Okręgu Warszawskiego ZBoWiD, Klub Ravensbrück, Warszawa 10, ul. Rutkowskiego 15.

## Najnowsza historia Polski

### Sprawa dr. Oberlaendera

Jeśli jakaś afera należy do kompletnie zorganizowanych (a w naszych zabawnych czasach przywiązuje się tak wielką wagę do „afer”), to zaliczyć tu trzeba bezwarunkowo sprawę dr. Oberländera. Trudno stwierdzić kto dał tutaj pierwszy impuls. Rodziny zamordowanych we Lwowie polskich profesorów, czy też kombinatory z wywiadów? Polscy emigranci, czy może pewne koła warszawskie? Warszawa czy Moskwa? A może w końcu był to skazany w Warszawie na śmierć b. komisarz Rzeszy na Ukrainę, Erich Koch, który w sali sądowej wskazał palcem na Bonn, mówiąc: „Podczas gdy ja siedzę tu jako oskarżony, inny, o wiele gorliwszy ode mnie Nazi, którego raz z powodu bzdurzenia nazistowskiego wyrzucitem ze swego gabinetu — profesor Theodor Oberländer — jest ministrem w Bonn”. A może maczał w tym palce amerykański historyk rosyjskiego pochodzenia, Aleksander Dallin, który za swoją pracę: „Niemieckie panowanie w Rosji 1941-45” otrzymał pieniądze nie tylko od amerykańskich instytutów naukowych, ale i ze źródeł zachodnio-niemieckich (via niemieckie wydanie książki). Dallin ukuł termin: „profesor Abwehry” — Oberländer. (Nawiasem mówiąc Aleksander Dallin określa Ukrainę, Białoruś, Kaukaz jako „Rosję”; „drobiazg”, który wiele przeinacza lub zgoła fałszuje). Bezwątpienia jednak aktywnym „bohaterem” całej tej afery był sam dr. Oberländer, który z tytułu swej przeszłości i sposobu w jaki się bronił nie pominął niczego, aby ze swej sprawy zrobić aferę międzynarodową. Fakt, że dana afera jest interesująca nie oznacza jednak, żeby można było uznać ją za wyjaśnioną. Potwierdza to w klasyczny sposób hałas wokół osoby dr. Oberländera. Gdyby w tej sprawie wszystko było jasne, na czoło powinien

*Materiały zamieszczone w tym dziale drukowane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.*

być wysunięty zarzut, że dr Oberländer odpowiedzialny jest za mord polskich profesorów we Lwowie i siłą rzeczy Warszawa powinna przejąć funkcję głównego oskarżyciela. Tak jednak nie jest. Po pierwszych wzmiankach na łamach prasy polskiej, w których wskazywano na związek między osobą Oberländera i podstępными mordami we Lwowie, pojawiły się inne, o wiele „donioślejsze” głosy, które całą sprawę zagmatwały. I tak np. twierdzą sowieckie gazety: „Krasnaja Zwiezda” z 3.10.1959, „Komsomolskaja Prawda” z 20. i 22. 10. 1959 oraz kilka innych, między nimi także „Radjanska Ukraina” z 21 i 24.10.1959, że dr Oberländer wraz ze swym batalionem „Nachtigall” odpowiedzialny jest za zamordowanie tysięcy mieszkańców Lwowa. Tak więc automatycznie usuwa się w cień sprawę zamordowania ponad trzydziestu lwowskich profesorów, ponieważ oskarża się dziś Oberländera i batalion „Nachtigall” o popełnienie bestialskich mordów bezpośrednio po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej, na osobach znajdujących się w więzieniach lwowskich. Całą tę grę ilustruje najlepiej „Radjanska Ukraina” z 5 września 1959: „Przed 18 laty, w nocy z 29 na 30 czerwca 1941, faszyci popełnili we Lwowie potworną zbrodnię. Na siedem godzin przed rozpoczęciem ataku na miasto przez 1 dywizję strzelców górskich — wtargnął do miasta dywersyjny batalion „Nachtigall”, złożony z przeklętych rzezimieszków, z burżuazyjno-nacjonalistycznych łotrzyków ukraińskich. Te hitlerowskie „słowiki” ((Nachtigall = słowik) aresztowały wg uprzednio sporządzonej listy setki komunistów, komsomolców i bezpartyjnych i zamordowały ich w bestialski sposób na dziedzińcu więzienia przy b. ulicy Zamarstynowskiej”. „Radjanska Ukraina” twierdzi, że pałac metropolity Szeptyckiego był główną kwaterą bandytów i pi-sze tylko na marginesie: „W nocy z 3 na 4 lipca 1941 zamordowano 36 uczonych, pisarzy i profesorów lwowskiego uniwersytetu i innych zakładów naukowych”.

Oskarżenie Oberländera zostało później podchwyczone przez kilka państw bloku wschodniego. „Sowieckaja Litwa” z 12 i 13 listopada 1959 opublikowała dokumenty o działalności dr. Oberländera na Litwie. „Rude pravo” z 13.10.1959 przypominało, że „Oberländer działał w Pradze jako dywersant i naukowiec hitlerowski i był pod koniec komendantem praskiego batalionu „Volkssturmu”. Węgierska gazeta „Magyar Nemzet” donosiła niedawno o udziale Oberländera w mordach Żydów na Węgrzech, o opracowaniu przez niego programu kolonizacji na Węgrzech i organizowaniu faszystowskiego „Volksbundu”. Specjalną akcją rozwinęto w NRD, gdzie inne akcenty wysunięto na plan pierwszy: osoba Oberländera nadaje się szczególnie dobrze do tego, aby kompromitować rząd w Bonn.

Pragnę tu mniej zajmować się *przebiegiem* afery Oberländera natomiast wysunę na pierwszy plan fakty, stanowiące jej tło. Nie chcę twierdzić, że będą przemawiać absolutnie obiektywnie, czytelnik winien być jednak zorientowany, że autor

tych słów był częściowo naocznym świadkiem ówczesnych krwawych wydarzeń we Lwowie, co umożliwiła mu przedstawienie ich w formie autentycznej. Powstają przy tym trzy kompleksy zagadnień, którym chcę poświęcić nieco więcej uwagi: mord aresztantów z więzień lwowskich, zamordowanie polskich profesorów we Lwowie i wreszcie cała sprawa batalionu „Nachtigall”. Nie da się w końcu pominąć także i rozdziału o dr. Oberländerze.

### KTO ZAMORDOWAŁ TYSIĄCE ARESZTANTÓW WIĘZIEŃ LWOWSKICH?

Jak wiadomo wojna niemiecko-sowiecka rozpoczęła się rankiem 22 czerwca 1941 roku. Trzy miliony żołnierzy niemieckich po przekroczeniu granic sowieckich nie napotkało na żaden godny wzmianki opór. Trzeba jednak mimo to stwierdzić, że pojedyncze oddziały sowieckie walcząc zaciekle opóźniły już pierwszego dnia szybki postęp ofensywy. Wojska niemieckie weszły do Lwowa dopiero 29 czerwca o godz. 3.15 rano. Po śmierci Stalina nawet źródła sowieckie wielokrotnie obarczyły dyktatora i jego najbliższe otoczenie odpowiedzialnością za to, że mimo dokładnych informacji i ostrzeżeń Sowiety zaskoczone zostały atakiem niemieckim. Na obszarach położonych wzdłuż zachodniej granicy sowieckiej powstał też natychmiast zupełny chaos. Więzienia lwowskie przepełnione były aresztantami. Gdy wybuchła wojna lwowskie władze bezpieczeństwa otrzymały rozkaz z Moskwy ewakuowania za wszelką cenę więźniów politycznych na wschód. Ponieważ wykonanie rozkazu było niemożliwością — rozpoczęto już 22 czerwca akcję rozstrzeliwań. Po dokonanej przez więźniów z ulicy Zamarstynowskiej nieudanej próbie ucieczki — akcję tę przyśpieszono. Od pewnej osoby, która wówczas znajdowała się między więźniami, otrzymałem szczegółowe informacje, których najważniejszą część tu podaję. Już w pierwszych dniach wojny więźniowie podzieleni zostali na politycznych i kryminalnych. Ci ostatni zostali przeważnie zwolnieni. Z oddziału męskiego NKWD już 22 czerwca rozpoczęło wybierać więźniów bez rzeczy, w dwa dni później rozpoczęło to samo na oddziale kobiecym. Egzekucje przeprowadzono początkowo przy murze kaplicy więziennej, później na wszystkich dziedzińcach więzienia w Brygidkach. Aby ratować życie, kilku więźniów wywołanych po nazwisku przez strażnika-enkawudystę nie zgłosiło się i pozostało w celach. Gdy zbliżały się oddziały niemieckie wartownicy zaczęli likwidację pozostałych w celach więźniów, używając do tego celu pistoletów maszynowych i granatów ręcznych. Ta rzeź trwała do 28 czerwca. W więzieniu na Zamarstynowskiej rozstrzelano tylko tych więźniów, którzy znajdowali się już tam w dniu wybuchu wojny. Tych spośród mieszkańców Lwowa, którzy aresztowani zostali dopiero po wybuchu wojny, umieszczono w więzieniu



śledczym NKWD na ulicy Łąckiego. Także pośród nich przeprowadzono krwawą masakrę.

Większość więźniów była narodowości ukraińskiej, ale znajdowało się wśród nich także dużo Polaków. W emigracyjnej prasie ukraińskiej ukazało się dotychczas kilka autentycznych sprawozdań, wymieniano w nich nazwiska szeregu więźniów, w tym także i Polaków. W „Nacjonalnej Trybunie” — czasopiśmie ukazującym się w Nowym Jorku, opisuje niejaki Kazaniwskyj, jeden z niewielu uratowanych, co działo się w celi, w której znajdował się teść podpisanego, proboszcz M. Kowanko; razem z nim zginęło 7 Polaków, urzędników i inteligentów ze Lwowa.

Odpowiedzialność władz sowieckich za mordy przeprowadzone w więzieniach lwowskich oraz innych więzieniach Galicji i Ukrainy jest tak oczywista, że podejrzewać trzeba, iż w sowieckich szeregach znajdowali się prowokatorzy, którzy chcieli tymi potwornymi zbrodniami obciążyć konto niemieckiej armii okupacyjnej lub Gestapo. Znana jest rzeczą, że rozstrzelania miały miejsce nawet w Kijowie. Polskiej ambasadzie w Moskwie donoszono później o konkretnych wypadkach śmierci wyższych polskich urzędników państwowych w więzieniach Kijowa.

Fakt masowych rozstrzeliwań w więzieniach lwowskich był w owych tragicznych dniach czerwcowych znany powszechnie w mieście i jego okolicach. Rozpacz i niepokój doprowadziły ludność do tego że żołnierze Hitlera wydali się im zbawcami. Nie jest ani kłamstwem ani propagandą twierdzenie, że wojska Hitlera wmaszerowujące do Lwowa powitane zostały przez sterroryzowaną ludność — Ukraińców i Polaków w równej mierze — z uczuciem ulgi. Afera dr. Oberländera przywróciła pamięci te makabryczne dni i byłoby nie tylko obowiązkiem ludzi na Zachodzie ale i postępowych elementów w Polsce, a nawet i w Sowietach, wyciągnąć z tego odpowiednie konsekwencje. Tych zbrodni nie da się zepchnąć na hitlerowców!

## ZAMORDOWANIE PROFESORÓW LWOWSKICH

Zanim rozpatrzmy tu ten ohydny mord trzeba poświęcić nieco uwagi organizacji „systemu bezpieczeństwa” na okupowanych przez Niemców terenach. Trzeba tu z całą stanowczością stwierdzić, że wszystkie jednostki frontowe miały do wykonania zadania natury czysto wojskowej. Sprawy bezpieczeństwa na terenach okupowanych należały do kompetencji specjalnych jednostek „Sicherheitsdienst”. Jednostki te wkraçały na teren okupowany bezpośrednio po zajęciu go przez oddziały frontowe. W większości wypadków owe „Einsatzkommandos” przygotowywały się już na parę miesięcy przedtem do oczekujących je zadań, otrzymały listy z nazwiskami osób, które należało natychmiast aresztować. Na listach tych znaj-

dowali się przede wszystkim b. niemieccy komuniści i emigranci, którzy wg informacji Abwehru lub innych organów wywiadu niemieckiego zamieszkiwali na danych terenach. W dalszej kolejności na listach tych były nazwiska czołowych komunistów, rzekomych agentów i innych podejrzanych osób. „Einsatzkommandos” miały wytyczne, które dawały im szerokie pełnomocnictwa, w tym do dokonywania na miejscu egzekucji z pominięciem jakiegokolwiek procedury sądowej. Do zadań ich należało zlikwidowanie określonych osób, wyszczególnionych na specjalnych listach. Z chwilą pojawienia się tzw. władz cywilnych „Einsatzkommandos” zniknęło.

Bezpośrednio po obsadzeniu Lwowa przez regularne oddziały wojskowe dotarły do miasta jednostki „Einsatzkommando Galizien”. Ich dowódcą był SS-Brigadeführer Eberhard Schöngart, (prawdopodobnie rozstrzelany po wojnie przez Anglików). Niejaki Heinz Heim, Standardtenführer, był jego zastępcą. „Einsatzkommando Galizien” składało się z wybranych członków Sicherheitspolizei i Sicherheitsdienst. Według zeznań naocznych świadków, była pośród nich grupa Volksdeutschwów i Ukraińców przydzielonych jako tłumacze.

Jednym z zadań „Einsatzkommando Galizien” było rozstrzelanie grupy polskich intelektualistów. Trudno dziś powiedzieć pod jakim kątem widzenia zestawiono listę nazwisk z tego kręgu osób. Prawdopodobnie pewną rolę odegrały tu informacje radiowe i prasowe. Może się to odnosić do osoby profesora Tadeusza Boya-Zeleńskiego oraz szeroko znanego w świecie profesora Kazimierza Bartla. W latach 1939-41 przy jakichś okazjach musiały ich nazwiska być cytowane w prasie i w radio lwowskim. Nie da się natomiast powiedzieć tego o innych rozstrzelanych. Przeważnie chodziło tu o naukowców nie zajmujących się zupełnie polityką. Niektórzy naoczni świadkowie będący w tym czasie we Lwowie, wzgl. przed wybuchem wojny niemiecko-radzieckiej w Krakowie, są zdania że przy ustalaniu list polskich intelektualistów pomagali hitlerowcom Ukraińcy z kół nacjonalistycznych, którym chodziło o depolonizację Lwowa. Relacja ta na pewno nie daleka jest prawdy. Nie ulega jednak wątpliwości że winę za tę zbrodnię, jak i za inne, ponoszą w pierwszym rzędzie hitlerowscy okupanci zarówno jako nosiciele ideologii faszystowskiej jak i inspiratorzy tych zbrodni. To stosuje się i do tych wypadków gdy wykonawcami ich zbrodni byli pomocnicy-naziści różnej maści i narodowości. Tych ostatnich, rzecz jasna, wraz z pomocnikami ukraińskiej narodowości nikt nie zamierza brać w obronę i też i oni powinni być traktowani jak zbrodniarze.

Aresztowanie profesorów polskich nastąpiło 3 lipca w nocy. Aresztowań dokonały osoby w mundurach gestapowskich. Większość aresztowanych przywieziono do Teologicznego Instytutu Abrahamowicza i jeszcze tej samej nocy rozstrzelano grupami w miejscu położonym między ulicami Kadecką i Walecką. Nie było żadnych przesłuchiwań, ale z dokumentów, bez wątpienia

prawdziwych, wynika, że zaraz po aresztowaniu profesorowie zostali ciężko pobici.

Rozstrzelanie profesorów lwowskich miało oddźwięk także i w procesie norymberskim. Pośród wydanych w Sowietach wielotomowych dokumentów z procesu norymberskiego znajdujemy w trzecim tomie na stronicach 243-245 dokładne sprawozdanie. „Jednostki Gestapo opracowały na rozkaz rządu niemieckiego jeszcze przed zajęciem Lwowa listy z nazwiskami czołowych przedstawicieli inteligencji, przeznaczonych do likwidacji. Natychmiast po zajęciu Lwowa zaczęły się masowe aresztowania i egzekucje. Gestapowcy aresztowali...”. Następuje wyliczenie nazwisk 38 profesorów lwowskich.

Dokument ten ma szczególną wagę. Podczas procesu norymberskiego nikt nie twierdził, że dr Oberländer i batalion „Nachtigall” odpowiedzialni są za tę zbrodnię. „Życie Warszawy” z 13 listopada 1959 umieściło list dr. Stanisława Piotrowskiego, wysłany przez niego do zachodnio-niemieckiej „Deutsche Soldatenzeitung”. To półfaszystowskie i antysemickie pismo z pewnością listu tego nie wydrukuje, a jest w nim kilka momentów ważnych dla oświetlenia całej sprawy i zasługujących na dosłowne zacytowanie.

Autor listu przypomina, że podczas popołudniowej sesji Wojennego Trybunału w Norymberdze, w dniu 15 lutego 1946, oskarżyciel sowiecki Smirnow odczytał następujące zeznanie prof. Groera z wydziału lekarskiego uniwersytetu lwowskiego, który dzięki szczęśliwemu przypadkowi uniknął pewnej śmierci:

„Aresztowano mnie o północy dnia 3 lipca 1941 roku i wsadzono do samochodu, w którym znajdowali się już prof. Grek, Boy-Żeleński i inni. Zawieziono nas do Instytutu Teologicznego im. Abrahamowicza. Gdy nas prowadzono korytarzami, gestapowcy znieważali nas, poszturchiwali kolbami karabinów, ciągnęli za włosy i bili po głowach. Później widziałem jak Niemcy wyprowadzili z Instytutu Teologicznego pod strażą pięciu profesorów, czterech z nich niosło zbroczone krwią ciało syna znakomitego chirurga Ruffa. Niemcy zabili go w czasie przesłuchania. Ruff junior był również specjalistą. Cała grupa profesorska udała się pod strażą w kierunku góry Kadeckiej. Po 15-20 minutach usłyszałem strzały z kierunku, w którym prowadzono profesorów”.

„Życie Warszawy” cytuje dalej inny ustęp ze sprawozdania Smirnowa. Stwierdza się tam, że Himmler rozkazał jesienią 1943 roku ekshumację zwłok rozstrzelanych profesorów, celem zatarcia śladów zbrodni. Mandel i Korn zeznali, że kazano im jako więźniom, w nocy 5.10.1943, w świetle reflektorów wydobyć 36 zwłok. „Gdy wydobyliśmy ciała z dołu znaleźliśmy dokumenty osobiste, które należały do prof. Ostrowskiego, doktora fizyki i matematyki Stożka i Kazimierza Bartla z Politechniki”.

W cytowanym liście opublikował dr Piotrowski pełną listę zamordowanych profesorów: *Uniwersytet Lwowski*: Wydział

Humanistyczny: prof. Tadeusz Boy-Żeleński; Wydział Matem.-Przyrodniczy: prof. Stanisław Ruziewicz; Wydział Prawa: prof. Roman Longchamps de Berier wraz z trzema synami; Wydział Lekarski: prof. Antoni Cieszyński, prof. Władysław Dobrzański, prof. Jan Grek z żoną, prof. Henryk Hilarowicz, prof. Jerzy Grzędzielski, prof. Stanisław Maczewski, prof. Witold Nowicki z synem, prof. Tadeusz Ostrowski z żoną, prof. Stanisław Progulski z synem, prof. Roman Rencki, prof. Adam Solowij z wnukiem, prof. Włodzimierz Sieradzki, rektor Uniwersytetu. *Politechnika Lwowska*: prof. Kazimierz Bartel, prof. Antoni Łomnicki, prof. Włodzimierz Krukowski, prof. Stanisław Pilat, prof. Włodzimierz Stożek z dwoma synami, prof. Kazimierz Vetulani, prof. Roman Witkiewicz, prof. Kasper Weigel. *Akademia Weterynarii*: Doc. Wiktor Hamerski. Ponadto rozstrzelani zostali: chirurg dr Ruff z żoną (syna zamordowano podczas przesłuchania) i ks. Władysław Komornicki.

Prof. Groer, obecnie kierownik jednego z instytutów medycznych w Warszawie, przypomina sobie dokładnie wszystkie szczegóły tych strasznych dni. Parę godzin po egzekucji zgłosił się do wdowy po prof. Pilacie, światowej sławy naftologu, specjalny wysłannik z kwatery głównej Hitlera z propozycją objęcia przez rozstrzelanego prof. Pilata stanowiska nadwyzajnego pełnomocnika do spraw kopalnictwa naftowego na zajętych obszarach na wschodzie...

Pragniemy tu jeszcze nadmienić, że ów krwawy mord profesorów był faktem powszechnie znanym. Wywołał on panikę pośród profesorów, którzy przeżyli, a z którymi autor pozostawał w kontakcie. Spotykali się oni z rodzinami rozstrzelanych. Prof. Sośnicki opowiadał autorowi zimą 1941-42, że część rodzin otrzymała oficjalne potwierdzenie, że ich mężowie czy ojcowie zostali rozstrzelani na podstawie „specjalnego rozkazu Sicherheitshauptamtu.

Powyższe fakty nie pozostają w żadnej proporcji do rozmiaru tragedii jaka rozegrała się we Lwowie po wkroczeniu Niemców. Sumienie żadnego uczciwego człowieka nie może pozostać spokojne zanim śmierć tych ludzi, naszych profesorów i ich rodzin nie zostanie wyjaśniona do końca. Fakt rozpoczęcia niniejszego artykułu od relacji o zbrodniach popełnionych przez wycofujące się władze sowieckie nie powinien przesłonić całej ohydy zbrodni niemieckich hitlerowców. Sprawa śmierci luminary polskiej nauki nie może jednak służyć nikomu dla jakichś rozgrywek albo aktualnych politycznych kombinacji.

#### BATALION „NACHTIGALL”

Sprawę batalionu „Nachtigall” trzeba dokładniej omówić, ponieważ cała afery wokół osoby prof. Oberländera opiera się

na tezie, że mordy na profesorach lwowskich dokonał stojący na usługach Abwehry, ukraiński batalion „Nachtigall”. Dokładna rekonstrukcja faktów jest niemożliwa. Brakuje wielu dokumentów, a to co opublikowano ze strony ukraińskiej na emigracji odznacza się bezwstydną gloryfikacją tych wydarzeń z historii narodu ukraińskiego z okresu II wojny światowej, które bynajmniej nie przysparzają chwały narodowi ukraińskiemu. Faktem jest jednak, że batalion „Nachtigall” nie miał nic wspólnego z takimi kryminalnymi poczynaniami, jak założenie szkoły Gestapo w Żakopanym, które nastąpiło w rezultacie układu, zawartego między ukraińskimi nacjonalistami a Gestapo. W „szkole” tej poddawano torturom wielu niewinnych Polaków, w tym starców i kobiety. Szkolono tu nie tylko „walczących o wolność”, kadry dla Gestapo, specjalistów od zwalczania polskiego ruchu podziemnego, lecz także i agentów, którzy później pojawili się w Warszawie, Krakowie i Lublinie!

Natomiast 600 Ukraińców z batalionu „Nachtigall” — byli to *przeważnie* idealisci, którzy w najlepszych intencjach pragnęli służyć jako żołnierze swojej ojczyźnie. Byli oni okłamywani nie tylko przez tych, których reprezentantem i symbolem był dr Teodor Oberländer, ale i przez własnych przywódców, którzy w swym bezgranicznym prymitywizmie politycznym i nieświadomości sądzili, że w sojuszu z niemiecką Abwehrą (OKW!) i pod patronatem Hitlera będą mogli coś uczynić dla sprawy ukraińskiej.

Twierdzenia propagandy wschodniej na temat batalionu „Nachtigall” opierają się na dwóch źródłach: Chodzi tu najpierw o często cytowaną pracę Paula Leverkühna, „Der geheime Nachrichtendienst der deutschen Wehrmacht im Kriege”, wydaną w roku 1957. Autor był szefem Abwehry w Istanbule oraz na Bliskim Wschodzie. Jakkolwiek tej interesującej pracy zarzucić można poważne uogólnienia, opiera się ona na pierwszych autentycznych źródłach. Na stronach 135-137 Leverkühn zajmuje się szczegółowo powstaniem i losem „Nachtigalla”: „Zimą 1940/41 w Neuhammer koło Legnicy sformowano batalion, rekrutowany spośród b. przynależnych do armii polskiej, narodowości zachodnio-ukraińskiej. Kompanie tego batalionu składały się z żołnierzy, którzy otrzymali gruntowne wyszkolenie w wojsku polskim i zostali wyszukani z obozów jenieckich przy pomocy organizacji zachodnio-ukraińskich. Częściowo należeli oni do organizacji Bandery, częściowo byli to zachodni Ukraińcy rekrutowani z innych organizacji. Ukraiński dowódca batalionu (Roman Szuchewicz) został później pod nazwiskiem Czuprynka odważnym przywódcą partyzantów i poległ w roku 1951 w okolicy Kijowa, jako kierownik ukraińskich grup powstańczych. Niemieckim dowódcą był porucznik dr Albrecht Herzner, znany z zajęcia przełęczy Jabłonkowskiej jeszcze przed wybuchem wojny, oficerem politycznym — Theodor Oberländer. Batalion ten sformowany przez wydział II

Abwehry i niestety kiepsko wyposażony, otrzymał kryptonim „Nachtigall”, ponieważ dysponował chórem, który z powodzeniem mógłby konkurować ze znanymi w świecie chórami Kozaków. Został on włączony jako batalion I do pułku Brandenburg i wmaszerował na terytorium sowieckie 22 czerwca 1941 roku”. Na innym miejscu Leverkühn przypomina, że w rokowaniach między nacjonalistami ukraińskimi i niemiecką Abwehrą ważną rolę odegrał jakiś pułkownik Riko Jarryj.

Leverkühn potwierdza, że „w nocy z 29 na 30 czerwca 1941 batalion „Nachtigall” wtargnął do Lwowa, na 7 godzin przed przewidzianym natarciem I dywizji strzelców górskich”. To co członkowie batalionu ujrzeli w więzieniach powiększyło jeszcze ich chęć do walki z armią sowiecką. Leverkühn twierdzi, że na krótko „przed proklamowaniem Zachodniej Ukrainy” (mowa tu o deklaracji niepodległości ogłoszonej przez rząd Stećko) Rosenberg protestował kilkakrotnie. Pod naciskiem nowoutworzonego Ostministerium przyłączono Zachodnią Ukrainę do „General Gouvernement Polen”. W rezultacie tego kroku — jak donosi Leverkühn — „ów batalion ukraiński, który we Lwowie jeszcze potrafił rozentuzjzmować dziesiątki tysięcy osobodzonych zachodnich Ukraińców do walki, teraz stał się czynnikiem niepewnym, zaczął się buntować i musiał zostać rozwiązany”. Na zakończenie pisze Leverkühn: „Tak zmarnowano wielkie możliwości”. Nie trudno domyślić się, jakie „możliwości” miał na myśli autor. Nie wykorzystano pomocy Ukraińców dla zwycięstwa systemu hitlerowskiego. Ten sam autor potwierdza, że dr Oberländer nie był zadowolony z takiego zakończenia sprawy: „Hauptmann Oberländer próbował wówczas interweniować u Hitlera. Dotarł aż do samego Führera. Hitler przerwał jego wywody o Ukrainie słowami: „O tym nie ma pan zielonego pojęcia. Rosja jest naszą Afryką, a Rosjanie — Murzynami”. Po tej rozmowie Oberländer zjawił się u dowódcy pułku Brandenburg i stwierdził rzeczowo: „Wobec takich poglądów Hitlera wojna jest przegrana”.

Drugim źródłem zachodnim, na które powołuje się często wschodnia propaganda, jest wspomniana już przez nas na początku praca Dallina. Także i tu mamy do czynienia z uogólnieniami i przekręceniami a tylko niewiele miejsca poświęca Dallin „Nachtigallowi” i pułkowi „Rolland”, który, wg tego historyka, po rozpoczęciu wojny oddał cenne usługi Niemcom”.

Trzecim źródłem, przez Rosjan już nie cytowanym, jest dwutomowa praca Romana Ilnickiego „Deutschland und die Ukraine 1934-1954”, która wydana została przez Osteuropa-institut w Monachium. Praca ta jest jednostronnym, z naukowego punktu widzenia zupełnie niezadawalającym, ale solidnym nagromadzeniem różnych dokumentów z dziedziny stosunków ukraińsko-niemieckich, dobranych specjalnie pod kątem współpracy ukraińskich nacjonalistów z Niemcami. W drugim tomie, na stronach 139 i 142 mowa jest o „Nachtigallu”. Ta część książki jest szczególnie interesująca. Autor podaje

tu szereg niecałkiem sprawdzonych szczegółów w sprawie „Nachtigalla”, przede wszystkim jednak wymienia powody, dla których nacjonalisci, w tym i banderowcy, życzyli sobie powstania batalionu ukraińskiego w szeregach armii niemieckiej: 1. Chciano wzmocnić powiązania między banderowską OUN oraz hitlerowskim OKW (Oberkommando der Wehrmacht), legion stworzyć miał most zaufania i porozumienia między niemieckimi siłami zbrojnymi i powstańcami ukraińskimi; 2. Legion pomyślany był jako punkt zborny dla owych żołnierzy ukraińskich z armii czerwonej, którzy bądź jako dezercerzy bądź jako jeńcy znajdują się w rękach niemieckich.

Ilnicki donosi, że w czasie rokowań na temat sformowania batalionu stronę niemiecką reprezentowali: prof. Hans Koch, prof. Teodor Oberländer i prof. Georg Gerulis, zaś Ukraińców: płk. Riko Jarryj z ramienia organizacji banderowskiej. Także Ilnicki stwierdza, że „prof. dr Theodor Oberländer mianowany został niemieckim komendantem i oficerem nadzorczym grupy „Nachtigall”. Do pomocy przydzielono mu 2 poruczników, kilku podporuczników i innych oficerów”. Aby już nie powracać później do tego źródła, zacytujmy jeszcze, co pisze Ilnicki o życiu „Nachtigalla” w działaniach wojennych: „...29 czerwca 1941 legion „Nachtigall” otrzymał rozkaz wkroczenia do Lwowa. Już 30 czerwca w godzinach przedpołudniowych Lwów znajdował się w rękach niemieckich. Mieszkańcy powitali radośnie i pełni nadziei ukraińskich żołnierzy legionu „Nachtigall”. Wcielenie tego oddziału do niemieckiego Wehrmachtu komentowane było powszechnie jako oznaka życzliwego stosunku Niemców wobec dążeń wyzwoleniczych Ukraińców”.

Trzeba teraz zacytować i to, co mówi dr Oberländer o roli „Nachtigalla”. Dysponuję nieskorygowanym egzemplarzem stenogramu z konferencji prasowej, która odbyła się 30 września 1959 r. w budynku Bundeshausu w Bonn. Głównym tematem tej konferencji były zarzuty podnoszone pod adresem ministra dla spraw przesiedleńczych. Z wywodów Oberländera wykorzystuję to wszystko, co pozwala na wyjaśnienie jego stanowiska w tej kwestii. Wezwany, aby powiedział coś dokładniejszego o „Nachtigallu” potwierdził O., że grupa ta była podporządkowana oddziałowi II Abwehry, on sam zaś został odkomenderowany do tej jednostki jako „tłumacz i rzeczoznawca II oddziału Abwehry” w randze porucznika, jeszcze w okresie szkolenia batalionu. Zapytany, czy odpowiada prawdzie, że był adiutantem dowódcy batalionu Oberländer odpowiedział: „Zgadza się o tyle, że dowódcą I batalionu Brandenburg, któremu byliśmy podporządkowani, był major Heinz. Pełniłem przy nim służbę adiutanta i miałem powierzone sobie różne zadania”. Później jeszcze wyjaśnił Oberländer: „Nasza grupa nie była częścią składową „Brandenburga, lecz byliśmy podporządkowani I batalionowi Brandenburg tylko w okresie lwowskim”. Według jego informacji „Nachtigall” opuścił Lwów już 7 lipca.

Jak widać, we wszystkich tych źródłach napotykamy na niejasności i byłoby złudzeniem sądzić, że inaczej ma się sprawa jeśli chodzi o wspomnienia emigrantów ukraińskich, którzy należeli do „Nachtigalla”. Badałem w związku z tą sprawą różne autentyczne źródła, ukraińskie i niemieckie, i jako rzecz absolutnie pewną można stwierdzić co następuje:

Na krótko przed wybuchem wojny niemiecko-sowieckiej prowadzone były intensywne rozmowy między banderowcami, a różnymi władzami niemieckimi. Tematem rozmów było użycie Ukraińców do walki z Moskwą oraz plany Hitlera dotyczące Ukrainy. Z rozmów tych wynikało jasno, że żaden z oficjalnych przedstawicieli niemieckich, w szczególności zaś NSDAP i Sicherheitsdienst nie okazywali żadnego zainteresowania w pozytywnym potraktowaniu choćby minimum życzeń ukraińskich. Pewien wyjątek stanowiły niektóre koła OKW (Oberkommando der Wehrmacht), które, powodując się względami czysto wojskowymi, nie zaś politycznym przekonaniem — ostatecznie i Canaris był „żołnierzem Hitlera” — zajmowały wobec Ukraińców nieco inne stanowisko. Tak więc owym elementem ukraińskim, które starały się o współpracę z Niemcami, pozostawała niezwykle skromna możliwość rozgrywki, mianowicie tylko Abwehra przy OKW. Ze strony ukraińskiej rokowania prowadziło kilku przywódców nacjonalistycznych, żyjących dziś na emigracji.

Tak więc powstał batalion „Nachtigall” jako jednostka do specjalnych zadań, lub jak to nazywano w żargonie wojskowym „do specjalnych poruczeń”. „Zur Besonderen Verwendung” — „ZbV”. Batalion został podporządkowany dywizji Brandenburg, tworząc jednak samodzielną jednostkę. „Politrukiem” tej jednostki był porucznik Oberländer, jego zastępcą — podporucznik prof. Mittelgawe. Poza tym dowodzili oficerowie i podoficerowie ukraińscy, dowódcą ze strony ukraińskiej był Roman Szuchewicz. 29 czerwca 1941 o godz. 3.15 rano jednostka ta wkroczyła do Lwowa. O jakimś „zdobyciu szturmem” nie może być w ogóle mowy, nie padł ani jeden strzał, ponieważ w tym czasie armia sowiecka opuściła już miasto. Jednej sotni przydzielono zadanie obsadzenia natychmiast kościoła św. Jura i pałacu metropolity. Inna część miała obsadzić więzienia i wypuścić więźniów. To co ujrzeli żołnierze w więzieniach było więcej niż wstrząsające. Ciała pomordowanych zaczęły się już rozkładać, ludność tłoczyła się na dziedzińce, aby zidentyfikować swoich krewnych. Tysiące rodzin polskich i ukraińskich połączyło się w żałobie i cierpieniu. Niektórzy z żołnierzy „Nachtigalla” odnaleźli pośród trupów swoich bliskich.

Prawie dwa tygodnie pozostawał „Nachtigall” we Lwowie. W tym czasie batalion strzegł kilku powierzonych mu obiektów, mówiło się o tym, że ma wypocząć, aby przygotować się do dalszych walk. Później otrzymał on rozkaz wymarszu w kierunku na Złoczów, Winnicę i Proskurów. W Żmerynce dotarł

do oddziału rozkaz powrotu do Niemiec. Było to końcem „Nachtigalla”.

Według niektórych źródeł emigracyjnych, ukraińskich i niemieckich, ba!, nawet wg wypowiedzi samego dr. Oberländera „Nachtigall” ponieść miał w walkach ciężkie straty. Jest to jednak kłamstwo. Nie poległ ani jeden żołnierz, nikt nie był nawet ranny!

Jednostka wycofana została do Frankfurtu nad Odrą, zreorganizowana, ubrana w mundury policyjne i wysłana na Białoruś do zwalczania tamtejszej partyzantki. Wielu Ukraińców wstydziło się tej nowej roli. Dopiero teraz byli żołnierze Oberländera ponieśli ciężkie straty od kul partyzanckich. Po buncie oficerów i żołnierzy batalion policji został rozbrojony i zimą 1942-43 wycofany do Lwowa. Część żołnierzy i oficerów przystąpiła wtedy do ukraińskiej armii podziemnej — UPA, wielu zaś zostało aresztowanych i umieszczonych w obozach koncentracyjnych.

„Nachtigall” nie miał nic wspólnego z rozstrzelaniem profesorów polskich. Jakkolwiek dostatecznie smutnym jest fakt, że cały batalion złożony z 600 Ukraińców był oddany do specjalnych poruczeń Abwehry, niemniej jednak była to jednostka wojskowa i nie wolno jej było zajmować się sprawami „bezpieczeństwa”.

Pośród ukraińskich emigrantów odsetek niepoprawnych nie jest mniejszy, niż wśród niemieckich pomocników Hitlera. Aby zobrazować czytelnikowi ten ponury fakt zacytuję „Deutsche Soldatenzeitung” nr 17 z października 1959 r., gdzie opublikowano wywiad z „komendantem b. ukraińskiego batalionu ochotniczego”, niejakim majorem P. pod tytułem: „Masowe mordy we Lwowie i minister Oberländer”. Jedną z odpowiedzi owego majora P. daje obraz tak potwornego prymitywizmu politycznego, że uważam za swój obowiązek podać ją tutaj, tym bardziej, że dotychczas nie została ona sprostowana. Na zapytanie przedstawiciela „Deutsche Soldatenzeitung”: „Dlaczego Pan i pańscy towarzysze walczyliście jako Ukraińcy wspólnie z Niemcami?” — padła następująca odpowiedź: „Naród niemiecki był w tym czasie jedynym narodem, który mógł przynieść nam wyzwolenie z jarzma rosyjskiego i Hitler nam tę wolność obiecał. Ponieważ Niemcy pomagali nam także w roku 1918 wierzyliśmy, że dotrzymają przyrzeczeń. Niestety wpływ Rosenbergów i Kochów na Hitlera był silniejszy od głosu rozsądku i tak dostaliśmy się między dwa kamienie młyńskie”.

#### O SAMYM OBERLAENDERZE

Theodor Oberländer, obecnie minister dla spraw przesiedleńców Niemieckiej Republiki Federalnej, urodził się w roku 1905 1 maja, jako syn radcy tajnego Oskara Oberländera.

Miejscem urodzenia była południowo-niemiecka Meiningen. Studiował agronomię w Monachium i wyspecjalizował się później w sprawach agrarnych Europy wschodniej. Na propozycję niemiecko-sowieckiej spółki nasiennej (Saatbau AG Drusag) pracował jakiś czas na terenie Kubania; jego praca doktorska poświęcona była sprawom rolnictwa na Litwie. W roku 1930 udał się w kilkuletnią podróż dla studiowania metod intensyfikacji produkcji rolnej. W roku 1931 zostaje asystentem na uniwersytecie w Królewcu, w roku 1932 odbył podróż do Sowieców i Turcji. Zanim został profesorem ogłosił pracę o przeludnieniu w rolnictwie polskim. W roku 1934 zostaje profesorem polityki rolnej na uniwersytecie gdańskim oraz dyrektorem wschodnio-europejskiego instytutu gospodarczego w Królewcu.

Tak wygląda oficjalna biografia ministra. Inne dane, i to dość dokładne, przynoszą różne czasopisma w Polsce oraz kilka gazet niemieckich. Zanim jeszcze pewne koła wpadły na pomysł aby obarczyć dr. Oberländera odpowiedzialnością za mordy masowe we Lwowie, 24 kwietnia 1954 roku przypomniała „Trybuna Ludu”, że dr. Oberländer należy do „weteranów” ruchu hitlerowskiego. Zdobytą wiedzę i doświadczenie oddał on na usługi partii, celem politycznego kształcenia specjalnych kadr w szkołach partyjnych. „Życie Warszawy” z 9 listopada 1959 przypomina, że Oberländer był szczególnie czynny w organizacji „Bund Deutscher Osten” (działalność tego „Bundu” skierowana była głównie przeciw Polsce) oraz w „Volksbund für das Deutschtum im Ausland”. Także jeśli chodzi o kierowany przez Oberländera królewiecki „Osteuropäische Wirtschaftsinstitut” panuje w Polsce przekonanie, że była to ekspozytura Abwehry. Dokumenty wykazują, że „Instytut” utrzymywał 300 „mężów zaufania” w Polsce. Gazeta przypomina następujące nazwiska współpracowników Oberländera: zmarły prof. Hans Koch, prof. Werner Markert z Tubingi oraz prof. Otto Schiller ze Sztuttgarty. Gazeta polska wspomina jednak wymienić nazwisko najbardziej interesującego współpracownika. Jest nim Peter-Heinz Seraphim, b. kierownik wydziału polskiego w wymienionym Instytucie królewieckim. W czasie wojny awansował on na głównego eksperta dla spraw żydowskich i nazwisko jego „zdobi” co najmniej 20 „dzieł” z hitlerowskiej literatury antysemitycznej. (Kilka przykładów tej „naukowej działalności” znajdzie czytelnik w pracy Józefa Wulfa: „Das Dritte Reich und seine Denker” na str. 69). Seraphim jest do dziś dnia ceniony jako specjalista od spraw polskich, o czym świadczy choćby opublikowanie jego artykułu przez monachijski „Institut für die Erforschung der Sowjetunion”, finansowany... ze źródeł amerykańskich (1).

(1) Prof. dr Peter Heinz Seraphim: *Polnisch-sowjetische Wirtschaftsbindungen und Wirtschaftsgegensätze. Sowjetstudien*, Institut zur Erforschung der VolsSR München Nr 3 10,57.

Szczegółowy życiorys prof. Oberländera opublikował tygodnik „Der Spiegel” 2 grudnia 1959. Przypomniano tam, że Oberländer wstąpił do NSDAP już w roku 1933 i że awansował do „godności” Sturmbannführera S.A., Gauamtsleitera i Reichsführera organizacji „Bund Deutscher Osten”. Był on odznaczony złotą odznaką partyjną, był autorem różnych prac i artykułów, utrzymanych w tępych hitlerowskim stylu. W roku 1940 pisał on w „Neues Bauerntum”: „Germanizacja obszarów wschodnich musi być całkowita. Zarządzenie całkowitych wysiedleń i przesiedleń uderzyć może boleśnie w poszczególne jednostki, ale lepiej jest okazać się raz bezwzględny niż całym pokoleniami prowadzić walkę podjazdową”. Nie bez racji zauważa „Spiegel”: „Zaprezentowano tu sposób rozwiązania problemu, na który mógł potem powołać się Stalin uzasadniając granice Odry-Nysy”. I znów oddajmy głos prof. Oberländerowi: „Całkowite odgrózenie Niemców i Polaków stało się po ostatnich wydarzeniach absolutną koniecznością, jeśli zagwarantowana ma być czystość rasy... Z tego właśnie powodu, niezależnie od wielu innych, należy odrzucić próby asymilacji Polaków. Stałoby to w sprzeczności z naszą doktryną rasową i narodową oraz podważyłoby sens naszej walki o przestrzeń życiową (Lebensraum)”. „Spiegel” komentuje: „Stalin rozgrodził obie rasy w sposób precyzyjny i definitywny”.

Nie ma sensu zajmować się dłużej biografią dr. Oberländera.

Dochodzę do wniosków końcowych mego artykułu: Dlaczego akurat dr Oberländer stał się bohaterem międzynarodowej afery? Dlaczego chciano obarczyć go odpowiedzialnością nie tylko za mord profesorów lwowskich, ale i za tych, których wymordowały Sowiety we Lwowie i innych miejscowościach? Odpowiedź jest dość prosta: Na eksponowanym stanowisku w NRF zasiada człowiek, który po prostu nie jest w stanie bronić się przekonywująco przed stawianymi mu zarzutami. U różnych ludzi odgrywa pewną rolę ich przeszłość, ale nie powinna ona decydować o wszystkim. Jeśli np. były agent Kominternu, William Schlamm, uznany został za „teoretyka” i witany jest aplauzem w zachodnich Niemczech, można z pewną dozą słuszności zapytać dlaczego miałyby się traktować inaczej tych którzy służyli innym nieludzkim systemom. Wydaje się jednak, że w sprawie dr. Oberländera coś się nie zgadza. Broniąc się przed atakami ze wschodu, a częściowo i z zachodu powołuje się on stale na swój antykomunizm. Nie pojmuje on wcale, że jest to najbardziej tani sposób obrony. (Hitler był jednym z najkonsekwentniejszych antykomunistów!). Prof. Oberländer nie uczynił tego, co było najkonieczniejsze: nie odgrodził się od zbrodni systemu hitlerowskiego. Wprawdzie popadł kiedyś w niełaskę Himmlera, ale dlaczego? Tylko dlatego, że jako człowiek inteligentny dostrzegł, że koncepcja *strategiczna* Hitlera prowadzi do klęski. „Ukrainofilizm” dr. Oberländera przynosi więcej szkody niż pożytku sprawie ukraińskiej walki wy-

woleńczej. Wchodzimy na szczęście stopniowo w taki etap ludzkich stosunków, gdy staje coraz bardziej niemożliwe być np. przyjacielem ukraińskiej sprawy i jednocześnie Polakożercą albo przemilczać rasistowski antysemityzm. Wydaje się nie ulegać wątpliwości, że organizatorzy akcji przeciw dr. Oberländerowi natrafili na jego piętę achillesową. Jego nastawienie i jego wypowiedzi powiększają jeszcze zamęt, zamiast wyjaśnić sprawę mordów lwowskich.

Stwierdzając, że prof. Oberländer nie jest bezpośrednio odpowiedzialny za zbrodnie popełnione we Lwowie — nie chcę jego, jako wybitnego członka NSDAP i weterana niemieckiego hitleryzmu brać w obronę. Wyjaśniona musi być jedna kwestia: we Lwowie mordowali zarówno siepacze Stalina jak i Hitlera. Metoda obrony jaką zastosował prof. Oberländer twierdząc, że nic mu nie wiadomo o mordach dokonanych przez hitlerowców we Lwowie, dyskredytuje go całkowicie. Już w pierwszym dniu po wkroczeniu Niemców do Lwowa miały tam miejsce ohydne zbrodnie. Na lwowskiej Cytadeli mordowano jeńców z armii radzieckiej (przeważnie ukraińskiej narodowości), rozpoczęły się pierwsze rozstrzeliwania Żydów, masowe areszty, — rozpoczął się ponury dramat, który później dotarł do swego kulminacyjnego punktu.

Źródłem tego dramatu były nie „waśnie narodowe” i miejscowe porachunki ale przede wszystkim program hitlerowskiej partii, program dobrze znany prof. Oberländerowi.

Borys LEWICKYJ

## OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedynе pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec  
UKAZUJĄCE SIĘ TRZY RAZY TYGODNIOWO.  
W KAŻDĄ NIEDZIELĘ DODATEK.

Redakcja, administracja, drukarnia :  
Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 301

Tom XXXVII BIBLIOTEKI " KULTURY "

JURIJ ŁAWRYNENKO

## ROZSTRZELANE ODRODZENIE

1917-1934

Antologia w języku ukraińskim

POEZJA-PROZA-DRAMAT-ESSEJ

*Wybór utworów czołowych pisarzy ukraińskich  
zakazanych na Ukrainie.*

Tom objętości 1.000 str. w oprawie

Cena egzemplarza 30 NF (\$ 6,00; £ 2.04.00)



ЮРІЙ ЛАВРІНЕНКО

## РОЗСТРІЛЯНЕ ВІДРОДЖЕННЯ

1917-1934

АНТОЛОГІЯ

створених і заборонених в Україні ліпших зразків

ПОЕЗІЇ - ПРОЗИ - ДРАМИ - ЕСЕЮ

також

40 літературних силвет

умішених в антології авторів, написаних упорядником  
антології.



Вийшов великий том на 1000 сторінок в оправі :

Ціна : 30 Фрс., 6 дол., £.2.04.00.

## Kronika Kulturalna

### Dies Academicus w Bazylei

Bazyleja leży w samym środku Europy Zachodniej. Ren zwraca tu swój bieg ku północy. Przed rozbudową dróg kołowych w połowie XVII w. podróżni jadący z krajów północnych do Włoch porzucali tu statki i siadali na muły, kierując się ku przełęczom alpejskim. I dziś jadący koleją z krajów Skandynawskich, z Anglii, Holandii i Westfalii do Włoch przejeżdżają przez Bazyleję. W mieście tym można przejechać tramwajem z terytorium szwajcarskiego do Niemiec i do Francji.

Różne gałęzie przemysłu, interesujące cały kontynent, kwitły kolejno w Bazylei. Na przełomie XV i XVI wieku był to przemysł drukarski. Z bazylejskich pras drukarskich wyszło kilkaset inkunabułów; dzieła klasyków i humanistów rozchodziły się stąd na całą Europę. Dziś jest tu przemysł farmaceutyczny. Znane chorem całego świata fabryki lekarstw — Ciba, Hoffmann La Roche, Geigy, Sandoz — stoją na przedmieściach Bazylei.

Jak w całej Szwajcarii, życie posiada tu zdumiewającą ciągłość. Przechodnie robią często wrażenie, że — wprawdzie inaczej ubrani — wyszli z portretów Holbeina. Ożywia ich wciąż te same *novarum rerum studio*. W księgarniach bazylejskich znaleźć można wszystkie nowości filozoficzne i literackie Niemiec i Francji. Interesujący się nową muzyką wiedzą, że tu wykonywano po raz pierwszy utwory Beli Bartoka, i że w tym małym miasteczku — 160.000 mieszkańców — koncerty muzyki współczesnej gromadzą koło pięciuset słuchaczy.

Abym przez kilka wieków zachować niezmienną ciekawość rzeczy nowych, trzeba być prawdziwym konserwatystą. Bazylejczycy pielęgnują też wszystkie tradycje. Obchodzą wesoło karnawał i przed jedzeniem odmawiają modlitwy.

Mimo konserwatyzmu mieszkańców niewiele tylko pozostało z starej Bazylei; kilka zaledwie uliczek na wzgórzu koło katedry. Resztę starych budynków zniesiono w okresie ascezy kapitalistycznej. Przez długie czasy człowiek wydający wszystkie procenty od kapitału uchodził za rozrzutnika, od którego odsuwano się. Nierentujące się budynki burzono, wznosząc na ich miejsce biura i domy towarowe. Oszczędność nie przeszkodziła jednak bazylejczykom w posiadaniu rzeczy tak kosztownych jak sławny uniwersytet i wielka kolekcja obrazów. Po wiekach *austerity* Bazyleja jest dziś jednym z najbogatszych miast. Europy. Drogie Mercedesy używane są tu jako *Klein-Taxis*, taksówki o niskiej taryfie.

Uniwersytet bazylejski powstał przed pięciuset laty, i rocznicę tę obchodzi w roku bieżącym i przyszłym. Szukając przyczyny rozdwojenia się tej rocznicy, zaglądam do krótkiej historii uniwersytetu, jaką ogłosił z tej okazji wybitny historyk szwajcarski wykładający w Bazylei, profesor Edgar Bonjour. Dowiaduję się z niej, że według pojęć średniowiecznych do nadawania ogólnie uznawanych tytułów naukowych niezbędny był przywilej papieski. W roku bieżącym więc uniwersytet obchodzi rocznicę podpisania odnośnej bulli przez papieża Piusa II, w przyszłym zaś roku będzie obchodził rocznicę rozpoczęcia działalności.

Podobnie jak Getynga lub Tybinga, Bazyleja jest małym miastem posiadającym sławny uniwersytet, rocznica taka nie mija więc niepostrzeżenie. Prof. Bonjour przytacza inne jeszcze przyczyny bliskich stosunków łączących Bazyleję z jej uniwersytetem. Jak wszystkie wyższe szkoły szwajcarskie z wyjątkiem politechniki zuryskiej, uniwersytet bazylejski utrzymywany jest z środków kantonalnych. Od chwili rozpadnięcia się kantonu na Basel-Stadt i Basel-Land, miasto niesło wszystkie koszty utrzymania uniwersytetu i przy wszystkich okazjach sprzeciwiało się napoleońskiej koncepcji szkolnictwa podporządkowanego interesom państwa. Od czasów humanistów więc do końca XIX wieku, kiedy w Bazylei wykładali Jacob Burckhardt, Fryderyk Nietzsche i Heinrich Wölflin, i aż do chwili obecnej uniwersytet był wyrazem niezależności i samodzielności umysłowej miasta. Bazyleja dostarczyła zresztą swemu uniwersytetowi nie tylko środków materialnych, lecz także wielu uczonych i całych dynastii profesorów.

Z okazji 500-lecia tegoroczny *dies academicus* miał być szczególnie uroczysty. W programie święta akademickiego znajduje się tradycyjna mowa rektora, przedstawiająca w sposób dostępny jakieś aktualne zagadnienie naukowe lub streszczająca ostatni stan badań w jakiejś gałęzi wiedzy. Uczni korzystają czasami z takiej okazji dla wypowiedzenia oryginalnych poglądów. Tak więc np. znakomity chemik nie-

miecki Liebig wybrał za temat swej mowy rektorskiej upadek cesarstwa rzymskiego i wobec zdumionych filologów rozwinął myśl, że Rzymianie nie znali nawozów sztucznych, wskutek czego nie umieli zapobiec wyjałowieniu swej metropolii, co w dalszych następstwach przyniosło upadek imperium.

Drugim punktem programu jest promocja doktorów *honoris causa*. Tytuły te uległy w ostatnich czasach pewnej dewaluacji, ponieważ uniwersytety podporządkowane państwu szafowały nimi jak orderami, kierując się koniunkturalnymi względami politycznymi. Göring, kolekcjonujący tytuły, posiadał kilkanaście takich doktoratów. Tym większy splendor otacza tytuły nadawane przez uniwersytety tak niezależne jak bazylejski. Nic dziwnego, że promocje takie odbywały się zawsze z pewną pompą, przy dźwięku trąb, z publiczną procesją zakończoną ogólnym bankietem.

W krajach protestanckich kościoły nie służą wyłącznie celom religijnym, i *dies academicus* obchodzony jest w Bazylei w kościele uniwersyteckim pod wezwaniem św. Marcina. Kościół ten stoi pośród starych domów nad Renem, na cyplu stromego wzgórza, na drugim końcu którego wznosi się katedra.

Spodziewając się wielkiego tłoku, znalazłem się przed kościołem św. Marcina niemal na godzinę przed początkiem uroczystości. Drzwi jednak były zamknięte, jak zwykle w kościołach protestanckich, otwieranych dopiero na kilka minut przed przybyciem wiernych. Nie byłem jednak pierwszy. Przed drzwiami kościoła rozmawiały już dwie starsze panie w kosztownych choć niemodnych futrach. Były to zapewne żony profesorów. Mówiły półgłosem, twarze miały strapione, spojżenia i gesty ostrożne, powściągliwe. Trudne to zadanie być żoną profesora, biorącą udział w miernej i banalnej stronie życia uczonego i znającą tylko ze słyszenia satysfakcje wynikające z poznania i nauczania.

Dopiero po pół godzinie na małym placu przed kościołem ukazują się inne panie w takich samych futrach i kilku panów ubranych czarno, o twarzach bladych, zamkniętych, pełnych kompleksów. Widocznie uczeni. Pojawia się też kilku studentów. Publiczność napływa coraz liczniej ze wszystkich stron. Przed bramą stoi już koło 300 osób. Zaczyna rosić deszcz, otwiera się kilka parasoli. Wreszcie zgrzytanie klucza daje się słyszeć, lecz zardzewiały zamek nie ustępuje. Za drzwiami słychać kroki, różni zmagają się kolejno z zamkiem. Drzwi w końcu otwierają się z trzaskiem, i popychany przez tłum dostają się do środka.

Kościół jest obszerny, jasny, pozbawiony ozdób; ma jak kościoły włoskie drewniany sufit. Po chwili wszystkie miejsca siedzące są zajęte. Jest to publiczność inna niż ta, jaką



widywałem w Bazylei dawniej, w teatrze i na koncertach. Część jej stanowią zapewne rodziny profesorów.

Szeroka absyda ma podłogę wyższą niż reszta kościoła. Jest to jak gdyby estrada, na której dokoła pulpity gromadzi się mała orkiestra. Z daleka poznaje jej dyrygenta. Jest to Paul Sacher, główny filar bazylejskiego towarzystwa muzyki współczesnej. Zamiast dawnych tręb, uroczystości towarzyszyć więc będzie orkiestra smyczkowa.

Tymczasem na drugim końcu kościoła ukazuje się grupa korporantów w mundurach z białymi spodniami. Niosą środkiem kościoła swój sztandar. Za nią ukazują się inne grupy korporantów z sztandarami, które niosą do absydy, ustawiając się pod jej ścianami. W chwilę potem w tych samych drzwiach ukazuje się rektor magnificus w czarnej todze, ze złotym łańcuchem na szyi. Obok niego prorektor oraz inny dygnitarz w lśniącej od złocień todze; jest to gość, rektor uniwersytetu strassburskiego. Za nimi idą gęsiego profesoria w togach lub raczej talarach podobnych z kroju do *salopettes* z czarnej lustryny, jakie noszą archiwisci i korektorzy dzienników. Każdy ma na szyi barwy swego fakultetu. Przodem kroczą medycy w barwach czerwonych, humaniści w niebieskich, przyrodnicy w zielonych itd. Jest ich na oko koło stu. Siadają na ławkach po obu stronach absydy.

W tym miejscu *magister Paulus sonum dedit*. Odzywa się muzyka doskonale dobrana do okoliczności, uroczysta lecz zwawa i wesoła, cała w tonacjach majorowych. Jest to symfonia Purcella. Muzyka ta lepiej niż wszystko inne mówi, że dzień dzisiejszy jest świąteczny, że jest dniem zaszczytów i sławy dla tych, którzy na to zasłużyli, dniem rekreacji dla pozostałych.

O kilka kroków przed brzegiem estrady wznosi się małe rusztowanie tonące w żółtych kwiatach jak katafalk. Od kilku chwil już usiłuję odgadnąć jego przeznaczenie. Wreszcie spostrzegam wystające spośród chryzantem dwa mikrofony. Jest to więc mównica. Milkną ostatnie dźwięki muzyki, i rektor ukazuje się wśród chryzantem. Jest to profesor medycyny i za temat wybrał stanowisko patologii wśród nauk lekarskich. Mowa jego trwa trzy kwadransy. Raz jeszcze *magister Paulus sonum dedit*. Tym razem jest to sonata Mozarta z towarzyszeniem organów. Potem rektor przystępuje do rozdania nagród za prace konkursowe na tematy wyznaczone przez uniwersytet. Poprzednio już zauważyłem, że tematy te, których lista znajduje się w każdym spisie wykładów, nie pociągają uczącej się młodzieży szwajcarskiej, i przeznaczone na ten cel nagrody pieniężne pozostają przez długie lata niepodjęte. Prace te nie mogą służyć za dysertacje doktorskie, i studenci nie chcą widocznie zajmować się tematami nie służącymi bezpośrednio do uzyskania upragnionego dyplomu. I tym razem prace są nieliczne i uzyskują tylko częściowe nagrody.

Uroczystość zbliża się do ostatniego punktu programu, mianowicie do promocji *honoris causa*. Głos zabierają dziekani. W krótkich słowach przedstawiają zasługi promowanych i odczytują o każdym łacińską *laudatio*, po której schodzą z mównicy i ściskając nowego doktora h.c. za rękę wręczają mu zwinięty w imponującym futerale dyplom.

Nowych doktorów jest pięciu: czterech obywateli szwajcarskich, z czego trzech bazylejczyków, i jeden cudzoziemiec. Dyplom doktora teologii h.c. otrzymuje pastor Bernulli z rodziny sławnych uczonych bazylejskich. Dyplomy doktorów medycyny h.c. otrzymują Rodolfo Olgiati, długoletni kierownik instytucji zajmujących się pomocą dla dzieci w krajach dotkniętych skutkami wojny, oraz Christian Overstoltz, kierownik bazylejskiej firmy wydawniczej Benno Schwabe, zajmującej się m.in. wydawaniem książek medycznych. Sławna niegdyś ze swych drukarzy Bazyleja ceni nadal zasługi wydawnicze. Doktorami fakultetu filozoficzno-historycznego zostają prof. historii starożytnej uniwersytetu frankfurckiego M. Gelzer i b. profesor uniwersytetu krakowskiego Stanisław Kot.

O tym ostatnim *laudatio* głosi, że badał dzieje życia umysłowego w Polsce i jego związki z prądami umysłowymi Zachodu, i że prace jego z tej dziedziny zyskały uznanie w całej Europie; że jego poszukiwania w archiwach bazylejskich rzuciły światło na stosunki między Bazyleją i Polską w czasach humanizmu i reformacji, i że ogłosił o tym kilka świetnych prac w czasopismach szwajcarskich; że wreszcie jako uczonego i męża stanu okazał odwagę i siłę charakteru, występując nieustraszenie w obronie wolności ducha.

W dziennikach bazylejskich ukazały się następnego dnia nieco obszerniejsze relacje o jego działalności naukowej i politycznej.

Odczytanie tej *laudatio* było ostatnim aktem uroczystości w kościele św. Marcina. Rektorzy, dziekani, profesorowie, docenci i doktorzy h.c. udali się gremialnie do kasyna, gdzie czekał ich bankiet na 300 osób z udziałem przedstawicieli miasta.



*Laudatio* profesora Kota na użytek polskich czytelników zajęłaby więcej czasu, a także wymagałaby pewnej pracy i znajomości rzeczy. Na końcu świeżo ogłoszonych przezeń „Rozmów z Kremlem” znajduje się spis jego prac naukowych obejmujący 78 pozycji. Prace te, rozproszone częściowo po czasopismach polskich, angielskich, francuskich, włoskich, niemieckich, holenderskich, po księgach pamiątkowych i sprawozdaniach z kongresów, nie są łatwo dostępne. A jednak powołani będą niebawem musieli nimi się zająć. Ze spisu widać można, że zbliża się 50-lecie działalności naukowej profesora Kota, które i dla Polaków nie minie zapewne niepostrzeżenie. Najpiękniejszym upominkiem dla jubilata — a także

dla jego obecnych i przyszłych czytelników — byłoby zbiorowe wydanie jego dzieł. Myślę oczywiście o wydaniu ich w kraju. Tam bowiem są akademie nauk, instytuty badawcze i wydawnicze posiadające środki na ten cel, tam też znajdują się uczniowie prof. Kota i ogromna większość jego domniemyanych czytelników. W tej chwili odbiega to jednak od mego tematu. Chciałbym natomiast dodać kilka słów o badaniach bazylejskich prof. Kota, o których mowa była w jego *laudatio*.

Głównym przedmiotem zainteresowań i badań prof. Kota była historia reformacji w Polsce, do której też odnosi się większa część jego prac i której poświęcony był wydawany przezeń w Krakowie kwartalnik. Reformacja nie była w Polsce tworem samodzielnym, lecz przywiezionym z Zachodu, w znacznej mierze przez Polaków studiujących zagranicą. Prof. Kot przetrząsnął archiwa starych uniwersytetów Europy Zachodniej w celu ustalenia jacy Polacy i u kogo tam studiowali oraz z jakimi prądami umysłowymi i religijnymi mieli możliwość się zetknąć. Archiwa bazylejskie dostarczyły mu materiału do rozprawy pt. *U źródeł polskiej myśli krytycznej XVI w. Polacy w Bazylei za czasów Zygmunta Augusta*. Rozprawa ta, drukowana w Krakowie w 1921, ukazała się po niemiecku w Bazylei w 1941. Do niej to i do prac pt. *Basel und Polen, XV — XVII Jh.*, ogłoszonej w Zurychu w 1950, robi aluzję łacińska *laudatio*.

Pierwsza z tych prac dotyczy lat 1551-1571, podczas których około 70 młodych Polaków przebywało na studiach w Bazylei. Byli to w znacznej mierze synowie rodzin senatorskich, odgrywających wybitną rolę w życiu politycznym i umysłowym czasów Zygmunto-wskich i mających też swe miejsce w historii reformacji w Polsce. W okresie tym protestantyzm na Zachodzie stawał się coraz sztywniejszy dogmatycznie i coraz mniej tolerancyjny w stosunku do swoich heretyków. Servet został spalony w Genewie w 1553. Bazyleja, w której pozostało coś jeszcze z ducha Erazma, zmarłego tam w 1536, była względnie liberalna, i tam też szukali schronienia wolnomyślniejsi humaniści. Rzecz osobliwa, synowie polskich reformatorów szukają światła nie u przywódców zachodniego protestantyzmu, lecz u tolerowanych zaledwie humanistów. Mistrzami ich na uniwersytecie bazylejskim zostają emigrant włoski Celio Secundo Curione i emigrant francuski Sebastian Castello, „jeden z najśmielszych i zarazem najbardziej humanitarnych umysłów epoki”, jak go charakteryzuje prof. Kot. Oni to po spaleniu Serveta ogłaszają rozprawę piętnującą przesładowanie swobodnej myśli. W tymże czasie Curione ogłasza traktat *De amplitudine regni Dei*, dowodzący, że można być zbawionym bez pomocy religii objawionej, i że państwo Boże jest dość wielkie, aby mogli znaleźć się w nim także poganie, którzy zasłużyli sobie na to uczynkami. Traktat ten jest dedykowany — za jego pozwoleniem — Zygmunto-wi Augustowi, który w upominku przysłał autorowi sto dukatów. „Huma-

niści owi — pisze prof. Kot — wyróżniali młodzież polską, przyjmowali ją w swych domach i rodzinach, zwracali na nią baczniejszą uwagę, pragnąc w Polakach wychować przyjaciół sobie i swoim dzieciom, powierników i opiekunów swojej śmiałej myśli, z którą musieli się kłócić wobec bazylejskiego otoczenia”.

Tu zatrzymuję się, bo trudno jest streścić rozprawę pełną osobliwych faktów, cytatów i szczegółów z mniej znanych rozdziałów historii XVI wieku.

Być może zresztą można ją streścić inaczej, bez cytatów i odsyłaczy, np. tak:

Pewnego razu, gdy świat zaczął sztywnieć w nowym dogmatyzmie, niewielka grupa osób przybyłych z różnych stron świata spotkała się w Bazylei, aby na pół potajemnie od miejscowych władz marzyć o wolności i tolerancji...

Paweł HOSTOWIEC

## Wspomnienie o Andrzeju Sołtanie

W dniu 10 grudnia br. zmarł w Warszawie w wieku lat 62 Andrzej Sołtan, fizyk, profesor Uniwersytetu Warszawskiego, długoletni przewodniczący Polskiego Towarzystwa Fizycznego, twórca i kierownik naukowy Instytutu Badań Jądrowych. Zmarły posiadał jeszcze wiele innych tytułów i odznaczeń, ale dla nas, jego kolegów i przyjaciół z okresu międzywojennego, pozostaje w pamięci jako Andrzej Sołtan, wychowanek i pracownik Zakładu Fizyki Doświadczalnej U.W. W tym to bowiem ośrodku, stworzonym przez Stefana Pieńkowskiego po pierwszej Wojnie Światowej, kształtowały się umysły i osobowości wielu polskich fizyków starszego i młodszego pokolenia, zajmujących obecnie kierownicze stanowiska w świecie akademickim. Wychowanekami Zakładu Fizyki są A. Jabłoński, Sz. Szczeniowski, L. Sosnowski, Wł. Kapuściński, J. Pniewski, L. Natanson, S. Mrozowski (obecnie profesor w Buffalo), A. Piekara, I. Adamczewski i wielu innych. Zakład Fizyki, lub po prostu „Zakład”, jak myśmy go nazywali, był ośrodkiem młodym w porównaniu z Uniwersytem Krakowskim, gdzie fizyka posiadała starą tradycję o rozgłosie światowym dzięki odkryciom i pracom Wróblewskiego, Olszewskiego i Smoluchowskiego. Lecz talent wychowawczy i organizacyjny jego założyciela i pierwszego kierownika, prof. Pieńkowskiego, wysunął Zakład Fizyki U.W. na czołowe miejsce w kraju, a wpływ jaki Zakład wywarł na rozwój fizyki w Polsce był doniosły.

Gdy z odległości kilkunastu lat staramy się ocenić i zważyć jakie były najbardziej pozytywne i najtrwalsze w skutkach osiągnięcia Zakładu, to wydaje się że wyrażały się one nie tylko sumą zdobytej wiedzy i doświadczenia oraz ilością wykonanych i opublikowanych prac naukowych, lecz także, a może nade wszystko, osiągnięciami innego rzędu. W tym okresie powstała tradycja naukowa, wdrożone zostały w życie normy naukowego myślenia, wytworzyło się umiłowanie pracy naukowej oraz zrozumienie jej roli w życiu ludzkim. To była szkoła przez którą przeszło wielu polskich fizyków i której jednym z twórców i kontynuatorów był Andrzej Sołtan. Będąc wychowankiem prof. Pieńkowskiego, stał się później jego następcą, by jako nauczyciel przekazywać innym wpajane w nas cnoty pracownika nauki: zamiłowanie do szukania prawdy, bezinteresowność oraz rzetelność w pracy naukowej.

Andrzej Sołtan był uczonym z powołania. Miał on wrodzony talent i zamiłowanie do pracy eksperymentalnej. Projektował i z całym oddaniem konstruował przyrządy do swych trudnych badań. Cieszyło go żmudne pokonywanie trudności, a każde osiągnięcie było ważnym wydarzeniem w jego życiu. W jego rękach martwe części metalu czy szkła przemieniały się niemal w żywe istoty, przyrządy wykonywujące najbardziej skomplikowaną i odkrywczą pracę. Dla Andrzeja Sołtana nie było godzin pracy, poświęcał jej wszystkie siły, nie dbając ani o zdrowie ani o zmęczenie. Zawsze, o każdej porze dnia można go było znaleźć na terenie Zakładu, a najczęściej w jego laboratorium, gdzie wśród przyrządów i wielkich instalacji własnego pomysłu, a nieraz i wykonania uwijał się w białym fartuchu z nieodłącznym papierosem w ustach, nerwowy i szybki w ruchach, nieraz zły gdy przyrząd nie działał i pełen entuzjazmu, gdy otrzymał dobry wynik.

Trudno jest w ramach krótkiego wspomnienia omówić działalność naukową Andrzeja Sołtana. Jej omówieniem zajmą się niewątpliwie jego współpracownicy i koledzy w Polsce. Na tym miejscu można jedynie wspomnieć, że była to działalność pionierska. Jej należy przede wszystkim zawdzięczać początki i rozwój badań fizyki jądrowej w Polsce. Pierwszy generator wysokiego napięcia, niezbędne narzędzie dla tego rodzaju badań, został zbudowany przez Andrzeja Sołtana w Zakładzie Fizyki jeszcze przed wojną. Po wojnie, jego wyjątkowej pracy, inicjatywie i energii należy zawdzięczać dalsze postępy w dziedzinie badań jądrowych już nie tylko dla celów czysto badawczych, ale również dla zastosowań praktycznych jakim stało się wytwarzanie energii atomowej. Niewątpliwie założył on podwaliny i przygotował grunt pod dalsze badania, które prowadzić będą jego następcy.

W naszej pamięci, a zapewne również w pamięci jego uczniów, Andrzej Sołtan pozostanie nie tylko jako fizyk i kontynuator dzieła rozpoczętego przed czterdziestu laty, lecz jako dobry, bezinteresowny, uczynny i pełen skromności człowiek. Jego głęboko ludzkie cechy charakteru sprawiają, że Jego odejście odczuwamy nie tylko jako stratę dla nauki polskiej, lecz również jako ciężką stratę osobistą.

Wanda CZAPSKA-JORDAN

## Wystawa Czapski-Turkiewicz

Stosunek do natury, afirmatywny czy negatywny, lub jeśli kto woli postawę, przyjmującą świat tak jak się on nam wydaje, w odróżnieniu od postawy, która uważa rzeczywistość widzialną w mniejszym czy większym stopniu za iluzję — można uważać za czynnik, który dzieli współczesnych plastyków na dwa obozy. Pierwszy z nich, realistyczny, nie jest obecnie w modzie. I temu prawdopodobnie należy przypisać, iż wystawę J. Czapskiego w londyńskiej Galerii Grabowskiego krytyka angielska przyjęła o wiele życzliwiej niż jego tutejsi polscy koledzy po pędzlu. Wszyscy przestawiają się w Londynie na formy abstrakcyjne, wszyscy doszli do przekonania, że polscy Kapiści, którym Czapski pozostał wierny, systematycznie nie zauważali takich artystów jak Arp, Brancusi, Braque, Klee, Kandinsky czy Picasso, a do nich, jak się okazało, należała przyszłość sztuki zachodniej. Odwrót od dawnych bogów trwa wśród większości plastyków polskich w Londynie już od kilku lat, a dla młodszych z nich liczy się tylko aktualność i postęp. Stąd uwagi przed datowanymi pracami Czapskiego, iż dany obraz z większą słusznością mógłby nosić podpis: rok 1927, a nie 1957. Niewątpliwie obrazy w tym stylu mogłyby być namalowane nawet znacznie wcześniej, ale czy za lat pięćdziesiąt na przykład będzie to miało inne znaczenie niż czysto archiwalne?

Może po prostu mamy do czynienia z człowiekiem, który odmówił pójścia w kierunku przeciwnym jego naturze? Dla którego szczerść i zgodność z własnym temperamentem jest ważniejsza, niż pewien typ filozofii?

Czapski nie jest malarzem który, by wyrazić swe prężności musi je poddać szeregowi transformacji i zmienić prawie nie do poznania: przeciwnie, cały jego ekwipunek formalny, rodem z impresjonizmu, najlepiej nadaje się do szybkiej rejestracji scen z życia. Świadczą o tym szczególnie jego rysunki, bo obrazy olejne są całkiem wyraźnym wynikiem gruntownego przemyślenia i wątpliwe jest, by malowane mogły być szybko. Intelktualne podejście nie jest jednak w stanie przesłonić faktu, iż są one utworami człowieka, który potrafi odkryć w metro, na wyścigach czy wręcz w bramie kamienicy, nieoczekiwany przebłysk poezji, który ma pozytywny stosunek do życia i nie kępuje się szukaniem inspiracji w ilustrowanym magazynie lub w kinie. Dlatego możnaby rozwiódł z widzialnym światem, aby go zastąpić symbolami plastycznymi własnego wynalazku, nie jest mu do malowania potrzebny. A raczej jest mu potrzebny w znacznie mniejszym stopniu, niż to jest dziś ogólnie przyjęte.

Realizm Czapskiego jest bowiem bardzo względny — oczywisty w zestawieniu z obrazami Manessier'a, Soulage lub Dubuffet'a, okazuje się w porównaniu z Courbet'em jedną wielką licencją i chodzeniem na skrótach. Bo Czapski, niezależnie od entuzjazmu do Cézanne'a, wywodzi się artystycznie, na równi z innymi Kapistami, z kręgu Bonnard — Vuillard — Pankiewicz. Ci z kolei dojrzewali w okresie kiedy grzebano ostatecznie pozytywizm a do głosu doszła filozofia Bergsona. A jeśli jakaś epoka zaczyna więcej wierzyć w intuicję niż racjonalizm, to sztuka jej również szybko porzuca pedantyczny realizm na rzecz swobodniejszego używania formy i koloru. Środki dotąd służące do imitacji stają się środkami wyrazu. Czy jednak uproszczenia i nastrojowy kolor Czapskiego można określić mianem ekspresjonizmu, jak to sugeruje katalog, to sprawa całkiem inna. Jego obrazy

figuralne, najlepsze pod każdym względem z jego dorobku, zdradzają spostrzegawczość niezmiernie żywą, lecz z zachowaniem dystansu obserwatora — jak również mieszaninę ironii i nostalgii, dalekie od wewnętrznej, niekontrolowanej pasji Van Gogha czy Soutina; poza tym w pozornie szkicowej przypadkowości tych płócien jest jasna, logiczna, konstrukcja obrazu, która świadczy, iż ze znanych mi Kapistów Czapski zrozumiał bodaj, najlepiej francuską lekcję malarstwa. Lecz ten francuski, podskórny klasycyzm, który mu wszedł najwidoczniej w krew, godzi się słabo z terminem „ekspresjonizm”.

Najlepszy sprawdzian pod tym względem — rysunki, których na wystawie nie brak — są raczej sprawozdawczo-obiektywne. Wystawę opuszcza się pod wrażeniem, że Czapski dzięki kulturze i wysokiej inteligencji przyswoił sobie i wszedł w nurt humanistycznej tradycji sztuki francuskiej, której formy stały się dla niego jedynym możliwym środkiem wypowiedzi. Katakлизm historyczne nie zdołały zachwiać jego wiary w humanizm i dlatego dobrze jest, że nie przestawił się na inny język formalny, który ma sens jedynie jako wyraz kryzysu tej wiary.

Turkiewicz biorący udział w tej wystawie podobny jest do Czapskiego jedynie chyba w tym, że też nie przeszedł przez kubizm. Dawniejsze jego obrazy wskazywały, że we Włoszech przyzwyczaił się zwracać większą uwagę na problemy formy i konstrukcji obrazu niż to się przyjęło wśród naszych malarzy w Anglii. Obecnie, szokuje kolegów wystawiając gwałtownie zdradzające, że Matisse był dla jego rozwoju osobistością ważną i obok tych prawie klasycznych prac wieszając oleje, określane, w braku lepszej nazwy, jako semi-abstrakcyjne. Z jednej strony jest on przekonany, że z ostatnią wojną skończyła się pewna epoka bezpowrotnie a wraz z nią formy, które ją wyrażały, a z drugiej jest mimo wszystko świadom ciągłości swego malarstwa. Objętość i przestrzeń jego dawnych obrazów, przestrzeń pocóżanowska wprawdzie, w której geometryczna ścisłość perspektywy renesansowej przestała obowiązywać, lecz mimo to wyraźna jak w malowidłach pompejańskich, znikła z jego ostatnich obrazów. Są one obecnie dwuwymiarowe, to co było przedtem w głębi, obecnie pojawia się obok, na płaszczyźnie, jak nieoczekiwane skojarzenie. Tytuły jak np.: „Obraz zainspirowany przez rząd kamienic” mogą najlepiej scharakteryzować obecną fazę Turkiewicza. Temat niezbyt łatwy do rozpoznania jest punktem wyjścia dla konstrukcji graficzno-kolorowej, w której skala barwna z biegiem czasu stała się coraz szersza i bogatsza. Kolor jest położony przeważnie dużymi, geometrycznymi plamami, które trzymają konstrukcyjnie obraz. Dzięki umiarowości układu obraz mógłby się łatwo stać nieciekawym, gdyby nie element fantazji, który wprowadza imaginatywne łączenie kolorów według najlepszych wzorów tradycji Bonnard. Nie są te obrazy na pewno owocem desperacji, lecz spokojnej rewaluacji. Dzięki temu Turkiewicz może więcej mówić o ciągłości swego malarstwa niż o zmianie, która w nim zaszła. A zmiana ta jest radykalna, mimo że ten sam cel dążenie do jasnej, logicznej konstrukcji, przyświeca mu, przy zmienionych środkach, nadal. Malarz ten, prawie nie wystawiający dotąd wcale i żyjący w izolacji większej, niż to jest dla artysty zdrowe, może pokazać w przyszłości jeszcze wiele, bo widoczne jest, że znajduje się bliżej początku aniżeli końca swego rozwoju.

S. ARWAY

**Książki**

## Polska technika powstań po raz drugi

Omawiając na tych łamach książkę płk. Borkiewicza (*Kultura* nr 5/127, maj 1958) pisaliśmy o tym jak trudną jest rzeczą beznamiętne podejście do wielkiej tragedii, jaką było Powstanie Warszawskie. Stwierdziliśmy m.in.:

Powstanie — tak bliskie jeszcze w czasie — jest już na dobre zdomowione w „panteonie narodowej glorii”, a z drugiej strony jest jednym z centralnych ognisk ogólnonarodowych i indywidualnych swarów. Zdało się, że nie prędko doczekamy się jakiejś dokładnej i bezstronnej analizy Powstania... Nie tylko predyspozycje psychiczne, ale i warunki zewnętrzne temu nie sprzyjały... Ale zdarzyła się rzecz nieoczekiwana.

Było nią właśnie wybitne dzieło Adama Borkiewicza *Powstanie Warszawskie 1944 — Zarys działań natury wojennej*, dokładna analiza działań powstańczych na wszystkich terenach i odcinkach walki. Książka wstrząsająca wymową zebranych faktów, w swych zasadniczych zrębach będąca ostatnim słowem na temat, jaki autor sobie wyznaczył. Co najwyżej wymaga sporej ilości drobnych poprawek i uzupełnień w następnym wydaniu, którego autor, zmarły przy końcu 1958 r., w rok po ukazaniu się jego książki, już nie doczekał. Gdy jeden z nas odwiedził go na kilka miesięcy przed jego śmiercią, Borkiewicz, już wówczas bardzo chory, pogrążony był w pracy nad tymi właśnie poprawkami, dokonywanymi na podstawie materiałów nadesłanych mu w dużych ilościach po ukazaniu się książki. Oceniając w naszej recenzji bardzo wysoko dzieło autora, stwierdziliśmy również, w związku z represjami, jakie spadły na autora w okresie stalinizmu:

Jest coś symptomatycznego w tym, że definitywne opracowanie wojennych dziejów Powstania wyszło nie spod pióra żyjących i pracujących w spokoju historyków na emigracji, a z rąk prześladowanego człowieka w uwięzionym kraju.

Jednakże, mimo naszych pesymistycznych refleksji sprzed kilku lat, dzieło Borkiewicza nie miało być jedynym wkładem jego pokolenia do opracowania dzieł Powstania. Półtora roku potem ukazało się równie monumentalne w zamierzeniu dzieło gen. Jerzego Kirchmayera, pod identycznym niemal, choć krótszym, tytułem: *Powstanie Warszawskie* (1). Autor nie doczekał ukazania się książki, zmarł bowiem nieco wcześniej. Tak więc obie podstawowe monografie Powstania są już testamentem ludzi, którzy odeszli.

Po Kirchmayerze można się było spodziewać dzieła wybitnego. Słusznie określił go W. Sulewski jako „najwybitniejszego historyka wojen i wojskowości, jaki działał w kraju w ciągu ostatniego dwudziestolecia, tj. po wyjeździe na emigrację generała Kukieła”. (*Pamięci Jerzego Kirchmayera*, „Nowa Kultura”, nr 35 z 30.8.59.). Kilka lat temu Kirchmayer ogłosił wybitną, choć kontrowersyjną książkę, poświęconą kampanii wrześniowej i okresowi wojennemu, 1939-1944. *Kilka zagadnień polskich* (2), w której dał się poznać jako pisarz przemyśliwyjący fakty do ich ostatecznych konsekwencji, całkowicie wolny od ulegania mitom, ostry, ale rzeczowy krytyk. Jerzy Kirchmayer służył w wojsku ponad lat trzydzieści, był wychowankiem Wyższej Szkoły Wojennej w Warszawie, uczniem gen. Kutrzeby. W 1939 r. jako major dypl. w sztabie armii „Pomorze” walczył nad Bzurą. Od tego czasu inwalida, w czasie okupacji jest — podobnie jak Borkiewicz — członkiem Komendy Głównej Armii Krajowej. Zbiegiem okoliczności w czasie Powstania znajdował się poza Warszawą. Zgłasza się do dyspozycji PKWN. W Ludowym Wojsku mianowany generałem, później oskarżony w jednym z procesów politycznych i skazany, spędził szereg lat w więzieniu, z którego zwolniony został i rehabilitowany w wyniku przemian odwilżowych. Jego akces do Wojska Ludowego w 1944 roku koła akowskie na pewno skłonne są uważać za oportunizm. Ale dla pilnego czytelnika jego prac, od okresu najwcześniejszego, nie ulega wątpliwości, że krok ten był wynikiem przekonania.

Porównanie dzieł Borkiewicza i Kirchmayera od razu uwidacznia ich odmienny zupełnie charakter. Obaj autorzy zakreslili sobie inne cele i dzięki temu książki ich nie tylko się nie powtarzają, ale wręcz uzupełniają. Dzieło Borkiewicza określono jako kronikę Powstania, a dzieło Kirchmayera jako interpretację Powstania. Tak jest w istocie. Ale o ile Borkiewicz napisał kronikę *jedyną*, to Kirchmayer dał jedną z szeregu możliwych interpretacji. I w tym — mimo pozorów — leży wyższość Borkiewicza.

Pozory bowiem zdają się świadczyć na rzecz Kirchmayera. Książka jego napisana jest błyskotliwie i inteligentnie, posia-

(1) Wyd. *Książka i Wiedza*, Warszawa, 1959, str. 536 i 35 szkiców.

(2) Wyd. *Książka i Wiedza*, Warszawa, 1957.

da ogromny rozmach, ujmuje powstanie na tle wojskowej sytuacji całego frontu i na tle sytuacji politycznej, do czego wszak Borkiewicz nie aspirował. Tezę swą przeprowadził Kirchmayer logicznie do końca, w sposób nieubłagany i miazdzący dla przeciwnika, którym jest Komenda Główna AK., jej sposób myślenia, działania, dowodzenia. Ale otóż właśnie. Jest to książka z tezą. Zwolennicy Kirchmayera śmieją się z Borkiewicza, że liczy menażki w poszczególnych oddziałach powstańczych (3). Tak. Wielkie syntezy Kirchmayera są napewno bardziej efektowne. Ale opracowanie Borkiewicza okaże się chyba na długą metę trwalsze. Epos faktów pozostanie, interpretacja jest zmienna. Za lat — powiedzmy — pięćdziesiąt Borkiewicz będzie wymagał drobnych korektur, ale nadal będzie kopalnią podstawowych faktów. Natomiast interpretatorzy Powstania mogą z tej perspektywy oceniać je po zupełnie innych liniach niż Kirchmayer. Dodać można zresztą, że choć Borkiewicz nie przeprowadzał tezy — zwłaszcza politycznej — teza oceny wojskowej, identyczna z kirchmayerowską — zawarta jest *implicite* w jego pracy. Ponadto oparł on swą pracę na nie mniejszej ilości faktów niż Kirchmayer, a przeanalizował je co najmniej tak dobrze, w niektórych wypadkach lepiej.

Niemniej jednak dalecy jesteśmy od odmawiania dziełu Kirchmayera należnego mu znaczenia. Z interpretacją jego trzeba w zasadniczych zrzębach się zgodzić. Z prób podejmowanych do tej pory jest to interpretacja najlepsza. A nawet tam, gdzie książka może budzić wątpliwości, przyznać trzeba, że prowokuje ona dyskusję *rzeczową*. *Novum* jej polega na tym, że autor ujął Powstanie — jak wspomnieliśmy — na szerokim tle sytuacji wojennej i politycznej, a również dał mu perspektywę historyczną i psychologiczną. Tak więc w jednym w rozdziałów omawia ukształtowanie polskich dowódców i balast historyczny w ich mentalności. Takie ujęcie umożliwia poszerzenie horyzontów przyszłej dyskusji nad Powstaniem, jeśli się zważy, że w dotychczasowych relacjach (pomijając Borkiewicza) przeważał ton romantycznej mitologii, względnie osobistych rekryminacji, czy — w najlepszym razie — fragmentaryczność ujęcia. Dotychczasowe opracowania rozpatrywały Powstanie w oderwaniu, jako zamknięte w sobie wydarzenie. Potrzebę tła kwitowało się co najwyżej sloganem o bezczynności i zdradzie Rosji. Nawiasem mówiąc, takie ujęcie było niejako następstwem faktu, że samo Powstanie wybuchło, trwało i wypaliło się w oderwaniu od innych operacji, chciałoby się powiedzieć — od... rzeczywistości wojennej. Kirchmayer tylko połowę swej książki poświęca opisowi przebiegu działań powstańczych, który nakreśla operacyjnie, nie schodząc poni-

(3) Przesada. W rzeczywistości liczył uzbrojenie, a to była sprawa wielkiej wagi. Kirchmayer oparł się zresztą na jego cyfrach w tym względzie.

żej batalionu (Borkiewicz przedstawiał szczegółowo akcję nawet drobnych oddziałów), ale nawet w tym opisie pamięta przez cały czas o szerszych implikacjach powstańczych działań. Natomiast całą pozostałą połowę książki poświęca takim sprawom jak: zarys historii i organizacji Armii Krajowej, położenie na froncie wschodnim po stronie sowieckiej i po stronie niemieckiej, położenie na froncie zachodnim, ocena strat, głębsze przyczyny powstania i klęski, wreszcie dokumenty. Właśnie ta połowa książki jest najbardziej oryginalna i najcenniejsza, choć niepozbawiona elementów kontrowersji.

W akowskich kołach na emigracji zastrzeżenia będą zasadnicze, skoro dzieło Kirchmayera jest polemiką z ortodoksyjnym opracowaniem w III tomie *Polskich Sił Zbrojnych*, będącym — jak zauważa Kirchmayer — „dziełem głównych sprawców powstania”. W kraju oficjalne koła marksistowskie też nie są w zupełności zadowolone, jak to widać z drętwej przedmowy Juliusza Burgina (której zamieszczenie było może warunkiem wydania książki), wyrzucającej autorowi „brak marksistowskiej metody historycznej”. Ale nie mógł się spodziewać Kirchmayer, że stawiając sobie szerokie i zasadnicze cele w naświetleniu tak żywej sprawy jak Powstanie Warszawskie nie wzbudzi kontrowersji. Z jego własnego wstępu widać wyraźnie, że z możliwością kontrowersji się liczył.

Kirchmayer wyznaczył sobie jako cel opracowanie „przebiegu powstania na tle szeroko zarysowanej sytuacji politycznej i operacyjnej”, chciał wyjaśnić dlaczego starał się o dokładne zbadanie powstania od strony nie tylko polskiej, ale również niemieckiej i sowieckiej. „Przypuszczam, że sytuację niemiecką udało mi się rozwikłać i przedstawić niemal całkowicie i że niewiele można już będzie w tym zmienić lub do tego dodać”, pisze. A dalej:

„Przypuszczam, także, że przedstawienie sytuacji polskiej nie będzie wymagać zasadniczych zmian, chociaż zdaję sobie sprawę, że moje ujęcie niektórych działań i niektórych decyzji, zwłaszcza politycznych, może być sporne. Natomiast sytuacja Armii Radzieckiej, a w szczególności I Frontu Białoruskiego, jest znana dzisiaj tylko w ogólnych zarysach i w miarę ukazywania się nowych dokumentów i opracowań radzieckich trzeba będzie ją uzupełniać, a być może nawet zmienić w pewnych zasadniczych punktach (s. 8)”.

Jeśli chodzi o interpretację motywów działania strony polskiej historia przynajmniej zapewne słuszność Kirchmayerowi tam gdzie mówi on o braku uzdolnień, o krótkowzroczności i czysto negatywnej polityce przywódców. Spór rozwinięty natomiast wokół pewnych ocen i określeń robionych *ex post*, których autor się nie ustrzegł. Kirchmayer wydaje się sugerować, że cel przywódców polskich, jakim było *niezależne* oswojenie miasta, był zły. Nie trzeba jednak być obrońcą okopów św. Trójcy, żeby twierdzić, iż w ówczesnej sytuacji sam cel był dobry, tylko metoda realizacji była niestety — bardzo

zła. Trzeba na te sprawy patrzeć z perspektywy 1944 r., a nie z perspektywy lat powojennych. Kirchmayer przez cały czas pisze o „emigracyjnym rządzie”, nawet o „emigracyjnym wojsku” i „emigracyjnym lotnictwie”. A przecież było to po prostu polskie wojsko na obczyźnie, a rząd był rządem polskim — wówczas jedynym (emigracja 1944 a 1954 to ogromna różnica). Kirchmayer zapomina o tym, że Rosja uznała rząd lubelski dopiero w lipcu 1944, a powstanie nastąpiło prawie jednocześnie z tą datą. Sugestia autora, że uznawanie rządu londyńskiego przez przywódców w kraju było rzeczą nieledwie złą moralnie, jest przeto z historycznego punktu widzenia chybiona.

Podobnie przedstawia się sprawa z „teorią dwóch wrogów”. Wbrew Kirchmayerowi przyjąć należy, że w odniesieniu do Rosji Stalina słuszne chyba były obawy i założenia pragmatycznych niezależności Polaków, którzy powątpiewali, czy mają do czynienia z krajem przyjaznym. Paradoks jednak polega na tym, że właśnie przyjmując teorię dwóch wrogów należało wyciągnąć zdecydowany wniosek, iż powstania robić nie należy. Bo skoro Rosjanie nie są przyjaciółmi, nie można liczyć na ich pomoc, tym bardziej, że nie ma z nimi żadnego porozumienia. Polacy sami nie są w stanie pokonać Niemców bez pomocy rosyjskiej, tym bardziej mowy nie ma o zbrojnym oporze wobec Rosjan. Ergo, należało starać się o zabezpieczenie biologicznego potencjału i majątku narodowego, czekać na lepsze czasy. Wszak koniunktury historyczne się zmieniają (i po Październiku bardzo by się przydało Polsce pokolenie, które zginęło w Powstaniu). Tak czy owak, nawet przyjmując teorię dwóch wrogów dochodzimy z Kirchmayerem i każdym rozsądnym człowiekiem do wniosku, że powstania robić nie należało. Ale Kirchmayer wyjaśnia, dlaczego doszło do powstania wbrew wszelkim wymogom zdrowego rozsądku: raz dla politycznej demonstracji; dwa — bo przywódcy byli z pokolenia karmionego i wychowanego na romantycznych mrzonkach i na tradycji beznadziejnych powstań. Kto uważa za słuszne mickiewiczowskie wskazanie „mierz siły na zamiary” i aksjomat „chcieć to móc”, ten w każdej chwili gotów będzie wywołać powstanie, kierując się choćby frazesem, że „brak broni zastąpi furia odwetu”. (Jakże charakterystyczne dla romantycznej mentalności jest to zdanie gen. Montera, będące wszak szczytem pur-nonsensu).

Bardzo charakterystyczny jest fragment przedmowy Kirchmayera, mówiący o braku źródeł sowieckich. Niestety. Dziś, gdy każdy fragment działań alianckich czy niemieckich znany jest z licznych dokumentów i relacji, w Rosji panuje na ten temat zupełne milczenie; w rezultacie od tej strony historycy powstania muszą snuć domysły, stawiać hipotezy. Na podstawie tych skąpych materiałów Kirchmayer przeprowadza wywód, że Warszawa grała bardzo podrzędną rolę w sowieckich planach wojskowych i że Rosjanie nie zamierzali opanować jej

wprost. Innymi słowy pragnie rozbić tezę emigracyjnych kół akowskich o świadomym zatrzymaniu się Rosjan u progu Warszawy i dopuszczeniu do klęski Powstania. Ale sprawa ta ma także drugą stronę medalu. Nie da się zaprzeczyć — i z książki Kirchmayera wynika to również — że po wybuchu i w czasie trwania Powstania Rosjanie zachowywali się tak jakby w Warszawie się nic nie działo. Nasuwa to wniosek, że zaakceptowali oni akowską teorię dwóch wrogów. Co więcej — zrobili z niej właściwy, ze swego politycznego punktu widzenia, użytek: nie ingerowali. Oto nowy paradoks tej zadziwiającej historii: bierne zachowanie się względem dwóch przeciwników, które powinno być metodą przyjętą przez stronę polską, stało udziałem strony rosyjskiej. Przywódcy polscy pozwolili się wymanewrować w sposób absolutny.

Całkiem inaczej niż ustosunkowanie się do Powstania Rosji i działania, a raczej brak działań, z tym związane — przedstawia się sprawa pomocy jaką Polakom okazali — czy pragnęli okazać — Polacy. U Kirchmayera potwierdza się, co obszernie na ten temat pisał Borkiewicz. Omawialiśmy dość szczegółowo w poprzedniej recenzji, jak ogromnego wysiłku dokonała I Armia polska (pod dowództwem Berlinga) celem przyścia z pomocą Warszawie i jak wielkie poniosła straty, nie osiągając rezultatów, z powodu braku środków technicznych oraz dlatego, że w owym czasie było już za późno. Powstańcy byli wówczas na całej przestrzeni odparci od Wisły i Niemcy na wybrzeżu mogli łatwo dać sobie radę z desantami na płytkich plażach. W związku z książką Kirchmayera chcielibyśmy jednak znowu podkreślić pewien fakt. W braku źródeł trzeba i w tej sprawie uciekać się do hipotez. Bo nie tylko źródła rosyjskich brak, ale i ze strony polskiej relacji nie ogłoszono. Pamiętniki np. gen. Berlinga mogłyby niejedno wyjaśnić. Wielka szkoda, że relacji tych nie ma.

Operując materiałem poszlakowym możemy postawić hipotezę, że Polacy „orientacji wschodniej” chcieli Powstaniu pomóc. Kto wie, czy Rokossowski nie zwracał się do Stalina. Przypuszczalnie jednak Stalin był przeciwny udzielaniu pomocy „faszystom” i dopiero we wrześniu zgodził się na to, by pomocy tej udzieliły oddziały polskie. Być może wysunięto w rozmowach z nim argument, że pomoc udzielona Polakom przez Polaków stworzy szansę porozumienia. W każdym razie ani jeden żołnierz sowiecki nie miał przy tym zginąć. Dlatego też Rokossowski wyciągnął znaczne oddziały I-ej Armii z bardzo ważnego operacyjnie przyczółka pod Janowcem i rejonu Puław. Ponieważ — gdy przyszło pozwolenie Stalina — było już bardzo późno (połowa września), oddziały te bez żadnego odpoczynku pchnięto forsownymi marszami na Warszawę, gdzie rozpoczęły forsowanie Wisły bez odpowiedniego przygotowania. Operacje te były wspierane z powietrza przez samoloty polskie działające przy I-ej Armii. Po stracie z górą dwóch tysięcy żołnierzy i sprzętu, wysiłki pomocy ze strony

polskiej musiały być wstrzymane, gdy okazało się, że powstańcy nie panują nad brzegiem Wisły. Tak więc jeszcze jedna inicjatywa polska na tej wojnie, tym razem Polaków „wschodnich”, spelzła na niczym, częściowo z winy dowództwa AK, które wolało trzymać się Śródmieścia, zamiast ciężyc przede wszystkim ku Wiśle i starać się o utrzymanie wybrzeża, gdzie mogła nadejść upragniona pomoc.

Nie widzimy potrzeby powtarzania naszych ogólnych ocen dotyczących Powstania i myśli, jakie nasuwały się nam już w związku z książką Borkiewicza. Wymienimy jednak w zakończeniu kilka punktów, które Kirchmayer postawił szczególnie wyraziście i konkretnie. Przede wszystkim stwierdził w sposób jeszcze bardziej niezbity niż Borkiewicz, że Warszawa została z akcji „Burza” wyłączona i że późniejsze wysiłki dowódców, uzasadniających wybuch powstania po prostu wykonaniem z dawna ustalonego planu „Burza” są naciąganiem faktów *ex post*, mającym na celu zmniejszenie odpowiedzialności i winy przez przeniesienie jej „na okoliczności bądź przymusowe, bądź nieprzewidziane, wysuwając na czoło motywy działania, które w istocie znaczyły wtedy niewiele, i zaciemniając w ostatecznym wyniku całość zagadnienia (s. 89)”. Kirchmayer udowadnia m.in. że obawa spontanicznego wybuchu, oraz obawy przed represjami niemieckimi były nieuzasadnione, podobnie jak nieżywiowa była koncepcja, że powstanie zaoszczędzi Warszawie walk i zniszczeń. Wreszcie błędna była koncepcja o trwającej w pełni ofensywie sowieckiej, rzekomo zmierzającej do zdobycia Warszawy frontalnym atakiem.

Powstanie wywołano jako demonstrację polityczną, w najbardziej niesprzyjających warunkach wojskowych, niemal bez broni, w niewłaściwym i zbyt krótkim czasie, w warunkach pośpiechu, chaosu i nieprzemyślanej improwizacji, bez zaskoczenia przeciwnika, który od początku miał pełną przewagę ogniową i liczebną. Wojskowych celów nie osiągnięto, nie zdobywając żadnych istotnych obiektów, czy arterii komunikacyjnych. Jeśli powstanie nie zostało od razu stłumione, to dlatego że Niemcy nie mieli jednolitego dowództwa i nie zdążyli się na czas skoncentrować, a także dlatego, że nie musieli bronić się w Warszawie przeciw wojskom sowieckim i znaczną część swych sił odciągnęli na przyczółek pod Magnuszewem. Po krótkim zrywie powstanie miało charakter czysto defensywny i zakończyło się bezprzykładną klęską.

Klęska Powstania była wieloraka. Przede wszystkim wojskowa. Siły powstańcze zostały zniszczone, podczas gdy Niemców powstanie wiązało jedynie lokalnie i nie wpłynęło na załamanie się obrony niemieckiej w rejonie środkowej Wisły. Operacyjnie Powstanie nie miało więc żadnego znaczenia. Powstanie było również klęską polityczną. Demonstracja polityczna okazała się nieudana. Nowa administracja komunistyczna objęła władzę tylko częściowo przemocą, w części bowiem skorzystała ona z psychologicznej pustki i kryzysu zaufania wobec

ancien régime'u w okresie po-powstaniowym. Wreszcie Powstanie stanowiło klęskę materialną na skalę dotąd niespotykaną. O poniesionych stratach pisano już nieraz i nie ma potrzeby powtarzać cyfr.

Przyczyny klęski widzi Kirchmayer w odwiecznej polskiej „metodzie zrywów”, która powoduje, że dowódcy nasi zdolni są jedynie do doraźnych działań, po których następuje okres paraliżu i bezwładu (Chłopicki, Skrzynecki, Smigły-Rydz, Komenda Główna AK). Doktryna zrywów ma z kolei swe korzenie w chaosie politycznym, zacofaniu społecznym i gospodarczym. W beznadziejnej sytuacji materialnej stać nas było jedynie na „wzloty ducha”. Na Powstaniu Warszawskim zaważyła również negacja i brak politycznej myśli w bardzo trudnej sytuacji między Niemcami a Rosją, wreszcie wpływ obrony Warszawy w r. 1939 i spadek po przedwrześniowym wojsku, które dostarczyło kadry dowództwu AK. Przedwojenny oficer był przygotowany do wojny jednostronnie, a przy tym — jak wspomnieliśmy — obciążony był romantycznym balastem, który w r. 1939 kazał mu konno szarżować kolumny pancerne, a r. 1944 te same niemieckie czołgi atakować butelkami zapalającymi w rękach kilkunastoletków... Ten sam romantyzm kazał tym ludziom mieć nieograczoną wiarę w zachód, a własne rezerwy ludzkie narażać dla bardzo wątpliwych efektów. Uzasadniając potrzebę czynnego wystąpienia, Komenda Główna AK oświadczała 14 lipca:

Dając Sowiетom minimalną pomoc wojskową stwarzamy im jednak trudność polityczną. AK podkreśla wolę narodu w dążeniach do niepodległości. Zmusza to Sowiety do łamania naszej woli siłą i stwarza im trudności w rozsądzeniu naszych dążeń od wewnątrz. Zdając sobie sprawę, że ujawnienie nasze może grozić wyniszczeniem najbardziej ideowego elementu w Polsce, lecz zniszczenia tego nie będą mogły Sowiety przeprowadzić skrycie, a będzie musiał nastąpić jawny gwałt, co może wywołać protest przyjaznych nam sojuszników (cyt. str. 98-9).

Tak to, w zupełnym braku rozeznania politycznego, nie przewidziano, że „najbardziej ideowy element w Polsce” może zostać wyniszczony rękami Niemców, jako że Rosja prowadzi politykę zbyt sprytną, by dać się wciągnąć w grę planowaną przez dowódców AK. Wreszcie — protest sojuszników (który nie nastąpił) miał być wystarczającą nagrodą za wyniszczenie kwiatu narodu. Raz jeszcze trzeba powtórzyć, że ludzie zdolni do takich koncepcji, a co więcej — do ich realizacji — nie mają tytułu do władzy.

Kirchmayer nie jest bynajmniej ślepy na aktywa Powstania. Podkreśla on bohaterstwo, ofiarność i zaciętość powstańców, „spełnienie obowiązku żołnierskiego ponad zwykłe możliwości ludzkie i aż do końca... Powstańcy warszawscy pozostaną na zawsze w naszej historii najpiękniejszym wzorem żołnierzy... W tej walce przyświecało im tylko umiłowanie wol-

ności i ojczyzny” (s. 437-8). Podkreśla też solidarność społeczeństwa w czasie Powstania i lekcję doświadczenia, którą winniśmy wynieść na przyszłość. Względ na te pozytywne wartości w najmniejszym stopniu jednak nie zaciemnia trzeźwości sądu i ocen autora, który kończy swe dzieło tymi trzema — bynajmniej nie na nutę uniesienia nastrojonymi — zdaniami: „Powstanie wniosło więc niewątpliwie pewne dodatnie wartości. Nie są one jednak w stanie zmienić ogólnego salda. Jest ono wyraźnie ujemne i jeszcze długo trzeba będzie za to płacić” (str. 438).

Zbigniew CZAJKOWSKI

i

Bolesław TABORSKI

## Mackiewicz sine ira

„Zielonych oczu” (1) nie należy traktować jako *historii* emigracji. Pod tym względem miałyby ona wiele luk, a i nie jeden z podanych faktów nie jest dostatecznie ścisły. Podkreślają to słusznie recenzenci w Kraju. Jeden z nich (Stanisław Zabięłło) pisze: „Jest to jednak wspaniały komentarz do historii, komentarz jednostronny ale pozwalający na zorientowanie się w atmosferze, w której odbywała się w latach wojny i po jej zakończeniu działalność kierowniczych kół emigracji polskiej na Zachodzie. Naturalnie nie wszystkie poglądy, koncepcje i argumenty Mackiewicza są dostatecznie przekonujące. Niektóre z nich są wręcz kontrowersyjne. Jak zawsze urokiem jego książek jest nonkonformizm i błyskotliwość paradoksów. Działa to sugestywnie, ale należy się strzec bezkrytycznego przyjmowania jego ocen”.

Chciałbym przytoczyć jeszcze kilka zdań z krajowej recenzji. Są bowiem i słuszne i charakterystyczne. „O emigracji można pisać patetycznie, paszkwilowo czy naukowo. Mackiewicz wybrał drogę może najboleśniejszego uderzenia, a mianowicie pamfletowego ukazywania śmieszności”. Ale — pisząc o emigracji, a więc o ludziach z którymi jeszcze nie tak dawno Mackiewicz współpracował (choć niektórzy z nich zwalczał) — „nie kwestionuje on dobrej woli wczorajszych i dzisiejszych przeciwników politycznych, pokazując jedynie ich małość” (2).

(1) Stanisław Mackiewicz. *Zielone oczy*. Str. 356. (Wyd. Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa, 1958).

(2) Wszystkie cytaty zaczerpnąłem z recenzji St. Zabięłły w „Słowie Powszechnym” z dnia 4 maja 1959.



Zgadzam się z tą oceną. „Zielone oczy” stoją znacznie wyżej od zgoła brukowego „Londyniszcza”. Wydaje mi się, że ostatnią książkę Mackiewicza cechuje *świadomy dystans* w spojrzeniu na wydarzenia i ludzi. Taki dystans bywa zazwyczaj rezultatem cierpienia. Mackiewicz, szermierz znakomity, sam otrzymał od życia nie jedno ostre cięcie... To widać.

Recenzent krajowy nazywa charakterystykę środowiska emigracyjnego, nakreśloną przez Mackiewicza, *karykaturą*. Ja wyraziłbym się oględniej. Mnie wydaje się ona *naturalistycznym obrazem naszej doli*. Zapewne — istnieją w naszym środowisku także wątki komiczne, ale wzięta jako *całość* każda emigracja polityczna *po klęsce* jest zjawiskiem raczej tragicznym. Nie bez racji dał Mackiewicz na obwołucie swojej książki reprodukcję obrazu Breughela, przedstawiającego „pochód ślepych i kulawych” wpadających w przepaść... Nasz „pochód” nie jest aż tak tragiczny. Wielka Emigracja była nieporównanie mniej liczna, a więc z natury rzeczy znacznie bardziej *elitarna*, a zagubienie się *tamtej* emigracji w morzu otaczającej ją obości było, wydaje mi się, i szybsze i powszechniejsze. Przypomniał to nie dawno Zygmunt Nowakowski: „Rodzony wnuk Mickiewicza, dr Ludwik Gorecki wychowany w Paryżu, nie czytał nigdy dzieł swojego dziadka... Rodzony syn Mickiewicza, Józef, nie tylko nie umiał mówić po polsku, ale, prawdopodobnie nawet nie rozumiał po polsku...”. Prawda — Wielka Emigracja miała w swych szeregach paru geniuszów. Tych wśród nas nie ma. Ale wszakże moje wnuki mówią po polsku... I nie są pod tym względem na pewno wyjątkiem.

Jak widać przywiązuję wagę do rzeczy małych. Tak trzeba. Czas indywidualnych bohaterów, czas geniuszów — okres Mickiewiczów i Czarowiców — skończył się. Minął wiek dziecięstwa ludzkości — jak minął kiedyś w Starym Testamencie okres Proroków i Królów. Nowoczesne szczęście w krajach przeludnionych i w społeczeństwach wysoko uprzemysłowionych i uporządkowanych, może zbudować jedynie wysiłek zbiorowy — *wielka ilość małych dokonań*. Praca w zespole, *team*, kolektywny rozum komitetów, *rzędy rad* — oto, czego moglibyśmy się także nauczyć — w Anglii. *Taki jest styl nowoczesnego życia i jedyna droga do rzeczywistej demokracji*. Cóż, kiedy emigracja niczego się nauczyć *nie chce*.

Opowieść Mackiewicza o polskim Londynie jest jak gdyby zlepkiem kartek z pamiętnika. W wielu opisywanych wydarzeniach Mackiewicz brał bezpośredni udział, a większość z portretowanych to sami swoi, z którymi borykał się od dziesięcioleci. Arciszewski, Berezowski, Bielecki, Grażyński, Hryniewski (Dolanowski), Kot, Kuncewicz, Kwapiński, Mikołajczyk, Modrzewski (Kauzik), Okulicz, Pragier, Raczkiewicz, Raczynski, Retinger, Sapieha (Eustachy), Sopicki, Stroński, Tomaszewski, Zaleski... I generałowie: Haller, Kukiel, Sikorski, Sosnkowski... Kawał naszej historii. W każdym razie całe dwudziestolecie międzywojenne i następnych lat kilkanaście. Było dosyć

czasu, żeby się wzajemnie poznać. Toteż portrety kreślone przez Mackiewicza posiadają *sugestywną intymność*, a niektóre sceny patetyczne — śmierć premiera Tomaszewskiego, „niema” scena z Modrzewskim — mają przejmującą ostrość filmowych zbliżeń.

Scena śmierci Tomaszewskiego: „Tomaszewski wstał błdy, zaczął coś mówić o sobie, że zawsze był człowiekiem obowiązku. Ładnie i smutno wyglądał w tym londyńskim pomieszczeniu, mówiąc te słowa wspomnień z Polski. W rękę Tomaszewski miał ołówek, w pewnej chwili rzucił na stół ołówkiem z gestem zawodu i zniechęcenia i usiadł. Zaczął mówić pewien jęgotność ze Stronictwa Pracy i przerwał, bo Tomaszewski zaczął charczeć. Po chwili wstał i pomimo podtrzymania upadł na ziemię. Już leżał długi, z zamkniętymi oczami, z twarzą zupełnie bladą, z wyciągniętymi równo nogami. Pobiegłem do telefonu, aby wezwać polskiego lekarza, ale Kuncewicz sprrowadził karetkę ze szpitala, która nie przywiozła zresztą lekarza, tylko tragarzy, którzy wynieśli naszego premiera. Moim zdaniem, już wtedy Tomaszewski nie żył, ale Modrzewski, który z nim pojechał karetką, twierdził, że trzymał go za rękę i czuł puls. W każdym razie zaraz ze szpitala zadzwonił telefon, że Tomaszewski nie żyje. Nazajutrz przeczytaliśmy w prasie londyńskiej małą wzmiankę ukrytą gdzieś w kronice, że prezes Rady Ministrów polskiego emigracyjnego „rządu cieni” umarł na serce. Tytuł wzmianki brzmiał „Śmierć na ulicy”.

Zabawne, jak szybko czas zapada u nas w otchłań przeszłości. Wydaje mi się że widzę jeszcze ołówek, który Tomaszewski trzymał w ręce. Stukał zawsze w biurko ołówkiem, gdy był w gniewie. Kiedyż to było? Przed paroma laty zaledwie, a jak już dawno... Czas jest pojęciem relatywnym. Bywają lata w których ilość i głębokość przemian jest tak wielka, że równają się dziesięcioleciom. Są też inne, w których nic się nie dzieje i wtedy czas jak gdyby się zatrzymał. Teraz — pędzi. Styl naszego niedawnego życia i w Kraju i na emigracji, wydaje mi się już tak odległy i tak niemodny, jak opis ułana na koniu i dziewczyny u studni — na tle zaspanej wsi białoruskiej — od którego Mackiewicz rozpoczyna swoją książkę. Do tej wsi mi już na kossakowskich konikach nie wrócimy. Dlatego portret intymny naszej generacji nakreślony ręką Mackiewicza będzie miał kiedyś wagę dokumentu. Oczywiście dokumentu w tym sensie, jak „Pamiętki Soplicy”, jak dziennik peregrynacji Radziwiłła, jak pamiętnik Paska. Już obecnie, gdy czytałem książkę Mackiewicza odnosiłem wrażenie, że oto jakiś czarownik ujął mnie za rękę i że odwiedzamy świat miniony, bliski mi ale umarły, i że idziemy naprawdę *à la recherche du temps perdu*...

Mam na myśli, i pragnę to jeszcze raz podkreślić: — Mackiewicz portretuje ludzi i *styl* ich życia, *klimat emigracyjny* — nie *fakty*. Ale — coż znaczą fakty? Bez trudu można je odnaleźć w „białych księgach” i w księgach brunatnych, i w

ogóle w wielu księgach spisanych przez urzędników. Natomiast naszych reakcji na fakty — co odczuwaliśmy i co myśleliśmy, i jak zachowywaliśmy się w niedawnych latach wielkich obrotów historii — oto, czego nie da się odnaleźć w aktach. A właśnie to jest tematem ostatniej książki Mackiewicza.

Wielu sportretowanych będzie być może miało żal do autora, że tak bezlitośnie obnażył ich ułomności. O naiwni! Nie zdają sobie sprawy, że tylko dzięki Mackiewiczowi pamięć o nich potrwa nieco dłużej. Powiedzmy — kwartał po ich śmierci... *Habent sua fata libelli*. Ludzie przemijają — książki trwają. Zaiste, jest dla śmiertelników wielkim wyróżnieniem, równającym się wygraniu głównego losu na loterii, gdy zdołają czymś zwrócić na siebie uwagę artysty. Chociażby — swoją śmiesznością.

Jak czytelnicy zapewne zauważą stosuję w skali ocen świadomie *understatement*, którego chciałbym nauczyć się od Anglików. Ale gdy myślę o tak zwanej sprawie Bergu, moja wyrozumiałość kończy się, a uśmiech gaśnie. To nie było tylko śmieszne.

Sprawie Bergu poświęca Mackiewicz w swojej ostatniej książce sporo uwagi. Przedstawia rzecz w ten sposób, że nie zorientowany czytelnik w Kraju może odnieść wrażenie, iż to dopiero on, Mackiewicz, wytoczył sprawę Bergu przed sąd polskiej opinii publicznej. Tak nie było. *Politycznie* afery Bergu została rozegrana już przed tym zanim się Mackiewicz w ogóle o niej dowiedział, i bez udziału Mackiewicza. Wyciągnęły sprawę na światło dzienne listy otwarte Kazimierza Tychoty, ogłoszone przez niego w Zachodnich Niemczech — mniejsza w tej chwili o to, z jakich pobudek. Listy te rozkolportowała po całym świecie Polska Agencja Telegraficzna w Londynie, zaś *akt oskarżenia* przeciwko głównym bergowcom przygotowała i skrupulatnie udokumentowała nasze ministerstwo sprawiedliwości, które wtedy jeszcze istniało — w szcztkowej formie. Piszę o tym dlatego, ponieważ istnieje nie od dzisiaj tendencja do lekceważenia pracy emigracyjnego rządu nawet wtedy i nawet w tych dziedzinach, w których on pracował dobrze — gdy jeszcze pracował... Gdy jeszcze w ogóle istniał. Bo przecież mamy chyba tyle dumy, żeby nie uznać, że nasz rząd automatycznie przestał istnieć, gdy przestała go za rząd uważać jakaś tam Anglia, Francja, Rosja, czy Ameryka. O tym, kto jest *moim* rządem, *rozstrzygam* ja — i tylko ja (3). A w roku 1953, nawet jeszcze 1954 — emigracyjny rząd istniał. Odnośny akt oskarżenia podpisał i polecił ogłosić w PAT'icznej minister

(3) Kanclerz Jan Zamojski mówił w Sejmie do Króla Zygmunta III tak:

„...Nie nowinać to Polakom gdy im królowie przysięgi nie dotrzymali, że ich wygnano z korony, a obierano innych. Jeżeli W. Królewska Mość nie obaczysz się, ani poprawisz, nam nielza, jak... Pana naszego Miłościwego za morze odwieść”...

sprawiedliwości Kazimierz Okulicz. Mackiewicz przyszedł już do gotowego. Dwie, czy trzy jego broszury o Bergu, nie były *początkiem* akcji przeciwko bergowcom, ale jej publicystycznym *epilogiem*. Ponieważ Mackiewicz posiada talent i temperament, a temat — na co wszyscy się chyba zgodzą — był wyjątkowo łatwy, więc Mackiewicz urządził w sprawie Bergu coś w rodzaju ludowych igrzysk, w czasie których jako fant można wygrać żywe prosię, albo butelkę wódki. Taką przynętą były już same tytuły broszur Mackiewicza: „Handlarze śmierci”, czy coś w tym rodzaju. Nie biorę udziału w festynach, nie chodzę na pokazy boksu, nie czytałem *mémoires*ów Magdaleny Samozwaniec, nie byłem dotąd w Gabinetie Mme Tussaud. Także tych mackiewiczowskich *thrillerów* nie wzięłem do ręki. Słyszałem wszakże o ich znacznej poczytności. Nie mniejszą siłą atrakcyjną niż żywe prosię — przynajmniej dla pewnej kategorii czytelników — mają zawsze wielkie sumy pieniędzy, które ktoś zarobił. W okresie od 1 października 1950 do 31 grudnia 1952 zespół kilkunastu polityków skonfederowanych w tak zwanym „Wydziale Krajowym” trzech stronnictw emigracyjnych (Komitet Zagraniczny PPS, Stronnictwo Narodowe i NiD) zainkasował 1.014.770 dolarów. Od takich pieniędzy Polakom ęmi się w oczach. Znając nasze ubóstwo Mackiewicz zonglował mirażem tych cudzych dolarów w sposób tak sugestywny, że jedyny wniosek, do którego mógł dojść czytelnik, zwłaszcza zbiedniały czytelnik w Kraju — brzmiał moim zdaniem, jak następuje: Amerykanie dobrze płacą... Otóż — w komunikatach PAT'a starałem się właśnie *nie* sugerować takich kuszących wniosków. W kampaniach przeciwko politycznej prostytutce należy tak samo zachowywać ostrożność i umiar, jak w publicystycznej walce przeciwko prostytutce *tout court*. Nie za wiele szczegółów — z burdelu. To może rozplomić wyobraźnię i stworzyć warunki sprzyjające — rekrutacji... No, ale to jest już oczywiście sprawą stylu i smaku w ogóle.

Broszury Mackiewicza o Bergu były poczytne, ale *znaczenia politycznego* nie miały. Rzecz była już przewyciężona. Natomiast Mackiewiczowi osobiście oddały niewątpliwie ogromną usługę: ułatwiły mu — wielki manewr.

Jest dużo przesady w twierdzeniu Zbyszewskiego (Wacława), powtarzanym przez niego uporczywie, że Mackiewicza „zaszczuto” na emigracji. To nie było takie proste. Wydaje mi się raczej, że to sam Mackiewicz wytworzył wokół siebie klimat niechęci. Wszyscy tutaj mieli go po prostu dosyć. Polski Londyn to w rzeczy samej prowincjonalne miasteczko. Jakiś Brześć nad Bugiem, w najlepszym razie — Lublin. Atmosfera małego garnizonu, potraktowanego przez los po macoszemu — o ogromnych ambicjach. Kto bywał przed wojną w tzw. kasy-

nach urzędniczo-oficerskich na Kresach — zna ten nastrój. Wszyscy znają wszystkich, i nie mogą już na siebie patrzeć. Dwie, czy trzy marne restauracje — dwa czy trzy miżerne hoteliki, parafia, znajome kelnerki, znajome pokojówki — nie ma gdzie uciec. Na szczęście — (dla Mackiewicza) — kilku przynajmniej dobrze wychowanych hrabiów. A przy tym — rzecz najboleśniejsza — prawie żadnej młodzieży. Brak młodzieży wytwarza *zawsze* klimat beznadziei. (Czytelnicy pamiętają, co o „polskim Londynie” napisał w „Kulturze” Wacław Zbyszewski). Więc Mackiewicz nie wytrzymał — i wyjechał.

Tak czy owak, poza nielicznym gronem osobistych przyjaciół — nikt tu do Mackiewicza nie tęskni, a wielu emigracyjnych Liliputów po jego wyjeździe odetchnęło na pewno z ulgą. Tym bardziej miło mi, że mogę w emigracyjnym czasopiśmie wydrukować o ostatniej książce Mackiewicza tyle komentarzy. Działą u mnie zapewne również chochlik przekory; gdyby Mackiewicza nie zniesławiano tak powszechnie, prawdopodobnie nie chwaliłbym go tak zawzięcie. Wolno mi to czynić tym bardziej, ponieważ nie jeden raz go atakowałem i ani jednej minuty nie pozostałem „na urzędzie”, gdy z łaski pana Augusta został premierem... Także i teraz nie zawsze rozumiem postępowanie Mackiewicza i nie zawsze podzielam jego ocenę sytuacji. Ale po przeczytaniu „Zielonych oczu” nie mam co do tego wątpliwości, że cokolwiek robi w swoim życiu publicznym, istotnym motywem jego postępowania (jeżeli nawet nie jedynym) — jest miłość ojczyzny, wsparta o ostry zmysł polityczny i zdolność myślenia w *kategoriach historycznych*.

Co to znaczy „myślenie historyczne”? Dałbym taką definicję: mieć świadomość, że naród żyje zawsze na rachunek dzieci — że to *one* ostatecznie ten rachunek zapłacą. Kotarbiński taką świadomość nazywa *ojcowskim stylem życia*. Długi ciąg pokoleń płacił krwawo za błędy popełnione w czasach tego brzuchacza Sobieskiego i tych obżartuchów Sasów. Tysiące naszych dzieci zginęło w Warszawie za nasze błędy. Może będą za nie ginąć jeszcze — nasze wnuki... Jak przerwać łańcuch nie kończących się fatalnych konsekwencji? O to chodzi.

Mackiewicz chciałby przeprowadzić w tym celu *wielki manewr*. Rzecz stosowana w polityce od stuleci, ale przeciętnemu Polakowi tak dobrze, jak nie znana. Ostatnio zdają się w tym zabiegu specjalizować Włosi. W okresie życia jednej generacji (naszej), zastosowali go dwa razy — z powodzeniem. Parokrotnie próbował manewru tego Czartoryski — odniósł przy jego pomocy ogromny sukces Gołuchowski (w skali swoich możliwości — w Galicji); nie dał rady Wielopolski. Wszystko to byli ludzie odważni — i dobrzy Polacy. Przeprowadzenie manewru wymaga odwagi, charakteru, woli, dalekowzroczności, a także — rozważli. I wielu jeszcze, wielu okoliczności sprzyjających. Podejrzewam, że w pewnych warunkach byłby go zdolny podjąć — Piłsudski. To są sprawy poważne. Manewr taki nazywa się odwróceniem sojuszków. Tak to określają

historycy. Cieszy się on u nich raczej dobrą opinią. (U tych — mądrzejszych).

(Jest w filmie Andrzejewskiego i Wajdy pt. „Popiół i diament” jedna scena, która zrobiła na mnie szczególnie silne wrażenie. Główny bohater filmu, znakomity aktor Cybulski, w sytuacji krańcowo tragicznej powiada: „Ach, w tym kraju nie nie jest poważne”... Kwestię tę wypowiada bardzo inteligentnie i z niebywałym wdziękiem. Oczywiście, mówi o Polsce. Otóż, chodzi o to, żeby polska polityka stała się nareszcie *poważna*, co przede wszystkim znaczy — *odpowiedzialna*. Żeby już nigdy żaden przyszły Cybulski — Cybulski-junior, nie wypowiadał z takim wdziękiem i z taką straszącą nonszalancją tych straszliwych słów. Bo to jest filozofia życiowa (4) *sans-culotte*’ów obarczonych ponadto dziedzicznym kompleksem samobójczym).

W swojej ostatniej książce Mackiewicz zastanawia się właśnie nad tym. Czyni to z talentem i odwagą. I z tej racji niektórzy rzucają na niego anatamę! Słyszałem nawet zdanie, że splamił swój honor. Długo się nad tym zastanawiałem. Nie znam honoru, który by był zabezpieczony — jak domek z ogródkiem w zacisznej dzielnicy Londynu... i tak wygodny — jak pantofle. Mam inne pojęcia o honorze — nie takie statyczne. Honor kocharży mi się zawsze z działaniem, z gotowością do ponoszenia ryzyka, z odwagą, z walką. Sądzę, że być odważnym, to przede wszystkim umieć, *gdy trzeba*, narazić na szwank nawet — honor. Nie wystarczy zdobyć sławę — i przegrać wojnę. Trzeba jeszcze dopomóc narodowi, żeby mógł żyć — potem.

Wiesław WOHNOUT

(4) Oto ta filozofia w popularnym rymowanym skrócie. Śpiewały nam o niej nasze babki:

*Szczęśliwa jestem choć w późnej siwiźnie,  
żem pięciu synów oddała ojczyźnie;  
Adam pod Jeną, Jakub w Berezynie,  
Feliks w Domingo, Franciszek w Raszynie,  
Michał, czując się do kajdan niezdolny,  
Sam się zabija, by umierał wolny.*

Nie! Nie! Nie chcę, by Cybulscy-juniorzy uczyli się miłości ojczyzny z tego wiersza!

## Opus magnum Janiny Zabielskiej

To, czemu w normalnych warunkach w dziedzinie kulturalnej we wszystkich cywilizowanych krajach poświęca się instytucji i wieloosobowe zespoły, opłacane ze skatupy państwowej, na emigracji wykonują jednostki, borykające się zwykle z trudnościami inicjatywy prywatnej. Czasopisma, przynajmniej najlepsze z nich, redagują i trzymają przy życiu jednostki, wydawnictwa książek znajdują się także z reguły w ręku samotnych redaktorów, wykonujących wszystkie czynności związane z produkcją książki, prócz drukarskich, jednostki prowadzą także stowarzyszenia, biblioteki i archiwa (ogromne archiwum i biblioteka Instytutu im. gen. Sikorskiego w Szkocji posiada półtora etatu pracownika, czy jeśli kto woli, pracowników).

Również bieżące bibliografie druków w każdym kraju opracowują instytucje o charakterze urzędów państwowych, z licznym personelem i poważnymi funduszami oraz w oparciu o biblioteki narodowe i przede wszystkim o prawo przymusowych egzemplarzy dostarczanych bibliotekom. Na emigracji pracę instytutu bibliograficznego wykonuje samotnie Janina Zabielska. Spełniając tę rolę wyręcza instytucje krajowe, gdyż do dnia 1 września 1939 wychodził w Polsce w zeszytach miesięcznych „Wykaz druków polskich lub Polski dotyczących wydanych za granicą” pod redakcją Instytutu Bibliograficznego Biblioteki Narodowej w Warszawie. Ale wydawnictwa tego aż dotąd nie podjęto.

Zadanie Janiny Zabielskiej jest zresztą znacznie trudniejsze niż jakiegokolwiek instytutu bibliograficznego. Wprawdzie ma ona oparcie, jako pracowniczka (*Deputy Librarian*) Biblioteki Polskiej w Londynie, w tymże księgozbiórze, lecz jej praca nie ogranicza się do rejestracji dostarczanych bibliotece druków bieżących, ale obejmuje wielki już dziś szmat czasu — pełnego dwudziestolecia. Dotyczy kilkudziesięciu krajów świata, gdzie żyją Polacy, tzn. prawie wszystkich, prócz tych, które znajdują się w strefie sowieckiej. Zważyć trzeba, że przez wiele lat masy polskie znajdowały się w ruchu, zmieniając ustawicznie miejsce pobytu, często w egzotycznych krajach, w warunkach polowych lub koczowniczych. Działalność wydawnicza tych grup rosła zatem jakby na lotnych piaskach. Zaspokajała potrzeby doraźne i ginęła bez śladu. Odszukanie wielu druków polskich z okresu ostatniej wojny to zadanie raczej dla archeologa niż dla bibliografa.

Ba, a dziś? Centralna biblioteka emigracyjna, która by mogła kolekcjonować choćby ważniejsze druki polskie z całego świata, nie istnieje, fachowo prowadzone biblioteki polskie istnieją w kilku zaledwie krajach, o egzemplarzu przymusowym znakomita większość wydawców i autorów nigdy nie słyszała, apele i prośby pozostają bez echa, niedbalstwo i sobkostwo dokonują reszty.

Tak więc bibliografia emigracyjna to, prócz tytanicznej pracy, złożony zabieg archeologiczny, antykwarski, detektywistyczny, szperacki i kwestarski. Oczywiście, bazą pracy jest księgozbiór Biblioteki Polskiej w Londynie, utrzymywanej z funduszy brytyjskich, zarazem wydawcy bibliografii. Spora część pozycji wymienionych w bibliografii Zabielskiej znajduje się w Bibliotece Polskiej jako osobny księgozbiór, w za.łożeniu nietykalny

i pokrywający się z bibliografią. Idealem Biblioteki Polskiej byłoby utożsamić bibliografię emigracyjną z katalogiem Biblioteki.

Nic dziwnego, że w warunkach relatyw opisanych „BIBLIOGRAPHY OF BOOKS IN POLISH OR RELATING TO POLAND, PUBLISHED OUTSIDE POLAND SINCE SEPTEMBER 1st, 1939 — Volumen I: 1939-1951” oraz dopiero co wydany „Volumen II: 1952-1957 and Supplements to 1939-1951”, liczące razem 9.800 pozycji, uznac należy za dzieło niezwyklej pracowitości i wielu cnót zakonnych, benedyktyńskich, oraz za wspaniały materiał do wzorowej bibliografii emigracyjnej, po wprowadzeniu uzupełnień, poprawek, zmian, a zwłaszcza skreśleń. Miarą ogromu pracy Janiny Zabielskiej a zarazem trudności w opracowaniu bibliografii z okresu wędrówek ludów, wojny powszechnej i burz migracyjnych jest liczba uzupełnień do tomu I: wypełniają one z górą połowę tomu II. A nazajutrz po wydaniu II tomu (tj. dnia 1 grudnia 1959) pani Zabielska miała w tece już dalszych 131 uzupełnień, ponadto 232 pozycji odnoszących się do roku 1958 i 100 do roku 1959.

Bibliografia druków polskich („books” w tytule angielskim brzmi myląco, gdyż w obu tomach wyszczególnione są m.in. druki 16-o i mniej stronicowe, niektóre katalogi wystaw, nuty, mapy itp.) notuje wszystkie, bez oglądania się na treść i poziom, druki typograficzne, półdruki i druki powielane 1) w języku polskim, 2) w obcych językach autorstwa Polaków, 3) przekłady i przeróbki z literatury polskiej, 4) dotyczące spraw polskich. Nie obejmuje więc czasopism, których liczba przekracza znacznie 2000 pozycji. Wzłem gordyjskim bibliografii jest wyłączenie druków „polonijnych”, a więc emigracji sprzed roku 1939, co, zwłaszcza w tomie II, doprowadziło do wielu niekonsekwencji. Albowiem wśród emigracji polskiej dokonuje się stale proces osmozy. Nowa emigracja staje się z latami starsą, natomiast stara, jeśli nie wynarodowiła się poprzestając na zachowaniu pozorów tradycji, przejmując charakter, styl życia oraz aktywność narodową — nową.

Żadna bibliografia nie może być ideałem. Pani Zabielska mogłaby najlepiej sama powiedzieć, ile omyłek, przeoczeń, braków i niekonsekwencji znalazło się w obu tomach jej bibliografii. Nowe materiały i poprawki będą płynąć ciągle. Bibliografia to studnia bez dna. Dopiero po kilku latach można będzie poprawione, uzupełnione i odczyszczone tomy, na razie odbite na powielaczu, wydać typograficznie. Będzie to wtedy mniej więcej pełna bibliografia druków polskich wydanych od wybuchu drugiej wojny światowej poza krajem i jedna z najwspanialszych pamiątek działalności kulturalnej emigracji.

Trzeba jednak przedtem, oprócz gromadzenia uzupełnień i dokonywania poprawek, podjąć dobrze przemyślane skreślenia licznych nieważnych i ulotnych pozycji, np. druków wojskowych do użytku służbowego, instrukcji, regulaminów, przeważnie tłumaczonych z angielskiego i powielanych, katalogów, programów, odezów, samouczków, mapek itd. Bo przecież zebranie wszystkich tego rodzaju druków z całego świata wydaje się niemożliwością, a także mało przydatnym balastem. Np. w tomie drugim znajdujemy długą listę publikacji służbowych lotnictwa polskiego. A gdzież są co najmniej tak samo liczne regulaminy setek innych jednostek wojskowych?

Autorka bibliografii emigracyjnej zdaje sobie skromnie sprawę z tego, że w jej opracowaniu znalazła się tylko część druków polskich i polonijów. Można jednak śmiało stwierdzić, że bibliografia obejmuje wszystkie najważniejsze i najistotniejsze pozycje wydawnicze polskie poza krajem z dziedziny literatury, sztuki, nauki, techniki, rzemiosła, handlu i in.

Janina Zabielska jest magistrem romanistyki U.S.B., a z zawodu bibliotekarką. Pracowała w Państwowej Bibliotece im. Wróblewskich, gdzie m.in. pomagała dr. Stefanowi Burhardtowi w gromadzeniu bibliografii druków dotyczących b. W. Ks. Litewskiego, ogłoszonej w „Ateneum Wileńskim”. Zanim podjęła pracę nad bibliografią druków emigracyjnych, znalazłszy się na emigracji w Anglii w r. 1947, pomagała Tadeuszowi Sawickiemu w przygotowaniu IV tomu „Rocznika Bibliograficznego”, który się nie ukazał. „Rocznik” Sawickiego, wzorowo opracowany z punktu widzenia fachowego, nacisk kładł na druki wydane w W. Brytanii, posiadał zatem charakter raczej regionalny, podobnie jak większość spośród 20 innych opracowań bibliograficznych wymienionych na wstępie pracy Zabielskiej. Wśród tych opracowań niesłusznie znalazły się dwa tomy warszawskiego „Rocznika Literackiego” oraz „Current Bibliography” w „Przeglądzie Polskim”, gdyż były to zestawienia niedokładne, przypadkowe i wyrywkowe, a podobnych możnaby przytoczyć dziesiątki (wszak każde czasopismo kulturalne odnotowuje „bibliografię bieżącą” książek nadesłanych itp.).

Mamy na emigracji dwoje tytanów bibliograficznych: Janinę Zabielską i Jana Kowalika. Kowalik rzuca się z pasją zamilowanego myśliwego w każdą, nawet najtrudniejszą, przygodę bibliograficzną, a obecnie w najgorszym do tego celu miejscu pod słońcem, bo aż w Los Angeles, usiłuje zrekonstruować niezwykle dzieje tułaczego czasopiśmiennictwa polskiego i uplastyczyć pustynię lotnych piasków. Ci dwoje uratują w dużej mierze pamięć o działalności duchowej emigracji. Wielka szkoda, że nie ma prócz nich kogoś trzeciego, kto by się mógł stać Korbutem naszej emigracji.

Jan BIELATOWICZ

## Cerkiew prawosławna w Polsce

Pan Aleksander Switicz, magister teologii, ogłosił w Buenos Aires po rosyjsku obszerną książkę pod powyższym tytułem (1). We wstępie pióra p. Nikołaja Arsenijewa czytamy, że autor pisze o przewinieniach „z obu stron”, tj. ze strony Polaków i ze strony prawosławnych, „na przestrzeni wieków” i że te obustronne przewinięcia powinny nauczyć nas, że przyszłość obu bratnich narodów, tj. polskiego i rosyjskiego, spoczywa w duchu wzajemnego poszanowania wolności sumienia. Te słowa wstępu brzmią bardzo zachęcająco. Czytelnika polskiego ogarnia jednak rozczarowanie, gdy już w pierwszym rozdziale p. Switicz częstuje go „iłowajszczyzną” w rodzaju „odwiecznie (iskoni) rosyjskich ziem” księstwa halickiego. Im dalej, tym gorzej. Opierając się — jak widać z przytoczonej w końcu książki bibliografii — na źródłach wielce jednostronnych, bo z całkowitym pominięciem dzieł polskich (np. prac śp. Wiktora

(1) Aleksander Switicz, magister bogosłowia: *Prawosławna cerkiew w Polsce i jego awtokiefalija*. — Alexander Switich, magistrado de Teologia: Iglesia Ortodoxa en Polonia. Buenos Aires 1959. Str. VIII i 232 i 8 nl.

Piotrowicza, który pisał na emigracji pod pseudonimem Wiesława Żylińskiego (2) lub zwięźle, wydanej bezimiennie przez Polish Research Centre w Londynie w r. 1942 książeczki „The Orthodox Eastern Church in Poland — Past and Present”) autor widzi w dziejach stosunków polsko-rosyjskich, narodowościowych i wyznaniowych, tylko jednego „villaina” — Polskę i tylko jedną niewinną ofiarę bezceństw polskich — cerkiew prawosławna.

Ta jednostronność i tendencyjność p. Switicza osłabia u czytelnika polskiego wrażenie tych rozdziałów książki, w których autor ma rację. Chodzi o rozdziały opisujące prowadzoną w r. 1938 przez rząd gen. Sławoja Składkowskiego akcję niszczenia cerkwi prawosławnych i „polonizacji” liturgii cerkiewno-słowiańskiej. Były to popisy „ludzi niedorosłych do rządzenia”, jak ich nazwał jedyny publicysta polski (Stanisław Mackiewicz, zresztą wspomniany przez p. Switicza), który wtedy zaprotestował przeciwko gwałtom. A były to gwałty, za które przyzwoity Polak do śmierci powinien się rumienić: uzupełniając znane powiedzenie można by rzec, że były czymś gorszym niż zbrodnia i czymś gorszym niż błąd — były bowiem objawem bezgranicznej głupoty ludzi rządzących wtedy Polską. Uczciwy Polak nie powinien zapomnieć tych wyczynów ich sprawcom, którzy dziś sobie wypoczywają na emigracji i po przeczytaniu tych słów może uśmiechnąć się głupkowato.

Pan Switicz jednak mocno osłabił wrażenie tych wstrząsających rozdziałów nie tylko przez jednostronne naświetlanie, a nieraz wręcz fałszowanie ogólnej historii stosunków wyznaniowych polsko-rosyjskich. Oto burzenie cerkwi na Podlasiu i Chełmszczyźnie w r. 1938 postawił na jednym poziomie z całkiem słuszną rewindykacją świątyni odebranych kościołowi katolickiemu po powstaniach oraz z — rozbiórką soboru na placu Saskim w Warszawie. Nie rozumie lub udaje że nie rozumie, że było to rzeczy zupełnie niewspółmierne. W szczególności sobór na placu Saskim był nie „rzekomo” („dję”) ale naprawdę symbolem niewoli. W dziejach nieszczęsnej Warszawy można jego budowę porównać — bez obawy obrażenia czyichkolwiek uczuć religijnych — ze wzniesieniem w sercu Warszawy stalinowskiego Pałacu Kultury. Porównanie wypadnie nawet na korzyść Pałacu Kultury, który jest budowlą „świecką” i może być z czystym sumieniem zburzony, przerobiony, ociosany z ozdóbek itp. Inicjatorzy natomiast wzniesienia soboru na placu Saskim z całą perfidią i z góry zasłonili się *sakrą* w nadziei że obroni on ów pomnik Brzydoty i Ucisku przed wszelkim zamachem ze strony chrześcijan (Przypomnijmy tutaj, że w okresie debat sejmowych nad pytaniem, co zrobić z soborem, byli Polacy — jak najdalej sympatiom prorosyjskim — którzy wypowiadali się za pozostawieniem soboru).

Praca p. Switicza ma zewnętrznie wszelkie cechy pracy historyczno-naukowej. Ponieważ nie jestem ani historykiem, ani znawcą zagadnień wyznaniowych, więc powyższe uwagi sygnalizują tylko ukazanie się tej pracy. Sądzę że powinna być szerzej omówiona przez jednego z naszych znawców przedmiotu.

Michał K. PAWLIKOWSKI

(2) W bibliografii „Kultury” pióra Jana Kowalika błędnie podano imię śp. Piotrowicza: powinno być „Wiktor” a nie „Witold”.

## Schwarz-Bart

### Prix Goncourt 1959

Co roku, już od września, zaczyna się ruch w paryskim świecie książki, temperatura wzrasta; pisarze, krytycy, wydawcy stają do wyścigu; pisma wysuwają kandydatów, za kulisami prowadzone są układy, perswazje, ważą się protekcje, rywalizacje — to okres dorocznych nagród: Goncourt, Fémina, Renaudot, Interallié i in.

Duże domy wydawnicze rzucają na rynek masowo powieści ostatniego pośpiesznego wypieku — stawki gry.

*Les jeux sont faits!*

W tym roku stanęło do zawodów około dwustu pisarzy, dwieście nowych książek w oknach wystawowych i na biurkach jurorów, dwieście pozycji do przeczytania, rozważania, porównania, ocenienia... A nuż, myśli sobie skromny czytelnik i miłośnik książki, tyle światli sędziowie znajdą w tym potoku nowości spodziewaną perłę bezcenną? Ale rzeczy dzieją się inaczej i to nie jest żadną tajemnicą. Wszelkie ludzkie instytucje degenerują, odchodząc od swego pierwotnego celu. Tak się też ma z Akademią Goncourtów, która się stała z latami jednym z czynników przemysłu książki. Nikt perły w tym młyńnie złego i dobrego ziarna nie szuka, na to brak czasu i brak kryteriów, o nagrodach rozstrzygają w dużej mierze domy wydawnicze, uprzednio zdobyty rozgłos, a niekiedy inne, nieprzewidziane okoliczności. Czy ktoś jeszcze pamięta o woli Braci Goncourtów, wyrażonej w testamencie aby ich nagroda wyróżniała *les audaces de la pensée et de la forme* (śmiałość myśli i formy)?

Prawda, że przed dawnymi laty dostali Goncourta Proust i Malraux, ale też od 1903 r. to jedyne naprawdę wielkie nazwiska, reszta prędzej czy później (a raczej prędzej) wsiąka w anonimową szarość niepamięci. Wyścig wartości stał się loterią fantową, nieinteresującą dla elity literackiej. W gruncie rzeczy chodzi o doroczne bilanse wielkich domów wydawniczych, korzystających z potulności i snobizmu szerokiej masy czytelniczej. Nagrodzone książki wchodzi na listę podarunków świątecznych, obowiązujących w Paryżu *étrennes*. Książka z opaską *Prix Goncourt*, najważniejszą, bo inne jury, mniej lub więcej, korzystają z „odpadków” wielkiego stołu — zyskuje rozgłos światowy, a nakłady jej wahają się od 150 do 300 tysięcy, co na stosunki francuskie jest bardzo dużo. „Manda-

André Schwarz-Bart, *Le dernier des Justes*. Roman. Edition du Seuil, str. 346+6 nlb.

ryni” S. de Beauvoir (1954 r.) — osiągnęły 185 tys., reportaż o słoniach „*Les Racines du Ciel*” Romain Gary (1956 r.) — 175 tys., „*La Loi*” Roger Vaillant (1957) — 290 tys., itd.



W bieżącym roku inne względy niż protekcje i bilanse wpłynęły na wybór Goncourtów (przyśpieszony zresztą o kilka tygodni, ze względów komercyjnych i prestiżowych). Wybrańcem został André Schwarz-Bart za swoją pierwszą książkę, wydaną w katolickiej Edition du Seuil pt. „*Le dernier des Justes*”.

Schwarz-Bart jest francuskim Żydem. Jego rodzice wyemigrowali z Polski w latach międzywojennych, osiedlając się w Lotaryngii, w Metz. Ojciec autora był wędrownym handlarzem. Oboje rodzice i trzech braci zginęli w niemieckich obozach śmierci. André Schwarz-Bart wstąpił do francuskiej armii podziemnej i dla tego się uchował. — Po wojnie, nie bez wielu trudności, zdał maturę i zapisał się na Sorbonę, ale zawiedziony środowiskiem studenckim od którego spodziewał się czegoś innego, powrócił do fabryki; jest z zawodu monterem. Odtąd dużo czytał i zaczął pisać, zawsze w nadziei zdobycia szerszych wiadomości i rozwiązania nekających go problemów. Powieść swoją przekształcał pięciokrotnie. Wkrótce po ukazaniu się zwróciła na siebie uwagę, szeroko omawiana w prasie zarówno prawicowej jak i lewicowej. Najbardziej poczytne paryskie tygodniki jak *Express* i *France Observateur*, przeprowadziły z autorem obszernie wywiady. Żydowski miesięcznik *L'Arche* opublikował większe fragmenty książki. Prasa katolicka go pochwaliła, czyniąc pewne zastrzeżenia (zagadnienie nienawiści i zemsty, św. Ludwik zaliczony do prześladowców Żydów, omal w równym stopniu co Hitler). André Rousseaux przyznał Schwarz-Bartowi niepośledni talent a książkę wielkie znaczenie; lewicowy *France-Observateur* wyniósł ją pod niebiosa.

„Kupiłem sobie *France-Observateur* — pisał mi przyjaciel, p. B., człowiek stary, bardzo kulturalny, tłumacz na jidisz Homera — i od razu w kawiarni, zaczytałem się w artykule Claude Roy i wywiadzie ze Schwarz-Bartem Marii Craipeau... Po chwili wstałem i zacząłem chodzić po lokalu tam i z powrotem; ludzie musieli sądzić że jestem niespełna rozumu, bo też zachowywałem się jak wariat — ale stanąłem wobec cudu! To co mi się zdawało niemożliwe stało się rzeczywistością. Czytałem, że powstało wielkie dzieło, które nada nieprzemijający kształt naszym odwiecznym niedolom, trwogom i prześladowaniu... Tyle razy tłumaczyłem przyjaciółom, że czas jeszcze nie nadszedł, że twórcom brak perspektywy wobec zbyt świeżych wydarzeń... Ileż to czasu musiało upłynąć, mówiłem im, nim Homer uwiecznił wypadki Trojańskie? Ile lat nim Tolstoj mógł opisać wojny Napoleońskie? Nasza rola to zbieranie dokumentów dla tego który przyjdzie, nagie surowe

zeznania, fakty z krwi i kości. Nic więcej! I nagle ten Schwarz-Bart! Czyżby już?! Kupiłem książkę, zacząłem czytać... i ja, który całym sercem chciałem błogosławić — nie mogłem! Ręce mi opadły. Odniosłem wrażenie jakby mnie okłamano, jakby ktoś ze mnie zakpił, dlaczego?... Wstyd mi się zrobiło”.

Tyle pan B.

Zuchwałym zamierzeniem Schwarz-Barta było dać całościowy obraz martyrologii narodu żydowskiego, począwszy od legendy o rabinie Yom Tow Levym, z miasta Yorku, w XI w., aż do śmierci bohatera powieści Ernle Leviego w komorach gazowych Oświęcimia. Ale tej całościowej wizji autor nie zdołał stworzyć, ani w ogóle żadnej wizji; poza kilku legendami średniowiecznymi, kilku późniejszymi epizodami historycznymi przyjął Schwarz-Bart kompozycję powieści realistycznej w rodzaju fantastyczno-sentymentalnym, w stylu nieporadnym, obciążonym miejscami bardzo wątpliwego gatunku humorem. Szereg niedokładności, brak podstawowych wiadomości o ludziach i sprawach opisywanych — są zawstydzające.

Dlaczego André Schwarz-Bart, który szczerym sercem chciał uczcić swój naród porwał się na ten temat, tak słabo przygotowany?

Najsurowsi są krytycy żydowscy, zarzucają mu nieznamość historii Żydów, wyznania i obrzędowości Mojżeszowej oraz tekstów świętych, błędy często nie zauważone przez „gojów” a tak grube, jak gdyby Francuz pomylił Wojny Krzyżowe z rzezią św. Bartłomieja, albo katolik Kyrie Elejson z Ave Maria; inni wytykają mu plagiaty, pomylenie dat świętych jeszcze wypadków jak np. tragiczne losy statku Exodus z 1947 r. przeniesione o dziesięć lat wstecz! Albo znów dowolne dorabianie straszności do sytuacji aż nadto groźnych, chwyt fatalny, podcinający zaufanie czytelnika w wiarygodność opowieści. Zarzuty te podjęło pismo *Arts*, następnie *Lettres Nouvelles* (artykuł Artura Sandauera), każdy bowiem z krytyków miał jeszcze coś biednemu autorowi do wypomnienia.

Za osnowę swojej opowieści wziął Schwarz-Bart legendę o trzydziestu sześciu sprawiedliwych, na których w każdym pokoleniu Izraela spoczywa obecność Boga i od których zależy trwanie świata. Ta legenda, bardzo rozpowszechniona wśród Żydów Europy Wschodniej, gdzie dała początek licznym powieściom i klechdom (wspominał o niej M. Sperber w jednej ze swoich powieści, powtórzył za nim A. Koestler w „Hiéroglyphe”) była na Zachodzie prawie nieznamna i dopiero „Le dernier des Justes” rozgłosił ją we Francji. Ale jakże ją Schwarz-Bart spłaszczył, zacierając jej sens mistyczny, nadprzyrodzoną tajemnicę wyboru i tajemnicę misji, spełnianej nieraz nieświadomie przez samych wybrańców, pominał też rozproszenie tych 36 świadków Boga Żywego, przez Niego jednego rozpoznanych. Schwarz-Bart umieścił ich wszystkich w jednym rodzie Levych na przestrzeni tysiąclecia, począwszy

od rabina z Yorku a skończywszy na Ernle Levy, wszyscy świadomi swego wyboru i swego tragicznego przeznaczenia z niewiadomego wyroku i w niewiadomym celu!

Bo w książce Schwarz-Barta znajdujemy echa różnych wierzeń i filozofii niepowiązanych w żaden system. Do pojęć wyznania możeszowego przeniknęły chrześcijańskie (cierpienie ekspiacyjne, ofiara życia dla zbawienia innych, wpływy Dostojewskiego) przelamane buntem zmiążdżonego nienawistną przemocą człowieka.

Niewinny Ernle Levy „umierający sześć milionów razy” ratuje siebie i konające wokół niego dzieci kłamstwem-złudzeniem, opowieścią o piękności Izraela, celu ich podróży (echa legendy Korczaka).

„...Bo tu nie ma miejsca na prawdę” — powiada Ernle.

Bezpośrednich przodków swego bohatera umieszcza Schwarz-Bart w jakimś miasteczku na kresach wschodnich Polski, zwanym Zémyock, (wiemy, że rodzice autora wyemigrowali z Białostockiego), ale o tym miasteczku jak również o kraju i wielu innych sprawach nic autor nie wie, tak że opisywane miejscowości robią wrażenie chwiejnych dekoracji malowanych bardzo niepewną ręką. Opisy pogromów w tej wschodniej dzielnicy grzeszą tą samą niewiedzą i są podane jako masowe mordy, nieustępujące hitlerowskiemu ludobójstwu.

Rzezie w Białostockim, po skończonej wojnie (czyli lata 1918-19) spełniane przez białogwardzistów (?) pod rozkazami oficerów niemieckich, angielskich i francuskich (?). Setki wyciętych miasteczek żydowskich i w tym samym czasie podobne wypadki w Galicji! Stosy pomordowanych trupów składane na rynkach tych miasteczek... Czy to nie rzezie na Ukrainie, za Chmielnickiego? Czy hajdamacyzna w XVIII w.? Czy tylko skłonność autora do „dopełnienia” okropności i jego lekceważenie historii? To staje się nieznosne.

Kiedy indziej opowiada Schwarz-Bart że ludność owego Zémyocku dowiedziała się dopiero w drugim roku wojny światowej o jej wybuchu i to dzięki listom... z Paryża i z New Jorku! Jakież to, pytam, kresowe miasteczko było wolne od samego początku wojny od rekwizycji i poboru? Do jakiego to miasteczka kresowego nie docierały gazety? Jaki Żyd nie wiedział co się dzieje na świecie? To od nich, dzięki ich ruchliwości, solidarności i stąd szerokiemu wywiadowi, dowiadaliśmy się o groźących zarządzeniach, przesuwaniu się frontu, zwycięstwach lub klęskach — wcześniej niż z gazet!

Ale Schwarz-Bart nie był ciekaw prawdy, tak łatwo dostępnej, sądząc w prostocie swojej, że jego szczerze chęci i rączność pióra wystarczą. Tyle o niedostatkach książki.

Piękne są jej ostatnie strony, oparte na bezpośrednich zeznaniach tych nielicznych co żywi uszli z Oświęcimia: wyładowywanie z wagonów, segregacja, orkiestra, ustawianie się w szeregu do łaźni-inhalacji itd.

Tu już nie ma miejsca na ckliwość, ani na „dorabianie”.

W usta konających wkłada Schwarz-Bart słowa hymnu-poematu: „Słysz Izraelu! Odwieczny nasz Bóg, Odwieczny i Jedyny...”.

A przedostatni paragraf książki brzmi:

„Błogosławiony. Oświęcim. Niech będzie. Majdanek — Odwieczny. Treblinka. Błogosławiony. Buchenwald. Niech będzie. Bełżec. Odwieczny. Sobibór. Błogosławiony. Chełmno, Theresienstadt, Warszawa, Wilno, Skarżysko, Bergen-Belsen, Janów, Dora, Neuengamme. Pustków. Błogosławiony... Niech będzie — Ponary. Odwieczny itd., itd...”

Zrozumie kto może i jak może.



Pozostaje jeszcze zagadnienie dlaczego Schwarz-Bart dostał nagrodę Goncourtów, o którą ubiegało się tylu lepszych pisarzy i tyle możniejszych od Ed. du Seuil wydawców?

Dlaczego André Rousseaux w swoim felietonie z 26 września (*Figaro Litt.*) pisał: „Oto jedna z najważniejszych książek, które się pojawiły w ostatnich czasach, książka, która nas porwa i unosi daleko poza literaturę”?

A inny krytyk: „To nie książka, ale miecz wbity w nasze wnętrze...”.

Nie pierwszy raz trzeba nam szukać wyjaśnień niektórych zjawisk w poczuciu winy, która ciąży nad światem za zbrodnię hitlerowską, winy lub świadomego czy podświadomego poczucia odpowiedzialności za mord 6 milionów i obojętność z jaką go świat przyjął. Ponadto, obok antysemityzmu jednych, inni cierpią na sentymentalną litość w stosunku do Żydów, jak do istoty prześladowanej i bezbronnej, której się należą szczególne względy. Tym sobie tłumacząc nagrodzenie Schwarz-Barta. — System ten ani jest szczęśliwy, ani uczciwy.

André Schwarz-Bart na pewno zasługuje na sympatię, opiekę, stypendium naukowe, ale nie na literacką nagrodę. O tak nierzetelnie zareklamowanej książce za kilka miesięcy nikt już nie będzie pamiętał, pierwsi o niej zapomną członkowie Akademii Goncourtów, ale błędy powieści jej cłkliwości w połączeniu z niedostatkiem i błędami informacji mogą zaciążyć na sprawie żydowskiej, której Schwarz-Bart w swojej naiwności szczerze chciał się zasłużyć.



Mówią nam o książkach Edwarda Axelrada (*L'Arche ensevelie*), Emanuela Ringelbluma, Józefa Wulfa i in. Ale czy, kiedy i gdzie pojawi się żydowski Balzak, albo Dostojewski?

Z polskich pisarzy największy kredyt dają Adolfowi Rudnickiemu za jego „Złote Okna”. Ale tylko o ile zachował wierność dla sprawy, którą dotknął własnymi rękami i pasję w stosunku do własnego dzieła.

Pozostaje zalecenie pana B. To co spełniała w Polsce b. Żydowska Komisja Historyczna, to co pełnią inne ośrodki dokumentacji żydowskiej, to co zrobił Michał Borwicz, opracowując pisma skazanych na śmierć (*Ecrits des Comdamnés à Mort*).

Maria CZAPSKA

## Nadesłane nowości wydawnicze

- PAWLIKOWSKI (Michał K.). *Dzieciństwo i młodość Tadeusza Irteńskiego. Powieść*. Str. 552. T. VI. Londyńskiej Biblioteki Literackiej. Winieta T. Terleckiego. (Wyd. B. Świderski, Londyn, 1959, cena 35 sh. lub dol. 5.—).
- ARCT (M.). *Słownik wyrazów obcych*. 33.000 wyrazów, wyrażeni i przysłów cudzoziemskich. Wydanie 19-te. (Przedruk fotolitograficzny wyd. 18-go, Warszawa, 1947). Str. XII+408 trójspaltowych. (Wyd. B. Świderski, Londyn, 1959. Cena: brosz. 35/ lub dol. 5.—; w oprawie 42/ lub dol. 6.—).
- NAGÓRSKI (Zygmunt, sr.), WIERZYŃSKI (Kazimierz), FRIEDMANN (Filip), LICHTEN (Józef L.), POMIAN (Andrzej). *Dialog polsko-żydowski*. Przemówienia wygłoszone w Nowym Jorku 26 września 1958 r. Str. 28. (Nakł. Polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce).
- JANTA (Aleksander). *Jak pokazać „Nieboską” w Ameryce?* Str. 8. (Odbitka z książki zbiorowej „Kraśniński żywy”, wyd. staraniem Zw. Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Wyd. B. Świderski, Londyn, 1959).
- MARKUS (Vasyl). *L'Ukraine Soviétique dans la Relations Internationals 1918-1923*. Etude historique et juridique. Préface de Charles Rousseau. Pp. 326. (Ed. Les Editions Internationales, Paris, 1959).
- PASTERNAK (Boris). *Basne doktora Zivaga*. Z rustiny prelozil Jiri Kovtun. Str. 64. (Wyd. Edice Svedectvi, cena dol. 1,50).
- HINTERHOFF (Eugene). *Disengagement*. With a foreword by Sir John Slessor. Str. 445. (Wyd. Atlantic Books, Stevens & Sons Limited, London, 1959, cena 45 sh.).
- Kalendarz polski na przestępny rok Pański 1960*. Str. 128. (Wyd. Gryf Publications, Ltd., Londyn, 1959).
- DASZEWSKI (Zygmunt J.). *Electrical and electromagnetic Phenomena in the Brain and Human Thinking*. Str. 15. Powielacz. (Wrzesień, 1959, USA, cena dol. 1.—).
- STROBEL (Georg W.). *Krise und veraenrung im Wirtschaftssystem 1915-1958*. Str. 505-524. Odbitka z „Polen”. (Wyd. Boehlaverlag, Koeln Graz, 1959).
- BROMKE (A.) and POL (N.). *The Concept of People's Democracy in the Post-Stalinist Period*. Str. 473-498. Odbitka z „Revue de l'Université d'Ottawa, October-December 1959).
- Compte rendu de l'activité pour les années 1946-7-1956-7*. (de) Société Historique et Littéraire Polonaise. Str. 78. (Wyd. Société Historique et Littéraire Polonaise, Paris, 1959).
- HERLING (Gustav). *Der Turm*. Str. 1037-1064. Odbitka z miesięcznika „Merkur”.



## Listy do Redakcji

Caracas, dn. 10 grudnia 1959 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Uprzejmie proszę o łaskawe zamieszczenie w Pańskim poczytnym miesięczniku „Kultura” — załączonego listu skierowanego uprzednio do redaktora miesięcznika „Nasz Znak”, który jego publikację odrzucił...

Dziękując Panu za tę przysługę

Łączę wyrazy najwyższego szacunku i poważania.

Józef JENNE

„Do Redakcji „Naszego Znak”

Szanowny Panie Redaktorze!

Z wielkim zdumieniem przeczytałem w „Naszym Znak” mój własny art. pt.: „O ukryty sens rewizjonizmu innego...?” zamieszczony w ostatnich numerach Pańskiego poczytnego pisma „Nasz Znak”.

Przez liczne obcięcia treści artykuł pozbawiono jego zasadniczych konkluzji. — A całkowite skreślenie około dwóch końcowych stron tekstu uczyniło go całkiem niepodobnym do oryginału...

Ponadto, wieloma przeinaczeniami artykuł ten został zupełnie oszpecony. Oto jedno z licznych, zadziwiających przeinaczeń: W oryginale pisałem:

„...Był to triumfalny pochód kultur ujarzmiających człowieka. Kultury które człowieka nie ujarzmiły zostały zniszczone. Oto rezultat, który bierze początek od wielkiego maga „Konfucze”. (Konfucjusza) (przyp. obecny J.J.).

W piśmie znajduję:

„...Był to triumfalny pochód kultur ujarzmiających człowieka kultury... Oto rezultat, który bierze początek od maga „Konfucze”.

— Cóż to za dziwoląg? Nie. Nie jestem autorem tego zdania tak wadliwie złożonego. A jest ich znacznie więcej i trudno je tu wyliczać, bo to zabrałoby kilka stron. Zatem za poprawność układu w niczym nie odpowiadam. Z tekstu jaki przesałem powyrwano całe zdania. Miejscami, całe ustępy; nie dbając o dalsze należyte ich powiązanie i układ. Gdzie indziej znowu, całe człony zostały po prostu przestawione w inne miejsca, i skreślono zupełnie ostatnie dwie strony zaczynające się od słów:

(„...Dlatego też rozgrywki prowadzone w obozie reakcyjnych komunistów nic nas nie obchodzą i będziemy się interesować nimi jedynie marginesowo. Obchodzi nas lewica humanistyczna, która wprawdzie w wielu przypadkach formalnie przynależy do obozu komunizmu, ale — takie tam są reguły gry — i my — działający spoza bezpiecznych szafców — nie będziemy ich ani ustalać, ani zmieniać... Ale należy tu wyrazić żal że emigracja polityczna dostrzega jedynie rewizjonizm taki — jaki określa deklaracja dwunastu partii komunistycznych — ogłoszona w Moskwie w dniu 22 listopada 1957 roku. Jednakże ten rewizjonizm, który jest istotnie jedynie sporem wewnętrznym stalinowskich komunistów nic nas nie obchodzi, i będziemy obserwować go tylko tyle; na ile to jest nam w rozgrywce z nim potrzebne, gdyż ani nie mieliśmy, ani nie mamy z nim nic wspólnego.

Zywo obchodzi nas jedynie ruch Rewolucyjnej Lewicy Humanistycznej zapoczątkowany przez młodą inteligencję, której antykomunistyczny i antymarksistowski charakter nie ulegał wątpliwości. I gdy ruchowi temu przyklejono starą leninowską nazwę rewizjonizmu, nie protestowano, gdyż była to przykrywka wygodna dla obu stron. Jedni umiejscowiali zjawisko we własnym obozie, drudzy korzystali z określonych praw kontrahenta, co się ostatecznie obu stronom opłacało...

Ale po prostu aż wstyd przyznać, że emigracyjni działacze polityczni, a szczególnie działacze PPS nie zauważyli różnic — jakby te nie były istotne — albo w ogóle nie istniały. Więcej. Bo ta młodzież, która w kraju miała ostry i otwarty konflikt z „rewizjonistami” z komunistycznej wierzchności została przez całą emigrację potępiona.

U socjalistów, był to być może wyraz dążenia do utrzymania opinii publicznej w przeświadczeniu: że jest tylko jeden obóz socjalizmu demokratycznego, i jeden obóz bolszewickiego komunizmu; i że innych wiar i religii na przedpolu nie było nigdy. Ale tak nie jest, i takie myślenie jest z gruntu fałszywe. Obóz lewicy światowej jest różnicowany bardzo, i tylko szkoda że socjaldemokracja odgrywa w nim jeszcze rolę — tak dużą — co jest jej nieszczęściem, gdyż gdyby nie to, poglądy jej zostałyby skryształizowane znacznie szybciej... Dowodem tego, że taka lewica istnieje; jest stosunkowo silna ewolucja we francuskim ruchu socjalistycznym, a przede wszystkim w światowym ruchu komunistycznym gdzie objawia się w coraz silniej wykrystalizowanym rewizjonizmie...

Fakt, że emigracja polityczna nie rozumiała młodzieży walczącej w kraju i — co teraz wstydliwie ukrywa — potępiła ją, napawa największym smutkiem. Potępiła ją wszyscy, którzy nie rozumieli i nadal nie rozumieją możliwości jakie się w tym ruchu kryły? I tu minione stawianie emigracji na Październik najbardziej oficjalny, albo co jeszcze gorsze — reakcyjny — było największym błędem. Było to przez Emigrację — jeszcze jedno z 1 e r o z e z n a n i e sytuacji... Toteż młodzieży tej w chwilach najbardziej dla niej krytycznych zabrakło nawet moralnego wsparcia.

— Żenujące jest po prostu, że Adam Ciołkosz, dopiero po upływie dwóch i pół lat w sprawach tych pisał:

„Mamy pełny szacunek dla rewizjonistów, dla ruchu intelektualnego jaki w najcięższych warunkach wykonali, ale podać im rękę możemy tylko w jeden sposób: dopomagając im do dalszej ewolucji ideologicznej w kierunku socjalizmu demokratycznego”.

Pięknie! — Tylko że to jest o dwa i pół roku spóźnione i skierowane pod fałszywym adresem... Bo jeżeli Adam Ciołkosz młodzież tę oficjalnie — podczas jej najcięższych walk — potępiał, to pod czym adresem jest teraz — ten apel...?

Jeżeli dla Adama Ciołkosza „rewizjonistycznymi” są jedynie rozłamowe frakcje komunistyczne, to wachlarz ich jest niewielki, i zaczyna się na Tito a kończy na Gomułce; który zresztą — deklarację — podpisał i rewizjonizm w ogóle potępił. — Do kogóż więc jest ten apel skoro rewizjonistyczna młodzież została i przez socjalistów potępiona a cała jej działalność zlekceważona? Bo emigracja niestety do dziś nie rozróżnia: pomiędzy — rewizjonizmem młodych a „rewizjonizmem” oficjalnym, którego wyrazicielami — jeszcze do niedawna był: Wiesław Gomułka, i jest Broz Tito...

Apel socjalistów winien być skierowany do rewizjonistycznej młodzieży polskiej dwa i pół lat temu, jednakże bez jakiegokolwiek chęci zaprowadzenia jej na własne „socjalistyczne” i niczym dotąd niezabrukowane podwórko. I to tej miary socjalista co Adam Ciołkosz — autor apelu do „rewizjonistów” w kraju — powinien był wiedzieć. Właśnie wtedy trzeba było stanąć przy młodzieży, a nie — jak zawsze — wydawać mylne oceny, i mylne sądy wartościujące. Ta młodzież była wtedy nadzieją postępowej i lewicowej Polski, ale nie była nadzieją Emigracji, a także i jej lewicy. Więc to, co nie jest pod jej komendą jest w dalszym ciągu nieprawomyślnie i antypaństwowe...?”

Ale tych sił — tej młodzieży — nikt już nie nawróci: ani na komunizm, ani na socjalizm, ani na żadne bogouciężniane kawałki. Młodzież — pod wpływem lekcji komunizmu — odkryła drogi swoje własne. Wie ona również, że utarta i będąca w obiegowej monocyklicznej idea demokratycznego socjalizmu jest z ducha i w praktyce jak najbardziej konformistyczna i w rezultacie ostatecznym nie prowadzi już do niczego. Idea ta stała się rupieciem którego należy pozbyć się jak najprędzej, — tak samo — jak młodzież pozbyła się wiary w komunizm. Jest to rozeznanie właściwe, gdyż w socjalizmach — jakie znamy od lat nie posuwamy się już ani o krok naprzód. I jeżeli socjalizm nie urzeczywistnia się nawet tam — gdzie socjaliści są steru władzy od całych dziesięcioleci — wątpić należy czy rzeczywiście chodzi tam o socjalizm...? Bo co to jest socjalizm? Socjalizm to przede wszystkim rozwiązanie zagadnienia: w o l n o ś c i i w l a s n o ś c i, a to jak dotąd nie znalazło rozwiązania nigdzie”.

Zacytowałem tu jedynie ze skreśleń z mego artykułu skierowanego do „Naszego Znaku” — dłuższy wyjątek. Z wyjątku tego widać, że różnice w tym co zostało wydrukowane są dość znaczne, i że art. zasługuje na podpis, który by mówił o aktywnej współpracy cenzorskiego ołówka.

Sądzę Panie Redaktorze że nie odmówi mi Pan zamieszczenia powyższego listu w Pańskim poczytnym piśmie „Nasz Znak”.

Łączę wyrazy wysokiego szacunku i poważania

Józef JENNE”

New York, 20.11.59.

Szanowny Panie Redaktorze!

W związku z recenzją „Kultury” na temat pracy zbiorowej niemieckich uczonych pod przewodnictwem Wenera Markerta, a zatytułowanej „Polen”, pozwalam sobie przesłać następujące uwagi:

Z recenzji „Kultury” wynika, że jej autor albo wcale tej pracy nie czytał, albo też nie orientuje się w zagadnieniach polsko-niemieckiego problemu. Bowiem wychwalanie rewizjonistycznej propagandy, naszpikowanej fałszem, wcale nie klasyfikuje Osteuropa-Handbuch jako pełnowartościowego źródła naukowych referencji. Ja mam pretensję do Pana Redaktora o to, że spraw naukowej polemiki z Niemcami nie oddaje do świadczonych ręce, ale powierza komuś, kto się na tym kompletnie nie zna.

Szczególnie moją uwagę zwrócił artykuł profesora Dr. Waltera Kuhna z uniwersytetu w Hamburgu, który twierdzi, że Śląsk należał do Niemiec nieprzerwanie od roku 1329 i dlatego jest niemiecki (str. 143). Trudno przypuszczać, aby dr Kuhn nie wiedział, że Śląsk został przyłączony do Prus w roku 1766. Oprócz tego, profesor Kuhn zapomniał, że po roku 1329 nie było żadnej Rzeszy niemieckiej, lecz tylko luźne i samodzielne księstwa i ksiąstewka, które Bismarck zjednoczył w roku 1871. To, co twierdzi dr Kuhn jest niezgodne z prawdą. Sir J.A.R. Marriott w swojej pracy „The evolution of Prussia”, wydanej jeszcze w roku 1915 pisze: „The First Silesian War was fought to win Silesia, the Second to keep itd.”. (Str. 121). Twierdzenie dr. Kuhna zostało zapożyczone z archiwów Goebbelsa.

Drugim przykładem naukowego obiektywizmu profesora Kuhna jest tabela Nr 39, na stronie 161 tego propagandowego zsmocnesu. W tabeli tej dr Kuhn omawia problem strat niemieckich, opierając się na danych statystycznych z 17 Maja 1939, które stan niemieckiej mniejszości określa cyfrą 1,370.000. *Maly Rocznik Statystyczny* z roku 1938 dla profesora Kuhna nie istnieje, aczkolwiek wszyscy inni autorzy bardzo często cytują to polskie źródło. Uwzględniając psychologiczną awersję dr. Kuhna do tego co jest polskie, trudno się z nim zgodzić. Ale dla ilustracji jego naukowej analizy przytaczam źródła niemieckie. I tak, „Die deutsche Minderheit in Polen, Institut zur Forschung der Minderheitsfragen”. Warschau 1928, str. 128, podaje liczbę Niemców na 885.000. Inny specjalista niemiecki, Victor Kauder podaje cyfrę 980.000 (Kauder „Das Deutschtum in Polen”, Leipzig 1940, str. 23). Jeżeli się uwzględni pozycje z oficjalnej „Statistik des deutschen Reichs” vol. 552, Berlin 1944, która to pozycja podaje, że 250.000 Niemców opuściło Polskę w latach 1933-39, wówczas się okaże, że właśnie *Maly Rocznik Statystyczny* podaje cyfrę najbardziej zbliżoną do prawdy (741.000 Niemców w roku 1938). Po co więc dr Kuhn to wszystko robi? O fałszowaniu statystyki ludnościowej mówią nie tylko Polacy, lecz nawet sami Niemcy. I tak, Max Hodann, w pracy „Der slavische Gurtel um Deutschland”, Berlin 1932, str. 47. Inny uczony i znany specjalista, Wilhelm Volz, krytykuje pracę dr Webera zarzucając mu, że „diese politisch wichtigen Zahlen sind heute in Deutschland nicht unbedingt zuverlässig”. I dalej: „Diese Irrtumer von Feinde ausgenutzt haben uns Oberschlesien gekostet” (Volz W. „Oberschlesien und die oberschlesische Frage” Heft 1, str. 43).

Na końcu, dr Kuhn całkowicie jednostronnie przedstawia problem niemiecki po wojnie, oskarżając Polaków o wszystko, o co tylko można

ich oskarżyć. Jeżeli o profesora Kuhna chodzi, rewizjoniści mają z niego naprawdę pociechę. Tylko, że interes naszego kraju wymaga, aby na takich Kuhnów zwracać uwagę, piętnując ich kłamstwa gdzie się tylko da.

Yours truly

Frank M. KARWACKI

Buenos Aires, 24.11.1959 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Zwracam się z uprzejmą prośbą o ogłoszenie w „Kulturze” mego listu w następującej sprawie:

MIKICIŃSKI!

Opracowałem obszernie tę głośną z ubiegłej wojny sprawę wykazując, że Mikiciński to był wielki aferzysta finansowy, natomiast nie było dowodów jego szpiegostwa na rzecz Niemiec.

Tragiczna pomyłka, ale nie może być ukrywana i należy wypowiedzieć się jasno i odważnie.

Ale zanim rzecz oddam do druku, chciałbym jeszcze pogłębić pracę i wypełnić ewentualne luki — i dlatego zwracam się tą drogą do wszystkich, którzy posiadają jakiegokolwiek dokumenty i dowody w sprawie Mikicińskiego, z prośbą o wypożyczenie mi takowych w oryginale lub odpisie czy fotokopii. Wszelkie koszty z tym związane zwrócę natychmiast.

Wagę równą dokumentom będą miały indywidualne relacje o Mikicińskim i o jego otoczeniu, pisane rzeczowo i obiektywnie. Proszę o takie relacje, a stracony czas wynagrodzę należycie; ewentualną współpracę chętnie będę widział.

Mój adres: Republica Argentina, Buenos Aires, Juncal 655

Mgr. praw Władysław Michniewicz ppłk. dypl.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku.

Wł. MICHNIEWICZ

Londyn, dnia 11 grudnia 1959 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z ogłoszonym w „Kulturze” 12/146 oświadczeniem Stowarzyszenia Lotników Polskich na temat dzieła „Siły Powietrzne” w pierwszej części tomu II dzieła „Polskie Siły Zbrojne w drugiej wojnie światowej” — proszę uprzejmie o zamieszczenie oświadczenia Komisji Historycznej.

Wszystkie poruszone w oświadczeniu S.L.P. sprawy były już przedmiotem publicznej dyskusji w Instytucie Historycznym im. Gen. Sikorskiego w Londynie w dniach 4 i 11 września br. W toku tej dyskusji przedstawiciele S.L.P. otrzymali od Komisji Historycznej wyczerpujące wyjaśnienia i odpowiedzi.

Książka będąca przedmiotem dyskusji jest na rynku księgarskim, czytelnicy więc sami ocenią wysuwane przez Stowarzyszenie Lotników Polskich zarzuty. Mamy nadzieję, iż przekonają się oni, że ze strony Komisji Historycznej zrobiono zostało wszystko aby uniknąć jakiegokolwiek tendencyjności w ogóle, a w sprawach lotniczych w szczególności.

Ponieważ Stowarzyszenie Lotników Polskich wysunęło ponownie sprawę załatwioną na publicznym zebraniu w Instytucie Historycznym im. gen. Sikorskiego — Komisja Historyczna powtórzy swoje wyjaśnienia, ogłaszając je w „Bellonie”.

Proszę przyjąć wyrazy poważania

H. PIĄTKOWSKI, płk.  
Przewodniczący Komisji

Szanowny Panie Redaktorze,

W *Polityce* z dn. 21 listopada r. 59, przeczytałem artykuł nawiązujący do moich wspomnień zamieszczonych we wrześniowej *Kulturze*. Pod artykułem jest przypisek wymagający sprostowania, nie chcąc zwracać się do *Polityki*, skreśliam te kilka słów, z prośbą o zamieszczenie w *Kulturze*.

Oto ów przypisek: „Przy czym tej gorzkiej prawdy nie zmyje fakt, że wielu uczestników tej „konspiracji” równocześnie świetnie i bohatersko biło się przeciw Niemcom. W bombowcu nad Francją wracając z nad Niemiec, zginął F. Lechnicki; nad Niemcami zginął A. Bujalski. Jedno — niestety — nie ma nic wspólnego z drugim”.

Z lotników wymienionych w artykule, prócz Fela Lechnickiego, zginął ppłk. dypl. obs. Stanisław Poziomek. Zginął w locie bojowym nad Biskajami, ciało spłynęło na brzeg hiszpański, został pochowany w Hiszpanii. Mjr. obs. A. Bujalski żyje.

Nie wchodzę w treść artykułu, chwalić mnie nie pochwalili, to się rozumie, ale skoro już poruszyłem przypisek, przy okazji wyrażam podziw odważnego humoru, którym tryska ze słów: „...tej gorzkiej prawdy nie zmyje...”. Trzeba przyznać że w organie polskiej partii taka mowa, to dowcipuszek, że śmiać się i śmiać. Bardzo zgrzywne chłoptysie, można powiedzieć — ambona narodowa dla dzieci urodzonych na księżycu.

Proszę przyjąć wyrazy głębokiego szacunku,

Stanisław SEP-SZARZYŃSKI

Szanowny Panie Redaktorze,

Zwrócono mi uwagę na interesujące studium p. B. Heydenkorna w październikowym numerze „Kultury”. Ponieważ z tekstu wynika jakoby oświadczył, że Kanadyjskie „czynniki rządowe zainteresowane są wyłąc-

nie w ułatwieniu imigrantom materialnego procesu", niniejszym pragnę roz-  
wiać wątpliwości odnośnie zainteresowania kanadyjskiego rządu integracją  
nowoprzybyłych jako, odrębnego od funkcji którą jest zdolny spełniać w  
tym procesie.

Na wspomnianej konferencji w Toronto oświadczyłem, że kulturalna  
integracja imigrantów powinna się dokonywać raczej z inicjatywy społec-  
zeństwa poprzez jego ugrupowania i organizacje, niż w wyniku interwencji  
rządowej. Innymi słowy rząd będący w posiadaniu wystarczających środ-  
ków dla zaspokojenia materialnych potrzeb imigrantów (jak zatrudnienie,  
mieszkanie, ubezpieczenie chorobowe, zapomogi itp.) nie jest powołany  
do rozwiązania problemu kulturalnej adaptacji imigrantów w miejscach  
ich zamieszkania. Rząd ogranicza się przeto do niesienia technicznej po-  
mocy ochotniczym organizacjom społecznym, które jedyne posiadają bez-  
pośrednie kontakty i wpływ na zadomowionych imigrantów.

Abstrahując od skuteczności takiego podejścia faktem jest, że auto-  
nomia i znaczenie organizacyj społecznych jest zasadniczym elementem  
demokracji w kanadyjskim zrozumeniu, jeśli chodzi o socjalno-kulturalny  
rozwoj narodu.

Wydział Spraw Obywatelskich (Canadian Citizenship Branch), któ-  
rego jedyńa funkcją jest słuzenie organizacjom społecznym, jest wystarczają-  
cym dowodem zainteresowania rządu kanadyjskiego kulturalną integracją  
imigrantów. Niemniej jednak ostateczna odpowiedzialność i zasługa należy  
do kanadyjskich czynników społecznych.

Z wyrazami szacunku

Jean BOUCHER

#### KOMUNIKAT

#### KOMITETU FUNDUSZU SKARBÓW WAWELSKICH

Komitet Funduszu Skarbów Wawelskich ma zaszczyt podać do wia-  
domości, że z dniem 15 listopada 1959 Polski Instytut Naukowy w Ame-  
ryce przejął całość dotychczasowego dobrotku Funduszu, włączając projekt  
wydania Monografii Skarbów Wawelskich we własny program obchodów  
Tysiąclecia. Archiwa, konto bankowe, zbiory oraz zdjęcia dokonane sta-  
naniem Komitetu przeniesione zostały do Instytutu.

Jak już doniosła prasa, projektem monografii zbiorów narodowych,  
znajdujących się w Kanadzie i częściowo zwróconych do Polski, zajmować  
się będzie nadal p. Aleksander Janta, który ustąpił ze stanowiska dy-  
rektora wykonawczego Fundacji Paderewskiego. Na członków Komitetu  
dokooptowani zostali: Dr Ludwik Krzyżanowski, Antoni Maryanowski,  
Jan Morelowski oraz Andrzej Zaremba.

## Indeks autorów i tematów rocznika „Kultury” za rok 1959

#### Spis autorów

A.S. (av.). — BENN Gotfryd, BEO, BERLINCZYK,  
BERLSTEIN Alfred, B.H., BIESZCZAD A., BIRZISKA My-  
kolas, BOBKOWSKI Andrzej, BOHUSZ-SZYSZKO Marian,  
BREGMAN Aleksander, BRÓDZIŃSKA Halina, BRONCEL  
Zdzisław, BRZEKOWSKI Jan. — CELIS Rémy, CHCIUK  
Andrzej, CYDZIK A.J., CZAPSKA Maria, CZAPSKI Józef,  
CZARNECKI Marian, CZAYKOWSKI Bogdan, CZER-  
NIAWSKI Adam. — DĄBROWSKI J.P., DRESLER Jaro-  
sław, DZIEWANOWSKI M.K. — FELSZTYN Tadeusz,  
FIERLA Adolf, FRĄCZEK Julian. — GOMBROWICZ Wi-  
told, GRABOWSKI Zbigniew, GRENIER Jean, GROBICKI  
Aleksander, GROSS Feliks. — HERLING-GRUDZIŃSKI  
Gustaw, HERTZ Aleksander, HERTZ Zofia, HEYDEN-  
KORN Benedykt, HOFFMAN Jakub, HOSTOWIEC Paweł.  
— IWANIUK Wacław. — JANTA Aleksander, J. CZ., JOR-  
DAN Zbigniew. — KACZKOWSKA Ada, KAROLUS Jan,  
KATELBACH Tadeusz, KAWALKOWSKI Aleksander, KE-  
DZIOR Aleksander Karol, KIELKOWSKI Wiktor, KISIĘ-  
LEWSKI Stefan, KOMARNICKI Tytus, KONARSKI A.,  
KORCZYŃSKI Aleksander, KOZŁOWSKI S. W., KURD-  
WANOWSKI Jan. — LEDÓCHOWSKI Włodzimierz, LIP-  
SKI Leo, LONDYŃCZYK, LYET Pierre. — ŁAWRYNENKO  
Jurij, ŁOBODOWSKI Józef. — MACKIEWICZ Józef, MAC-  
KIEWICZ Stanisław, MERTON Thomas, MICHEJDA Jan,  
MIEDZIŃSKA Janina, MIEROSZEWSKI Juliusz, MIŁOSZ  
Czesław, MITKIEWICZ Leon, MOSTWIN Danuta. —  
NABOKOV Nicolas, NOWAKOWSKI Tadeusz. — OBSER-  
WATOR, OSTROWSKI Wiktor. — PANKOWSKI Marian,  
PAWLIKOWSKI Michał K., PIOTROWSKI Stanisław, PLI-  
SOWSKI Kazimierz, POHOSKI Wojciech, POPLAWSKI

Włodzimierz V., PRAGŁOWSKI Aleksander, PRZYGODA Jacek ks., PUSŁOWSKI Franciszek. — RAYSKI Ludomir, RODAK Z POMORZA, ROMANOWICZ Kazimierz, ROMANOWICZ Zofia, ROSTWOROWSKI Jan. — SAMBOR Michał, SCHOENFELD Henryk, SEYDA Jan, SEP-SZARZYŃSKI Stanisław, SIEMASZKO Zbigniew, SIRKO B., SŁOWACKI Juliusz, SOJKA Wojciech, ks., SOKOLNICKI Michał, SOLSKI Waclaw, SOROKA Waclaw, SOWINSKI Adolf, SPEEDBY-SZPIDBAUM Henryk, STACHIEWICZ Waclaw, SULIK Bol., SUŁKOWSKI Tad., SWIANIEWICZ Stanisław, SZCZYTOWSKA Bożena, SZUBSKA Barbara, SZWAJCER Stanisław, SZYMAŃSKI Leszek. — SMIEJA Florian. — TARNAWSKI Wit, TARNOWSKI Artur, TOPORSKA Barbara, TORUNCZYK Franciszka, TRENCZYŃSKI Andrzej W. — VINCENZ Stanisław. — WANDYCZ Piotr, WEINTRAUB Wiktor, WITTLIN Józef, WOHNOUT Wiesław. — ZAREMBA Paweł, ZAWADOWSKI Zygmunt, ZBYSZEWSKI W.A., Z.M., Z.M.W., ZNOWSKI Bogdan. — ŻAGIELL E.

#### Artykuły polityczne, społeczne, gospodarcze

BEO: *Kronika ukraińska* (12/146).  
 BERLINCZYK: *Berlin* (6/140).  
 — *Kronika berlińska* (10/144).  
 Chińskie notatki (4/138).  
 GROSS Feliks: *Rewolucja klasowa Ameryki* (12/146).  
 HERTZ Aleksander: *O „atomizacji” w Ameryce i gdzie indziej* (4/138).  
 — *Swoi i obcy* (9/143, 10/144).  
 — *Zagasty światła szabaśne* (5/139, 6/140).  
 KAWAŁKOWSKI Aleksander: *U progu V Republiki* (3/137).  
 KOZŁOWSKI S.W.: *Przegląd niemiecki* (7/141-8/142, 10/144, 11/145, 12/146).  
 LEDÓCHOWSKI Włodzimierz: *Konflikt rasowy w Afryce Południowej* (5/139).  
 LONDYŃCZYK: *Kronika angielska* (1/135-2/136, 3/137, 4/138, 5/139, 6/140, 7/141-8/142, 9/143, 10/144, 11/145, 12/146).  
 MIEROSZEWSKI Juliusz: *Czy Niemcy wrócą na Wschód?* (7/141-8/142).  
 — *Czy socjalizm jest jeszcze potrzebny?* (10/146).  
 — *Dwadzieścia lat później* (1/135-2/136).  
 — *Księżyc sprzed trzystu lat* (9/143).  
 — *„Mali Europejczycy” wokół Berlina* (4/138).  
 — *Najważniejszy z ważnych* (6/140).  
 — *Przeciw glinianej teorii pocieszenia* (10/144).  
 — *Spór* (3/137).  
 — *„The mind”* (5/139).

— *W matni koegzystencji* (11/145).  
 MOSTWIN Danuta: *O przestępczości młodzieżowej w U.S.A.* (11/145).  
 OBSERWATOR: *O Wiedniu bez blagi* (9/143).  
 SWIANIEWICZ Stanisław: *Przyszłość gospodarcza Azji* (1/135-2/136).  
 ZBYSZEWSKI W.A.: *Anglia revisited* (5/139).  
 — *Polski Londyn po siedmiu latach* (6/140).

#### Artykuły i essaye z dziedziny literatury, sztuki i inne

CZAPSKI Józef: *Mój Londyn* (11/145).  
 DRESLER Jarosław: *Literatura dzisiejszej Czechosłowacji* (7/141-8/142).  
 FIERLA Adolf (tłumacz) ob. Dresler Jarosław (7/141-8/142).  
 GOMBROWICZ Witold: *Fragmenty z dziennika* (4/138, 6/140, 7/141-8/142, 9/143).  
 HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Komentarz tłumacza* (3/137).  
 — (Tłumacz) ob. Ławrynenko Jurij (3/137).  
 HOSTOWIEC Paweł: *Notatnik nieśpiesznego przechodnia* (1/135-2/136).  
 — *Notatnik nieśpiesznego przechodnia. Z Dziennika podróży* (1) (12/146).  
 ŁAWRYNENKO Jurij: *Literatura sytuacji pogranicznych* (3/137).  
 ŁOBODOWSKI Józef: *„Ostatnia wiosna”* (7/141-8/142).  
 — *Strapienia tłumacza* (6/140).  
 MERTON Thomas: *List do niewinnego świadka* (5/139).  
 MIŁOŚZ Czesław: *Opóźnione procesy* (10/144).  
 — (tłumacz) ob. Merton Thomas (5/139).  
 SOWIŃSKI Adolf: *Gotfryd Benn* (11/145).  
 VINCENZ Stanisław: *List z Neapolu* (6/140).  
 WITTLIN Józef: *Blaski i nędze wygnania* (9/143).  
 ZBYSZEWSKI W.A.: *O pisarzach i redaktorach* (3/137).

#### Powieść, nowele, fragmenty powieściowe, wspomnienia

BOBKOWSKI Andrzej: *Czarny piasek* (11/145).  
 BRZEKOWSKI Jan: *Podziemne przejście* (4/138).  
 CHCÍUK Andrzej: *Wspomnienie o Brunonie Schulzu* (7/141-8/142).  
 GROBICKI Aleksander: *Bartek zwycięzca* (5/139).  
 — *Koncert* (1/135-2/136).  
 LIPSKI Leo: *Pradawna opowieść* (3/137).  
 MOSTWIN Danuta: *„Lanczeneta” przy Alei Północnej*

- (12/146).  
 — *Strycio z Ameryki* (5/139).  
 NOWAKOWSKI Tadeusz: *Podróż do Portugalii* (9/143).  
 — *Syn zadżumionych* (1/135-2/136).  
 ROMANOWICZ Zofia: *Przejście przez Morze Czerwone* (7/141-8/142).  
 SOLSKI Wacław: *Podróż do Europy* (1/135-2/136, 3/137, 4/138, 5/139).  
 SOWIŃSKI Adolf: *Kazanie księdza Badury* (3/137).  
 ZBYSZEWSKI W.A.: *Śladami Solskiego* (4/138).  
 — *Zagubieni romantycy* (10/144).

### Utwory poetyckie

- BENN Gotfryd: *Chopin* (11/145).  
 — *Chwiejność* (11/145).  
 — *Fragmenty* (11/145).  
 — *Inna wiosna* (11/145).  
 — *Konstrukcja* (11/145).  
 — *Mężczyzna i kobieta idą przez barak rakowatych* (11/145).  
 — *Ministrowie spraw zagranicznych* (11/145).  
 — *Niechaj nikt nie płacze* (11/145).  
 — *Nie może być żałoby* (11/145).  
 — *Notturmo* (11/145).  
 — *Spotykałem dziewczęta* (11/145).  
 — *St. Petersburg — Połowa stulecia* (11/145).  
 — *Wiersze statyczne* (11/145).  
 — *Zniszczenia* (11/145).  
 MIŁOSZ Czesław: *Heraklit* (5/139).  
 — *Na ścieżce damy dworu* (5/139).  
 — *Rozmowy na Wielkanoc 1620* (5/139).  
 — *Z chłopą król* (5/139).  
 PANKOWSKI Marian: *Góralu czy ci...* (1/135-2/136).  
 SOWIŃSKI Adolf (przekłady) ob. Benn Gotfryd (11/145).

### Historia Polski

- CZAPSKI Józef: *O paszkwilu* (6/140).  
 HERTZ Zofia (tłumaczka) ob. Lyet Pierre (10/144).  
 HEYDENKORN Benedykt: *Wolne miasto Gdańsk* (6/140).  
 KACZKOWSKA Ada: *Pamięci Romana Knolla* (1/135-2/136).  
 KAROLUS Jan: *Wojskowe obozy szkolne w Szwajcarii* (4/138).  
 KAWAŁKOWSKI Aleksander: *Na posterunku we Francji* (6/140).

- LYET Pierre: *Gdy Niemcy miażdżyły Polskę...* (10/144).  
 MITKIEWICZ Leon: *Czy był możliwy front antyniemiecki?* (12/146).  
 — *Wspomnienia kowieńskie 1938-39* (7/141-8/142).  
 PRAGŁOWSKI Aleksander: *Kampania wrześniowa* (9/143).  
 SĘP-SZARZYŃSKI Stanisław: *Trop legendy* (9/143).  
 SIEMASZKO Zbigniew: *Wojenne kontakty z krajem* (5/139).  
 SOKOLNICKI Michał: *Chlubne karty PPS* (7/141-8/142).  
 — *Historia i interpretacja* (6/140).  
 STACHIEWICZ Wacław: *Książka gen. Rómmla* (10/144).  
 WANDYCZ Piotr: *Konferencja w Spa* (6/140).  
 — *Sojusz polsko-francuski z 1921 r.* (11/145).  
 ZAREMBA Paweł: *Polska w połowie XII wieku* (1/135-2/136).

### Sprawy krajowe

- BRODZIŃSKA Halina: *Stopa życiowa w Polsce* (1/35-2/136).  
 CZAPSKA Maria: *Oko za oko* (1/135-2/136).  
 — *Jeszcze o Konkursie Policijnym* (7/141-8/142).  
 MIEDZIŃSKA Janina: *Fiasko młodzieżowej polityki partii* (10/146).  
 MIŁOSZ Czesław: *List do polskich komunistów* (11/145).  
 OBSERWATOR: *Notatnik polityczny* (2) (1/135-2/136).  
 — *Ogłaszamy Konkurs Literacki* (5/139).  
 PIOTROWSKI Stanisław: *Oblicze nowej Warszawy* (5/139).  
 SEYDA Jan: *Wspomnienia* (5/139).  
 SOROKA Wacław: *Obrotowy Winkelried* (10/144).  
 SZYMAŃSKI Leszek: *„Współczesność”* (7/141-8/142).  
 Z.M.: *Nauka czy propaganda?* (7/141-8/142).

### Recenzje, sprawozdania, nowości wydawnicze

- (av): *Aktualność Szeptyckiego* (12/146).  
 BOBKOWSKI Andrzej: *Powieść meteorologiczna* (7/141-8/142).  
 BRZEKOWSKI Jan: *Spóźniony prekursor* (1/135-2/136).  
 CZARŃECKI Marian: *Pierwsza pancerna* (12/146).  
 DRESLER Jarosław: *Czy nowy Szwejk?* (11/145).  
 DZIEWANOWSKI M. K.: *Anatomia i filozofia rewolucji* (1/135-2/136).  
 — *Przyjaciel Polski* (10/144).  
 HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Na tematy pornograficzno-loliterackie* (7/141-8/142).

- IWANIUK Waclaw: *O „Rachunku zachciankowym”* (9/143).  
 — *Uwagi i noty* (10/144).  
 JORDAN Zbigniew: *Filozofia Spinozy i filozofia życia* (7/141-8/142).  
 — *Filozofia w Ameryce* (4/138).  
 — *Książka o Sokratesie* (5/139).  
 KOZŁOWSKI S.W.: „*Polen*” (11/145).  
*Nadesłane nowości wydawnicze* 1/135-2/136, 3/137, 4/138, 6/140, 9/143, 10/144, 11/145, 12/146).  
 PANKOWSKI Marian: *Emigracyjne nowości poetyckie* (7/141-8/142).  
 RODAK Z POMORZA: *Regionalna literatura kàsubaska* (11/145).  
 SAMBOR Michał: „*Dom starej lady*” (4/138).  
 SCHOENFELD Henryk: *Atom nie jest tylko sprawą scjentyfiki* (12/146).  
 SOROKA Waclaw: *Górny Śląsk* (12/146).  
 SMIEJA Florian: *Nowe przekłady z hiszpańskiego. Cz. III* (10/144, 11/145).  
 TARNAWSKI Wit: *Przemiany Grahama Greene'a* (4/138).  
 TORUŃCZYK Franciszka: *Zapiski więźnia praskiego* (7-141-8/142).  
 WANDYCY Piotr: *Hitler i Stalin* (3/137).  
 WOHNOUT Wiesław: *Beck, Szembek, Rembek* (3/137).  
 — *Guliwer i królestwo Liliputów* (12/146).  
*Wydawnictwa ukraińskie* (1/135-2/136, 10/144, 12/146).  
 ZAWADOWSKI Zygmunt: *Na ślepych torze* (10/144).  
 ZBYSZEWSKI W.A. (tłumacz) ob. Dresler Jarosław (11/145).  
 Z.W.M.: „*Encyklopedia*” krajowa (5/139).  
 ŻAGIELL E.: *Pamiętniki gen. Rasztikisa* (3/137).

### Kronika kulturalna

- BERLSTEIN Alfred: *Szolem Alejchem* (6/140).  
 B.H.: *Rozmowa z kierownikami Funduszu Stypendialnego* (7 411-8/142).  
 BOHUSZ-SZYSZKO Marian: *Na marginesie sztuki Van Haardta* (1/135-2/136).  
 BRONCEL Zdzisław: *Ewa i socjalizm* (6/140).  
 — *Trzy polskie wydawnictwa* (1/135-2/136).  
 BRZEKOWSKI Jan: *Literatura antywalorów* (7/141-8/142).  
 CELIS Rémy: *Na marginesie pewnej wystawy* (7/141-8/142).  
 CZAPSKI Józef: *Derwisz* (9/143).  
 — *Galerie Lambert* (6/140).  
 CZAYKOWSKI Bogdan: *Galeria Grabowskiego* (Wywiad) (4/138).

- Fundusz Stypendialny im. Albina Radomskiego* (Komunikat) (6/140).  
 GRENIER Jean: *Nikifor* (6/140).  
 J. Cz.: *Maupassant, Hostowiec, abstrakcja* (7/141-8/142).  
 JORDAN Zbigniew: *Kongres Socjologów w Stresie* (11/145).  
*Jubileusz Stanisława Vincenza* (1/135-2/136).  
*Konkurs im. Kamila Norwida w Buenos Aires* (Komunikat) (11/145).  
*Monografia Skarbów Wawelskich* (Komunikat) (7/141-8/142).  
*Nagroda Muzyczna Fundacji im. Paderewskiego* (Komunikat) (9/143).  
*Nagroda Syndykatu Dziennikarzy Polskich w Niemczech* (Komunikat) (1/135-2/136).  
*Nagrody S.P.K.* (1/135-2/136).  
*Pięć nagród literackich Związku Pisarzy* (1/135-2/136).  
*Pisarze emigracyjni o sytuacji literatury w Kraju* (Uchwała Zw. Pisarzy Polskich na Obczyźnie) (3/137).  
*Polonica włoskie* (3/137).  
*Rozstrzygnięcie Konkursu Literackiego* (Komunikat) (12/146).  
 SŁOWACKI Juliusz: *(Słowa zawsze aktualne)* Fragment listu do Józefa Komierowskiego (3/137).  
 SOKOLNICKI Michał: *Słownik Biograficzny* (3/137).  
 SUŁKOWSKI Tadeusz: *Rzeźby Aliny Slesińskiej* (4/138).  
 TARNOWSKI Artur: *Prawda o zbiorach dzikowskich* (5/139).  
 WEINTRAUB Wiktor: *Polski Słownik Biograficzny redivivus* (3/137).  
 WITTLIN Józef: *Bibliotekarz Alfred Berstein* (9/143).  
*Wyróżnienie poety emigracyjnego* (1/135-2/136).  
*Wystawa fotografiki polskiej na uchodźstwie* (Komunikat) (4/138).

### Wolna Trybuna

- MACKIEWICZ Stanisław: *Mise au point* (4/138).  
 MIŁOSZ Czesław: *Odpowiedzi* (4/138).  
 TOPORSKA Barbara: *List do Miłosza* (3/137).

### Sprawy i Troski

- A.S.: *Migawki z Brazylii* (6/140).  
 CHCIUK Andrzej: *Najnowsza emigracja w Australii* (4/138).  
 CZAYKOWSKI Bogdan i SUŁIK Bolesław: *Rolnicy* (7/141-8/142).  
 DĄBROWSKI J.P.: *W Glasgow czy w Glasgowie* (3/137).  
 HEYDENKORN Benedykt: *Polonia kanadyjska* (10/144).

- SULIK Bolesław: (ob. Czaykowski Bogdan i Sulik Bolesław) (7/141-8/142).  
 ZBYSZEWSKI W.A.: *Voice of America* (9/143).  
 ZAGIELL E.: *Kronika australijska* (4/138).

### Tłumaczenia

#### Z języka angielskiego

- LAWRYNENKO Jurij: *Literatura sytuacji pogranicznych* (3/137), przeł. Gustaw Herling-Grudziński.  
 MERTON Thomas: *List do niewinnego świadka* (5/139), przeł. Czesław Miłosz.

#### Z języka czeskiego

- DRESLER Jarosław: *Literatura dzisiejszej Czechosłowacji* (7/141-8/142), przeł. Adolf Fierla.

#### Z języka francuskiego

- LYET Pierre: *Gdy Niemcy miażdżyły Polskę...* (10/144), przeł. Zofia Hertz.

#### Z języka niemieckiego

- BENN Gotfryd: *Chopin* (11/145), przeł. Adolf Sowiński.  
 — *Chwiejność* (11/145), przeł. Adolf Sowiński.  
 — *Fragmenty* (11/145), przeł. Adolf Sowiński.  
 — *Inna wiosna* (11/145), przeł. Adolf Sowiński.  
 — *Konstrukcja* (11/145), przeł. Adolf Sowiński.  
 — *Mężczyzna i kobieta idą przez barak rakowatych* (11/145), przeł. Adolf Sowiński.  
 — *Ministrowie spraw zagranicznych* (11/145), przeł. Adolf Sowiński.  
 — *Niechaj nikt nie płacze* (11/145), przeł. Adolf Sowiński.  
 — *Nie może być żaloby* (11/145), przeł. Adolf Sowiński.  
 — *Notturmo* (11/145), przeł. Adolf Sowiński.  
 — *Spotykałem dziewczęta* (11/145), przeł. Adolf Sowiński.  
 — *St. Petersburg — Połowa stulecia* (11/145), przeł. Adolf Sowiński.

- *Wiersze statyczne* (11/145), przeł. Adolf Sowiński.  
 — *Zniszczenia* (11/145), przeł. Adolf Sowiński.  
 DRESLER Jarosław: *Czy nowy Szwejk* (11/145), przeł. W.A. Zbyszewski.

### Bibliografie

*Indeks autorów i tematów rocznika „Kultury” za rok 1958* (1/135-2/136).

### Listy do Redakcji

BIESZCZAD A. (1/138), BIRZISKA Mykolas (7/141-8/142), BREGMAN Aleksander (4/138), CHCIUK Andrzej (10/144), CYDZIK A.J. (1/135-2/136), CZERNIAWSKI Adam (11/145), FELSZTYN Tadeusz (11/145), FRĄCZEK Julian (1/135-2/136), GOMBROWICZ Witold (3/137, 6/140), GRABOWSKI Zbigniew (5/139), HEYDENKORN Benedykt (6/140), HOFFMAN Jakub (6/140), IWANIUK Wacław (3/137), JANTA Aleksander (11/145), KATELBACH Tadeusz (11/145), KĘDZIOR Aleksander Karol (10/144, 11/145), KIEŁKOWSKI Wiktor (7/141-8/142), KISIELEWSKI Stefan (4/138), KOMARNICKI Tytus (9/143), KONARSKI A. (7/141-8/142), KORCZYŃSKI Aleksander (Prezes Zw. Dziennikarzy RP., Syndykat w Ameryce Północnej (3/137), KURDWANOWSKI Jan (9/143), MACKIEWICZ Józef (9/143, 10/144), MACKIEWICZ Stanisław (9/143), MICHEJDA Jan (10/144), NABOKOV Nicolas (12/146), OSTROWSKI Wiktor (3/137), Oświadczenie Stowarzyszenia Lotników Polskich (12/146), PAWLIKOWSKI Michał K. (1/135-2/136, 6/140, 9/143), PLISOWSKI Kazimierz (5/139), POHOSKI Wojciech (9/143), POPLAWSKI Włodzimierz V. (11/145, 12/146), PRZYGODA Jacek ks. (1/135-2/136), PUSŁOWSKI Franciszek (Sekretarz Zw. Dziennikarzy RP., Syndykat w Ameryce Północnej) (3/137), RAYSKI Ludomir (12/146), ROMANOWICZ Kazimierz (11/145), ROSTWOROWSKI Jan (10/144, 12/146), SĘP-SZARZYŃSKI Stanisław (5/139), SIRKO B. (9/143), SOJKA Wojciech ks. (3/137, 5/139), SOKOLNICKI Michał (3/137), SOLSKI Wacław (6/140), SPEEDBY-SZPIDBAUM Henryk (6/140), SZCZYTOWSKA Bożena (3/137), SZUBSKA Barbara (3/137), SZWAJCER Stanisław (9/143), SZYMAŃSKI Leszek (6/140), TARNOWSKI Artur (7/141-8/142), TRENCZYŃSKI Andrzej W. (1/135-2/136, 6/140), VINCENZ Stanisław (3/137), ZBYSZEWSKI W.A. (5/139), ZNOWSKI Bogdan (5/139).



**Dokumenty**

Komunikat Redakcji o utworzeniu w ramach „Biblioteki KULTURY” serii „Dokumenty” (3/137).

**Różne**

Dalsze wpłaty na dom „Kultury” (1/135-2/136), 3/137, 4/138, 5/139, 6/140, 7/141-8/142, 9/143, 10/144, 11/145, 12/146).

Errata (dot. książki Wacława Lednickiego „Glossy Krasieńskiego do apologetyki rosyjskiej”, Tom XLV „Biblioteki KULTURY”) (11/145).

Komunikat Redakcji: Dar czytelników „Kultury” dla Biblioteki Narodowej w Warszawie (7/141-8/142).

Komunikat Redakcji o streszczeniu w języku angielskim (4/138). Komunikat Senatu U.J. (5/138).

„Kultura” — Quarterly Digest (4/138, 7/141-8/142, 12/146).

Na fundusz prasowy „Wolna Trybuna” (3/137).

Na akcje kulturalną „Kultury” (6/140, 9/143).

Na młodzież z Polski studiującą w Paryżu (5/139, 7/141-8/142).

Na nagrobek dla Jana Olechowskiego (5/139).

Na paczki do Polski (3/137).

Na „Secred Police Found” (6/140, 7/141-8/142, 9/143, 12/146).

Przedpłata na „Doktora Żiwago” (3/137).

Sprostowanie (do artykułu Zbigniewa Jordana „Kongres Socjologów w Stresie”) (12/146).

**Noty biograficzne autorów**

LYET Pierre (10/144).

SIEMIASZKO Zbigniew Sebastian (5/139).

SOWIŃSKI Adolf (3/137).

**Wydawnictwa książkowe w r. 1959****Biblioteka „Kultury”**

Tom XXXVI: Katelbach Tadeusz, *Rok słych wróżb* (1943). str. 224.

Tom XXXVII: Ławrynenko Jurij, *Rozstriljane Widrodżennja*. Antologia 1917-1933. Poezja, proza, dramat, essey. W języku ukraińskim. Str. 980.

Tom XXXVIII: Łobodowski Józef, *Pieśń o Ukrainie*. Z przekładem na jęz. ukraiński Światostawa Hordynskiego. Str. 36.

Tom XXXIX: Nowakowski Tadeusz, *Syn zadżumionych*. Str. 88.

Tom XL: *Program Związku Komunistów Jugosławii*. Krytyka „Komunista”. Seria „Dokumenty”. Zeszyt 5. Str. 276.

Tom XLI: *Kultura Masowa*. Wybór essayów. (Przełożył z angielskiego i opracował Czesław Miłosz). Seria „Dokumenty”, Zeszyt 6. Str. 148.

Tom XLII: Hlasko Marek, *Hrbitovy*. („Cmentarze” w przekładzie K.R. Beny na język czeski). Str. 113.

Tom XLIII: Kowalik Jan, „*Kultura*” 1947-1957. Bibliografia zawartości. Działalność wydawnicza (1946 — maj 1959). Str. 392.

Tom XLIV: Pasternak Borys: *Doktor Żiwago*. Przekład z rosyjskiego Pawła Hostowca. Poezje przełożył z rosyjskiego Józef Łobodowski. Str. 507.

Tom XLV: Lednicki Wacław, *Glossy Krasieńskiego do apologetyki rosyjskiej*. Str. 44.

Tom XLVI: Abram, *Sąd idzie*. Anonim, *Co to jest realizm socjalistyczny?* Przełożył z rosyjskiego Józef Łobodowski. Przedmowa Gustawa Herling-Grudzińskiego. Str. 135.

Tom Déry Tibor, *Niki*. Przekład z węgierskiego. Przedmowa Gustawa Herling-Grudzińskiego. Str. 93.

Tom XLVIII: Sukiennicki Wiktor, *Kolumbowy błąd*. Szkice z historii, teorii i praktyki sowieckiego „komunizmu”. Seria „Dokumenty”, Zeszyt 7. Str. 205.

Tom XLIX: Iwaniuk Wacław, *Milczenia* 1949-1959. Poezje. Str. 44.

Tom L: Miłosz Czesław, *Rodzina Europa*. Str. 248.

**PRZEDSTAWICIELSTWO BANKU P.K.O. - WOLNE od CŁA  
LEKARSTWA MATERIAŁY ŻYWNOŚĆ**

Katalog 200 popularnych paczek  
oraz obszerny Cennik Lekarstw (400 poz.)  
na żądanie.

**CENTRALA WYSYŁKOWA**

**HASKOBA LTD**

21 Earls Court Rd, London S.W. 5



Zawiadamiamy naszych czytelników, że w ciągu  
stycznia rb. ukaze się obszerny

## KATALOG Biblioteki "Kultury"

obejmujący wszystkie nasze wydawnictwa łącznie z  
cenami, ilością stron i krótką treścią każdej książki.  
Katalog ten będzie stale uzupełniany gdyż w miarę uka-  
zywania się nowych książek będziemy drukowali ulot-  
ki, pozwalające zorientować się w treści wydawnictwa.

**KATALOG BĘDZIE WYSYŁANY BEZPŁATNIE  
NA ŻĄDANIE**

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI,  
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CH1swick 1860.

Cena ogłoszeń: cała strona 20.000 frs., 1/2 strony 10.000 frs.  
(w tekście + 50%; okładka + 100%).

Wydawca: Edition et Librairie „LIBELLA”,  
12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris (4<sup>e</sup>)

Directeur-gérant: Mme Christiane Karasiewicz.  
Dépôt légal: 1 trimestre 1960

# KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC  
Adres Redakcji : 91, Av. de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)  
Telefon : 962 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerato	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Janusz Kruszynski, 54, 15th St., Parkhurst, Johannesburg	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires	55 pesos	330 pesos	660 pesos
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) PTY Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	5 sh. (a)	£.A.1.7.6.	£.A.2.12.6.
BELGIA I KONGO BELG. : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Square Saintelette, app. 2, Bruxelles, Nr konta pocztowego 7315-20	35 frb.	180 frb.	320 frb.
BRAZYLIA : Prenumeraty przyjmują: Julia Barcinska, r. Itaipava 101 (J. Botânico), Rio de Janeiro; Zofia Kietlińska, Av. Batel 1514, Curitiba Parana; Jadwiga Swirska, rua Maranhao 213, Sao Paulo		4 dol. am.	6 dol. am.
BRYT. AFRYKA WSCHOD. (Kenya, Tanganyka, Uganda), Roman Krolkowski, POBOX 5979, Nairobi, Kenya	3 sh. 9 d. 2,50 NF	21 sh. 13 NF	42 sh. 26 NF
FRANCJA : « Libella », 12, r. St-Louis-en-l'Île, Paris-4			
HOLANDIA : T. Szpilczynski, Ruysdaelkade 5, Amsterdam-Z, Tel. : 716080. Nr Konta poczt. 13500 — t.b.v.S. 6538	2 fl. hol.	12 fl. hol.	24 fl. hol.
KANADA : M. Jaxa-Debicka, 221 Howard Park Av., Toronto 3, Ont. lub c/o Polish Voice, 1089 Queen St. W., Toronto Ont.; K. Krakowska, 3445 Marlowe Av., N.D. de G., Montreal/Queb., Tél. : HU 8-5224; H.R. Radomski, 107, Rose Park Drive, Toronto/Ont. Tél. : HY-0829; Vatra Trade, 273 1/2 Selkirk Av., Winnipeg 4, Man.; « Zwiastkowiec », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tél. : LE 1-2491; Roman J. Sas-Babczynski, 64 Indian Rd., Toronto 3, Ont., Tél. : LE 4-1407	75 cent.	4 dol.	6 dol.
MEKSYK : Victor Stanislawski, Av. Libertad 1350, dep. 1, Guadalaraja, Jal. Tél. : 49855.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
NIEMCY : St. Mikiciuk, (13b) München 45, Gablonzerstr. 7/1	2,50 DM	13,50 DM	25 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Moss. Kongesgt. 2	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél. : 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	2,50 fr. s.	13,50 fr. s.	25 fr. s.
SZWECJA : Red. Norbert Zaba, Kalkskärsgatan 3/IV Stockholm		18 kor.	33 kor.
U.S.A. : W. Bienkowski, « Gryf Publ. », 296 Sheridan Av., Albany, N.Y.; S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y.; L. Dudarew Ossetynski, 670-47 street, Brooklyn 20, N.Y.; S. Dziarczykowski, 4009 W., 23rd St., Los Angeles 18, Cal.; M.K. Dziewanowski, 51 Reservoir St., Cambridge 38, Mass.; T. Konopacki, 1253 Hathaway Av., Cleveland 7, Ohio. Tel. LA-1.2305; Ch. M. Kretowicz, 2109 Robinwood Av., Toledo 2, Ohio; V.B. Kwast, 376 Wallingford Terrace, Union, N.J.; A. Pleszczynski, 2025 Monterey St. Santa Barbara, Calif.; Polish Amer. Book Co, 1136 Milwaukee Av., Chicago 22, Ill.; The Polish Book Importing Co, Inc., 38 Union Sq., New York 3, N.Y.; E. Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo 12, N.Y.; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia 25, Pa.; K. Trojanowski 17932 Van Dyke, Detroit 34 Mich. Tél. T W 2.0890.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
W. BRYTANIA : « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
WŁOCHY : Aleksander J. Mikucki, via Giulio Bechi, 2, int. 14, Roma. Tél. : 87-87-89.	300 lires	1.750 lires	3.000 lires

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta  
2 N F półrocznie i 4 N F rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 N F.  
Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:  
Jerzy GIEDROYC, 91, Avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)  
C.C.P. PARIS 7585-94

Nowości

**BIBLIOTEKA "KULTURY" :**

**TOM L**

**CZESŁAW MIŁOSZ**

# **RODZINNA EUROPA**

**NOWA KSIĄŻKA WYBITNEGO POETY I PISARZA**

Cena egzemplarza 12 NF (17/3; dol. 2,50)



**TOM XLIX**

**WACŁAW IWANIUK**

# **MILCZENIA**

**WIERSZE 1939-1959**

Cena egzemplarza 5 NF (7 sh., \$ 1,00)